



*JULIA QUINN*



# *Ślubny skandal*

---

Tytuł oryginału

On the Way to the Wedding

## Prolog

*Londyn,*

*niedaleko kościoła Świętego Jerzego na Hanover Square,*

*lato 1827*

Gregory Bridgerton biegł, ciężko dysząc, ulicami Londynu. Nie zważał na zdumione spojrzenia przechodniów. Kierował nim jakiś dziwny, lecz potężny rytm - raz, dwa, trzy, cztery. Jego głowę zaprzętała tylko jedna myśl. Kościół.

Musi dotrzeć do kościoła.

Musi przeszkodzić temu ślubowi.

Jak długo już biegł? Minutę? Pięć minut? Nie wiedział. Nie potrafił myśleć o niczym prócz tego, co miał zrobić.

Musi dotrzeć do kościoła. Ślub miał się zacząć o jedenastej. Ślub, który nie powinien się w ogóle odbyć, nawet jeśli ona się zgodziła! Trzeba temu przeszkodzić. Za wszelką cenę. Nie wiedział, jak tego dokona, ale ona brała teraz ślub, choć nie powinna była go brać. I wiedziała o tym.

Należała do niego. Należeli do siebie. Przecież wiedziała! Do licha, wiedziała!

Jak długo może trwać ceremonia? Pięć minut? Dziesięć? Dwadzieścia? Nigdy przedtem nie zwracał na to uwagi, a już na pewno nie patrzył wówczas na zegarek. Nie przypuszczał, że kiedyś będzie od tego zależeć jego szczęście.

Jak długo już biegnie?

Skreślił ostro w Regent Street. Mruknął coś, co miało znaczyć „przepraszam”, gdy wpadł na jakiegoś wytwornie odzianego pana i wytrącił mu z rąk paczkę. Kiedy indziej zatrzymałby się, żeby mu pomóc. Ale nie dziś, nie tego ranka.

Nie teraz.

Kościół! Nie mógł myśleć o niczym innym. Nie mógł.

Do licha! O mało nie wpadł pod powóz, który przeciął mu drogę. Zatrzymał się. Jego ciało było udręczone - chwycił wielkimi haustami powietrze, próbując ulżyć obolałym płucom.

Powóz przejechał i Gregory znów rzucił się przed siebie. Już blisko! Zdaży! Odkąd wybiegł z domu, minęło najwyżej pięć może sześć minut. Choć czuł się tak, jakby to było pół godziny

Musiał wstrzymać ten ślub. Nie powinien się w ogóle odbyć. Już widział kościół, jego wyniosłą szarą wieżę na tle jasnobłękitnego nieba. Ktoś porozwieszał kwiaty na latarniach. Nie wiedział jakie. Były żółte i białe. Przeważnie żółte. Sterczały zawadiacko na wszystkie strony z koszyczków. Wyglądały pięknie. A przecież to wcale nie był radosny dzień. Nie należało go świętować.

Chciał zapobiec katastrofie.

Zwolnił, by wbiec po stopniach. Nie chciał się przewrócić. Szarpnął z całej siły drzwi i ledwie usłyszał trzask, gdy uderzyły o mur. Może powinien się zatrzymać, żeby nabrać tchu? Może lepiej byłoby wejść tam spokojnie, zorientować się w sytuacji, ocenić, od jak dawna trwa uroczystość?

W kościele zapadła głucha cisza. Pastor urwał w pół słowa. Wszyscy zaczęli się odwracać - aż w końcu każda z twarzy patrzyła w tył. Ku niemu.

- Nie... - zaczął, lecz był tak zdyszany, że ledwo dosłyszał własne słowa.

- Nie... - powtórzył, tym razem głośniejszym głosem, i chwycił kurczowo za oparcie jednej z ławek, bo się zachwiał.

- Nie rób tego!

Nic nie powiedziała, ale ją widział. Widział, jak otwiera usta, zaskoczona. Spostrzegł, że bukiet ślubny wyslizguje się jej z rąk. I wiedział, o Boże, wiedział, że i jej także zapało dech.

Jak pięknie wyglądała! Złotawe włosy zdawały się lśnić i promieniować blaskiem. To dodało mu sił. Wyprostował się, nadal ciężko dysząc, ale mógł już puścić oparcie ławki i pójść prosto przed siebie.

- Nie rób tego - poprosił, zbliżając się do niej. Wiedział, czego chce. Wiedział, co powinno teraz nastąpić.

Wciąż się nie odzywała. W całym kościele panowała cisza. Dziwne. Ze trzy setki największych plotkarzy z całego Londynu zebrało się w tym wnętrzu i nikt ani słowa nie piśnie? Wszyscy patrzyli na niego, kiedy szedł wzdłuż nawy.

- Kocham cię - powiedział tak, żeby go usłyszeli. Nie było powodu, by zachowywał to dla siebie. Nie chciał się z tym kryć. Nie pozwoli, żeby wyszła za innego. Niech wiedzą, że jego serce należy do niej.

- Kocham cię - powtórzył. Kątem oka dostrzegł swoją matkę i siostrę siedzące sztywno w pierwszym rzędzie. Miały usta otwarte ze zdumienia.

Przeszedł przez całą nawę, z każdym krokiem nabierając coraz większej pewności siebie.

- Nie wychodź za niego - powiedział, zbliżając się do apsydy.

- Gregory - wyszeptała - dlaczego to robisz?

- Bo cię kocham - odparł. Tylko tyle miał do powiedzenia. Nic innego się nie liczyło.

Oczy jej rozbłysły. Słowa uwięzły jej w gardle. Spojrzała na mężczyznę, którego miała właśnie poślubić, ten zaś uniósł jedynie brwi i ledwo dostrzegalnie wzruszył jednym ramieniem, jakby mówił: „Wybór należy do ciebie”.

Gregory przykląkł na jedno kolano.

- Wyjdź za mnie - powiedział, wkładając całą duszę w te słowa.

- Za mnie.

Wstrzymał oddech. Wszyscy w kościele zrobili to samo. Spojrzała na niego rozszerzonymi, jasnymi oczami, a jemu w tej chwili wszystko wydało się nagle dobre, miłe i szczerze.

- Wyjdź za mnie - wyszeptał po raz ostatni.

Wargi jej drżały, lecz słowa zabrzmiały wyraźnie, gdy odpowiedziała. ..

# Rozdział 1

*w którym nasz bohater się zakochuje.*

*Dwa miesiące wcześniej*

Gregory Bridgerton, w przeciwieństwie do większości znanych mu mężczyzn, wierzył w prawdziwą miłość.

Byłby głupcem, gdyby w nią wątpił. Przecież wszyscy z jego rodzeństwa - Anthony (najstarszy z braci) i Daphne (najstarsza z sióstr) oraz Benedict i Colin, nie mówiąc już o siostrach, Eloise, Francesce oraz (nieznośnej, ale lojalnej) Hiacyncie - byli wprost szaleńczo (i szczęśliwie) zakochani w swoich żonach i mężach.

Większość mężczyzn podobny stan rzeczy wpędziłby w zgorzkniałość, lecz Gregory - od urodzenia pogodny, choć od czasu do czasu (zdaniem jego najmłodszej siostry) irytujący - był zdania, że po prostu musi wierzyć w coś tak oczywistego.

Miłość istniała.

Nie była bynajmniej tworem imaginacji, który miał uchronić poetów przed śmiercią głodową. Wprawdzie nie dało się jej ujrzeć, dotknąć ani powąchać, lecz istniała. Prędzej czy później spotka tę wysnioną i jedyne, było to tylko kwestią czasu. Potem zamierzał się urządzić, spłodzić mnóstwo dzieci i mieć różne dziwne hobby, jak papier mache czy kolekcjonowanie tarek do gałki muszkatołowej .

Chociaż, jeśli już koniecznie chciałoby się postawić kropkę nad „i” - co mogłoby uchodzić za zbyt drobiazgowo jak na tak abstrakcyjne pojęcie - marzenia jego nie dotyczyły jakiegś konkretnej

kobiety. A w każdym razie nie miała ona dokładnych i możliwych do określenia cech. Wcale nie wiedział, jaka właściwie ma być ta jedyna i wymarzona, która przeobrazi całkowicie jego życie, przeistaczając go w człowieka szczęśliwego. Nie miał pojęcia, czy będzie niska, wysoka, ciemnowłosa czy o blond lokach. Lubił ją sobie wyobrażać jako osobę inteligentną i obdarzoną subtelnym poczuciem humoru. Co poza tym? Mogła być nieśmiała albo odważna. Mogła lubić śpiew albo go nie znosić. Mogła też uwielbiać jazdę konną i mieć cerę ogorzałą od zbyt częstego przebywania na świeżym powietrzu.

Jeśli chodziło o tę niezwykłą, wspaniałą i nieistniejącą na razie kobietę, wiedział tylko tyle, że gdy ją spotka, to bez wątpienia wszystkiego się o niej dowie.

Nie miał wprawdzie pojęcia jak... No, ale w końcu jakoś się dowie! Owa zadziwiająca osoba, która miała odmienić jego życie, nie oblekła się jeszcze w realny kształt, ale to na pewno nastąpi. Pozostawało tylko pytanie - kiedy?

Na razie jednak nie widział powodu, aby przed poznaniem owej kobiety odmawiać sobie czegoś. Czy koniecznie trzeba żyć jak mnich, czekając na jedyną, prawdziwą miłość?

Gregory był typowym londyńczykiem. Miał pewne dochody, chociaż niewysokie. Otaczali go przyjaciele i dobrze wiedział, o jakie stawki może grać w karty. Uważany był za niezłą partię, choć nie za jednego z czołowych kandydatów do ożenku (czwarty syn nigdy nie miał szczególnego wzięcia na rynku matrymonialnym). Mimo to

matrony z towarzystwa zawsze uznawały go za pożądanego gościa na obiedzie, zwłaszcza gdy należało zaokrąglić liczbę zaproszonych osób.

Może powinien mieć poważniejszy cel w życiu, jakieś konkretne zamiłowanie, ważne zadanie do wypełnienia... Ale to mogło przecież poczekać! Gregory był pewien, że z czasem wszystko się wyklaruje i wkrótce będzie wiedział, co chce robić i jak, ale na razie...

Na razie, niestety, nie bawił się zbyt dobrze. W każdym razie nie w tej chwili. Siedział w skórzanym fotelu, raczej wygodnym. Ten brak niewygody skłaniał go do snucia marzeń, co z kolei powodowało, że nie słuchał uważnie wywodów brata. Brat bowiem, co warto podkreślić, stał mniej więcej półtora metra od niego i mówił, wciąż mówił o tym i owym. W tej przemowie nieustannie przewijały się, w różnych konfiguracjach, słowa „obowiązek” i „odpowiedzialność”.

Gregory nie słuchał go zbyt pilnie. Rzadko to zresztą robił. No, może czasami, ale...

- Gregory! Gregory!

Anthony stał z rękami skrzyżowanymi na piersi, co nie wróżyło niczego dobrego. Od ponad dwudziestu lat nosił tytuł wicehrabiego i choć był najlepszym bratem - co Gregory przyznałby pierwszy bez wahania - z powodzeniem mógłby tego dnia odgrywać rolę srogiego feudalnego pana.

- Przepraszam, że przerywam ci rozmyślenia - upomniał go raczej cierpko - słyszałeś, co do ciebie mówiłem?



- Mówiłeś o pracowitości - powiedział potulnie Gregory. -I o tym, żebym coś ze sobą zrobił.

- Istotnie - odparł Anthony, a Gregory pogratulował sobie intuicji. - Najwyższy czas, żebyś coś zrobił ze swoim życiem.

- Oczywiście - mruknął młodszy z braci dość smętnie, głównie dlatego, że nie zdążył na obiad. Był głodny. W dodatku słyszał, że bratowa podała przed chwilą lekki posiłek w ogrodzie. No i sprzeczenie się z Anthonym nigdy nie miało najmniejszego sensu.

- Musisz się zmienić, nadać życiu nowy kierunek.

- Tak... - Może to sandwicze? Mógłby śmiało zjeść ze czterdzieści tych malusieńkich, apetycznych kromeczek.

- Gregory!

Wiedział, że gdy brat zaczyna mówić takim tonem, trzeba go słuchać uważnie.

- No... owszem - odparł. Dziwne, jak to krótkie wyrażenie pomaga odwlekać właściwą odpowiedź. - Chyba wybiorę stan duchowny.

Anthony zamilkł. Po prostu go zamurowało. Gregory urwał, delektując się tą chwilą, choć nie zamierzał z tej przyczyny naprawdę zostać jakimś tam pastorem.

- Co takiego? - zdołał w końcu wyszeptać Anthony.

- Nie mam wielkiego wyboru - westchnął Gregory i zaraz potem zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy tego nie powiedział. Własne słowa wydały mu się tym samym bardziej autentyczne i przekonujące. -

Wojsko albo duchowieństwo - ciągnął. - A wszystkim wiadomo, że fatalnie strzelam.

Anthony nie odpowiedział. Trudno zaprzeczyć prawdzie. Po chwili kłopotliwej ciszy wymamrotał:

- Jest jeszcze biała broń.

- Tak. Ale mam pecha i pewnie wysłano by mnie do Sudanu.

- Gregory się wzdrygnął. - Wprawdzie nie lubię grymasić, ale ten upał! Czy chciałbyś się tam znaleźć?

- Z pewnością nie! - potwierdził bez wahania brat.

- No i - dodał Gregory, który zaczął się naprawdę dobrze bawić

- co by na to powiedziała nasza matka?

- A... co ona może mieć wspólnego z Sudanem? - spytał po chwili Anthony.

- Z pewnością nie chciałyby, żebym tam jechał, a poza tym musiałbyś ją pocieszać za każdym razem, gdyby się mną zamartwiała z powodu koszmarów sennych...

- Wystarczy! - przerwał mu brat.

Gregory uśmiechnął się w duchu. Nie było to zbyt piękne względem matki, która nigdy nie narzekała na złe przeczucia, z pewnością jednak byłaby wściekła, gdyby się znalazł w Sudanie. Anthony musiałby wtedy wysłuchiwać jej utyskiwań. Ale że Gregory wcale się nie kwapił do opuszczenia mglistego Albionu, cała ta rozmowa i tak nie miała sensu.

- W porządku - odparł Anthony. - Rad jestem, że wreszcie poruszyliśmy ten temat.

Gregory zerknął na zegar.

Brat odkaslnął, a potem dodał z lekkim zniecierpliwieniem:

- Jak również z tego, że wreszcie zechciałeś pomyśleć o swojej przyszłości.

Gregory zacisnął zęby.

- Mam dopiero dwadzieścia sześć lat. Chyba nie trzeba mi ciągle powtarzać „wreszcie”.

Anthony zmarszczył lekko brwi.

- Czy mam pomówić z arcybiskupem, żeby znalazł ci parafię?

Gregory nieoczekiwanie dostał napadu nerwowego kaszlu.

- Ach, nie - powiedział, gdy już był w stanie się odezwać. -

Przynajmniej ... jeszcze nie teraz.

Anthony uśmiechnął się nieznacznie, kącikiem ust, choć trudno to było właściwie uznać za uśmiech. - Możesz się też ożenić - dodał łagodniej.

- Mogę - zgodził się Gregory. - I zamierzam tak zrobić.

- Naprawdę?

- Gdy tylko spotkam odpowiednią kobietę. - A potem, widząc pełną niedowierzania minę Anthony'ego, dodał:

- Z pewnością doradzałbyś mi małżeństwo z miłości, nie z rozsądku.

Gregory wiedział, że te słowa nie rozzłoszczą brata. Anthony słynął bowiem z wielkiego oddania żonie, a ta darzyła go bezgranicznym uczuciem. Starszy brat był niezwykle przywiązany do siedmiorga młodszego rodzeństwa.

- Życzę ci równie wielkiego szczęścia, jakie ja sam znalazłem - odparł.

Gregory'emu głośno zaburczało w brzuchu. Wybawiło go to od konieczności odpowiedzi.

- Przepraszam. Spóźniłem się na obiad - wyjaśnił z zażenowaniem.

- Wiem. Spodziewaliśmy się ciebie wcześniej. Młodzieniec w ostatniej chwili zdołał się ustrzec od zrobienia kwaśnej miny.

- Kate się zmartwiła - dodał brat.

To było najgorsze. Nieważne, że Anthony poczuł się dotknięty. Ale gdy chodziło o jego żonę...

Gregory wiedział, że dopiero teraz znalazł się w prawdziwym kłopotcie.

- Za późno wyjechałem z Londynu - wybąkał. Była to prawda, ale nie stanowiła żadnego usprawiedliwienia dla gafy. Spodziewano się go na obiedzie, a on zawiódł oczekiwania. Już miał powiedzieć: „Jakoś jej to wynagrodzę”, lecz w porę ugryzł się w język. Tylko by wszystko pogorszył. Zupełnie jakby zlekceważył spóźnienie i chciał zbyć wykroczenie uśmiechem lub gładką wymówką. Często tak zresztą bywało. Ale tym razem wołał tego nie robić. Odparł jedynie:

- Bardzo żałuję. -I rzeczywiście żałował.

- Kate jest w ogrodzie - mruknął niechętnie Anthony. - Zdaje się, że urządziła tańce. Na patio, wyobraź sobie.

Gregory uśmiechnął się ze zrozumieniem. Było to coś całkiem w guście bratowej. Co chwila miała nieoczekiwane pomysły. A że pogoda okazała się niezwykle ładna, dlaczego nie potańczyć na świeżym powietrzu?

- Pamiętaj, żebyś tańczył z pannami, które ci wskaże - dodał Anthony. - Kate nie zniesie, żeby choć jedna młoda dama czuła się zaniedbywana.

- Rozumiem.

- Dołączę do was za jakiś kwadrans. - Anthony ponownie zasiadł za biurkiem, gdzie czekały na niego stosy papierów. - Muszę coś dokończyć.

Gregory wstał.

- Pójdę do Kate. - Zasadnicza rozmowa najwyraźniej dobiegła kresu. Zszedł do ogrodu.

Ostatni raz bawił w Aubrey Hall, rodowej siedzibie Bridgertonów, dawno temu. Owszem, cała rodzina zjeżdżała tu na święta Bożego Narodzenia, lecz w gruncie rzeczy to nigdy nie był jego dom. Matka po śmierci ojca postąpiła dość niekonwencjonalnie - odseparowała się od rodziny i większą część roku spędzała w Londynie. Choć nigdy nie przyznała tego głośno, Gregory zawsze podejrzewał, że piękny, stary pałacyk przywoływał zbyt wiele wspomnień.

W rezultacie on sam czuł się bardziej u siebie, mieszkając w stolicy, a nie na wsi. Spędził zresztą dzieciństwo w londyńskim Bridgerton House, nie w Aubrey Hall. Lubił tu jednak przyjeżdżać

i chętnie korzystał z tutejszych rozrywek - jazdy konnej i pływania (kiedy woda w stawie była dostatecznie ciepła). Lubił odmianę, jaką ze sobą niosły. Cenił też sobie czyste powietrze i spokój po miesiącach spędzonych w mieście. Ale najważniejsze było to, że mógł to wszystko porzucić, gdy miał już dosyć spokoju i czystego powietrza.

Zabawa odbywała się w południowej części parku. Dowiedział się tego od kamerdynera, gdy tylko przyjechał. Było to istotnie odpowiednie miejsce - równy teren, widok na staw i obszerne patio z mnóstwem siedzących miejsc dla gości, którzy mieli w sobie mniej wigoru.

Ruszył w tę stronę i już po chwili usłyszał stłumiony gwar, dobiegający spoza francuskich okien. Nie wiedział, jak wiele osób zaprosiła bratowa. Zapewne około dwudziestki, bo zapewniało to atmosferę względnie kameralną, a jednocześnie pozwalało się wymknąć z towarzystwa bez zwracania na siebie uwagi.

Gregory pociągnął nosem, próbując się zorientować, co Kate kazała podać do jedzenia. Oczywiście nie mogło tego być za wiele, skoro goście zjedli już obiad.

To na pewno jakieś ciasto - gdy podszedł do patio, doleciał go słaby zapach cynamonu. Tym się nie naje. Przydałby mu się solidny kawał mięsiwa.

Spóźnił się wszakże, i to wyłącznie z własnej winy, a brat gotów mu suszyć głowę, jeśli zaraz nie dołączy do innych. Musi mu wystarczyć ciasto i herbatniki.

Owionął go ciepły wietrzyk, gdy wkraczał do pawilonu. Było wyjątkowo gorąco jak na maj i wszyscy o tym mówili. Pogoda sprzyjała dobremu nastrojowi. Trudno się było nie uśmiechać. I rzeczywiście, goście, sądząc z ożywionego gwaru, bawili się wspaniale, bo stale rozbrzmiewały jakieś śmiechy.

Gregory rozglądał się zarówno za przekąskami, jak i za znajomymi twarzami, a zwłaszcza za Kate, gdyż grzeczność nakazywała przywitać się z nią jako pierwszą. Przeszedł przez salon i nagle zobaczył... ją.

Tę jedną jedyną.

Od razu wiedział, że to właśnie ta. Zamarł bez ruchu, jak zaczarowany. Nie zapanowało mu z miejsca tchu, tracił go powoli, stopniowo, aż wreszcie nie zostało mu w płucach ani odrobiny powietrza. Stał, stał i nie mógł się napatrzeć.

Nie widział jej twarzy ani nawet profilu, tylko kark - idealną linię giętkiej szyi i pukiel jasnych włosów, który opadał na ramię. „Przepadłem z kretesem”, pomyślał. W każdym zaś razie przepadły dla niego wszystkie inne kobiety. Nigdy jeszcze tak intensywnie, gorąco i z tak przytłaczającą oczywistością nie czuł, że to właśnie ta.

Może było to głupotą, może szaleństwem, ale zapewne i jednym, i drugim, lecz tak długo czekał na tę chwilę! Nagle stało się zupełnie jasne, dlaczego nie wstąpi do wojska ani nie zostanie pastorem. I dlaczego nie skorzysta z tak często ponawianej przez brata oferty objęcia któregoś z mniejszych majątków Bridgertonów.

Czekał. To wszystko, co mógł zrobić. Nawet nie przypuszczał, że zwlekał ze wszystkimi ważnymi decyzjami w swoim życiu tylko dlatego, że czekał na tę jedną jedyną chwilę.

I wreszcie nadeszła.

Przed nim stała ona.

Gregory rozpoznał ją od razu.

Przeszedł powoli przez salon, zapominając o jedzeniu i o Kate. Zdawkowo powitał kilka osób, które napotkał po drodze. Musiał się do niej zbliżyć. Musiał ujrzeć jej twarz, wchłonąć zapach perfum, usłyszeć głos...

Wreszcie zatrzymał się niemal tuż przy niej. Bez tchu, wręcz nabożnie w nią wpatrzony, mógł tylko stać obok. Nic więcej. Rozmawiała z jakąś młodą damą, na tyle ożywionym tonem, że zorientował się, iż są zaprzyjaźnione. Nie ruszył się z miejsca, a wtedy ona powoli się odwróciła i zdała sobie sprawę z jego obecności.

Wówczas się uśmiechnął. Łagodnie, dyskretnie...

- Jak się pani miewa?

Lucinda Abernathy, znana przyjaciółom jako Lucy, zdusiła okrzyk zaskoczenia. Odwróciła się ku młodzieńcowi, który znalazł się niespodziewanie tuż za nią. Oczywiście robił słodkie oczy do Hermiony, jak wszyscy mężczyźni, którzy ją poznali.

Przyjaźń z Hermioną Watson była swoistym ryzykiem. Hermiona kolekcjonowała bowiem złamane serca w taki sam sposób, w jaki stary pastor z pobliskiego opactwa kolekcjonował motyle.



Tyle tylko, że ona nie wbijała swoich zdobyczy na szpilki. Nie robiła nic, żeby podbijać ich serca, a już z pewnością nie zamierzała żadnego łamać. To się po prostu samo działo. Lucy zdążyła do tego przywyknąć. Hermiona miała jasne, płowe jak len włosy, twarz w kształcie serca i wielkie, szeroko otwarte oczy o zaskakującym odcieniu zieleni.

Lucy natomiast... No, po prostu nie była Hermioną. Włosy miała nie tak jasne, sylwetkę mniej smukłą i była również odrobinę niższa. Szaroniebieskie oczy można by uznać za atrakcyjne, jeśli się ich nie porównywało z oczami Hermiony. Co było trudne, skoro Lucy nigdzie się nie ruszała bez przyjaciółki.

Lucy doszła do tego zaskakującego wniosku pewnego dnia, na lekcji angielskiego w szkole panny Moss dla młodych dam. Obydwie z Hermioną uczyły się tam przez trzy lata. Wydawało się, że ustępowała nieco we wszystkim przyjaciółce, albo - ujmując to trochę inaczej - nie dorównywała jej.

We własnym mniemaniu była całkiem atrakcyjna na zdrowy, angielski sposób. Ale mężczyźni niesłychanie rzadko tracili mowę na jej widok (prawdę mówiąc, nie zdarzyło się to nigdy).

Natomiast Hermiona... No cóż, dobrze, że była taką... miłą osobą. Pewnie w innym wypadku nie mogłyby zostać przyjaciółkami. No i istniała jedna jedyna rysa na tym ideale. Hermiona nie potrafiła tańczyć. Obojętne, czy chodziło o walca, kadryla czy menueta. W tym, co dotyczyło muzyki i ruchu, Hermiona okazywała się do niczego.

I to właśnie przywracało sprawom jakiś uczciwy ład.

Lucy nie uważała się za osobę specjalnie próżną, a gdyby ktoś ją spytał, zarzekałaby się, że zrobi wszystko, ale to wszystko dla swojej najdroższej przyjaciółki. Widziała jednak pewną sprawiedliwość w tym, że najpiękniejsza dziewczyna w całej Anglii na parkiecie poruszała się z wdziękiem drewnianego kłoca.

A teraz kolejny mężczyzna, przystojny, w miarę wysoki, o kasztanowatych włosach i całkiem przyjemnym uśmiechu, podszedł do nich. Miał również miły błysk w oczach, których koloru nie mogła określić w przyćmionym świetle. Nie widziała ich zresztą, bo nie patrzył na nią, tylko, jak wszyscy inni, na Hermionę.

Lucy uśmiechnęła się uprzejmie, choć nie wiedziała, czy to zauważył. Czekala na ukłon. Po nim miała nastąpić wzajemna prezentacja. Ale młody człowiek zachował się zaskakująco. Przedstawił się - powinna się domyślić, że to ktoś z Bridgertonów - a potem się pochylił i pocałował ją w rękę! Ja, nie Hermionę! Jej dłoń uniósł do ust w drugiej kolejności.

Lucy wstrzymała oddech.

Lecz później, rzecz jasna, domyśliła się, dlaczego to zrobił. Och, postąpił naprawdę sprytnie. Nic bardziej nie wzruszało Hermiony niż uprzejmość okazana Lucy.

Tylko że, niestety, serce Hermiony było już zajęte.

Za to Lucy będzie się dobrze bawić, obserwując obydwójce.

- Jestem Hermiona Watson - powiedziała przyjaciółka, a Lucy zrozumiała, że taktyka Bridgertona była jeszcze sprytniejsza, niż

sądziła. Skoro ucałował dłoń Hermiony w drugiej kolejności, to ona musiała mu się przedstawić.

Lucy była pełna uznania. Okazał się inteligentniejszy od pozostałych.

- A to moja droga przyjaciółka - ciągnęła - panna Lucinda Abernathy.

Wypowiedziała te słowa, jak zawsze, z oddaniem i serdecznością. Może też z lekką dozą desperacji, jakby chciała dać mu do zrozumienia: „Na miłość boską, proszę spojrzeć choćby raz na Lucy”.

Tylko że mężczyźni, oczywiście, nigdy tego nie robili. Chyba że pragnęli rady, jak sobie zjednać i zdobyć Hermionę. W tym wypadku jak najbardziej należało okazywać względy Lucy.

Pan Bridgerton - Gregory Bridgerton, poprawiła się zaraz w myśli, bo istniało jeszcze kilku innych panów Bridgertonów, nie licząc wicehrabiego - zaskoczył ją zwycięskim uśmiechem i życzliwym spojrzeniem.

- Jak się pani miewa, panno Lucindo?

- Bardzo dobrze, dziękuję - odparła i zaraz zapragnęła zapaść się pod ziemię, bo zagapiła się i zająknęła już przy pierwszym słowie. Była kompletnie zaskoczona, mężczyźni nigdy na nią nie patrzyli, jeśli ich wzrok spoczął na Hermionie. Nigdy!

Czyżby się nią zainteresował? Nie, niemożliwe.

A jeśli jednak? Cieszyłaby się, oczywiście, gdyby któryś zakochał się do szaleństwa właśnie w niej! Od lat jednak była

praktycznie zaręczona z lordem Haselbym. Nie potrzebowała zatem namiętnego adoratora. Na cóż by się jej przydał?

Poza tym nie było winą Hermiony, że przyszła na świat z twarzą godną anioła.

Tak więc Hermiona jawiła się wszystkim jako kusząca syrena, Lucy zaś była jej zaufaną przyjaciółką i wszystko pozostawało w najlepszym porządku. A jeśli nawet nie w najlepszym, to przynajmniej w przewidywalnym.

- Jest pan może jednym z gości? - spytała w końcu, bo żadne z nich się nie odezwało od czasu wygłoszenia obowiązkowej formułki „miło mi pana (panią) poznać”.

- Nie, lecz chętnie zakosztuję wiejskich rozrywek. Mieszkam na stałe w Londynie.

- Doprawdy, ma pan szczęście, że Aubrey Hall pozostaje w posiadaniu pańskiej rodziny - odparła uprzejmie Hermiona - nawet jeżeli należy do brata.

Wtedy upewniła się, że celem Bridgertona była Hermiona. Nieważne, że to dłoń Lucy ucałował jako pierwszą i że patrzył na nią, czekając, aż się odezwie, czego wielu innych młodzieńców wcale by nie zrobiło. Wystarczyło zauważyć, w jaki sposób spojrział na przyjaciółkę, gdy tylko się odezwała.

Oczy mu rozbłysły, wargi się rozchyliły... Wpatrywał się w nią z taką intensywnością, jakby chciał zaraz porwać Hermionę w ramiona i unieść gdzieś ze sobą, nie zważając na zebranych ani na dobre wychowanie.

Na nią patrzył zupełnie inaczej, w sposób, który można byłoby nazwać uprzejmą obojętnością. Albo może miało to oznaczać:

„Dlaczego stoisz mi na drodze?”

Doprawdy, przykro się rozczarowała. Powinno zresztą istnieć jakieś bardziej dobitne słowo na określenie tego uczucia, tylko że ona nie mogła go wymyślić.

- Lucy, Lucy...

Zrozumiała, z lekkim zakłopotaniem, że straciła wątek rozmowy. Hermiona rzuciła jej zaskoczone spojrzenie, przechylając głowę w sposób, który mężczyźni najwyraźniej uważali za niezwykle ponętny. Lucy próbowała ją raz naśladować, ale dostała jedynie zawrotu głowy.

- Ach, tak? - szepnęła.

- Pan Bridgerton poprosił mnie do tańca - wyjaśniła przyjaciółka. - Przeprosiłam, bo jak wiesz, nie mogę...

Hermiona udawała zwykle, że skreśliła akurat kostkę albo że ma katar, co nie pozwala jej wyjść na parkiet. Wszystko byłoby w porządku, gdyby każdego z adoratorów nie odstępowała Lucy. Na początku jeszcze jakoś to wyglądało, ale potem stało się zbyt częste. Mężczyźni uważali zapewne, że Hermiona robi to z litości, co było jak najdalsze od prawdy.

Lucy tymczasem całkiem dobrze umiała tańczyć. A także zręcznie prowadziła konwersację.

- Będzie mi bardzo miło zatańczyć z panną Lucindą - odparł Bridgerton, no bo cóż w końcu miał powiedzieć?

Uśmiech Lucy nie wyglądał na szczery, ale pozwoliła się zaprowadzić na patio.

## Rozdział 2

*w którym nasza bohaterka najwyraźniej nie uznaje niczego, co jest romantyczne.*

Gregory był dżentelmenem, ukrył więc rozczarowanie, podał ramię Lucindzie i wyprowadził ją na patio. Lucinda, choć z pewnością urocza i ładna, nie była jednak panną Watson. Tymczasem on przez całe życie czekał, by spotkać właśnie Hermionę.

Ta dziewczyna była jednak najbliższą przyjaciółką panny Watson, co mogło się okazać korzystne. Hermiona niemalże piała na jej cześć podczas krótkiej rozmowy, podczas gdy Lucinda patrzyła w jakiś punkt ponad jego ramieniem, najwyraźniej wcale tego nie słuchając. Gregory, który miał aż cztery siostry, wiedział co nieco o kobietach. Warto było na przykład zaprzyjaźnić się z przyjaciółką wybranki. Jeśli istotnie chodziło o przyjaźń, a nie o tę dziwną rzecz, którą kobiety nazywają w ten sposób, a w której chodzi o wyczekiwanie najlepszego momentu, by zadawać sobie nawzajem bezwzględne ciosy.

Kobiety są doprawdy zagadkowymi istotami! Gdyby się nauczyły mówić dokładnie to, co myślą, wszystko byłoby dużo prostsze.

Panny Watson i Abernathy robiły wszakże wrażenie prawdziwych, oddanych sobie przyjaciółek, mimo roztargnienia tej

ostatniej. A jeśli Gregory chciałby się dowiedzieć czegoś więcej o Hermionie, zdecydowanie powinien porozmawiać z Lucinda.

Właściwie mógł zacząć już teraz.

- Od dawna bawi pani w Aubrey Hall? - spytał uprzejmie, gdy czekali, aż muzykanci zaczną grać.

- Dopiero od wczoraj. A pan? Nie widziałam pana dotąd.

- Przyjechałem dziś po południu. W dodatku po obiedzie - skrzywił się. Teraz, gdy Hermiona znikła mu z oczu, przypomniał sobie, że warto by coś zjeść.

- Ależ pan chyba umiera z głodu! - wykrzyknęła. - Może przejdziemy się wokół patio, zamiast tańczyć? Obiecuję, że ten szlak zaprowadzi nas do bufetu.

Gregory miał ochotę ja uścisnąć.

- Panno Lucindo, jest pani wprost niezrównana.

Uśmiechnęła się, ale trochę dziwnym uśmiechem, którego znaczenie nic do końca rozumiał. Wydawało mu się, że dostrzegł w nim odrobinę smutku, a nawet pewnej rezygnacji, choć komplement - czego był pewien - jej się spodobał.

- Pewnie ma pani brata.

- Istotnie. - Z rozbawieniem przyjęła jego domyślność. - O cztery lata starszego ode mnie i wiecznie głodnego! Kiedy przyjeżdżał do domu ze szkoły, nie mogłam się nadziwić, że cokolwiek w ogóle zostawało w spiżarni.

Gregory podał jej ramię i ruszyli wokół patio.

- Nie, proszę tędy - powiedziała, przyciskając lekko jego ramię, gdy spróbował posuwać się w przeciwnym kierunku. - Chyba że pan woli słodczyce.

- Co dobrego znajdziemy? - spytał z nadzieją.

- Kanapki. Malutkie, ale znakomite, zwłaszcza te z jajkiem.

Skinął głową, lecz myślami był już gdzie indziej - zdołał kątem oka dostrzec pannę Watson i trudno mu było skoncentrować się na czymś innym. Zwłaszcza że otaczał ją teraz cały rój mężczyzn. Gregory był przekonany, że tylko czekali, by ktoś usunął im z drogi pannę Lucinę, nim ruszą do ataku.

- Od jak dawna zna pani pannę Watson? - spytał, starając się, by zabrzmiało to w sposób możliwie obojętny.

Po krótkiej pauzie odparła:

- Od trzech lat. Obie uczęszczamy do szkoły panny Moss, a raczej uczęszczałyśmy tam, bo w tym roku zakończyłyśmy edukację.

- Zapewne zamierzają panie debiutować w Londynie pod koniec wiosny?

- Tak - odrzekła i wskazała ruchem głowy na stół z kanapkami. - Ostatnie kilka miesięcy spędziłyśmy na wstępnych przygotowaniach, jak to nazywa matka Hermiony. Bywałyśmy na różnych przyjęciach i wieczorkach...

- Żeby nabrać poloru? - spytał z uśmiechem.

- Och, wypolerowano mnie do połysku. Mogłabym się przydać, odgrywając rolę lichtarza.



- Tylko lichtarza? Widziałbym panią co najmniej w roli ozdobnej srebrnej urny, jakie się ostatnio widuje w bawialniach.

- Jeśli ja byłabym urną, to w jakiej funkcji widzi pan Hermionę? Klejnotu? Diamentu w złotej oprawie? Z trudem pohamował wyobraźnię. Wróci później do tych uroczych marzeń, kiedy już nie będzie musiał prowadzić uprzejmej rozmowy z nietuzinkową młodą damą.

- Doprawdy, sam nie wiem - rzekł wymijająco, podając jej talerz. - Przecież dopiero co ją poznałem.

Nie odpowiedziała, ale nieznacznie uniosła brwi, w tej samej chwili Gregory zdał sobie sprawę, że patrzy ponad jej ramieniem, by lepiej widzieć pannę Watson.

Lucinda westchnęła lekko.

- Powinien pan chyba wiedzieć, że ona kocha innego. Gregory przeniósł wzrok na kobietę, której winien poświęcić uprzejmą uwagę.

- Przepraszam... co pani mówiła?

Wzruszyła lekko ramionami, nakładając sobie kilka kanapek na talerz.

- Ze Hermiona kocha innego. Myślałam, że powinien pan to wiedzieć.

Gregory gapił się na nią przez chwilę z półotwartymi ustami, a potem, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, znów spojrzał na Hermionę Watson. Wypadło to raczej żałośnie, lecz nie był w stanie zrobić nic innego. Dobry Boże, mógłby na nią patrzeć i patrzeć bez przerwy. Nie

potrafił sobie wręcz wyobrazić, że to nie miłość. Bo cóż innego w tej chwili czuł?

- Te są z szynką.

- Co?

- Z szynką! - Panna Lucinda z irytująco pogodną miną nałożyła sobie szczypcami kilka kanapek naraz. - Chciałby pan może spróbować?

Odchrząknął i wyciągnął ku niej talerz. A potem, ponieważ nie mógł się powstrzymać, dodał cierpko:

- W końcu to nie mój interes.

- Kanapki?

- Nie, uczucia panny Watson - mruknął, mimo że w gruncie rzeczy wcale tak nie uważał. W istocie był to jak najbardziej jego interes albo przynajmniej miał być nim wkrótce.

W jakiś sposób to, że Hermiona najwyraźniej nie została porażona takim samym nagłym uczuciem jak on, przygnębiło go. Nigdy się jeszcze nie natknął na podobny brak wzajemności. Wyjaśnienie Lucy ugłaskało jego urażoną dumę. Przykra wiadomość, że Hermiona kocha innego, była łatwiejsza do przyjęcia niż jej kompletna obojętność.

Pozostało tylko dać jej do zrozumienia, że ów wybraniec - nieważne, kim był - nie jest dla niej odpowiedni.

Nie był co prawda tak próżny, by sądzić, że może zdobyć każdą kobietę, na którą spojrzy, lecz na pewno płęć piękna nigdy nim nie gardziła. A biorąc pod uwagę emocje, które targały nim na widok

panny Watson, było po prostu czymś niewyobrażalnym, by Hermiona mogła nie odwzajemnić jego uczuć. Należało dołożyć wszelkich starań, by zdobyć jej serce i rękę, co uczyni zwycięstwo jeszcze bardziej satysfakcjonującym. Tak to sobie przynajmniej tłumaczył, aczkolwiek przemknęła mu przez głowę myśl, że wzajemna miłość od pierwszego wejrzenia byłaby czymś dużo mniej kłopotliwym.

- Proszę się nie martwić - Lucinda wyciągnęła lekko szyję, żeby przyjrzeć się kanapkom, jakby szukała czegoś bardziej egzotycznego niż brytyjska wieprzowina.

- Wcale się nie martwię - mruknął, czekając, aż znów skupi uwagę na nim. Gdy już to zrobiła, powtórzył:

- Wcale!

Odwróciła się i spojrzała na niego ze szczerością.

- Cieszę się. Wielu mężczyzn bywa jej reakcją wręcz zdruzgotanych.

- Co pani przez to rozumie? - zapytał nieufnie.

- Dokładnie to, co mówię - odparła z pewnym zniecierpliwieniem. - A jeśli nie są zdruzgotani, to się złością! - Prychnęła lekko. - Zupełnie jakby wina leżała po jej stronie!

- Wina? - powtórzył za nią jak echo.

- Nie pan jeden sądzi, że zakochał się bez pamięci w Hermionie. Bez przerwy ktoś się w niej zakochuje.

- Nie wyobrażam sobie, żebym... - urwał, mając nadzieję, że umknie jej uwagi nacisk, który położył na słowo „wyobrażam”. Boże,

cóż się z nim dzieje? Przedtem miał przecież poczucie humoru, zwłaszcza jeśli chodzi o jego osobę.

- Naprawdę? - Lucinda wydawała się tym mile zaskoczona. - To pocieszające.

- Dlaczego?

- A dlaczego - zmrużyła oczy - zadaje mi pan tyle pytań?

- Ależ skąd - zaprotestował, choć była to oczywista nieprawda.

Westchnęła, a potem go zaskoczyła, mówiąc:

- Bardzo przepraszam.

- Za co?

Spojrzała na kanapkę z sałatką jajeczną, którą miała na talerzu, a później na niego. Ta kolejność wcale mu nie pochlebiła, chociaż zazwyczaj przepadał za taką sałatką. - Myślałam, że będzie pan chciał porozmawiać o Hermionie. Przepraszam, jeśli się myliłam.

Znalazł się w nie lada kłopotcie. Właściwie powinien wyjawic, że istotnie zakochał się bez pamięci w pannie Watson. Ale było to raczej żenujące, nawet dla kogoś o tak beznadziejnie romantycznym usposobieniu jak on. Mógł też zaprzeczyć, w co na pewno by nie uwierzyła. Pewnym kompromisem byłoby przyznanie się do zaangażowania - w zwykłych okolicznościach byłoby najlepszym wyjściem, ale teraz uczyniłby w ten sposób afront rozmówcy.

W końcu obie panny poznał w tej samej chwili, ale zakochał się tylko w jednej. Nagle Lucinda, jakby czytając w jego myślach (co go wręcz przeraziło), machnęła lekceważąco ręką.

- Och, wcale nie czuję się urażona. Przywykłam już do tego. Bez przerwy ktoś dla niej traci głowę.

Poczuł się tak, jakby ktoś go uderzył.

- Nie mówiąc o tym - ciągnęła pogodnie - że jestem praktycznie zaręczona.

Po czym nadgryzła kanapkę z sałatką jajeczną. Któż by się mógł zaręczyć z taką dziwną osobą? Nie żałował ani trochę tego mężczyzny, po prostu mu się dziwił.

- Och! - Lucinda przerwała jego rozmyślenia.

Podążył za jej wzrokiem. Patrzyła na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała panna Watson.

- Gdzież ona się podziewa? - spytała.

Gregory z miejsca odwrócił się ku drzwiom, mając nadzieję, że ujrzy jeszcze Hermionę choćby przez moment, ale już jej tam nie było. Poczuł przykry zawód. Po cóż się zakochiwać bez pamięci, jeśli obiekt uczuć wcale o ciebie nie dba? Do licha! Nie wiedział dotąd, że można wzdychać i zgrzytać zębami jednocześnie, ale tak właśnie zrobił.

- To pani, Lucindo?

Podeszła do nich jego bratowa. Zupełnie zapomniał przywitać się z Kate! Chyba nie weźmie sobie tego zanadto do serca - była z gruntu złą osobą. Powinien jednak zachowywać się wobec niej grzeczniej.

Lucinda dygnęła z wdziękiem.

- Witam, lady Bridgerton.

Kate w odpowiedzi uśmiechnęła się serdecznie.

- Panna Watson prosiła, by pani przekazać, że nie czuje się dobrze i woli pójść do siebie.

- Doprawdy, tak powiedziała? Och, nie warto się przejmować - odparła Lucinda z nieco nonszalanckim gestem dłoni, ale Gregory widział, że czuje się zawiedziona.

- Żeby się tylko nie przeziębiła - dodała Kate.

- Tak - odrzekła zwięźle Lucinda, trochę mniej współczująco, niż wymagałyby tego okoliczności. - Zapewne.

- A ty - Kate zwróciła się do Gregory'ego - nawet się ze mną nie przywitałeś. Jak się masz?

Ucałował jej dłoń na znak przeprosin.

- Spóźniłem się.

- O tym już wiem. - Nie była to irytacja, co najwyżej lekki wyrzut. - A poza tym?

- Poza tym wszystko świetnie. Jak zawsze - dodał z pogodnym uśmiechem.

- Jak zawsze - powtórzyła, a jej spojrzenie zapowiadało dalsze pytania. - Panno Lucindo - ciągnęła, tym razem życzliwiej - pewnie pani poznała mego szwagra?

- Owszem. Właśnie się delektujemy poczęstunkiem. Kanapki są znakomite.

- Dziękuję. A czy Gregory obiecał z panią zatańczyć? Muzycy wprawdzie nie są profesjonalistami, lecz zdołaliśmy sformować kwartet smyczkowy spośród gości.

- Obiecał - odparła za niego Lucinda - ale zwolniłam go na razie z tego obowiązku, by mógł zaspokoić głód.

- Pewnie ma pani braci - uśmiechnęła się Kate.

Lucinda, patrząc na niego z pewnym zaskoczeniem, przyznała:

- Tylko jednego.

- Spytałem o to już wcześniej - wyjaśnił Gregory. Kate parsknęła śmiechem.

- Co za domyślność! - i dodała, zwracając się do Lucindy: - Owszem, dobrze jest przewidywać męskie reakcje. - Trzeba wiedzieć, że jedzenie to dla nich coś niezwykle ważnego!

- Żeby im się przypodobać? - spytała ze zdumieniem Lucinda.

- Także i dlatego - wyjaśniła bez ogródek Kate. A poza tym bywa to czasem decydującym argumentem. Albo po prostu pomaga osiągnąć cel.

- Ależ panna Lucinda dopiero co wyszła ze szkół - upomniał ją Gregory.

Kate zignorowała jego słowa i uśmiechnęła się serdecznie do Lucindy.

- Nigdy nie jest się zbyt młodym, by osiąść ważne umiejętności.

Lucinda spojrzała najpierw na niego, a potem na Kate, aż wreszcie w jej oczach zabłysła iskierka humoru.

- Teraz rozumiem, dlaczego ludzie tak panią podziwiają, lady Bridgerton.

- Jest pani zbyt uprzejma.

- Och, Kate - przerwał im Gregory, zwracając się ku Lucindzie - moja bratowa gotowa jest stać tutaj cały wieczór, jeżeli będzie ją pani zasypywać komplementami.

- Proszę nie zwracać na niego uwagi - odcięła się Kate. - Jest młody, postrzelony i nie wie, o czym mówi!

Gregory szukał riposty, bo nie miał zamiaru darować Kate tego żartu. Niespodzianie odezwała się Lucinda:

- Chętnie bym panią dalej wychwalała, lady Bridgerton, ale chyba muszę pójść do Hermiony. Przez cały dzień była na świeżym powietrzu. Powinnam się upewnić, czy coś jej nie dolega.

- Ach, oczywiście - przyznała Kate. - Proszę jej przekazać pozdrowienia i bez skrupowania dzwonić na służbę w razie potrzeby. Nasza gospodyni zna się na ziołach i chętnie znajdzie coś, co zaradzi dolegliwościom pani przyjaciółki. Niektóre z tych mikstur nawet działają! - Uśmiechnęła się przy tym tak przyjaźnie, że od razu zrozumiał, iż Kate lubi Lucinę. Nie było to bez znaczenia. Bratowa nie mogła ścierpieć wokół siebie głupców.

- Odprowadzę panią - rzekł pospiesznie. Było to wszystko, co mógł jej zaofiarować, a prócz tego nie chciał zrażać do siebie najlepszej przyjaciółki panny Watson.

Pożegnali się z innymi i Gregory znów podał ramię Lucindzie. W milczeniu podeszli do drzwi.

- Trafi pani?



- Oczywiście - odparła, lecz potem spojrzała na niego pytająco. Oczy, jak mimochodem zauważył, miała niebieskie. - Czy mam coś powtórzyć Hermionie?

- Dlaczego pani proponuje coś takiego? - spytał zaskoczony, nim zdołał ugryźć się w język.

- Jest pan mniejszym złem. - Wzruszyła ramionami.

Czekał na jakieś wyjaśnienie, bo pytać przecież nie mógł - znajomość z nią była zbyt przelotna. Wreszcie wyjąkał:

- Proszę jej przekazać moje pozdrowienia, tylko tyle.

- Nic więcej?

Do licha, jak ona na niego patrzy!

- Nic.

Drgnęła ledwo dostrzegalnie. I poszła sobie. Gregory gapił się przez chwilę na drzwi, w których zniknęła, a później powrócił na przyjęcie. Większość gości tańczyła, lecz mimo że najwyraźniej dobrze się bawili, nastrój wydał mu się nagle wymuszony. Wciąż był głodny, więc pochłonał ponad dwadzieścia kanapek. Potem poszedł spać.

Wszystko wyklaruje się rankiem.

Lucy dobrze wiedziała, że Hermiony nie boli głowa. Nie zdziwiła się wcale, gdy ją zastała siedzącą na łóżku i zagłębioną w lekturze czegoś, co wyglądało na czterostronicowy list.

- Lokaj mi go przyniósł - odezwała się przyjaciółka, nie patrząc nawet na nią. - Mówił, że przyszedł z dzisiejszą pocztą, ale zapomnieli go wręczyć wcześniej.

- Pewnie od Edmondsa? - Lucy westchnęła. Hermiona skinęła głową.

Lucy siadła w fotelu przy toaletce. Nie był to pierwszy list od Edmondsa. Wiedziała z doświadczenia, że Hermiona musi przeczytać go dwukrotnie. Potem jeszcze po raz trzeci, żeby się nad nim zastanowić. I wreszcie kolejny raz, czwarty, by szukać ukrytych znaczeń w pozdrowieniach i zakończeniu.

Przez następne pięć minut Lucy przyglądała się w milczeniu swoim paznokciom. Nie była wyjątkowo cierpliwą osobą, ale wiedziała, że nic, co zrobi lub powie, nie oderwie Hermiony od lektury. Po prostu nie warto tracić energii na wciąganie przyjaciółki do rozmowy, skoro ta nie widziała świata poza listem.

Paznokciami nie sposób jednak zajmować się zbyt długo, zwłaszcza gdy są starannie utrzymane i czyste. Lucy wstała zatem, podeszła do szafy i przyjrzała się w roztargnieniu jej zawartości.

- Och, do licha - mruknęła. - Jak ja tego nie cierpię! - Służąca niestarannie ustawiła jej buty, zamieniając lewy i prawy miejscami. Choć Lucy wiedziała, że nie stało się w gruncie rzeczy nic złego, raziło to niemile jej zmysł porządku. Przeszawiła więc pantofle. Następnie się cofnęła, podziwiając swoje dzieło, a w końcu wzięła się pod boki i odwróciła.

- Skończyłaś wreszcie?

- Prawie - odparła Hermiona w taki sposób, jakby tylko na to czekała, chcąc wywieść Lucy w pole. Zdarzyło się tak wcześniej mnóstwo razy. Zirytowana Lucy siadła ponownie w fotelu.

Dokładnie wiedziała, ile listów od zakochanego Edmonda dostała Hermiona, choć chętnie zrezygnowałyby z tej wiedzy. Gniewało ją też, że poświęca tej kwestii tyle uwagi. W końcu mogłaby myśleć o czymś pożyteczniejszym, jak botanika czy muzyka albo nawet kolejna strona z herbarza Debretta. Na nieszczęście nadejście listu od Edmonda zawsze było wyjątkowym wydarzeniem, a kiedy Hermionie przydarzyło się coś niezwykłego, Lucy siłą rzeczy musiała o tym wiedzieć.

Dzieliły pokój przez trzy lata, ucząc się w szkole panny Moss, a że Lucy nie miała żadnej krewnej, która mogłaby wprowadzić ją w towarzystwo, więc matka Hermiony zgodziła się, by zrobiła to jej córka. Tak więc i teraz stale przebywały razem.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że Edmonds ciągle (rzecz jasna, niematerialnie) im towarzyszył. Lucy widziała go tylko raz, ale odczuwała tę jego nieustanną, wymagowaną obecność jako coś przytłaczającego. Właśnie z jego powodu Hermiona ni stąd, ni zowąd zaczynała boleśnie wzdychać i w zamyśleniu patrzyła gdzieś w dal, jakby układała w duchu sonet miłosny i chciała go zaraz wyrecytować.

- Przecież dobrze wiesz - zaczęła Lucy, chociaż Hermiona jeszcze nie skończyła czytania - że twoi rodzice nigdy ci nie pozwolą wyjść za niego.

To wystarczyło, żeby przyjaciółka odłożyła list, choć oczywiście nie na długo.

- Tak - odparła, zirytowana. - Już mi o tym mówiłaś.

- Jest tylko sekretarzem.

- Wiem.

- Sekretarzem - powtórzyła Lucy, mimo że rozmawiały o tym mnóstwo razy. - Sekretarzem twojego ojca.

Hermiona znów zagłębiła się w lekturze, próbując zignorować Lucy. W końcu dała za wygraną i odłożyła list na dobre, co potwierdziło podejrzenia przyjaciółki, że musiała go przeczytać wcześniej, a teraz robiła to już po raz drugi lub trzeci.

- Edmonds jest dobrym i godnym szacunku człowiekiem - odparła, zaciskając usta.

- Na pewno - zgodziła się Lucy - ale wyjść za niego nie możesz. Twój ojciec jest wicehrabią. Naprawdę sądzisz, że pozwoli córce poślubić sekretarza bez grosza przy duszy?

- Ojciec mnie kocha - wybąkała Hermiona, lecz bez większego przekonania.

- Nie odwodzę cię od małżeństwa z miłości, ale...

- A właśnie, że tak - ucięła przyjaciółka.

- Bynajmniej. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie zakochasz się w kimś, kogo twoi rodzice mogliby zaakceptować.

Śliczne usteczka Hermiony utworzyły jedną wąską linię.

- Niczego nie rozumiesz.

- Co tu jest do rozumienia? Nie sądzisz, że byłoby ci łatwiej, gdybyś pokochała kogoś stosowniejszego?

- Lucy, miłości się nie wybiera. Lucy skrzyżowała ręce na piersiach.

- A właściwie dlaczego nie?

- Lucy Abernathy, niczego nie pojmujesz - odparła Hermiona.

- Już to mówiłaś - stwierdziła przyjaciółka zgryźliwie.

- Jak możesz sądzić, że ktoś wybiera sobie osobę, w której ma się zakochać? - spytała Hermiona. Była wzburzona, ale nie na tyle, żeby zerwać się z łóżka. - Miłość po prostu spada na człowieka. W jednej chwili.

- Nie wierzę - stwierdziła Lucy. A potem dodała jeszcze, nie mogąc się oprzeć: - To nie dzieje się w jednej chwili!

- A jednak - upierała się Hermiona. -I wiem dobrze, bo ze mną właśnie tak się stało! Nie miałam pojęcia, że się zakocham.

- Naprawdę?

- Owszem. - Przyjaciółka spojrzała na nią gniewnie. - Przecież zamierzałam znaleźć sobie męża w Londynie. Kto by się spodziewał, że można kogokolwiek poznać w Fenchley? - dodała z pogardą, na którą stać było wyłącznie kogoś urodzonego w tej miejscowości.

Lucy wzniosła oczy do góry i przechyliła głowę, czekając, aż Hermiona się uspokoi, czego zresztą ona wcale nie doceniła.

- Nie patrz tak na mnie! - syknęła.

- Niby jak?

- W taki sposób!

- Powtarzam: „Jak”?

- Wiesz dobrze, o czym mówię! - Hermiona zrobiła bardzo przykrą minę.

- Doprawdy, wyglądasz teraz całkiem jak twoja matka - pokiwała głową Lucy.

- To bardzo nieładnie z twojej strony - Hermiona była tak dotknięta, że aż się cofnęła.

- Ależ twoja matka jest prześliczna!

- Nie wtedy, kiedy się złości.

- Nawet wtedy - odparła Lucy, usiłując skończyć z tym tematem.

- Powiesz mi w końcu coś o Edmondsie czy nie?

- Żartujesz sobie?!

- Oczywiście, że nie.

Hermiona uniosła brwi z powątpiewaniem.

- Słowo daję, że to nie był żart.

Hermiona nie wyglądała wprawdzie na przekonaną, mimo to ustąpiła.

- W porządku. Ale jeśli znów.

- Hermiono!

- Jak ci mówiłam - tu przyjaciółka rzuciła Lucy ostrzegawcze spojrzenie - nie przypuszczałam, że się zakocham. Nawet nie wiedziałam, że ojciec zatrudnił nowego sekretarza. Po prostu wyszłam do ogrodu, żeby wybrać róże, które miałam ściąć do wazonu. No i wtedy go zobaczyłam.

Hermiona mogłaby śmiało grać na scenie, sądząc z jej dramatycznego tonu.

- Och, moja droga! - Lucy westchnęła.

- Obiecałaś, że nie będziesz się ze mnie natrzęsać - powtórzyła Hermiona, kierując w jej stronę palec gestem tak oskarżycielskim, że Lucy zamilkła.

- Nie widziałam nawet jego twarzy, tylko tył głowy i kędziory nad kołnierzem surduta - westchnęła przyjaciółka z tragiczną miną. - A ten ich kolor... Lucy, czy widziałaś kiedyś jasne włosy o tak niezwykłym odcieniu?

Mężczyźni mówili to samo na temat włosów Hermiony. Lucy tyle razy słyszała już te słowa, że wolała powstrzymać się od komentarzy. Hermiona jednak ani myślała tak zrobić.

- A potem się odwrócił - ciągnęła - i ujrzałam go z profilu. Przysięgłabym ci, że usłyszałam wtedy muzykę.

Lucy miała chęć wtrącić, że budynek konserwatorium stoi bardzo blisko różanego ogrodu Watsonów, ale w porę się powstrzymała.

- A później... - Przyjaciółka znów zrobiła taką minę, jakby układała w myśli sonet - zrozumiałam, że przepadłam. Z kretesem!

- Skądże! - zdumiała się Lucy. - Przecież wszystko z tobą w porządku!

- O Boże, Lucy! Ty chyba nie słuchasz! Chodziło mi o to, że przepadłam dla wszystkich innych mężczyzn, bo nie mogą się z nim równać!

- Z powodu jego karku?

- I profilu! - Hermiona parsknęła z irytacją. - Ale nie o to chodzi!

Lucy czekała cierpliwie na puentę, chociaż wiedziała, że się z nią nie zgodzi ani jej nie zrozumie.

- Cała rzecz w tym - ciągnęła Hermiona tak cicho, że Lucy musiała się przysunąć bliżej, żeby ją słyszeć - że bez niego jestem nieszczęśliwa.

- Ale... - Lucy zdobyła się na odpowiedź dopiero po chwili, gdyż nie wiedziała, co jeszcze można dodać; - Wyglądasz na całkiem szczęśliwą.

- Bo wiem, że on na mnie czeka. Tylko dlatego. No i - wskazała na list - pisze, że mnie kocha.

- Och, jej - mruknęła Lucy do siebie. Hermiona musiała ją jednak dosłyszeć i jeszcze mocniej zacisnęła usta. Siedziały tak przez całą minutę, aż wreszcie Lucy odkaszlnęła.

- Pan Bridgerton jest dosyć miły. I wydaje się tobą zainteresowany.

Hermiona wzruszyła ramionami.

- To tylko młodszy syn, ale względnie zamożny, jak mi się zdaje. No i na pewno z dobrej rodziny.

- Och Lucy, nie zależy mi na nim!

- Jest całkiem przystojny - powiedziała Lucy nieco dobitniej, niż zamierzała.

- No to go sobie weź.

- Przecież wiesz - Lucy spojrzała na nią zaskoczona - że nie mogę. Jestem praktycznie zaręczona z Haselbym.

- Praktycznie.



- Właściwie już niemal oficjalnie - stwierdziła Lucy. Mówiła prawdę. Stryj omówił wszystko z hrabią Davenportem, ojcem Haselby'ego, dużo wcześniej. Ale ponieważ Haselby był jednak o całe dziesięć lat starszy od Lucy, po prostu czekano, żeby dorosła.

Co, jak uważała, nastąpiło. Z pewnością ślub odbędzie się wkrótce. A małżeństwo zapowiadało się wcale korzystnie. Haselby był miły. Nie odnosił się do niej jak do idiotki, dobrze traktował zwierzęta i wyglądał zupełnie możliwie, choć włosy zaczęły mu się przerzedzać. Lucy widziała wprawdzie swego przyszłego męża zaledwie trzy razy, lecz pierwsze wrażenie zawsze bywa czymś ważnym i zwykle jest trafne.

Poza tym stryj został jej opiekunem po śmierci ojca, przed dziesięciu laty, i jeśli nawet nie okazywał ani jej, ani Richardowi specjalnego uczucia, to wywiązywał się ze swoich obowiązków, jak należy. Lucy zaś wiedziała, że jej obowiązkiem jest z kolei spełniać jego życzenia i podporządkować się jego woli, w tym także zaręczynom, o których sam zdecydował. Miała wyjść za Haselby'ego i już. Wszyscy o tym wiedzieli.

- To tylko wymówka! - palnęła Hermiona.

- Coś ty powiedziała? - Lucy aż zeszywniała.

- Haselby jest tylko wymówką - powtórzyła hardo przyjaciółka, co Lucy wcale się nie spodobało. - Nie dopuszczasz do siebie myśli, że mogłabyś się zakochać w kimś innym.

- A niby w kim? Przecież sezon jeszcze się nawet nie zaczął.

- Prawda, ale wszak bywałyśmy tu i ówdzie, żeby „nabrać poloru”, jak lubi mawiać moja mama. Nie żyjesz na pustyni, Lucy. Spotkałaś sporo mężczyzn.

Nie miało sensu mówić, że wszyscy oni interesowali się wyłącznie Hermioną. Przyjaciółka pewnie próbowałaby temu przeczyć, lecz obydwie wiedziałyby wtedy, że kłamie, nie chcąc ranić jej uczuć. Lucy mruknęła więc tylko coś pod nosem, udając, że się zgadza.

Hermiona milczała, patrzyła jedynie na nią przewrotnie, czego nigdy nie robiła wobec innych. W końcu Lucy poczuła, że musi powiedzieć coś na swoją obronę.

- To nie wymówka, przecież byłaby bez sensu. Wiesz, że muszę za niego wyjść. Dawno o tym postanowiono. Haselby jest niezłą partią. Zresztą po tym, co spotkało Georgianę Whiton, powinnam właściwie całować stryja po rękach za to, że wybrał mi takiego narzeczonego.

Obydwie zamilkły ze zgrozą. Gdyby były katoliczkami, pewnie by się też i przeżegnały.

- Istotnie - wykrztusiła w końcu Hermiona. Lucy skinęła powoli głową.

Georgianę wydano za dychawicznego, siedemdziesięcioletniego podagryka. A nie był to nawet utytułowany siedemdziesięcioletni podagryk! Lucy nie musiała ponosić takiej ofiary w zamian za satysfakcję dodawania słowa „lady” przed swoim nazwiskiem.

- Widzisz więc, że Haselby nie jest znów taki zły. Lepszy niż większość innych.

Hermiona spojrzała na nią uważnie.

- Jeśli naprawdę tak sądzisz, zgadzam się z tobą bez zastrzeżeń, lecz ja... - Tu westchnęła, a w jej zielonych oczach pojawiło się rozmarzenie, na widok którego mężczyźni niemal mdleli. - Ja pragnęłabym czegoś innego.

- Wiem - Lucy próbowała się uśmiechnąć, ale nie miała pojęcia, w jaki sposób Hermiona chciałaby urzeczywistnić swoje marzenia. Obydwie żyły w świecie, gdzie córki wicehrabiów nie wychodzą za sekretarzy. Zdaniem Lucy byłoby rozsądniejsze - no i łatwiejsze - gdyby rojenia Hermiony bardziej się naginały do tych realiów.

Poczuła znużenie, chciała iść spać. Zabierze się do urabiania Hermiony rankiem. Zacznie od przystojnego pana Bridgertona. Byłby dla niej idealny. No i wyraźnie się nią interesował. Nie wątpiła, że Hermiona w końcu da się przekonać.

## Rozdział 3

*w którym nasz bohater stara się z całych sił.*

**R**anek następnego dnia był pogodny, i świeży. Gregory jadł właśnie śniadanie, bratowa podeszła do niego, lekko uśmiechnięta, najwyraźniej z jakimś zamiarem.

- Dzień dobry - powiedziała serdecznie.

Gregory w odpowiedzi kiwnął głową, nakładając sobie jajka na talerz.

- Myślę, że przy tak pięknej pogodzie można będzie się wybrać do miasteczka.

- Żeby kupić wstążki i inne ozdoby?

- Właśnie. Uważam, że należy wspierać miejscowych sklepikarzy.

- Oczywiście - mruknął. - Chociaż ostatnio jakoś nie narzekam na brak ozdób.

Kate udała, że nie zauważyła jego sarkazmu.

- Młode damy, które zaprosiłam, mają trochę oszczędności, a nie mogą ich nigdzie wydać. Jeśli ich nie wyślę do miasteczka, gotowe zacząć grę o pieniądze w różowym salonie.

Ciekawe, jakby to wyglądało, pomyślał sobie.

- No, a... - ciągnęła Kate - jeśli wyślę je tam, to pod czyjąś eskortą.

A gdy Gregory nie odpowiedział dość szybko, powtórzyła:

- Z eskortą. Gregory odkaslnął.

- Czy to ma znaczyć, że zamierzasz mnie prosić, żebym się przespacerował dziś po południu do miasteczka?

- Dziś rano - uściśliła. - Przy czym zamierzam łączyć wszystkich w pary, a że ty jesteś Bridgertonem i prócz tego dżentelmenem w każdym calu, myślałam, że można cię spytać, czybyś przypadkiem nie chciał znaleźć się z kimś w parze.

Kate uwielbiała swatać znajomych, ale w tym przypadku Gregory uznał, że winien jej za to wdzięczność.

- No, istotnie - zaczął - jest ktoś...

- Znakomicie! - przerwała mu, klasnąwszy w dłonie. - Lucy Abernathy!

- Lucy Aber... Lucy Abernathy? - powtórzył, oszołomiony. - Panna Lucinda?

- Owszem, wczoraj stwierdziłam, że świetnie do siebie pasujecie, a muszę ci powiedzieć, że ogromnie ją lubię. Mówi wprawdzie, że jest praktycznie zaręczona, ale moim zdaniem...

- Nie interesuję się panną Lucindą - uciął, uznając, że czekanie, aż Kate ponownie nabierze tchu, byłoby zbyt niebezpieczne.

- Nie?

- Nie! Ja... - nachylił się ku niej konfidencjonalnie, chociaż byli w pokoju śniadaniowym tylko we dwoje. Wydawałoby mu się jednak dziwne, a nawet trochę żenujące, by jego słowa miały zostać powiedziane głośno - wolałbym znaleźć się w parze z Hermioną Watson.

- Doprawdy? - Kate nie wyglądała może na rozczarowaną, ale na pewno na nieco zrezygnowaną. Całkiem jakby to już wcześniej słyszała. W dodatku kilka razy. Do diaska!

- Tak - odparł i poczuł, że rośnie w nim rozdrażnienie. Przede wszystkim na Kate, chociaż miała rację. Skoro zakochał się beznadziejnie, nie mogła powiedzieć nic prócz „doprawdy”. Nagle zdał sobie sprawę, że przez cały ranek był jakiś nieswój. Nie spał dobrze tej nocy, bo myślał bez przerwy o Hermionie, o wygiętej linii jej szyi, o zielonych oczach, o miękkim, melodyjnym głosie. Nigdy jeszcze żadna kobieta nie zrobiła na nim takiego wrażenia. A chociaż

ulżyło mu w jakiś sposób, gdyż wreszcie spotkał kobietę, którą zamierzał uczynić swoją żoną, wytrącało go z równowagi to, że ona nie zainteresowała się nim w ten sam sposób.

Niegdyś marzył o takiej właśnie chwili. Gdy rozmyślał o tej jednej jedynej, rysowała mu się w wyobraźni dosyć mgliście - bez imienia, bez twarzy - lecz zawsze podzielała jego wielkie uczucie. No i na pewno nie kazała mu tańczyć ze swoją najlepszą przyjaciółką.

- A, więc chodzi o Hermionę Watson. - Kate przy tych słowach odetchnęła głęboko, w sposób, w jaki kobiety zamierzają dać komuś do zrozumienia coś, czego ów ktoś nie mógłby pojąć, nawet gdyby powiedziano mu to zupełnie wprost. Chociaż, oczywiście, kobiety przenigdy nie mówią niczego wprost.

Chodziło o Hermionę Watson. Dokładnie. Może nawet coś wydarzy się tego ranka.

- Czy w tym miasteczku jest coś do kupienia poza wstążkami? - spytała Hermiona, gdy obie naciągały rękawiczki.

- Myślę, że tak. Wysyłają nas tam przecież za każdym razem. Mogłabym już tymi wstążeczkami przyozdobić cały dom. A przynajmniej małą chatkę krytą strzechą.

- Chętnie dołożyłabym swoje i razem udekorowałybyśmy może... - Hermiona urwała, a po chwili dodała z uśmiechem - ..dużą chatę krytą strzechą!

Lucy się rozpromieniła. Hermiona miała wiele zalet, między innymi była lojalna. Choć nikt o tym nie wiedział. Wszystkich interesowała wyłącznie jej ładna buzia! Co prawda Hermiona rzadko

dawała wielbicielom okazję do przekonania się, ile jest warta. Nie była wprawdzie zamknięta w sobie, lecz również nie tak otwarta jak Lucy. Można by ją raczej uznać za pełną rezerwy. Nie lubiła dzielić się myślami z nieznanymi sobie ludźmi.

Co doprowadzało mężczyzn do szaleństwa.

Lucy wyjrzała przez okno, gdy obie weszły do jednego z licznych salonów Aubrey Hall. Lady Bridgerton prosiła, by pojawiły się tam punktualnie o jedenastej.

- No, przynajmniej nie zanoszą się na deszcz - uznała. Ostatnim razem, gdy wysłano je po te głupie wstążeczki, siąpiło przez całą drogę powrotną. Drzewa uchroniły je wprawdzie od przemoknięcia, ale pantofle całkiem się zniszczyły, a ona kichała potem przez tydzień.

- Dzień dobry paniom!

Lady Bridgerton wślizgnęła się do pokoju niepostrzeżenie, jak zwykle zresztą. Ciemne włosy rozdzielał idealnie równy przedziałek, a w oczach skrzyła się inteligencja.

- Miło mi was obydwie widzieć, chociaż przyszłyście ostatnie.

- Naprawdę? - przeraziła się Lucy, która nienawidziła spóźnień. - Przepraszamy. Mówiła pani przecież: „punkt jedenasta”!

- Ach, nie miałam zamiaru was urazić. Powiedziałam tak, bo chciałam wysłać stąd wszystkich parami.

- Parami? - powtórzyła Hermiona.

- Owszem. Czy nie sądzicie, że tak będzie ciekawiej? Miałam do dyspozycji osiem dam i ośmiu panów. Gdybym puściła wszystkich razem, nie można by było prowadzić konwersacji, jak należy, nie

mówiąc już o tym, że tyle osób naraz nie zmieściłoby się na ścieżce!  
Gdyby ktoś na kogoś ciągle wpadał, przyląby cała przyjemność ze spaceru!

W grupie jest chyba bezpieczniej, pomyślała Lucy, lecz zachowała to dla siebie. Lady Bridgerton najwyraźniej coś sobie zaplanowała, a Lucy była ciekawa, co z tego wyniknie.

- Panno Watson, pójdzie pani w parze z moim szwagrem. Zdaje się, że poznała go pani wczoraj?

Hermiona uprzejmie potwierdziła.

Lucy uśmiechnęła się do siebie w duchu. Bridgerton będzie miał sporo roboty tego rana. Dobrze pomyślane.

- A panna Lucinda - ciągnęła Kate - będzie eskortowana przez pana Berbrooke'a. - Uśmiechnęła się niepewnie, jakby chcąc przeprosić. - To prawie nasz krewny - dodała - ach, no i bardzo zacy człowiek.

- Prawie krewny? - spytała Lucy, nie wiedziała, jak powinna zareagować na słowa lady Bridgerton, wypowiedziane z cieniem wahania.

- Tak. Bratowa mojego męża wyszła za jego brata.

- Och - Lucy udało się ukryć zaskoczenie. - W takim razie zna go pani... nieźle?

Lady Bridgerton wybuchnęła śmiechem.

- Ach, jakże ja panią lubię, Lucindo! A co do Neville'a... No cóż, jestem pewna, że będzie się pani dobrze bawić w jego towarzystwie. A oto i on. Neville! Neville!



Lucy patrzyła, jak Kate wita się z Neville'em Berbrookiem przy drzwiach. Oczywiście, przedstawiono go jej wcześniej, jak zwykle w takich przypadkach, ale jeszcze z nim nie rozmawiała. Znali się tylko z widzenia. Wyglądał na miłego, pogodnego młodzieńca. Miał zdrową, rumianą cerę i jasną, rozwichrzoną czuprynę.

- Witam, lady Bridgerton - zaczął, potykając się o nogę od stołu.  
- Dzisiejsze śniadanie było po prostu fantastyczne, zwłaszcza wędzone śledziki!

- Dziękuję - odparła Kate nieco nerwowo, bo chińska waza na stole zachybotła się niebezpiecznie. - Pewnie przypomina pan sobie pannę Lucindę?

Wymienili uprzejmie powitania, a potem Berbrooke spytał:

- Lubi pani wędzone śledziki?

Lucy spojrzała najpierw na Hermionę, potem na Kate, lecz obie były równie skonsternowane jak ona, wybąkała więc tylko:

- Ee... owszem...

- Znakomicie! - ucieszył się. - Czy to nie czubata rybitwa? Tam za oknem.

Lucy zamrugła, zaskoczona. Znów spojrzała na Kate, ale ta wolała patrzeć gdzie indziej.

- Rybitwa, mówi pan? - powiedziała wreszcie, nie mogąc się zdobyć na żadną inną odpowiedź. Berbrooke zbliżył się do okna, ona zatem również przez nie wyjrzała. Nie dostrzegła żadnego ptaka.

Kątem oka zauważyła, że Bridgerton wszedł do pokoju i robił, co tylko mógł, by oczarować Hermionę. Jaki miły miał uśmiech!

Białe, równe zęby, a prócz tego co za żywa mimika, całkiem inna niż u znużonych arystokratów, których Lucy dotąd spotykała. Bridgerton uśmiechał się najzupełniej szczerze.

Oczywiście do Hermiony, bo przecież zakochał się w niej po uszy.

Lucy nie słyszała, o czym rozmawiają, lecz łatwo rozpoznała wyraz twarzy Hermiony - rzecz jasna uprzejmy, bo Hermiona nigdy nie była nieuprzejma. Nikt jednak prócz Lucy, która dobrze ją znała, nie wiedział, że Hermiona co najwyżej toleruje względy Bridgertona - odwzajemniając komplementy skinieniem głowy i miłym uśmiechem - lecz myślami jest gdzieś daleko.

Przy tym przeklętym Edmondsie.

Lucy zacisnęła zęby, usiłując rozglądać się za rybitwami, obojętne, czubatymi czy nie. Edmonds był sympatycznym młodzieńcem, lecz rodzice Hermiony nigdy się nie zgodzą na to małżeństwo. W dodatku przyjaciółka łudziła się, że żyliby sobie szczęśliwie z pensji sekretarza. Lucy była pewna, że gdy tylko minęłoby początkowe zauroczenie, Hermiona znalazłaby się w żałosnej sytuacji.

A przecież mogła wyjść absolutnie za każdego. I trafić lepiej - zamiast zaś wieść życie kury domowej, królować wśród socjety. Gdyby tylko chciała.

Lucy skinęła głową na powitanie Bridgertonowi, słuchając niezbyt uważnie Berbrooke'a, który znów plótł coś o wędzonych śledzikach. Bridgerton nadawał się idealnie! Nie miał wprawdzie

tytułu, lecz Lucy nie uważała, by Hermiona bezwzględnie musiała poślubić kogoś wysoko urodzonego. Na miłość boską, wystarczy, jeśli nie wyjdzie za sekretarza!

Poza tym Bridgerton był wyjątkowo przystojny z tymi swoimi ciemnymi włosami i ładnymi, orzechowymi oczami. A jego rodzina wydawała się najzupełniej rozumna i miła, co - zdaniem Lucy - było kolejnym atutem. Kiedy wychodzisz za kogoś, poślubiasz także jego rodzinę.

Nie mogła sobie wyobrazić lepszego męża dla Hermiony. Co prawda wołałaby oczywiście, żeby na przykład nosił tytuł markiza, ale nie można przecież mieć wszystkiego. A co najważniejsze, była całkowicie pewna, że Bridgerton uszczęśliwiłby Hermionę, nawet gdyby ona sama nie zdawała sobie z tego sprawy.

- O, tak... - mruknęła do siebie.

- Dostrzegła pani może tego ptaka? - spytał Berbrooke.

- Owszem, tam - wskazała na jedno z drzew. Zwrócił głowę w tym kierunku.

- Naprawdę?

- Och, Lucy! - Usłyszała głos Hermiony. - Czy możemy zaczynać? Pan Bridgerton chciałby już wychodzić.

- Do usług, panno Watson - powiedział Bridgerton. -

Wyruszmy zgodnie z pani życzeniem.

Hermiona rzuciła Lucy spojrzenie, które jasno mówiło, że to właśnie ona chce wyjść. Nie było innej rady. Lucy odrzekła: „No, to

chodźmy", podała Berbrooke'owi ramię i pozwoliła się wyprowadzić na podjazd.

Udało jej się ani razu nie jęknąć, mimo że aż trzykrotnie uderzyła się boleśnie w duży palec u nogi. Berbrooke jakby umyślnie naprowadzał ją prosto na każdy korzeń i kamień. Uff! Do licha! Przygotowywała się już w duchu na kolejne potknięcie. Doprawdy, co za przykry początek spaceru. Jedyna pociecha w tym, że po powrocie Hermiona powinna być przynajmniej trochę zaintrygowana Bridgertonem.

Jeśli Gregory miał jakieś wątpliwości co do tego, że on i panna Watson tworzą połówki jednej całości, to znikły one, gdy tylko podał jej ramię. Pasowali do siebie wprost idealnie.

Pragnął jej.

Dziwne, ale nie mógłby nazwać tego stanu pożądaniem. Nie odczuwał też czegoś tak plebejskiego, jak fizyczne podniecenie. To było coś innego, głębszego. Pragnął, aby należała do niego. Chciał patrzeć na nią w przekonaniu, że będzie nosiła jego nazwisko, rodziła mu dzieci i co rano spoglądała na niego rozkochanym wzrokiem z nad filiżanki czekolady.

Chciałby jej o tym powiedzieć, dzielić jej marzenia, snuć historie o ich wspólnym życiu. Nie był jednak głupcem. Prowadząc ją po ścieżce, stwierdził tylko:

- Wygląda pani dziś wyjątkowo ładnie.
- Dziękuję - odparła. I nic więcej. Odkaszlnęła.
- Dobrze pani spała?

- Tak, dziękuję.
- Podoba się pani tutaj?
- Tak, dziękuję.

Dziwne. Zawsze uważał, że rozmowa z kobietą, którą będzie chciał poślubić, okaże się łatwiejsza. Nagle przypomniał sobie, że zawrócił jej w głowie ktoś inny. Ktoś nieodpowiedni, o czym świadczyły wczorajsze słowa panny Lucindy. Jakże ona go nazwała? Mniejszym złem?

Spojrzał. Właśnie się o coś potknęła, uwieszona u ramienia Berbrooke'a, który nigdy nie potrafił dostosować się do kroku towarzyszącej mu damy. Jakoś z tego wybrnęła, choć wyrwał się jej stłumiony okrzyk bólu.

Pokiwał głową. Tylko w myśli, rzecz jasna. Pewnie znów jakiś ptak! Czyż Neville nie mówił, że widział go przez okno?

- Od jak dawna zna pani pannę Abernathy? - spytał Hermionę. Znał odpowiedź, usłyszał ją przecież wczoraj wieczorem od samej Lucindy, lecz nie zdołał wymyślić żadnego innego pytania, na które nie można by odpowiedzieć: „Tak, dziękuję” lub „Nie, dziękuję”.

- Od trzech lat. Jest moją najlepszą przyjaciółką - powiedziała Hermiona z pewnym ożywieniem. - Powinniśmy się z nimi zrównać - dodała.

- Z panem Berbrooke'em i panną Abernathy?
- Tak! - odparła stanowczo.

Nie miał najmniejszej ochoty tracić bezcennych chwil sam na sam z panną Watson, lecz posłusznie poprosił Berbrooke'a, żeby

przystanął. Ten zaś zrobił to tak nagle, że Lucinda dosłownie wpadła na niego. Krzyknęła lekko z przestachu, ale najwyraźniej nic się jej nie stało.

Panna Watson skorzystała jednak z tego, by wyswobodzić się z uścisku Gregory'ego i podbiegła do niej.

- Lucy! - zawołała. - Och, moja droga, czy zrobiłaś sobie coś złego?

- Ależ skąd - odrzekła Lucinda lekko zmieszana tym wybuchem troskliwości.

- Muszę ją wziąć pod rękę - oświadczyła Hermiona i natychmiast to zrobiła.

- Musisz? - powtórzyła Lucinda, okręcając się wokół własnej osi, a raczej usiłując tego dokonać. - Ależ nie trzeba!

- Koniecznie!

- Nie trzeba! - powtórzyła przyjaciółka, a Gregory chętnie by w tej chwili zobaczył jej minę, bo zabrzmiało to, jakby zgrzytnęła zębami.

- He, he, może ciebie mam teraz wziąć pod ramię, co, Bridgerton? - usłyszał głos Berbrooke'a.

Sporunował go wzrokiem.

- Nie!

- Przecież tylko żartowałem - zdumiał się Neville.

Gregory zdusił w sobie głośne westchnienie i zdołał jakoś wystękać: „Wiem”. Znał Berbrooke'a od małego i zazwyczaj

traktował go bardziej wyrozumiale, lecz teraz chętnie dałby mu kuksańca.

Obydwie panny szeptały chwilę między sobą tak cicho, że Gregory niczego nie słyszał. Niekoniecznie zresztą tego chciał, bo najwyraźniej było to coś żenująco kobiecego. Panna Lucinda nadal trzymała się kurczowo przyjaciółki, a panna Watson nie zamierzała jej puścić.

- Potłukła się - powiedziała wreszcie, odwracając ku nim głowę, i zatrzepotała rzęsami.

Czyżby zamierzała flirtować? Akurat w takiej chwili?

- Ależ nie! - odparła z uporem Lucy. - Nic mi nie dolega - powtórzyła, patrząc ku nim. - Absolutnie nic. Możemy iść dalej.

Gregory sam nie wiedział, czy go bawi, czy gniewa ta komedia. Panna Watson najwyraźniej nie życzyła sobie jego eskorty, a choć wielu mężczyzn lubi walczyć o to, co nieosiągalne, on zawsze wołał, by jego wybranka była mu życzliwa, przychylna i chętna.

Widział teraz przed sobą tylko jej kark. Co właściwie tak mu się w nim podoba? Czuł, że znów go ogarnia szaleńcza miłość, jak wczoraj. Nie powinien upadać na duchu. Przecież zna ją ledwie niecałą dobę! Po prostu trzeba jej trochę czasu, żeby się na nim poznała. Miłość nie na każdego spada niespodziewanie. Na przykład jego brat, Colin, znał swą obecną żonę przez całe lata, nim zrozumiał, że są dla siebie stworzeni. Gregory co prawda nie zamierzał czekać latami, lecz te myśli pozwoliły mu ujrzeć wszystko w lepszym świetle.

Po chwili stało się jednak jasne, że panna Watson nie jest mu przychylna. Obydwie z Lucindą nadal szły w jednej parze. Gregory znajdował się o krok za Hermioną, a Berbrooke nieco bliżej Lucindy.

- Musi pan nam opowiedzieć, jak się żyje w licznej rodzinie - powiedziała do niego Lucinda, odwracając się do tyłu. - Hermiona i ja mamy tylko po jednym bracie.

- A ja trzech! - oznajmił Berbrooke. - Nie licząc sióstr, rzecz jasna!

Gregory miał stwierdzić, jak zwykle, że ma mnóstwo rodzeństwa i więcej mu to sprawia kłopotu niż pożytku, ale nieoczekiwanie powiedział coś o wiele prawdziwszego.

- W gruncie rzeczy uważam, że to bardzo krzepiące.

- Krzepiące? - powtórzyła Lucinda jak echo. - Co za intrygujący dobór słowa!

Widział, że spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Tak - odparł po chwili, gdy odpowiedź już mu się dostatecznie wyklarowała w myśli. - Dobrze jest wiedzieć, że ma się bliskich.

- Co pan przez to rozumie? - spytała Lucy, najwyraźniej ze szczerym zainteresowaniem.

- Wiem, że w razie jakiegoś kłopotu zawsze mogę się do nich zwrócić. Choćby po to, żeby z kimś szczerze porozmawiać.

I była to prawda. Nawet jeśli nikomu tego nie mówił, to naprawdę tak myślał. Starsi bracia nie byli mu aż tak bliscy, jak sobie nawzajem, lecz wynikało to po prostu z różnicy wieku. Kiedy



zakładali własne rodziny, on dopiero studiował w Eton. A teraz wszyscy trzej mieli żony i dzieci.

Wiedział jednak, że w razie potrzeby może na nich liczyć. A także na siostry. Wystarczyło poprosić.

Oczywiście nigdy się do tego nie uciekł. Ani w poważnej sprawie, ani błahej. Wiedział wszakże, że ma taką możliwość, a mnóstwo innych ludzi wcale jej nie ma.

Panna Lucinda spojrzała na niego pytająco.

- Przepraszam - mruknął - chyba się zagapiłem. - Uśmiechnął się do niej, a potem zerknął ku panie Watson. Zaskoczyło go, że i ona mu się przyglądała ogromnymi oczami o zdumiewającym odcieniu zieleni. Przez chwilę zdawał się go z nią łączyć wręcz elektryzujący kontakt. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem, jakby ją na czymś przyłapano, a później spojrzała gdzie indziej.

Serce mu załomotało.

Wtedy znów odezwała się Lucinda:

- Zupełnie to samo czuję względem Hermiony. Całkiem jakby była moją siostrą.

- Panna Watson to z pewnością wyjątkowa osoba - potwierdził, a następnie dodał: - Pani oczywiście też.

- Jest doskonałą malarką - oznajmiła Lucinda. Hermiona się zarumieniła, z czym było jej bardzo do twarzy.

- Ależ Lucy...

- Przecież to prawda.

- Sam też lubię malować - wtrącił jowialnie Neville. - Zawsze niszcze sobie wtedy koszulę.

Gregory spojrział na niego zaskoczony. Całkiem zapomniał o jego istnieniu.

- Lokaj ma potem pełne ręce roboty - ciągnął Berbrooke. - Nie rozumiem, dlaczego nie robi się farb, które można łatwo sprać z bielizny! - Urwał, ale najwyraźniej tylko po to, żeby nabrać tchu. - Albo z wełny.

- A czy pan lubi malować? - spytała Gregory'ego Lucinda.

- Nie mam talentu - przyznał. - Za to mój brat jest uznanym artystą. Dwa z jego obrazów wiszą w National Gallery.

- Ależ to wspaniałe! - wykrzyknęła. - Słyszałaś, Hermiono? Musisz poprosić pana Bridgertona, żeby cię przedstawił bratu.

- Nie chciałabym sprawiać kłopotu - odparła skromnie panna Watson.

- Nie będzie z tym żadnego kłopotu, wręcz przeciwnie. - Gregory uśmiechnął się przy tych słowach. - Benedict uwielbia gawędzić o sztuce. Rzadko jednak mogę za nim nadążyć w takiej rozmowie.

- A wiesz - Lucy poklepała Hermionę po ramieniu - że masz dużo wspólnego z panem Bridgertonem?

Nawet Gregory'emu wydało się to zbyt śmiałe. Nie odzywał się przezornie.

- Aksamit! - oznajmił nagle Neville. Trzy twarze zwróciły się ku niemu.

- Przepraszam... co? - wyszeptała Lucinda.

- Najgorzej jest z aksamitem! - Neville gwałtownie pokręcił głową. - To znaczy, trudno oczyścić go z plam.

Gregory widział tylko kark panny Abernathy, lecz mógł sobie doskonale wyobrazić, jak zamrugła z zaskoczenia, pytając:

- Maluje pan w aksamitnym ubraniu?

- Jeśli jest zimno.

- Doprawdy... nadzwyczajne. Neville się rozpromienił.

- Myśli pani? Zawsze chciałem być nadzwyczajny!

- No i jest pan - zapewniła go, zdaniem Gregory'ego całkiem szczerze. - Z pewnością!

Neville był wprost zachwycony.

- Nadzwyczajny, a to dobre! Nadzwyczajny! - Znow się uśmiechnął, powtarzając, jakby dla wprawy:

- Nad-zwy-czaj-ny!

Wszyscy czworo szli potem ku miasteczku w przyjacielskim milczeniu. Gregory przerywał je niekiedy, uparcie próbując wciągnąć do rozmowy pannę Watson. Czasami mu się to udawało, lecz częściej zdanie kończyła za nią Lucinda. Neville zaś gadał i gadał bez przerwy, głównie do siebie o swej niespodziewanie odkrytej nadzwyczajności.

Wreszcie dojrzeli znane im dobrze domy miasteczka. Neville oznajmił, że jest głodny, Gregory zaprosił więc wszystkich do gospody

Pod Białym Jeleniem, gdzie podawano proste, ale smakowite jedzenie.

- Moglibyśmy urządzić piknik - powiedziała Lucinda. - Czyż nie byłoby to wspaniałe?

- Świetny pomysł! - wykrzyknął Neville, spoglądając na nią z zachwytem. Gregory był nieco zaskoczony jego ferworem, lecz Lucinda udawała, że go nie zauważa.

- Co pani o tym myśli, panno Watson? - spytał Hermionę. Ta jednak wydawała się całkowicie pogrążona w myślach, mimo że wzrok miała wbity w malowidło na ścianie.

- Panno Watson... - powtórzył i wreszcie drgnęła. - Nie interesuje pani piknik?

- Och, jak najbardziej - odparła i znów wpatrzyła się w przestrzeń. Jej idealnie wykrojone wargi się rozchyliły i usta nabrały tęsknego wyrazu.

Gregory zdołał jakoś ukryć rozczarowanie i zajął się przygotowaniami do pikniku. Oberżysta, który dobrze znał jego rodzinę, dał im dwa czyste obrusy i obiecał koszyk z żywnością.

- Świetnie pan sobie radzi - pochwaliła go Lucinda. - Nie uważasz, Hermiono?

- Ach tak, oczywiście.

- Mam nadzieję, że będzie ciasto - rozmarzył się Neville, otwierając drzwi przed paniami. - Mógłbym na okrągło jeść ciasto!

Gregory ujął Hermionę pod ramię, nim zdążyła się uchylić.

- Prosiłem o rozmaity prowiant - oznajmił. - Mam nadzieję, że coś przypadnie pani do gustu.

Spojrzała na niego i znów poczuł, że mógłby zatonać w jej oczach. Pomyślał, że ona powinna czuć to samo. Przecież musiała! Jakże mogło być inaczej, skoro pod nim niemal ugięły się nogi?

- Z pewnością - odparła.

- Lubi pani ciasto?

- Lubię - przyznała.

- Bardzo mnie to cieszy. Pan Gladdish obiecał nam placek z agrestem. Jego żona słynie z niego w całej okolicy.

- Placek? - ożywił się Neville. - Mówiłeś coś o placku, Bridgerton?

- Chyba tak - odpowiedziała Lucinda. Neville aż jęknął z zachwytem.

- A czy pani lubi ciasto?

- Jakże, panie Berbrooke? - spytała Lucinda tonem lekko przygnębionym.

- Och, każde! Z owocami. Albo z mięsem.

- Hm... - Odchrząknęła i spojrzała przed siebie, jakby domy i drzewa mogły jej podsunąć odpowiedź. -Ja... ee... chyba lubię... różne ciasta.

W tejże chwili Gregory zyskał pewność, że Neville się zakochał. Biedna panna Lucinda.

Skierowali się ku łące, gdzie Gregory rozłożył obrusy. Lucinda z właściwą sobie bystrością usiadła na nich pierwsza, a potem zachęciła gestem Berbrooke'a do zajęcia miejsca obok niej, tak by Gregory oraz Hermiona mogli znaleźć się razem na drugim.

Żeby mógł zdobyć serce jej przyjaciółki.

## Rozdział 4

*w którym nasza bohaterka daje pewną radę, nasz bohater ją przyjmuje, a wszyscy jedzą zbyt dużo ciasta.*

**Z**abierał się do tego w niewłaściwy sposób.

Lucinda spojrzała na Gregory'ego, usiłując nie marszczyć brwi. Bridgerton dzielnie starał się zdobyć względy Hermiony i musiała przyznać, że w normalnych okolicznościach - gdyby chodziło o jakąś inną dziewczynę - poszłoby mu łatwo. Wiele z jej szkolnych koleżanek, może nawet każda z nich, zakochałoby się w nim na zabój. Ale nie Hermiona.

Starał się za bardzo! Zanadto jej nadskakiwał, zbyttno się nią zajmował... Stanowczo był zakochany po uszy lub przynajmniej przesadnie nią zainteresowany. Mimo że pełen uroku, przystojny

I najwyraźniej inteligentny, nic miał szans, bo dla Hermiony żadna t tych zalet nie była nowością. Lucy nie potrafiłaby zliczyć młodzieńców, którzy usiłowali ją sobie zjednać. Niektórzy z nich byli sprytni, inni tylko naiwni. Przynosili Hermionie kwiaty, słodycze, pisali wiersze. Jeden podarował jej nawet szczeniaka. Ten prezent zresztą natychmiast odrzuciła matka Hermiony, dając nieszczęśnikowi do zrozumienia, że psy ani trochę nie pasują do wytwornych dywanów, chińskiej porcelany, no i do niej samej.

W gruncie rzeczy wszyscy zachowywali się podobnie. Chciwie łowili każde jej słowo, patrzyli na nią niczym na grecką boginię, która

zstąpiła na ziemię, prześcigali się w romantycznych komplementach i nie pojmowali, jak mało są oryginalni.

Jeżeli Bridgerton naprawdę chciał wzbudzić jej zainteresowanie, musiał postępować inaczej.

- Może jeszcze jeden kawałek placka z agrestem, panno Lucindo? - spytał Berbrooke.

- Owszem, proszę - odparła tylko po to, by zajął się krojeniem smakołyku. Ona zaś łamała sobie głowę, co ma począć. Nie chciała, by Hermiona zmarnowała sobie życie, wychodząc za Edmondsa.

Bridgerton nadawał się idealnie na jej męża. Potrzebował tylko trochę pomocy.

- Och, proszę spojrzeć, Hermiona nie ma ciasta! - wykrzyknęła.

- Naprawdę? - zdumiał się Berbrooke.

Lucy zatrzepotała rzesami, patrząc na niego, chociaż nie miała w tym szczególnej wprawy.

- Może pan łaskawie zaproponuje jej kawałek? Gdy skinął głową, wstała.

- Muszę rozprostować nogi - oznajmiła. - Przy okazji przyjrzeć się tym ślicznym kwiatom na skraju łąki. Czy wie pan coś o miejscowej florze? - spytała Bridgertona.

Zaskoczyło go to pytanie.

- Co nieco - odparł, lecz nie ruszył się z miejsca. Hermiona właśnie zapewniała Berbrooke'a, że uwielbia placek z agrestem. Lucy skorzystała więc ze sposobności, rzucając Bridgertonowi wymowne spojrzenie. Oznaczało ono: „Proszę pójść ze mną”.

Przez chwilę nie bardzo rozumiał, o co jej chodzi, ale wstał po chwili.

- Czy mogę z panią porozmawiać o tutejszym pejzażu?

- Już się na to cieszę! - stwierdziła trochę może zbyt entuzjastycznie. Hermiona spojrzała na nią podejrzliwie, Lucy była jednak pewna, że przyjaciółka nie zechce do nich dołączyć. Gdyby to zrobiła, Bridgerton gotów pomyśleć, że życzy sobie jego towarzystwa.

Hermiona pozostała zatem przy Berbrooke'u, trzymając talerzyk z ciastem, co Lucindzie było w gruncie rzeczy obojętne. Dobrze jej tak!

- To chyba stokrotka - opowiadał Bridgerton, kiedy dobrnęli do skraju łąki. - A ta roślina o niebieskich kwiatkach na długich łodygach. .. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak się zwi...

- Ostróżka - wyjaśniła pospiesznie Lucy. - Problem w tym, że nie przyszłam tu rozmawiać z panem o kwiatkach.

- Nie wątpię... hm...

Postanowiła nie zwracać uwagi na jego ton.

- Chciałabym dać panu pewną radę.

- Naprawdę? - spytał przeciągle, choć w istocie nie było to wcale pytanie.

- Naprawdę.

- A cóż to za rada?

Musiała mu o tym powiedzieć prosto w oczy. Trudno.

- Robi pan wszystko niewłaściwie.



- Przepraszam... O czym pani mówi? - mruknął cierpko. Lucy ledwie zdołała zdusić w sobie jęk. Zrani jego dumę. Ale nie ma rady, chociaż będzie to przykre.

- Jeśli chce pan zdobyć Hermionę, musi pan się zachowywać w inny sposób.

Bridgerton spojrzał na nią niemalże z pogardą.

- Wiem, jak się zalecać.

- Może do innych panien, lecz Hermiona różni się od nich.

Milczał, a Lucy wiedziała, że trafiła w sedno. Gregory myślał tak samo, tylko nie umiał należycie spożytkować tej wiedzy.

- Wszyscy popełniają ten sam błąd - zaczęła, upewniając się najpierw, że ani Hermiona, ani Berbrooke nie idą w ich stronę. -  
Wszyscy!

- Jak stado baranów - mruknął.

Lucy chętnie by mu powiedziała coś do słuchu, ale przez wzgląd na swoje zadanie wolała zachować to dla siebie.

- Nie może pan postępować tak jak oni. Musi pan być oryginalny.

- W jaki sposób?

Nabrała tchu. Nie spodoba mu się to, co teraz usłyszy.

- Powinien pan być... mniej zaangażowany i nie traktować jej niczym księżniczki. Na przykład przez kilka dni nie zwracać na nią uwagi.

- Mam pozwolić, żeby inni się wokół niej tłoczyli?

- I tak nie przestanę - stwierdziła rzeczowo. - Nie zaradzi pan temu.

- Ładnie, ładnie.

- Jeśli się pan wycofa, Hermiona będzie zaintrygowana. Mina Bridgertona świadczyła o zwątpieniu, więc dodała:

- Proszę się nie obawiać, Hermiona dobrze wie, że jest pan nią oczarowany. Nie jest bynajmniej idiotką.

Zachmurzył się. Lucy z trudem mogła uwierzyć, że rozmawia tak szczerze z kimś, kogo ledwie zna, ale sytuacja wymagała podjęcia stanowczych kroków.

- Przeciwnie, jest inteligentna - ciągnęła - tylko nikt nie zwraca na to uwagi. Mężczyźni widzą wyłącznie jej urodę.

- Chciałbym wiedzieć, o czym ona myśli - westchnął.

Coś w jego tonie sprawiło, że poczuła się dotknięta. Spojrzała mu prosto w oczy i doznała zdumiewającego wrażenia, że oboje stali się nagle innymi ludźmi, a wszystko naokoło gdzieś znikło.

Bridgerton okazał się niepodobny do wszystkich znanych jej młodzieńców. Było w nim coś więcej, chociaż nie wiedziała co. Coś odmiennego. Coś, co sprawiło, że serce się jej ścisnęło i przez chwilę myślała, że się rozpłacze. Nie zrobiła tego, bo po prostu nie mogła się w ten sposób zachować, a już na pewno by nie płakała bez wyraźnego powodu.

- Panno Lucindo...

Za długo milczała. Było to zresztą niepodobne do niej.

- Hermiona wcale by sobie nie życzyła, żeby ktoś znał jej myśli - powiedziała niemal gniewnie. - Ale pan... - Odkaszlnęła, opanowała się i utkwiała wzrok w kępie stokrotek. - Z pewnością może ją pan sobie zjednać. Tylko inaczej. Trzeba tu cierpliwości.

Nic nie odpowiedział. A potem zapytał z cicha:

- Dlaczego chce mi pani pomóc?

Lucy odwróciła się plecami do niego, rada, że znów może myśleć rozsądnie. Powróciła trzeźwa, praktyczna aż do bólu panna Abernathy. A on znów był tylko jednym z młodzieńców marzących o poślubieniu Hermiony. Wszystko jak zawsze.

- Jest pan lepszy od Edmondsa.

- Więc tak się nazywa?

- To sekretarz jej ojca - wyjaśniła. - Porządny człowiek i sądzę, że nie chodzi mu jedynie o pieniądze, ale pan z pewnością byłby lepszy. Każdy głupiec by się zorientował.

- To brzmi tak, jakby uważała pani pannę Watson za głupią.

Lucy odwróciła się gwałtownie.

- Niech pan nie próbuje wątpić w moje oddanie Hermionie! Nie mogłabym... - Spojrzała nagle ku przyjaciółce, żeby się upewnić, czy nie patrzy w ich stronę - bardziej kochać rodzonej siostry!

Ku jej uldze Bridgerton skłonił się z szacunkiem.

- Przepraszam. Nie doceniłem pani.

Lucy z trudem przełknęła ślinę. Słowa Bridgertona zabrzmiały szczerze, i to ją udobruchało.

- Świata poza nią nie widzę - dodała. Przypomniały się jej ferie spędzone w domu Watsonów, tak niepodobnego do jej własnego. Zawsze wracała do Fennsworth Abbey w innym czasie niż brat i czuła się tam beznadziejnie osamotniona.

Robert Abernathy, stryj, wywiązywał się ze swoich obowiązków opiekuna, lecz był wobec niej obojętny i ponury. Pobyt w domu oznaczał długie, samotne spacery, lekturę jako jedyną rozrywkę i obiady bez niczyjego towarzystwa, bo stryj nie okazywał najmniejszej chęci, by jadać razem z nią. Gdy oznajmił, że pojedzie do szkoły panny Moss, miała ochotę rzucić mu się na szyję z gorącymi podziękowaniami.

Ale nie zrobiła tego, jak zresztą nigdy przedtem przez całe siedem lat, odkąd został jej opiekunem. Siedział wtedy za biurkiem, ze wzrokiem utkwionym w jakichś papierach, i zaraz kazał jej odejść.

W szkole z radością rzuciła się w wir nowego życia. Jak cudownie było móc z kimś porozmawiać! Brata Lucy, Richarda, wysłano do Eton, gdy skończył dziesięć lat, jeszcze za życia ojca. Ona zaś przez blisko dekadę miała guwernantkę jako jedyną towarzyszkę.

W szkole wszyscy ją lubili. W domu była tylko kimś, wobec kogo miało się obowiązki, tu natomiast każdy szukał z nią znajomości, toczył rozmowy i słuchał jej odpowiedzi. Może nie była najpopularniejszą z koleżanek, lecz czuła, że należy do jakiejś grupy. I to się liczyło.

Dzieliła z Hermioną pokój i zaprzyjaźniła się z nią od razu. Już pierwszego wieczoru śmiały się i gawędziły ze sobą tak swobodnie, jakby się znały od urodzenia.

Właśnie Hermiona sprawiła, że Lucy czuła się dobrze w szkole. Zawsze chciała być czyjaś najlepszą przyjaciółką. Najwspanialsze było to, że ktoś właśnie ją lubił najbardziej ze wszystkich. Była dzięki temu bardziej pewna siebie. Przypominało jej to w jakimś stopniu słowa Bridgertona o jego rodzinie.

Wiedziała, że może liczyć na Hermionę, a Hermiona na nią. Do tej pory nie mogła myśleć w ten sposób o nikim innym. Richard na pewno służyłby jej radą w razie potrzeby, lecz widywała go rzadko, co ją smuciło, gdyż w dzieciństwie byli sobie bardzo bliscy. Zamknięci w Fennsworth Abbey, musieli z konieczności bawić się tylko ze sobą - na szczęście nie dochodziło między nimi do kłótni.

Z trudem powróciła do rzeczywistości. Bridgerton czekał na nią bez słowa z wyrazem uprzejmego zaciekawienia na twarzy. Lucy doznała nagle dziwnego wrażenia - zapragnęła powiedzieć mu wszystko o sobie - Hermionie, Richardzie i Fennsworth Abbey, a także o tym, jak się cieszyła, że pojedzie do szkoły...

Czuła, że Gregory by ją zrozumiał. Niemożliwe, żeby było inaczej. Pochodził przecież z licznej rodziny, znanej ze wzajemnego przywiązania. Nie wiedział, czym jest samotność. Nie miał pojęcia, jak to jest, kiedy ma się coś do powiedzenia, ale nie można się tym z nikim podzielić. Poza tym zafrapowały ją jego oczy, bardziej - jak

sobie nagle zdała sprawę - zielonkawe niż orzechowe. I tak w nią wpatrzone...

Zaczęło ją dławić w gardle. Cóż się z nią dzieje? Czy nie potrafi skończyć zaczętego zdania?

- Zależy mi na szczęściu Hermiony - zdołała jakoś wykrztusić.

- Chyba mi pan wierzy?

Przytaknął bez słowa, a później obejrzał się za siebie.

- Może do nich wrócimy? - spytał ze smutnym uśmiechem.

- Berbrooke pewnie zdołał wmusić w pannę Watson trzecią porcję ciasta.

Lucy poczuła, że chce jej się śmiać.

- Och, Boże...

A Bridgerton dodał, tonem czarująco rzeczowym:

- Powinniśmy tam wrócić choćby ze względu na jej zdrowie.

- Przemyśli pan moje słowa? - spytała, przyjmując jego ramię.

- Przemyślę.

Poczuła, że ściska trochę za mocno jego rękę.

- Nie mylę się, zapewniam pana. Nikt nie zna Hermiony lepiej ode mnie. Nikt też nie widział tylu mężczyzn, którzy daremnie próbowali ją zdobyć.

Spojrzeli sobie w oczy. Przez chwilę zastygli bez ruchu i wydało się jej, że Bridgerton patrzy na nią badawczo, tak jakby chciał przejrzeć ją na wylot. Właściwie powinno to sprawić jej przykrość, a tymczasem poczuła się dziwnie... miło.

- Cieszę się, że zaszczyliła mnie pani radą - odezwał się wreszcie. I wdzięczny jestem za pomoc w uzyskaniu względów panny Watson.

- Dzięk... dziękuję - wyjąkała, mimo że przecież o to jej właśnie chodziło. A potem zdała sobie sprawę, że już jej wcale nie jest miło.

Gregory wypełnił zalecenia Lucindy co do joty. Wieczorem w salonie, gdzie goście zebrali się przed kolacją, nie zbliżył się nawet do panny Watson. Kiedy zaś przeszli do jadalni, nie przyłączał się do towarzystwa ani nie starał się siedzieć blisko niej. A gdy mężczyźni po portwajnie dołączyli do pań, słuchając gry na pianinie, wybrał miejsce z tyłu, choć Hermiona i Lucinda siedziały same i byłoby mu łatwo przystanąć oraz pozdrowić obydwie.

A jednak nie zrobił tego, postanawiając trzymać się rady Lucy, i siadł gdzieś na samym końcu. Widział, jak Hermiona zajmuje miejsce trzy rzędy przed nim, i zadowolił się oglądaniem tyłu jej głowy.

Byłby to zresztą całkiem dobry sposób spędzania czasu, gdyby nie to, że nie był w stanie myśleć o czymkolwiek innym prócz braku zainteresowania, który mu okazuje. Gdyby nawet był cieleciem z dwiema głowami, i tak nic by mu się nie dostało poza uprzejmym półuśmiechem, jakim obdarzała każdego. Może nawet i tego by mu poskapiła!

Nie spodziewał się takiej reakcji po żadnej kobiecie. Wprawdzie nigdy nie był przedmiotem powszechnego uwielbienia, lecz zwykle - przy pewnym wysiłku - osiągał lepsze rezultaty. Bardzo go to irytowało.

Patrzył na obie panny, pragnąc, by w jakikolwiek sposób dały do zrozumienia, że wiedzą o jego obecności. Wreszcie, po trzech koncertach i fudze, panna Lucinda powoli odwróciła się w jego stronę.

Mógł sobie wyobrazić, o czym myśli.

Powoli, powoli, spójrz ku drzwiom, jakbyś chciała zobaczyć, kto przez nie wchodzi. Zerknij przelotnie na pana Bridgertona...

Uniósł kieliszek, żeby wznieść toast na jej cześć.

Zaskoczyło ją to, przynajmniej miała taką nadzieję. Ale po chwili znów odwróciła się do niego tyłem.

Uśmiechnął się. Zapewne nie należało bawić się jej kosztem, ale był to jedyny jaśniejszy punkt tego wieczoru.

Jeśli zaś panna Watson czuła jego wzrok, nie dała tego poznać po sobie. Gregory miał nadzieję, że świadomie go ignoruje, co przynajmniej świadczyłoby o tłumionym zainteresowaniu. Kiedy jednak dostrzegł, że Hermiona rozgląda się ze znudzeniem wokoło i co chwila pochyła głowę, żeby szepnąć coś Lucindzie na ucho, zrozumiał, iż całkiem dobrze sobie zdaje sprawę z jego istnienia i że jest jej ona najzupełniej obojętna.

Poczuł, że zaciska nerwowo szczęki. Nie wątpił w dobre intencje Lucindy, lecz jej rada okazała się beznadziejna. Tracił niepotrzebnie czas, a party miało trwać tylko pięć dni.

- Wyglądasz na znudzonego.

Bratowa przysiadła dyskretnie na krześle obok i odezwała się do niego szeptem, żeby nie zakłócać występów.

- Uwłacza to mojej reputacji jako gospodyni - dodała sucho.



- Skądże. Jesteś wspaniała, jak zawsze.

Kate spojrzała ku przodowi, milczała przez chwilę, aż wreszcie powiedziała:

- Całkiem ładna.

Gregory nie mógł udawać, że nie wie, o kim mówi. Kate była zbyt bystra, żeby się nie zorientować. Nie znaczyło to jednak, by musiał z nią o tym dyskutować.

- Owszem, ładna - potwierdził, patrząc prosto przed siebie.

- Podejrzewam jednak, że już kogoś ma. Nie zachęca żadnego z mężczyzn do okazywania jej względów, choć i tak wszyscy to robią.

Gregory jeszcze mocniej zacisnął szczęki.

- Słyszałam - ciągnęła Kate, która dobrze wiedziała, że mu się naprzykrza, ale nie dbała o to - że robiła tak przez całą wiosnę. Daje tym samym do zrozumienia, że nie interesuje jej małżeństwo.

- Zakochała się w sekretarzu ojca - wyjaśnił. Bo i na cóż mu były sekrety? Kate i tak by się wszystkiego dowiedziała. A może zdoła mu pomóc?

- Naprawdę? - Powiedziała to nieco za głośno i musiała przeprosić gości. - Naprawdę? - powtórzyła, ale znacznie ciszej. - Skąd wiesz?

Gregory już otwierał usta, gdy sama sobie odpowiedziała.

- Och, oczywiście! Od Lucindy. Ona wie wszystko.

- Wszystko - potwierdził zgryźliwie.

Kate przez chwilę rozważała coś w myślach, a potem oznajmiła:

- Jej rodzice nie będą z tego zadowoleni.

- Nie mam pojęcia, czy wiedzę, co się kroi.
- Och, coś podobnego! - powiedziała z przejęciem.
- Zechciej zachować wszystko w sekrecie.
- Ależ to najbardziej smakowita plotka tej wiosny!
- Znajdź sobie lepiej inne hobby.
- Och, Gregory - trąciła go lekko łokciem - nie zamartwiaj się.

Doprawdy, nie warto. Rodzice nigdy nie pozwolą jej wyjść za sekretarza, a to nie jest dziewczyna, która dałaby się uprowadzić. Musisz tylko poczekać.

Gregory aż stęknął z irytacji.

Kate poklepała go współczująco po ramieniu.

- Wiem, wiem. Chciałbyś mieć wszystko natychmiast. Nigdy nie należałeś do cierpliwych.

- Tak sądzisz?

Machnęła żywo dłonią, co miało starczyć za całą odpowiedź.

- Naprawdę, tak jest lepiej.

- Że kocha innego?

- Przestań dramatyzować. W ten sposób będziesz miał więcej czasu, żeby się upewnić co do swoich uczuć względem niej.

Gregory'emu przypomniało się dojmujące wrażenie, jakby otrzymał cios, którego doświadczał zawsze, gdy patrzył na Hermionę. Zwłaszcza na tył jej głowy, choć mogło się to wydawać dziwne. Po cóż mu więcej czasu? Przecież chodziło o miłość. Potężną, nagłą i promienną. A zarazem przemożną.

- Dziwne, że nie poprosiłeś, żebym cię posadziła przy niej podczas kolacji.

Gregory spojrział tym razem na tył głowy Lucindy.

- Mogę to zrobić jutro, jeśli byś chciał.

- Chętnie.

- Zgoda... Och, muzyka już się kończy. Zaczął oklaskiwać wykonawców, jak i ona.

- Czy choć raz nie rozmawiałaś podczas koncertu? - spytał z przekąsem.

- Nie przepadam za, takimi występami - wyjaśniła, a potem uśmiechnęła się chytrze. - Podobnie jak za łzawymi historiami.

- Naprawdę?

- Oczywiście - mruknęła, starając się nie patrzeć na niego. - Widziałeś, żebym się kiedyś wybrała do opery?

Czyżby brat podkochiwał się niegdyś w jakiejś śpiewaczce? No i gdzie on jest? Gregory uniósł brwi. Zupełnie jakby miał szczególny talent do unikania roli gospodarza. Gregory od czasu rozmowy po przyjeździe widział go tylko dwa razy.

- Gdzież się podział błyskotliwy lord Bridgerton?

- Och, sama nie wiem. Spotykamy się pod koniec dnia i jedynie to się dla mnie liczy - odparła z irytująco pogodnym uśmiechem. - No, muszę już iść do innych - ciągnęła, jak gdyby nigdy nic. - Baw się dobrze.

I już jej nie było.

Gregory zamienił kilka uprzejmych słów z gośćmi, spoglądając ukradkiem na pannę Watson. Gawędziła z dwoma młodzieńcami, wyjątkowymi nudziarzami. Lucinda stała z boku. Mimo że Hermiona nie flirtowała z nimi, na pewno poświęciła im tego wieczoru więcej uwagi niż jemu.

Panna Lucinda niezmiennie uśmiechała się uroczo. Czyżby go oszukała? Wyglądała na kogoś zdolnego do takich czynów. No i znał ją ledwie jeden dzień. Może miała jakiś ukryty cel. Może była sprytną komediantką, skrywającą mroczne sekrety?

Och, niech to licha! Założyłby się, że była przedtem najzupełniej szczerą. Nie, stanowczo to pogodna, otwarta i ani trochę tajemnicza osoba. I chciała wyłącznie jego dobra. Był tego pewien. Niestety, jej rada okazała się do niczego.

Wydawało mu się, że spojrzała na niego przepaszająco i nieznacznie wzruszyła ramionami. Cóż to mogło znaczyć? Podszedł krok bliżej. Stał. Zastanawiał się, czy ma zrobić kolejny krok.

Nie... Tak... Nie! A może? Niech to diabli! Nie wiedział, co począć. Jakie nieprzyjemne wrażenie! Spojrzał na Lucindę z miną bynajmniej niemłą. Wszystko z jej winy.

Tylko że panna Abernathy wcale nie patrzyła na niego.

Nie miał odwagi, żeby znów na nią spojrzeć.

Odwróciła się. O, tak. Teraz sobie porozmawiają! Nie zdołał sprawić, by Hermiona na niego spojrzała, ale Lucinda dostanie za swoje... Czasami rozważa i takt nie popłacają.

Wreszcie zaczął się nieźle bawić. Było coś perwersyjnie zabawnego w wyobrażaniu sobie Lucindy spłoszonej i przerażonej niczym zając. Oczywiście nie będzie w tej grze myśliwym. Zbyt kiepsko strzelał! Mógł sobie jednak pozwolić na to, by wystąpić w roli lisa. Po raz pierwszy tego wieczoru się uśmiechnął.

Szcście mu dopisało. Ujrzał, że przeprosiła rozmówcę i zbliża się do drzwi, najwyraźniej zamierzając wyslizgnąć się z sali. A że on sam stał z tyłu, nikt nie zauważył, jak wymknął się stamtąd innymi drzwiami.

Kiedy Lucinda przechodziła koło biblioteki, wciągnął ją bez słowa do środka.

## **Rozdział 5**

***w którym dochodzi do wyjątkowo interesującej rozmowy.***

**L**ucy szła korytarzem, próbując odnaleźć najbliższą gotowalnię. Nagle ktoś wciągnął ją do jednego z pokojów.

- Proszę nie krzyczeć! - usłyszała znajomy głos.
- Doprawdy, tego bym się po panu nie spodziewała.
- Musimy porozmawiać - powiedział, puszczając jej ramię.

Zamknął jednak drzwi i schował klucz do kieszeni.

- Akurat teraz? - Oczy Lucy przywykały stopniowo do ciemności. Zauważyła, że są w bibliotece. - Tutaj? We dwoje?

- Przecież nie zrobię pani nic złego.

Zagryzła wargi. Może i nie zrobi, ale zabrzmiało to w sumie jak zniewaga.

- O co chodzi? Jeśli ktoś nas tu zaskoczy, znajdę się w fatalnej sytuacji. Wie pan przecież, że jestem już praktycznie zaręczona.

- Wiem - odparł takim tonem, jakby dopiero co o tym usłyszał, a przecież wspomniała o tej sprawie raz czy dwa.

- No, więc naprawdę jestem! - odcięła się zgryźliwie, wiedząc, że na zgrabną odpowiedź mogłaby wpaść dopiero za jakieś dwie godziny.

- Co pani sobie myśli?

- Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- O pannę Watson!

- O Hermionę? - spytała, całkiem jakby istniała jakaś inna panna Watson. Starła się zyskać na czasie.

- Dała mi pani... - zaczął, przewiercając ją wręcz wzrokiem - fatalną radę.

Nie mylił się, choć miała płonną nadzieję, że nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Słusznie - odparła i spostrzegła, że założył ręce na piersi.

Niezbyt zachęcający gest! Musiała jednak przyznać, że zasłużyła na to. Mówiono, że Bridgerton jest jowialny i dowcipny, ale teraz wcale na takiego nie wyglądał. Chyba nie trzeba koniecznie być kobietą, żeby nie czuć specjalnego zachwyty wobec perspektywy nieodwzajemnionej miłości.

Spojrzała z wahaniem na jego przystojną twarz i wtedy zdała sobie sprawę, że zapewne nie miał w tej mierze wielkiego doświadczenia. Która mogła mu odmówić? Wyłącznie Hermiona!

Tylko że ona odmawiała swych względów każdemu. Nie powinien zatem brać sobie tego tak bardzo do serca.

- Panno Lucindo... - Najwyraźniej nie miał zamiaru cierpliwie czekać na odpowiedź.

- Słusznie, słusznie - przyznała wymijająco. Żeby chociaż nie wydawał się taki duży w tym zamkniętym pokoju!

- Słusznie? - uniósł brwi.

Zaczęło ją dławić w gardle. W jego tonie wyczuła jakąś lekko paternalistyczną nutę, jakby była osobką zabawną, lecz głupiotką i niewartą uwagi. Dobrze znała ten ton starszych braci, którym z upodobaniem przemawiali do młodszych sióstr. Zresztą nie tylko oni, ale też ich przyjaciele zapraszani na ferie.

Nienawidziła tego. Udała jednak, że nie dostrzega afrontu.

- Istotnie, mój plan nie okazał się najlepszy, lecz wątpię, czy jakikolwiek inny zadziałałby lepiej.

Najwyraźniej spodziewał się usłyszeć co innego. Odkasznęła raz, potem drugi.

- Bardzo przepraszam - dodała. Czowała się fatalnie, a przeprosiny, jak wiedziała z doświadczenia, brzmią najlepiej w takich sytuacjach. - Naprawdę myślałam, że...

- Powiedziała mi pani - przerwał jej - że jeśli zacznę ignorować pannę Watson...

- Tego nie mówiłam.

- Ależ...

- Nie. Radziłam jedynie, by pan próbował nie narzucać się Hermionie tak otwarcie. - Użyła wtedy trochę innych słów, lecz nie przejmowała się tym.

- Doskonale - odparł tonem już nawet nie paternalistycznym, ale jawnie protekcyjnym. - Skoro miałem jej nie ignorować, to co właściwie, pani zdaniem, powinienem robić?

- No cóż... - Lucy potarła nerwowo kark, który zaczął ją piec, jakby go nagle pokryła najokropniejsza z pokrzywek. Może to nerwy? Nie znosiła ucisku w żołądku, który się zawsze pojawiał, gdy gorączkowo usiłowała powiedzieć coś rozsądnego.

- Prócz tego, rzecz jasna, co zrobiłem - dodał.

- Nie wiem - mruknęła. - Nie mam wielkiego doświadczenia w tej dziedzinie.

- Teraz mi to pani mówi?

- W każdym razie należało spróbować jakiejś innej taktyki.

Pańska nie okazała się dużo skuteczniejsza.

Zacisnął usta. Pozwoliła sobie na zjadliwy uśmiezek. Trafiła w czuły punkt. Zazwyczaj nie była małoduszna, lecz tym razem należała się jej szczypta złośliwej satysfakcji.

- Znakomicie - wysyczał przez zęby. Wolałaby wprawdzie, żeby otwarcie przyznał jej rację, lecz przypuszczała, iż w pewnych kręgach „znakomicie” mogło uchodzić za przyznanie się do błędu. A sądząc z jego miny, na więcej nie mogła liczyć.



Kiwnęła zatem głową. Wspaniałomyślnie. Po królewsku. Powinna się tak właśnie zachowywać, a będzie traktowana jak królowa. To najlepsze wyjście.

- Ma pani jeszcze jakieś równie błyskotliwe rady?

- Cóż - udała, że nie słyszy ironii w jego głosie - najpierw musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego pańska taktyka nie przyniosła efektu.

Zamrugął ze zdziwienia.

- Nikt jeszcze nie zdołał zdobyć Hermiony - dodała z pewnym zniecierpliwieniem, bo nie znosiła, kiedy nie rozumiano jej od razu. - Ale jej obojętność powoduje tylko tyle, że mężczyźni podwajają wysiłki. Doprawdy, to kłopotliwe.

Wyglądał na nieco urażonego.

- Nie miałam na myśli pana - dodała pośpiesznie.

- Ach, jakże się cieszę.

Lucy powinna się na niego obrazić za ten sarkazm, ale oboje mieli podobne poczucie humoru, poczuła więc tylko rozbawienie.

- Jak już mówiłam - ciągnęła, nie chcąc odbiegać od tematu - nikt się nie chce przyznać do porażki. Nikt nie zaczyna się zalecać do bardziej przystępnej damy. Wręcz przeciwnie, gdy tylko mężczyźni się orientują, że wszyscy inni też jej pragną, zaczynają tracić rozum. Zupełnie jakby była nagrodą do wygrania!

- Nie przeze mnie - mruknął z cicha.

Zrozumiała, że Bridgerton uważa Hermionę za coś więcej niż nagrodę. Jemu na niej naprawdę zależało. Nie wiedziała dlaczego ani

nawet jak bardzo, skoro dopiero co ją poznał. W dodatku Hermiona nie była specjalnie otwarta, zwłaszcza podczas rozmów z wielbicielami. Najwyraźniej jednak Bridgertonowi zależało nie tylko na jej urodzie, a przynajmniej on sam tak uważał.

Skinęła powoli głową, roztrząsając wciąż na nowo te myśli.

- Wydawało mi się, że gdyby ktoś przestał jej natrętnie nadskakiwać, mogłoby ją to zaintrygować. Co wcale nie znaczy, że Hermiona uważa te hołdy za coś należnego - dodała pośpiesznie. - Wręcz przeciwnie, na ogół ją nużą.

- Pani pochlebstwa nie mają granic - odparł z lekkim uśmiechem.

- Nigdy nie potrafiłam pochlebiać ludziom - przyznała.

- Najwyraźniej ma pani rację.

Nie powinna była brać sobie tego do serca. Nie chciał jej obrazić.

- Hermiona przekona się do pana.

- Tak pani sądzi?

- Owszem. Będzie musiała. To wielka romantyczka, ale jest przy tym na tyle trzeźwa, że nie wyjdzie za Edmondsa. To po prostu niemożliwe. Rodzice by ją wydziedziczyli. W każdym razie na pewno jej tym zagrożą. Nie zaryzykuje.

- Gdyby naprawdę kogoś kochała, nie liczyłaby się z żadnym ryzykiem.

Lucy zdrewniała. W jego głosie zabrzmiało coś takiego, że dostała gęsiej skórki. Musiała mu zadać to pytanie. Musiała się o czymś przekonać.

- A pan? Czy pan by się z nim liczył? Nie drgnął i nie zawahał się ani chwili.

- Nie.

Zdumiała się tak bardzo, że rozchyliła usta.

- A... pani? - odparował.

- Ja... sama nie wiem. - Pokręciła głową z dziwnym przeświadczeniem, że nie ma już tej pewności. A jeszcze kilka dni temu odpowiadałaby, że jest zbyt rozsądna na podobne nonsensy. No i przede wszystkim stwierdziłaby, że taka miłość wcale nie istnieje. Coś się w niej zmieniło, ale nie wiedziała co. Wytrącało ją to z równowagi i odbierało pewność siebie.

- Nie wiem - powtórzyła. - Przypuszczam, że to by zależało...

- Od czego? - spytał. Wypowiedział te słowa ledwo dosłyszalnie.

- Od... - Nie wiedziała. Jakże mogła tego nie wiedzieć? Poczula się zagubiona, bezradna... i nagle właściwa odpowiedź nasunęła się sama i łagodnie spłynęła z jej ust.

- Pewnie od miłości.

- Od miłości?

- Tak. - Wielkie nieba, cóż ona prowadzi za rozmowę? Czy ludzie w ogóle mówią o takich rzeczach? I czy są tu możliwe jakieś odpowiedzi?

Coś ją zaczęło dławić w gardle. Poczwała się nagle rozpaczliwą ignorantką. Wiedzieli to Gregory i Hermiona. Nawet poeci twierdzili, że znają ją na wskroś. Tylko ona jedna nie rozumiała, czym jest miłość. Wątpiła nawet, czy to uczucie w ogóle istnieje. A jeśli tak, to gdzie szukać miłość w jej przypadku?

- Od tego, czy się ją czuje - wykrztusiła wreszcie, nie wiedząc, co jeszcze mogłaby dodać. - Czy się odczuwa miłość. I jak.

- Sądzi pani, że jest jakaś różnica?

Nie spodziewała się kolejnego pytania. Wciąż jeszcze rozmyślała nad poprzednim.

- W tym, jak się miłość odczuwa - uściślił. - Nie uważa pani, że może to różnie wyglądać u różnych ludzi? Czy gdyby pani kogoś kochała szczerze i głęboko, nie byłoby to... absolutnie wszystkim?

Nie umiała odpowiedzieć.

Bridgerton się odwrócił i podszedł do okna.

- Przecież to by panią najzupełniej pochłonęło. Jakżeby mogło być inaczej?

Lucy patrzyła na jego plecy. Fascynował ją sposób, w jaki doskonale skrojony surdut Gregory'ego opinał mu boki. Dziwne, ale nie mogła oderwać oczu od miejsca, gdzie włosy stykały się z kołnierzem. O mało nie podskoczyła, kiedy się odwrócił.

- Nie należy w to wątpić - powiedział z żarliwym przekonaniem.

- Po prostu by pani o czymś takim wiedziała. Byłoby to coś zbliżonego do pani największych marzeń. A później te wrażenia coraz bardziej by się wzmagaly.

Zrobił jeden krok w jej kierunku, potem drugi.

- Tak właśnie, jak sądzę, wygląda miłość.

W tej jednej chwili Lucy zrozumiała, że coś takiego nie jest jej przeznaczone. Jeśli w ogóle istniało, jeśli miłość była dokładnie taka, jak wyjaśnił jej to Gregory Bridgerton, to nie nadawała się dla niej. Nie mogła sobie wprost wyobrazić porywu uczuć. Zresztą wcale by jej nie cieszył. Tyle wiedziała na pewno. Nie miała ochoty zatracić się w podobnym wirze, znaleźć się na łasce czegoś poza jej kontrolą.

Nie chciała cierpienia. Nie chciała rozpacz. A jeśli z tego powodu musi zrezygnować z błogości i upojenia, godziła się z tym. Spojrzała na niego i dech jej zapało, tak przejmująca prawda się jej objawiła.

- To byłoby zbyt... - usłyszała gdzieś z daleka własny głos. - Nie mogłabym... nie chciałabym, żeby...

- Nie miałyby pani wyboru. To by po prostu... spadło na panią.

- Tak się właśnie wyraziła! - szepnęła zdumiona.

- Kto?

- Hermiona. Kiedy mi mówiła o Edmondsie.

- Doprawdy?

- Niemal tymi samymi słowami. Powiedziała, że to na nią spadło. W jednej chwili.

- Tak właśnie się wyraziła? - Miał jeszcze nadzieję, że się przesłyszał, że Lucy zaprzeczy.

Lecz, oczywiście, nie zrobiła tego. Jak się okazało, było znacznie gorzej, niż się spodziewał.

- Stała w ogrodzie. Tak przynajmniej twierdzi. Patrzyła na róże i zaraz potem go ujrzała. I wiedziała wszystko.

Przyglądał się jej bez słowa, nic więcej. Prawie nie mógł oddychać, tak bardzo ściśnięte miał gardło. Niech to licho! Akurat czegoś takiego wcale nie chciał usłyszeć.

Spojrzała na niego, a wyraz jej oczu, które w przyćmionym świetle stały się szare, wydał mu się dziwnie znajomy. Jakby ją znał, jakby wiedział, co za chwilę powie i jaką zrobi minę przy tych słowach. Było to dziwne i przerażające, a przede wszystkim kłopotliwe, bo nie miał przecież przed sobą Hermiony Watson, tylko Lucindę Abernathy. Nie tę kobietę, z którą pragnął spędzić resztę życia.

Co prawda to całkiem miła, rozumna i z pewnością więcej niż tylko atrakcyjna dziewczyna. Tylko że Lucy Abernathy nie nadawała się dla niego! O mało nie parsknął śmiechem. Wszystko byłoby dużo łatwiejsze, gdyby właśnie na jej widok zaczęło mu gwałtownie bić serce, kiedy ją zobaczył po raz pierwszy. Mogła sobie być praktycznie zaręczona. Zakochana nie była na pewno. Tymczasem Hermiona Watson...

- Co takiego powiedziała? - szepnął, czekając z lękiem na odpowiedź.

Lucinda przechyliła głowę na bok. Nigdy jeszcze nie czuła się bardziej zakłopotana.

- Że nawet nie widziała jego twarzy, tylko tył głowy... Tylko tył głowy.

- A potem się odwrócił i wówczas usłyszała muzykę. No i potrafiła pomyśleć tylko tyle, że...

Przegrał z kretesem.

- Że przepadła. I już! Tak mi powiedziała. - Patrzyła na niego z dziwnie przechyloną głową. - Niech sobie pan wyobrazi. Ze przepadła! Raz na zawsze.

Owszem, mógł sobie wyobrazić. Dokładnie. Spojrzał na Lucinę i spostrzegł, że patrzy mu prosto w twarz. Wciąż wyglądała na zakłopotaną. I przejętą. A także na nieco oszołomioną, kiedy spytała:

- Nie uważa pan, że to dziwne?

- Tak. - Włożył w to jedno słowo całą duszę. Poczuli się, jakby ktoś ją ugodził nożem. Nie spodziewała się czegoś podobnego. A potem zakłęcie prysło. Odwróciła się i przeszła kilka kroków w prawo. Spojrzała ku półkom bibliotecznym, mimo że nie byłaby w stanie odczytać w tym mroku tytułów, i przesunęła palcami po grzbietach książek.

Gregory śledził jej dłoń, choć nie wiedział, dlaczego to robi. Po prostu patrzył na nią. Zdał sobie sprawę, że Lucy jest całkiem elegancka. Z początku się tego nie dostrzegało, bo ubierała się raczej tradycyjnie. Elegancja kojarzy się zaś raczej z czymś olśniewającym jak orchidea, a nie ze skromną stokrotką.

Ale kiedy się poruszała, wszystko ulegało zmianie. Pewnie jest z niej dobra tancerka. Był tego pewien.

Nie miał tylko pojęcia, czy to ma jakieś znaczenie.

- Przepraszam. - Odwróciła się gwałtownie ku niemu.

- Za to, że nie powiodło mi się z panną Watson?
- Tak. Nie chciałam ranić pańskich uczuć.
- Nie zraniła ich pani - odparł trochę za ostro.
- Och... W takim razie się cieszę. Nie miałam takiego zamiaru.

Nic dziwnego. Nie była z tych, co ranią.

Lucinda rozchyliła usta, ale się nie odezwała. Utkwiła wzrok gdzieś ponad jego ramieniem, jakby tam mogła znaleźć właściwe słowa.

- Kiedy pan mówił o miłości... zdawało mi się, że już to słyszałam. Nie pojmuję dlaczego.

- Ja również.

Zamilkła i nie patrzyła już na niego, zaciskając wargi.

Zrozumiał, że się nad czymś zastanawia. Należała do kobiet, które stale rozmyślają, zapewne ku utrapieniu każdego, kto ma obowiązek się nimi zajmować.

- Co pan teraz zrobi?

- A co by mi pani radziła?

- Sama nie wiem. Mogłabym z nią o panu pomówić, gdyby pan zechciał.

- Nie. - Uznał, że byłoby to zbyt infantylne, a on przecież uważał się za dorosłego, zdolnego do decydowania o własnych sprawach.

- A więc... niech pan poczeka. - Wzruszyła lekko ramionami. -I zacnie od nowa. Przynajmniej przez miesiąc nie będzie miała sposobności, żeby zobaczyć Edmondsa i myślę, że... w końcu... mogłaby dojść do wniosku...



Nie dokończyła. Mimo to chciał dokładnie wiedzieć, co Lucy sądzi na ten temat.

- Do jakiego?

Spojrzała na niego jak ktoś, komu nagle przerwano snucie marzeń.

- Że pan... Że pan jest dużo lepszy od reszty. Nie rozumiem, dlaczego ona tego nie widzi. Dla mnie to oczywiste.

Uznałby ten sąd za dziwny w ustach wszystkich innych, może nawet za mało przydatny, ale nie w jej przypadku. Można jej było wierzyć, tak jak jego siostrze. Lucy Abernathy nie skłoniłaby może nikogo do pisania wierszy na swoją cześć, lecz na pewno była dobrą przyjaciółką.

- Być może - dodała półgłosem, a mimo to stanowczo - Hermiona zrozumiałaby, że tak jest. I moglibyście wtedy stać się parą. Jestem tego pewna.

Patrzył na jej wargi, kiedy mówiła. Nie wiadomo, dlaczego zaintrygował go nagle ich wykrój i sposób, w jaki nimi poruszała, wymawiając słowa. Miała całkiem zwyczajne usta, nic go w nich wcześniej nie pociągało, lecz teraz, w mrocznej bibliotece, gdzie słyszał tylko cichy szept ich obojga...

A gdyby ją tak pocałować?

Cofnął się nagle, tak nieswojo się poczuł.

- Musimy wracać - rzucił pośpiesznie.

Zauważył, że dotknął ją ten szybki odwrót. Do licha! Nie chciał, by to odebrała jako chęć pozbycia się jej. W końcu niczym nie

zawiniła. Po prostu on czuł się znużony i rozczarowany. No i ten mrok. I jeszcze to, że nikogo nie ma w pobliżu.

Wcale jej nie pragnął. Całe życie czekał na taką kobietę jak Hermiona Watson. I żadna nie będzie go już pociągać. Ani Lucinda, ani jakaś inna. Przecież Lucinda to w gruncie rzeczy nikt...

Nie! Co za nietakt. Owszem, była kimś. Tyle że nie dla niego.

## *Rozdział 6*

*w którym nasz bohater czyni postępy.*

**B**oże! Co ona mu powiedziała?!

Ta jedna myśl nawiedzała ją raz po raz. Leżała w łóżku, zbyt zdjeta grozą, by śmiała zakaszleć lub przewrócić się na drugi bok. Ułożona na wznak, patrzyła w sufit bez słowa. Była rozpaczliwie zgnębiona.

Rankiem, kiedy spojrzała w lustro, westchnęła na widok sinych cieni pod oczami i znów jakiś głos powtórzył jej w duchu: „Pan jest dużo lepszy od reszty”. Za każdym razem słyszała te słowa wypowiedane coraz wyższym, coraz bardziej afektowanym tonem, zupełnie jakby była jedną z tych okropnych gęsi, które omdlewają na widok starszego brata przyjaciółki, składającego akurat siostrze wizytę w szkole.

- Lucy Abernathy - mruknęła pod nosem - ty żalosna idiotko!

- Mówiłaś coś? - Hermiona spojrzała na nią ze swojego łóżka.

Lucy trzymała właśnie rękę na klamce, gotowa zejść na śniadanie.

- Po prostu rachuję w pamięci. Hermiona zamarła z jedną nogą w pantoflu.

- Na miłość boską, dlaczego? - spytała, zwracając się raczej do siebie samej.

Lucy wzruszyła ramionami, chociaż przyjaciółka wcale na nią nie patrzyła. Zawsze posługiwała się tym wykrętem, gdy Hermiona przyłapywała ją na mówieniu do siebie. Nie miała zresztą pojęcia, dlaczego ta miałaby jej wierzyć. Lucinda nienawidziła rachowania w pamięci prawie tak samo jak ułamków i tabliczki mnożenia. Mogła jednak uchodzić za zdolną do tego, jako osoba praktyczna, czego Hermiona nigdy nie kwestionowała.

Od czasu do czasu mruzczała więc niewyraźnie jakieś liczby, żeby robić bardziej przekonujące wrażenie.

- Jesteś gotowa? - spytała, chociaż wcale nie życzyła sobie schodzić na śniadanie. Nie miała ochoty widzieć kogokolwiek, zwłaszcza Bridgertona. Zresztą myśl o ujrzeniu pozostałych gości była równie okropna. Doskwierał jej jednak głód, musiała więc pokazać się przy stole. Nie widziała też powodu, dlaczego jej rozterki miałyby wziąć górę nad pustym żołądkiem.

Gdy obie schodziły na śniadanie, Hermiona spojrzała na nią z niepokojem.

- Dobrze się czujesz? Wyglądasz trochę dziwnie.

Lucy stłumiła śmiech. Oczywiście, że dziwnie! Zrobiła z siebie kretynekę. Dobry Boże, czy naprawdę powiedziała Gregory'emu Bridgertonowi, że jest lepszy niż inni?

Chciała umrzeć. A przynajmniej zaszyć się w swojej sypialni i nie schodzić na dół. Ale była tak beznadziejna, że wstała i szykowała się do śniadania, zamiast wymyślić jakiś wykręt. A wszystko przez to, że rozmyślała wyłącznie o swoim szaleńczym postępku. Na tym akurat bez żadnego trudu potrafiła się skoncentrować!

- Skądinąd wyglądasz ładnie - stwierdziła Hermiona, kiedy stanęły u szczytu schodów. - Zielone wstążki pasują do błękitnej sukni. Ja bym na to nigdy nie wpadła, ale ten wybór jest bardzo twarzowy i podkreśla kolor twoich oczu.

Lucy spojrzała na swój strój. Nawet nie pamiętała, w co się ubrała. Prawdziwy cud, że nie wygląda na Cygankę zbiegłą z taboru. Chociaż... Westchnęła cicho. Ucieczka z Cyganami wydała się jej atrakcyjna choćby dlatego, że nie musiałyby już więcej oglądać nikogo z dobrego towarzystwa. Całkiem straciła rozum! Bóg jeden wie, jakich głupstw mogłaby jeszcze napleść Bridgertonowi. Na przykład, że wygląda, jej zdaniem, niczym bóstwo.

No nie, tego nie robi. Po prostu uznała, że całkiem nieźle pasowałby do Hermiony. No i tak właśnie powiedziała!

Co ona mu nagadała?!

- Lucy...

To było coś takiego...

Nagle zamarła. Och! Gotów jeszcze pomyśleć, że się jej spodobał! Hermiona zeszła parę stopni niżej, nim spostrzegła, że Lucy za nią nie nadąża.

- Lucy, co z tobą?

- Wiesz, jakoś wcale nie jestem głodna. Hermiona spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Rankiem?

Naciągany argument. Lucy zawsze pałaszowała śniadanie z największym apetytem.

- Ja... Ach! Chyba coś mi wczoraj wieczorem nie posłużyło. Pewnie łoś. - Położyła dłoń na żołądku. - Może powinnam wrócić do łóżka.

I nigdy nie wstać.

- Rzeczywiście, wyglądasz jakoś blado.

Lucy uśmiechnęła się słabo. Była wdzięczna przyjaciółce za te drobne względy.

- Może chcesz, żebym ci coś przyniosła?

- Tak! - odparła głośno, mając nadzieję, że Hermiona nie słyszy, jak jej burczy w brzuchu.

- Och... - Hermiona w zamyśleniu przygryzła palec. - Ale przecież nie powinnaś niczego jeść, skoro cię mdli. Mogłabyś sobie jeszcze bardziej zaszkodzić.

- Nie mam mdłości.

- Naprawdę?

- Dość trudno to wytłumaczyć. Ja... -I Lucy wsparła się o ścianę. Kto by pomyślał, że jest taką komediantką?

Przyjaciółka przyglądała jej się z troską.

- Och, moja droga - szepnęła, biorąc ją pod ramię. - Wyglądasz okropnie!

Może naprawdę zachorowałam, pomyślała Lucy zaskoczona. Jeszcze lepiej! Pozostałaby wtedy w pokoju nawet przez kilka dni.

- Wracaj do łóżka! - zdecydowała Hermiona. - Powiem mamie. Będzie wiedziała, co zrobić.

Lucy odetchnęła z ulgą. Matka Hermiony każdą swoją dolegliwość leczyła czekoladą z biskwitami i zapewne zastosuje tę samą kurację wobec innych osób.

Przyjaciółka odprowadziła ją do sypialni i posunęła się nawet do zdjęcia jej pantofli.

- Gdybym cię tak dobrze nie znała - stwierdziła, ustawiając je niedbale w szafie - myślałabym, że udajesz.

- Ależ... Nigdy w życiu!

- Och, z pewnością potrafiłabyś to robić, ale jesteś taka tradycyjna.

Tradycyjna? A cóż to ma do rzeczy?

- Pewnie będę musiała siedzieć przy śniadaniu z tym natrętnym Bridgertonem! - Hermiona westchnęła głośno.

- Wcale nie jest taki znów okropny - odezwała się Lucy, zbyt może energicznie jak na kogoś, komu zaszkodził los.

- No, może nie - ustąpiła Hermiona. - Lepszy niż większość innych!

Zabrzmiało to jak echo słów Lucy. Najbardziej przerażających, jakie się jej kiedykolwiek wymknęły.

- Tylko że on wcale do mnie nie pasuje - ciągnęła przyjaciółka, nieświadoma jej rozterek. - Wkrótce zda sobie z tego sprawę, a wtedy zwróci się ku innej.

Lucy wątpiła w to, ale nic nie powiedziała. Co za dziwny krąg! Hermiona kochała Edmonda, Bridgerton - Hermionę, a Lucy nie była zakochana w Bridgertonie, choć on sądził, że tak jest. Rzecz jasna, nigdy by nie dopuściła do czegoś podobnego. Byłby to nonsens, skoro praktycznie jest zaręczona z lordem Haselbym. Haselby! Omal nie jęknęła na głos. Wszystko byłoby dużo łatwiejsze, gdyby tylko mogła sobie przypomnieć, jak on wygląda!

- Zadzwoń na służbę, żeby przyniosła nam śniadanie do pokoju. - Hermiona tak się uradowała, jakby odkryła nowy kontynent.

- Chyba przyślą tutaj tacę?

Do licha! Wszystkie jej plany wzięły w łeb. Teraz Hermiona zyskała pretekst, żeby siedzieć bez przerwy w sypialni. A ona będzie musiała przez cały dzień udawać chorą.

- Jak mogłam nie wpaść na to wcześniej ? - Hermiona już sięgała po sznur dzwonka. - Powinnam zostać tutaj z tobą.

- Nie rób tego - jęknęła Lucy, gorączkowo usiłując coś wymyślić.

- Dlaczego?

- Na tacy nie przyniosą tego, co chcesz.

- Przecież wiem, czego chcę. Jajek na miękko i grzanek.

- A ja nie chcę jajek ani grzanek! - Lucy usiłowała przybrać możliwie żalowaną minę. - Dobrze wiesz, jakie rzeczy lubię. Jeśli zejdiesz na śniadanie, na pewno wybierzesz, co trzeba.

- Sądziłam, że nie powinnaś teraz jeść.

- No, trochę mogłabym... - Lucy położyła dłoń na brzuchu.

- Och, w porządku - zniecierpliwiła się Hermiona. - Czego sobie życzysz?

- Może trochę bekonu?

- Przy zatruciu łososiem?!

- Nie jestem pewna, czy właśnie on mi zaszkodził.

Przez dłuższą chwilę Hermiona stała bez ruchu, patrząc na nią.

- Tylko bekon? - spytała w końcu.

- Wybierz jeszcze coś, co by mi smakowało - odparła Lucy.

Przyjaciółka westchnęła, spoglądając na nią nieco podejrzliwie.

- Zaraz wrócę. Nie przemęczaj się.

- Obiecuję.

Gdy za Hermioną zamknęły się drzwi, Lucy policzyła do dziesięciu, a potem zeskoczyła z łóżka i podbiegła do szafy, żeby ustawić pantofle jak należy. A potem sięgnęła z wielkim zadowoleniem po książkę i wyciągnęła się na łóżku.

Ranek okazał się w sumie wcale przyjemny.

Kiedy Gregory wszedł do pokoju śniadaniowego, czuł się dużo lepiej. Wszystko, co zdarzyło się zeszłej nocy, było nieważne.

Właściwie niemal już o tym zapomniał. Wcale nie chciał pocałować



Lucindy. Po prostu przemknęła mu przez myśl taka możliwość, a to najzupełniej co innego.

W końcu był przecież mężczyzną. Interesowało go mnóstwo kobiet, mimo że najczęściej nie miał nawet zamiaru z nimi rozmawiać. Każdy się interesuje kobietami. A liczy się dopiero to, co zrobi. W tym cała różnica.

Jak się wyraził któryś z jego szczęśliwie ożenionych braci, małżeństwo nie uczyniło go ślepym. Mogły mu być obojętne inne kobiety, co nie znaczyło, że ich nie zauważał. Na przykład, gdy chodziło o szynkarkę z niezwykle wydatnym biustem lub wytworną młodą damę obdarzoną wyjątkowo interesującymi ustami. Nie sposób było czegoś takiego ignorować.

A jeśli się już coś podobnego widzi, jest to - rzecz jasna - interesujące, nic więcej! A to oznaczało, że Gregory może spokojnie zjeść śniadanie. Jajka, jak uznał, polepszą mu nastrój. Bekon również.

W jadalni zastał jedynie pięćdziesięcioletniego pana Snowe'a, sztywnego jak zawsze. Na szczęście bardziej obchodziła go gazeta niż konwersacja. Gregory mruknął coś zdawkowego na powitanie, usiadł przy przeciwległym końcu stołu i zabrał się do jedzenia.

Jakże znakomite okazały się tego ranka kiełbaski! Grzanki również były wyjątkowo dobre, należało je tylko porządnie posmarować masłem, a jajka trochę posolić. Nic więcej.

Spróbował solonego dorsza. Niczego sobie. Odgryzł kolejny kęs z zadowoleniem, a potem zaczął rozmyślać o polityce i rolnictwie. I o

fizyce Newtonowskiej. Powinien był jej poświęcić więcej uwagi w Eton.

W gruncie rzeczy przecież się nie interesował Lucindą. Wszystkiemu był winien mrok w bibliotece i jego zły nastrój. Czuł się, jakby go pominięto. A zaczął patrzeć na jej usta po prostu dlatego, że coś mówiła! W końcu gdzie miał patrzeć?

Uniósł widelec w przyptywie energii. Znow spróbował dorsza. Popił go herbatą. Nic tak nie splukuje przykrych wrażeń, jak wyśmienity napój. Pociągnął spory łyk i rozejrzał się nad brzegiem filiżanki. Usłyszał, że ktoś schodzi na dół.

A potem ona stanęła w drzwiach.

Aż zamrugął ze zdziwienia. Przyszła sama jedna! Czy chociaż raz widział ją bez Lucindy?

- Dzień dobry - odezwał się dokładnie takim tonem, jak należało. Życzliwym, bez śladu znudzenia, ale nie zanadto poufałym. No i bez śladu desperacji, jak mężczyźnie przystało.

Wzrok panny Watson prześlizgnął się po nim dość obojętnie. Nie wyglądała na uszczęśliwioną ani na zagniewaną. Ledwie interesowało ją, kim jest. Godne uwagi.

- Dzień dobry - odparła.

Do licha, dlaczego nie miałby spróbować właśnie teraz?

- Może zechce pani przy mnie usiąść?

Usta Hermiony się rozchyliły. Stanęła jak wryta, jakby nie wiedząc, co powinna zrobić. I zarazem jakby przewrotnie pragnęła dowieść, że coś ich jednak łączy. Dokładnie wiedział, co teraz myśli.

Och! W porządku, chyba wolno mu jeść śniadanie.

- Przyszłam tylko na chwilę - wyjaśniła. - Lucy źle się czuje. Obiecałam zanieść jej tacę z jedzeniem.

Trudno mu było sobie wyobrazić nieugiętą Lucindę w roli chorej, choć właściwie nie wiedział dlaczego. W końcu jej nie znał, rozmawiali ze sobą ledwie parę razy.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego?

- Nie sędzę - odparła, sięgając po talerz. Spojrzała na niego, mrużąc zadziwiające, zielone oczy. - Czy jadł pan rybę?

Spojrzał na dorsz.

- Teraz?

- Nie, wczoraj wieczorem.

- Chyba tak. Zwykle jadam wszystko, co podają. Zacisnęła na chwilę wargi, aż wreszcie wyszeptała:

- Ja również.

Gregory czekał na dokładniejsze wyjaśnienia, lecz Hermiona najwyraźniej nie zamierzała ich udzielić. Nałożyła niewielką porcję jajek i szynki na talerz, a potem, po chwili, dołożyła tam grzanekę.

Gregory odczekał, póki nie usiadła naprzeciw niego. Panna Watson łaskawie się uśmiechnęła, choć ledwo dostrzegalnie, i zaczęła jeść swoje jajka.

- Czy dobrze pani spała?

- Bardzo dobrze, dziękuję. - Otarła usta serwetką.

- A ja nie! - oznajmił. Jeżeli uprzejma konwersacja jej nie interesuje, to może lepiej podziała zaskoczenie?

- Bardzo mi przykro. - Spojrzała na niego przelotnie i wróciła do jajek.

- Miałem okropny sen. Po prostu koszmar.

- Bardzo mi przykro - powtórzyła obojętnie i odkroiła kawałek bekonu.

- Nie mogę go sobie dokładnie przypomnieć - ciągnął.

Oczywiście zmyślał. Nie spał wprawdzie zbyt dobrze, ale też nie nękały go żadne koszmary. Za wszelką cenę chciał ją jednak wciągnąć do rozmowy. - Czy pani pamięta swoje sny?

Hermiona zastygła, z widelcem uniesionym do ust. Och, doskonale wiedział, co ona sobie myśli. Po cóż, na miłość boską, zadaje takie pytanie?

- Ehm... Nie - odparła. - Na ogół nie.

- Naprawdę? Intrygujące, ja pamiętam chyba z połowę moich.

Kiwnęła głową. Pewnie dlatego, że nie miała ochoty wymyślać odpowiedzi.

- Śniła mi się burza, bardzo wyraziście. Gromy i błyskawice.

Dramatyczny sen.

Obejrzała się powoli za siebie.

- Panno Watson... Znów spojrzała na niego.

- Zdawało mi się, że coś słyszę.

Pewnie rzeczywiście chciałyby coś usłyszeć. Jego talent do czytania w myślach panny Watson jakby osłabł.

- O czym to ja mówiłem?...

Panna Watson zaczęła jeść z wielkim pośpiechem. Nie uda się jej tak łatwo umknąć!

- Ach, o deszczu. Lało jak z cebra. Istna powódź. A ziemia pod moimi nogami zaczęła mięknać i wciągać mnie w głąb.

Celowo urwał i utkwiał w niej wzrok, nim zdołała cokolwiek powiedzieć. Po chwili pełnej napięcia ciszy uniosła wreszcie oczy znad talerza. Kawałeczek jajka zatrzęsł się na końcu widelca.

- Ziemia zaczęła mięknać... - ciągnął, usiłując się nie roześmiać.

- To musiało być... nieprzyjemne.

- I było - przytaknął z ożywieniem. - Już myślałem, że mnie pochłonie całkowicie. Czują pani kiedykolwiek coś podobnego?

Milczała.

- Nie, nie sądzę - odparła po chwili. Podrapał się za uchem, a potem zaimprovizował.

- Nie podobało mi się to wcale... O mało nie zakrztusiła się herbata.

- No bo komu mogłoby się podobać?

Po raz pierwszy, odkąd ją spotkał, maska obojętności spadła z jej twarzy, gdy stwierdziła:

- Myślę, że chyba nikomu.

Nawet pokiwała przy tym głową! Odniósł potrójny sukces! Wypowiedziała całe zdanie, okazała cień zainteresowania i pokiwała głową! Nareszcie!

- No i co było potem, panie Bridgerton?

O Boże, zadała mu pytanie! O mało nie spadł z krzesła.

- Potem się obudziłem.
- Całe szczęście.
- Ja też tak uważam. Mówią, że jeśli komuś przyśni się śmierć, to taki ktoś umrze we śnie.
- Kto tak twierdzi? - Spojrzała na niego oczami okrągłymi ze zdumienia.
- Moi bracia - wyjaśnił. - To informacja z pierwszej ręki.
- Ja także mam brata - powiedziała. - Lubi mi dokuczać. Gregory potwierdził z powagą.
- Bracia mają taki zwyczaj.
- Czy pan dokucza swoim siostram?
- Przeważnie najmłodszej z nich.
- Dlatego, że jest najmłodsza?
- Nie, dlatego, że jej się należy.
- Pan jest okropny! - stwierdziła ze śmiechem.
- Nie ma pani pojęcia, jaka potrafi być Hiacynta.
- Jeśli jest aż tak nieznośna, że musi jej pan dokuczać, zasłużyła sobie na moje uwielbienie.

Odetchnął z ulgą. Nie musiał się już dłużej wysilać.

- Brat jest pewnie od pani starszy? Potwierdziła.
- Właśnie dlatego mi dokucza, że jestem młodsza.
- A pani na to nie zasługuje?
- Oczywiście, że nie!

Nie wiedział, czy to żart, czy nie.

- Gdzie on teraz jest?

- W Trinity Hall. - Skończyła jajko. - Studiuje w Cambridge.  
Brat Lucy także. Za rok kończy naukę.

Po cóż ona mu to mówi? Wcale nie był ciekaw nowin o bracie  
Lucindy Abernathy.

Panna Watson odkroiła kolejny kawałek bekonu i uniosła go do  
ust. Gregory również jadł, spoglądając na nią ukradkiem. Boże, ależ  
była śliczna! Chyba nigdy jeszcze nie widział kobiety o takiej  
karnacji. Co za cera! Większość mężczyzn sądzi pewnie, że o jej  
urodzie decydują oczy i włosy. Owszem, właśnie one sprawiały, że  
zapierało dech, gdy się na nią patrzyło, lecz jej cera była niczym  
alabaster o różnym odcieniu.

Przestał nagle jeść. Nie miał pojęcia, że robi się tak poetycki.

Panna Watson opuściła widelec.

- No, cóż - powiedziała z leciutkim westchnieniem - mogę już  
chyba zanieść talerz Lucy.

Natychmiast wstał, żeby ją odprowadzić. Wielkie nieba,  
powiedziała to w taki sposób, jakby wcale nie chciała odejść!  
Pogratulował sobie w duchu.

- Poproszę służbę, żeby się tym zajęła - powiedział i skinął na  
lokaja.

- Och, dziękuję bardzo. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością, na  
co jego serce zaczęło gwałtownie łomotać. Dotąd uważał to tylko za  
przenośnię, lecz teraz się przekonał, jak to jest naprawdę. Miłość  
rzeczywiście wpływa na organy wewnętrzne!

- Proszę pozdrowić ode mnie pannę Lucindę - oświadczył, patrząc ze zdumieniem, jak Hermiona nakłada na talerz pięć płatów bekonu.

- Lucinda go lubi - wyjaśniła.

- Widzę.

A potem dołożyła jeszcze jajek, dorsza, ziemniaków, pomidorów. Na osobnym talerzu umieściła bułeczki i grzanki.

- Śniadanie to jej ulubiony posiłek - wyjaśniła.

- Mój też.

- Powiem jej o tym.

- Nie wiem, czy okaże zainteresowanie.

Do pokoju weszła służąca z tacą. Panna Watson postawiła na niej talerze.

- Na pewno to zrobi - powiedziała życzliwie. - Lucindę wszystko interesuje. Nawet liczy w pamięci dla zabawy.

- Chyba pani żartuje? - Gregory nie mógł sobie wyobrazić mniej atrakcyjnego zajęcia.

- Daję panu słowo. Sądzę, że pragnie się ćwiczyć w matematyce, bo nigdy nie była w niej dobra. - Hermiona, już w drzwiach, odwróciła się ku niemu. - Miło mi było zjeść z panem śniadanie.

Dziękuję za towarzystwo i konwersację.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Tylko tym razem wcale tak nie było. Hermiona także świetnie się bawiła. Widział to. Poznał po uśmiechu i oczach. Czuł się niczym król.



- Czy wiesz, że jak śni ci się śmierć, to umrzesz we śnie? Lucy nie przerwała nawet krajania bekonu.

- Nonsens - odparła. - Kto ci tak powiedział? Hermiona przysiadła na skraju łóżka.

- Bridgerton.

Lucy uniosła natychmiast wzrok znad bekonu. To było coś ważniejszego!

- Widziałaś się z nim przy śniadaniu?

- Siedzieliśmy naprzeciw siebie - potwierdziła przyjaciółka. - Pomógł mi poradzić sobie z tacą.

Lucy z konsternacją przyjrzała się kopiastym porcjom. Zazwyczaj usiłowała powściągnąć rano swój zachłanny apetyt i brać dokładkę dopiero wtedy, gdy pierwsza fala gości opuszczała jadalnię. Teraz nie musiała. A Gregory Bridgerton najwyraźniej uznał ją za żarłoka.

- Był dziś całkiem zabawny. - Hermiona z roztargnieniem kręciła w palcach kosmyk włosów.

- Słyszałam, że jest czarujący.

- Hm.

Lucy spojrzała na nią uważniej. Hermiona wyglądała przez okno, a jeśli nawet nie miała tego komicznego spojrzenia kogoś, kto powtarza sobie w myśli słowa sonetu miłosnego, to przynajmniej wyglądała na osobę, która go przeczytała.

- Wyjątkowo przystojny młodzieniec - zaczęła. Zabrzmiało to dokładnie tak, jak powinno, dość niewinnie. Wcale nie tak, jakby

zamierzała złapać go na męża. Był na tyle przystojny, by jej słowa były prostym stwierdzeniem faktu.

- Naprawdę tak uważasz? - Hermiona odwróciła się w jej stronę, zamyślona.

- O, tak. Zwłaszcza te jego oczy. Przepadam za orzechowymi. Zawsze zresztą za nimi przepadałam.

W gruncie rzeczy nic jej to nie obchodziło, lecz po zastanowieniu uznała orzechowe oczy za całkiem ładne. Trochę w nich było brązu, trochę zieleni, a jedno i drugie wcale niebrzydkie.

- Nie wiedziałam o tym. - Hermiona popatrzyła na nią zdziwiona.

- W końcu nie mówię ci wszystkiego.

Kolejne kłamstwo. Hermiona od trzech lat wiedziała o niej wszystko co do joty, oprócz - rzecz jasna - planów wyswatania jej z Bridgertonem. Powinna teraz tak pokierować rozmową, żeby zeszła na niego.

- Chyba przyznasz - powiedziała z naciskiem - że nie jest wcale banalnym pięknisiem.

- Bridgerton?

- Owszem. Nos ma całkiem spory, nie uważasz? A brwi trochę nierówne. - Aż się wzdrygnęła. Nie miała pojęcia, że tak dokładnie mu się przyglądała. Przyjaciółka bez słowa kiwnęła głową, więc Lucy ciągnęła dalej:

- Nie chciałabym wyjść za kogoś nazbyt przystojnego. To musi onieśmielać. Czułabym się głupio za każdym razem, kiedy przychodziłoby mi otworzyć usta.

- Głupio?! - Hermiona parsknęła śmiechem.

Lucy postanowiła poprzestać na tym. Ciekawe, czy adoratorzy Hermiony także nie chcieliby mieć zbyt pięknej żony?

- Ma ciemne włosy - stwierdziła przyjaciółka.

- Nie zanadto. - Lucy uważała, że Gregory jest szatynem.

- A Edmonds takie jasne!

Edmonds istotnie miał piękne, płowe włosy. Lucy zamilkła. Wiedziała, że musi zachować ostrożność. Jeśli zacznie zbyt wyraźnie popychać Hermionę ku Bridgertonowi, ta z pewnością jeszcze bardziej się pogрузy w miłość do Edmondsa, co byłoby katastrofalne.

Nie, tu trzeba działać subtelniej. Jeżeli przyjaciółka miała przenieść uczucia na Bridgertona, Lucy powinna robić wrażenie, że jej samej na nim nie zależy.

- Ma całkiem udanych krewnych - mruknęła Hermiona.

- Edmonds?

- Nie, Bridgerton. Słyszałam o nich wiele dobrego.

- Och, wiem. Ja też. Podziwiam lady Bridgerton. To wspaniała gospodyni - stwierdziła Lucy.

- Ale lubi cię bardziej niż mnie. Przynajmniej takie odnoszę wrażenie.

- Nie mów głupstw.

- Właściwie jest mi to obojętne - Hermiona wzruszyła ramionami. - Nie powiedziałam przecież, że mnie nie znosi. Po prostu ciebie lubi bardziej. Zresztą inne kobiety także wolą ciebie.

Lucy już chciała zaprzeczyć, lecz zamilkła. Hermiona mówiła prawdę. Ze też ona sama nigdy tego nie zauważyła!

- To zresztą bez znaczenia, przecież za niego nie wyjdiesz. Hermiona spojrzała na nią ostro.

- Nie powiedziałam, że chcę wyjść za Bridgertona!

- Oczywiście, że nie - powiedziała na głos Lucy, a w duchu chętnie by ją kopnęła. Wiedziała zresztą, że kłamie.

- Tylko że... - Hermiona westchnęła i zagapiła się w przestrzeń. Lucy nie mogła tego dłużej znieść.

- Hermiono...

Przyjaciółka rzuciła się na łóżko.

- Och, Lucy! - wykrzyknęła tonem godnym operowej primadonny. - Sama nie wiem, co robić!

- Naprawdę? - Lucy nabrała nadziei.

- Tak - odparła Hermiona, rozciągnięta na łóżku w zgoła nieeleganckiej pozie. - Kiedy siedziałam z nim przy śniadaniu, najpierw wydało mi się, że zbzikował, ale potem naprawdę mnie rozbawił.

Lucy milczała, czekając, aż Hermiona zbierze myśli.

Przyjaciółka wydała dziwny dźwięk - ni to westchnienie, ni jęk.

- A kiedy sobie z tego zdałam sprawę, spojrzałam na niego i... - Tu Hermiona przewróciła się na bok, uniosła na łokciu i wsparła podbródek dłonią. - Aż mnie poniosło!

Lucy długo zastanawiała się nad tym zdumiewającym wyznaniem.

- Cóż cię znowu poniosło?

- Wszystko. Zresztą sama nie wiem co!

- Czułaś się tak samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzałaś Edmonsa?

- Nie. Nie. Nie! - Każde z tych „nie” było akcentowane inaczej, a Lucy wyraźnie poczuła, że Hermiona usiłuje przekonać o czymś samą siebie.

- Wcale nie tak samo, ale... Trochę tak samo. Na mniejszą skalę.

- Rozumiem - odparła Lucy z należytą powagą, chociaż wcale nie rozumiała. No, ale ona w ogóle nie rozumiała takich rzeczy. A po dziwnej nocnej rozmowie z Bridgertonem uznała, że nie pojmie ich nigdy.

- Czy nie sądzisz - spytała Hermiona - że jeśli tak rozpaczliwie kocham Edmonsa, to nie powinnam odczuwać niczego w tym rodzaju, widząc kogoś innego?

Lucy się zamyśliła i w końcu odparła:

- Nie wiem, dlaczego miłość musi prowadzić do desperacji.

Hermiona wsparła się na obydwu łokciach i spojrzała na nią zdumiona.

- Wcale tego nie mówiłam.

Naprawdę? Nie mówiła? A czy nie powinna była powiedzieć?

- No cóż - Lucy ostrożnie dobierała słowa - może to znaczy, że...

- Wiem, co masz zamiar powiedzieć! - ucięła Hermiona. - Że nie kocham Edmondsa tak głęboko, jak mi się zdaje! A potem dodasz, Że powinnam dać Bridgertonowi szansę. I że powinnam ją dać również wszystkim innym!

- No, nie wszystkim... - zaczęła Lucy i urwała.

- Nie rozumiesz, co przeżywam? Nie zdajesz sobie sprawy, jak mnie to przygnębia? Boże, Lucy, dlaczego to trwa i trwa bez końca? A jeśli się zdarzy jeszcze raz, z kimś innym?

Lucy wolałaby nie odpowiadać jej wcale, ale to zrobiła.

- W twoich rozterkach nie ma nic złego. Małżeństwo to poważna rzecz. Najważniejsza w życiu. Kiedy się już zdecydujesz, nie ma odwrotu.

Spróbowała bekonu i znowu uznała, że prawdziwie się jej poszczęściło z Haselbym. Mogła trafić dużo gorzej.

- Wystarczy, że trochę poczekaasz, Hermiono. Nawet powinnaś poczekać. Nie trzeba się zanadto spieszyć z małżeństwem.

Przyjaciółka odparła po długiej chwili.

- Pewnie masz rację.

- Jeśli naprawdę pragniesz poślubić Edmondsa, to powinien na ciebie poczekać.

O Boże, czy naprawdę powiedziała coś takiego? Hermiona zeskokczyła z łóżka, jakby miała zamiar mocno ją uściskać.

- Och, Lucy, to najwspanialsza rzecz, jaką mi powiedziałaś. Myślałam, że go nie lubisz.

Lucy odkaszlnęła, głowiąc się nad odpowiednią repliką, która nie pociągnęłaby za sobą poczucia winy. -Ja...

Ktoś zapukał do drzwi. Niech to licho!

- Proszę wejść! - zawołały jednocześnie obydwie. Służąca złożyła im krótki ukłon.

- Milady - zwróciła się do Lucy - przyjechał lord Fennsworth i chce się z panienką widzieć.

- Mój brat? - Lucy spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Czeka w różowym salonie. Czy mam powiedzieć, że panienka zaraz zejdzie?

- Tak, tak. Oczywiście.

- Czy coś jeszcze powtórzyć?

- Nie, dziękuję. - Lucy zaprzeczyła po namyśle. - To wszystko. Służąca się wycofała. Spojrzały na siebie zdziwione.

- Po co tu przybył? - spytała Hermiona, mocno zaciekawiona. Widywała już brata Lucy i zawsze były to spotkania przyjazne.

- Nie wiem. Lucy zerwała się na nogi, zapominając, że ma udawać chorą. - Mam nadzieję, że nic się nie stało.

- Może twój stryj się rozchorował?

- Wiedziałabym już o tym. - Lucy siadła na brzegu łóżka, żeby włożyć pantofle. - Lepiej zejdę i spytam Richarda, o co chodzi. Jeśli pofatygował się osobiście, musi to być coś ważnego.

Hermiona przyglądała się jej przez chwilę.

- Chcesz, żebym ci towarzyszyła? Nie będę się wtrącać do rozmowy, tylko zejdę razem z tobą. - Oczywiście, jeśli masz na to ochotę.

Lucy kiwnęła głową i obie poszły do różowego salonu.

## Rozdział 7

### *W którym niespodziewany gość przynosi niewesołe wieści*

Gregory gawędził właśnie z bratową w pokoju śniadaniowym, gdy kamerdyner powiadomił ją o nieoczekiwanej wizycie. Postanowił razem z nią powitać w różowym salonie lorda Fennswortha, starszego brata Lucindy. Nie miał zresztą nic lepszego do roboty. Poza tym uważał, że powinien przywitać się z młodym hrabią, o którym Hermiona wspomniała kwadrans wcześniej. Znał go tylko ze słyszenia. Różnica wieku - brat Lucy był młodszy od niego o cztery lata - sprawiła, że nie poznali się bliżej na studiach, a do londyńskiego towarzystwa Fennsworth jeszcze nie wszedł.

Spodziewał się ujrzeć mola książkowego, bo słyszał, że Fennsworth z własnej woli pozostał w Cambridge po skończeniu obowiązkowych wykładów. Istotnie, młodzieniec, który stał przy oknie w różowym salonie, robił wrażenie poważnego, dzięki czemu wyglądał na starszego niż w rzeczywistości. A choć był nieco nieśmiały, miał w sobie sporo pewności siebie. Zresztą może zawdzięczał to tytułowi.



Brat Lucindy spodobał się Gregory'emu od razu, póki ten nie zrozumiał, że - podobnie jak reszta mężczyzn - Fennsworth był do szaleństwa zakochany w Hermionie Watson. Było to zresztą do przewidzenia i dziwić mogło jedynie to, że Gregory był tym zdumiony. Pozdrowił gościa dopiero po dłuższej chwili, kiedy Fennsworth przestał w końcu wypytywać, jak się miewa siostra, i dodał:

- A panna Watson? Czy jej, jak zwykle, towarzyszy?

Gregory'ego uderzyły nie tyle słowa, co ton, którym je wypowiedziano, a najbardziej spojrzenie, pełne czujności i wyczekiwania, a także rozpaczliwej tęsknoty. Nie powinno go to dziwić. Pewnie jego własny wzrok podczas kilku ostatnich dni był taki sam.

Co prawda Fennsworth nadal wydawał mu się sympatyczny - nawet mimo swego zadurzenia - lecz cała ta sytuacja zaczęła Gregory'ego męczyć.

- Miło nam powitać pana w Aubrey Hall, lordzie Fennsworth - zaczęła Kate, gdy już mu wyjaśniła, że nie wie, czy panna Watson zejdzie na dół razem z jego siostrą. - Mam nadzieję, że nie sprowadza tu pana żaden przykry powód.

- Bynajmniej. Stryj zażądał, żebym odwiózł Lucy do domu. Chce się z nią widzieć w ważnej sprawie.

Gregory nieznacznie się uśmiechnął.

- Musi pan być bardzo oddany siostrze, skoro przyjechał pan osobiście. Przecież wystarczyłoby przysłać powóz.

Brat Lucy - trzeba mu przyznać - nie zmieszał się. Trochę jednak zwlekał z odpowiedzią.

- Och, nie, przyjechałem z chęcią. Lucy jest wprawdzie w dobrym towarzystwie, lecz nie widzieliśmy się od dawna.

- Czy musi pan zaraz wracać? - spytała Kate. - Miło mi gościć u siebie pańską siostrę. Chętnie byśmy przyjęli w gościnę również i brata.

Gregory nie mógł zrozumieć, do czego zmierza Kate. Musiałaby przecież zaprosić jakąś damę do pary, gdyby Fennsworth zamierzał zostać. Chociaż po wyjeździe Lucy miałyby taki sam problem.

Młody hrabia się zawahał i Kate skorzystała z tego, by zawołać:

- Och, niechże pan zostanie!

- No, dobrze - zgodził się Fennsworth. Rzecz jasna, jak najbardziej chciał zostać (a Gregory był zdania, że wie, dlaczego). Lecz utytułowany czy nie, Fennsworth, młody jeszcze człowiek, powinien słuchać stryja we wszystkim, co tyczyło rodziny. Przecież sam powiedział, że ten życzył sobie szybkiego powrotu Lucindy.

- Chyba nic się nie stanie, jeśli przedłużę swój pobyt tutaj o jeden dzień - uznał brat Lucy.

Och, co za spryciarz! Chciał zyskać na czasie, żeby dłużej przebywać w towarzystwie panny Watson. Był bratem Lucindy i jedynym mężczyzną, którego Hermiona nie mogła traktować ze swoim zwykłym, wyniosłym znudzeniem. Gregory gotów był przystąpić do zażartej rywalizacji.

- Proszę się zgodzić i zostać do piątku - prosiła Kate. - W czwartek wieczorem zamierzamy wydać bal maskowy. Zmartwiłoby mnie, gdyby pan nie wziął w nim udziału.

Gregory postanowił, że musi dać Kate na najbliższe urodziny jakiś miły prezent. Może cukierki?

- To tylko kolejny dzień dłużej - ciągnęła z triumfalnym uśmiechem.

W tej chwili Lucinda i panna Watson weszły do salonu. Hermiona miała na sobie tę samą jasnobłękitną suknię, co podczas śniadania, a Lucinda - zieloną. Fennsworth spojrzął na obydwie, na jednej zatrzymał wzrok dłużej, i wymruczał:

- Zgoda.

- Wspaniale! - Kate aż klasnęła w dłonie. - Zaraz każę przygotować panu pokój.

- Dlaczego przyjechałeś? - spytała Lucy, zatrzymując się w drzwiach i patrząc na obecnych, najwyraźniej zaskoczona widokiem Gregory'ego i Kate.

- Lucy, nie widziałem cię przecież od wieków.

- Od czterech miesięcy - odparła bez wahania, jakby coś jej kazało uściślić jego słowa, nawet w tak błahej kwestii.

- Ależ to bardzo długo! - uznała Kate. - Zostawimy was teraz, bo siostra pewnie chciałaby pomówić z panem na osobności.

- Nie ma pośpiechu - wzrok Fennswortha zatrzymał się przelotnie na pannie Watson. - Nie chciałbym być nieuprzejmy. Nawet nie zdołałem podziękować pani za gościnność.

- Ależ nie ma w tym żadnej nieuprzejmości - wpadł mu w słowa Gregory, usiłując wyjść z salonu z Hermioną pod rękę.

Fennsworth wyraźnie się zdziwił, jakby całkiem zapomniał o obecności Gregory'ego. Nic dziwnego, skoro ten przez cały czas milczał!

- Proszę sobie nie przeszkadzać. Porozmawiam z Lucy nieco później.

- Richardzie - Lucy wyglądała na nieco przejętą - nie spodziewałam się ciebie. Czy stało się coś niedobrego?

Brat gwałtownie pokręcił głową.

- Bynajmniej. Po prostu stryj Robert pragnie się z tobą widzieć. Zażądał, żebym odwiózł cię do domu.

- Teraz?

- Nie powiedział dokładnie kiedy. A że lady Bridgerton poprosiła, żebym został do piątku, zgodziłem się na to. To znaczy... - odchrząknął - gdybyś ty również tego pragnęła, oczywiście.

- Tak - odparła Lucy trochę sztywno, zmieszana. - Tylko że... stryj Robert...

- Idziemy - postanowiła Hermiona. - Lucy, powinnaś porozmawiać z bratem sam na sam.

Lucinda spojrzała na Richarda, lecz ten skorzystał z tego, że Hermiona wtrąciła się do rozmowy, by na nią spojrzeć.

- Jak się pani miewa? - spytał. - Długo pani nie widziałem.

- Cztery miesiące - powtórzyła Lucinda.

Panna Watson uśmiechnęła się serdecznie do lorda.

- Miewam się dobrze, dziękuję. A Lucy, jak zwykle, ma rację. Ostatnim razem rozmawialiśmy ze sobą w styczniu, kiedy odwiedził ją pan w szkole.

- Jakże mógłbym zapomnieć o tak miłej wizycie?

Gregory mógł się założyć, że Fennsworth wie dokładnie, jak dawno temu ostatni raz widział pannę Watson, ale ona tylko się roześmiała.

- Doprawdy? Zabrał nas pan wtedy na ślizgawkę, co było bardzo miłe. W pana towarzystwie czułam się doskonale.

Czy ona niczego nie widzi? Chyba nie ośmielałaby go tak wyraźnie, gdyby zdawała sobie sprawę z jego prawdziwych uczuć! Gregory był pewien, że Fennsworth jest zakochany. Chociaż rzucało się w oczy, że Hermiona bardzo lubi brata swojej przyjaciółki, nic nie wskazywało na to, by się w nim durzyła. Obydwoje najwyraźniej znali się od lat, więc siłą rzeczy musiała go życzliwie traktować. Byli wręcz jak rodzeństwo.

Nie zdziwiło go też zaniepokojenie Lucindy. Brat, który cały dzień spędził w drodze, żeby móc się z nią spotkać, najwyraźniej nie kwapił się teraz do rozmowy. Milczał. Wszyscy inni również. Gregory obserwował to z zaciekawieniem. Każdy z obecnych patrzył gdzieś w bok, czekając, aż ktoś inny się odezwie. Nawet Lucinda - której nikt nie nazwałby nieśmiałą - nie wiedziała, co począć.

- Lordzie Fennsworth - przerwała wreszcie ciszę Kate - musiał pan zgłodnieć. Zje pan może kolację?

- Chętnie, lady Bridgerton. Kate zwróciła się do Lucindy.

- Pani również nie widziałam na śniadaniu. Może teraz...

Gregory przypomniał sobie wypełnioną jedzeniem tacę i ciekaw był, ile też zdołała zjeść, nim zeszła, żeby przywitać się z bratem.

- Ach, oczywiście - zgodziła się. - Dotrzymam państwu towarzystwa.

- Panno Watson - zaczął gładko Gregory - może przejdziemy się po ogrodzie? Właśnie zakwitły peonie i te niebieskie kwiatki... na badylastych łodygach... Zawsze zapominam, jak one się nazywają.

- Ostróżki. - Rzecz jasna, Lucinda! Wiedział, że się od tego nie powstrzyma. - Przecież już raz panu mówiłam.

- Tak, ale jakoś nie mam głowy do szczegółów.

- Och, Lucy pamięta wszystko - odparła pospiesznie Hermiona - a ja z przyjemnością przyjmę pana zaproszenie, jeśli Lucy i Richard się nie obrażą...

Obydwoje zapewnili, że nie, choć Gregory był pewien, że w oczach Fennswortha błysnęło rozczarowanie i złość. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Czy spotkamy się potem w naszej sypialni? - spytała Lucindę panna Watson. Lucy potwierdziła i Gregory z uczuciem triumfu - nie ma nic lepszego niż zwycięstwo nad rywalem - ujął Hermionę pod ramię. A potem wyszedł razem z nią z salonu.

To był naprawdę wspaniały ranek!

Lucy poszła z bratem i lady Bridgerton do pokoju śniadaniowego. Nie zdołała wiele zjeść z tacy przyniesionej przez Hermionę. Oznaczało to jednak, że musi teraz przeczekać

konwencjonalną półgodzinną rozmowę, podczas której przyjdą jej na myśl wszelkie możliwe nieszczęścia, jakie mogły być powodem nagłego wezwania jej do domu.

Richard nie mógł z nią mówić otwarcie w obecności lady Bridgerton i połowy gości rozprawiających o jajkach na miękko oraz ostatnim deszczu. Czekwała więc wytrwale, póki nie skończył śniadania, a zawsze jadł wyjątkowo powoli. Uzbroidła się w cierpliwość. Wreszcie wyszli do parku. Richard najpierw spytał ją o szkołę, później zaś o Hermionę, o jej matkę, o zbliżający się debiut Lucy, znów o Hermionę - z której bratem zetknął się nieoczekiwanie w Cambridge -jeszcze raz o jej debiut i o to, w jakiej mierze pragnie dzielić go z Hermioną...

Wreszcie straciła cierpliwość i zażądała, żeby w końcu wyjaśnił cel swojej wizyty.

- Już ci mówiłem - odparł, unikając jej wzroku. - Stryj chce z tobą pomówić.

- Ale dlaczego? - spytała, choć pytanie nie wymagało odpowiedzi. Stryj Robert w ostatnich dziesięciu latach prawie z nią nie rozmawiał. Jeśli zamierzał to zrobić...

Richard odchrząknął kilkakrotnie, nim wreszcie zaczął.

- Myślę, że zamierza cię wydać za męża...

- Natychmiast? - przerwała mu. I nie wiadomo, dlaczego poczuła zaskoczenie. Przecież wiedziała, że tak się kiedyś stanie. Od lat była w końcu zaręczona. Niejeden raz powtarzała też Hermionie, że nie

wybiera się na londyński sezon. Po cóż niepotrzebnie wydawać pieniądze, skoro ma wyjść za Haselby'ego?

A jednak poczuła nagle, że wcale tego nie chce. Przynajmniej nie tak szybko. Nie chciała przeobrażać się z pensjonarki od razu w żonę. I nie chodziło o żadne romanse! Wcale ich sobie nie życzyła. Pragnęła po prostu paru miesięcy swobody, wesołości i tańców do upadłego.

Mogła sobie być praktyczną, zacną Lucy, jak nazywało ją wiele koleżanek ze szkoły panny Moss, ale lubiła i chciała tańczyć. Nim się stanie dorosła. Nim wyjdzie za Haselby'ego.

- Sam nie wiem - odparł wreszcie brat, patrząc na nią jakby z żalem. Dlaczego miałby jej żałować? - Ale chyba nie potrwa to długo. Stryjowi Robertowi, nie wiem z jakiego powodu, pilno do tego.

Lucy spojrzała na niego uważnie, dziwiąc się w duchu, dlaczego nie może zaprzestać marzeń o tańcu. Dlaczego wciąż w wyobraźni widzi siebie w srebrno-błękitnej, wspaniałej sukni, w ramionach...

- Och! - Zakryła usta dłonią, jakby mogła w ten sposób odpędzić ten obraz od siebie.

- Co ci jest?

- Nic... nic.

Rojenia Lucy były mało konkretne. Nie mogły zresztą być inne.

- Absolutnie nic - powtórzyła.

Brat przestał się przyglądać polnemu kwiatkowi, który zdołał jakoś umknąć czujnemu oku miejscowego ogrodnika. Był niewielki, niebieski i dopiero zaczął rozkwitać.



- Śliczny, prawda? - mruknął Richard.

Skinęła głową. Richard zawsze przepadał za kwiatami, zwłaszcza polnymi. Pod tym względem się różnili. Ona wolała schludne rabatki, gdzie każda roślina miała swoje miejsce we wzorze. Lecz teraz...

Spojrzała na drobny, delikatny kwiatusek, który zuchwale rósł sobie tam, gdzie go nie posiano. I doszła do wniosku, że ona też lubi polne kwiaty.

- Wiem, że powinnaś pojechać na sezon - powiedział brat tonem przeprosin. - Czy to jednak takie ważne? Zdaje się, że nie miałaś specjalnej ochoty?

- Nie miałam - odparła z trudem, bo zaczęło ją dusić w gardle. Tyle że Richard pragnął właśnie takiej odpowiedzi, a ona nie chciała, by miał wyrzuty sumienia. Nie dbała o sezon. Przynajmniej do dzisiaj.

Richard pociągnął za łodyżkę kwiatka i wyrwał go z korzeniami. Spojrzał na nią i przystanął.

- Głowa do góry, Lucy! - Ujął ją lekko pod brodę. - Haselby nie jest taki znów najgorszy. Nie będziesz żałować, że za niego wyszłaś.

- Wiem.

- Nie zrobi ci krzywdy - dodał i się uśmiechnął, choć niezbyt szczerze. Uśmiech ten miał ją pocieszyć, lecz wcale się tak nie stało.

- Też tak sędzę - przyznała niepewnie. - Dlaczego zresztą miałby mnie krzywdzić?

- Nie ma żadnego powodu - zapewnił ją pospiesznie - żeby się bać. Wiem jednak, że wiele kobiet się lęka, bo nie wszyscy mężowie traktują żony z szacunkiem. On taki nie będzie.

Przytaknęła mu. Oczywiście mówił prawdę. Słyszała o różnych rzeczach. Każda dziewczyna na pensji o nich słyszała.

- Nie pożałujesz tego. Chyba go nawet polubisz. Jest całkiem sympatyczny.

Sympatyczny. To dobrze. To coś lepszego niż niesympatyczny.

- Zostanie kiedyś hrabią Davenport - dodał Richard, mimo że dobrze o tym wiedziała. Będiesz hrabiną. To nie byle co.

Właśnie. Koleżanki zawsze jej mówiły, że ma szczęście z takimi perspektywami na przyszłość. Była hrabiowską córką i siostrą hrabiego. A teraz zostanie żoną kolejnego. Nie mogła się skarżyć, a jednak czuła, że jest na łasce losu. A to było najgorsze ze wszystkiego.

- Przecież wiedziałaś, że to kiedyś nastąpi. Wszyscy wiedzieliśmy.

- Nieważne - odparła, usiłując odnaleźć swój zwykły, rzeczowy ton. - Nie sądziłam tylko, że tak prędko.

- Dziwi mnie, że cię to zaskoczyło. Nikt przed tobą nie ukrywał, że zostaniesz jego żoną. Pomyśl tylko, będziesz planować wesele. Co za gratka! Stryj powiada, że ślub ma być bardzo huczny i zostanie zawarty w Londynie. Davenport na to nalegał.

O tak, lubiła coś planować, lubiła poczucie obowiązku, które temu towarzyszyło.

- Hermiona będzie oczywiście twoją druhną - dodał Richard.

- Naturalnie. - Kogóż innego mogła w końcu wybrać?

- Czy jej w jakimś kolorze mniej do twarzy? - Richard

zmarszczył nagle brwi. - No, bo przecież ty będziesz panną młodą i nikt nie powinien cię zaćmić.

Co z niego za brat! Lucy wzniosła oczy ku niebu. Nie rozumie, że ją obraził. Powinna się zresztą była spodziewać czegoś w tym rodzaju. Hermiona tak słynęła z urody, że nikt nie śmiał jej z nią porównywać. Nie należało się ludzić.

- Przecież nie może się ubrać na czarno! - Był to jedyny kolor, jaki, jej zdaniem, nie pasował do Hermiony.

- Pewnie, że nie - Richard urwał. Lucy spojrzała na niego z niedowierzaniem. Brat, któremu zawsze trzeba było długo wyjaśniać, co jest twarzowe, a co nie, interesował się strojem jej przyjaciółki?!

- Może nosić każdy kolor. Jaki tylko zechce. Nikt nie znaczy dla mnie więcej od niej.

- Bardzo to miłe z twojej strony - uznał i spojrzał na nią w zadumie. - Dobra z ciebie przyjaciółka, Lucy.

Wiedziała, że powinna przyjąć jego słowa za komplement, a tymczasem dziwiła się tylko, że tak długo nad nim rozmyślał. Richard uśmiechnął się do niej, a potem znów popatrzył na polny kwiatek, który wciąż trzymał w palcach. Pokręcił nim kilka razy, oderwał część łodyżki wraz z korzonkami, a potem włożył Lucy kwiatek za dekolt. Suknia i płatki były tej samej barwy - lekko liliowe z popielatym odcieniem.

- Powinnaś włożyć coś w takim kolorze - stwierdził. - Do twarzy ci w nim.

W jego słowach zabrzmiało pewne zaskoczenie. Lucy zrozumiała, że powiedział to szczerze. Podziękowała. Zawsze uważała, że ten błękit uwydatnia blask jej oczu. Richard był poza Hermioną pierwszą osobą, która to zauważyła.

- Chyba tak zrobię - przyznała.

- Może już wrócimy? - spytał. - Na pewno zechcesz opowiedzieć Hermionie o wszystkim.

- Nie, dziękuję. Wolałabym zostać tu jeszcze przez chwilę. - Wskazała na ścieżkę wiodącą ku stawowi. - Niedaleko jest ławka. No i słońce tak ładnie świeci.

Richard spojrzał na niebo.

- Zawsze mówiłaś, że od słońca robią ci się piegi.

- Przecież i tak je mam. Nie zostanę tu zbyt długo. - Nie miała w planach spaceru po ogrodzie, więc nie zabrała kapelusza. Ale było jeszcze wcześnie. Kilka minut pobytu na słońcu nie zrujnuje jej cery. Poza tym pragnęła tego.

- Zobaczymy się przy obiedzie?

- Podają go wpół do pierwszej.

- Jak zwykle wiesz wszystko.

- Świetnie mieć brata! - mruknęła.

- Jak to świetnie mieć siostrę. - Richard pochylił się i pocałował ją w czoło. Była tym kompletnie zaskoczona.

- Och - wyjąkała, zmieszana i przejęta.

- No, idź już - odparł tak serdecznie, że pojedyncza łza spłynęła jej po policzku. A przecież nigdy nie płakała i była z tego znana. Starła ją zaraz, zażenowana tym, że to widział, i tym, że ją uroniła.

Brat ruchem głowy wskazał na trawnik.

- No idź, popatrz sobie na drzewa i rób, co tylko chcesz, jeśli poczujesz się potem lepiej.

- Wcale się źle nie czuję - powiedziała pospiesznie. - A w takim razie nie muszę się czuć lepiej!

- Rozumiem. Po prostu trochę cię to zaskoczyło.

- Właśnie.

W gruncie rzeczy była zachwycona. Czekwała na tę chwilę od lat. Czyż to nie jest miło mieć zapewnioną przyszłość? Lubiła ład, lubiła uczucie pewności. Była tylko zaskoczona, nic więcej. Jak ktoś, kto nagle dostrzegł przyjaciela w nieoczekiwanym miejscu i ledwie go zdołał rozpoznać. Nie spodziewała się, że to nastąpi właśnie teraz. Tutaj, na party u Bridgertonów. I tylko z tego jednego jedyne go powodu czuła się jakoś dziwnie.

Tylko z tego powodu.

## Rozdział 8

*w którym nasza bohaterka dowiaduje się prawdy o swoim bracie (ale nie daje jej wiary), nasz bohater -prawdy o pannie Watson (ale się nią nie przejmuje), oboje zaś poznają prawdę o sobie (ale nie zdają sobie z tego sprawy).*

Godzinę później Gregory wciąż jeszcze gratulował sobie mistrzowskiej strategii, która pozwoliła mu opuścić salon razem z panną Watson. Spędzili wręcz cudowne chwile. Fennsworth zapewne także nie mógł narzekać, choć przypadło mu w udziale jedynie towarzystwo siostry, a nie prześlicznej Hermiony. Zwycięstwo jest czymś wspaniałym.

Gregory - zgodnie z obietnicą - zabrał Hermionę na spacer po ogrodach Aubrey Hall. Przy okazji zaimponował jej, i sobie, znajomością aż sześciu nazw botanicznych, w tym nawet ostróżki - choć, prawdę mówiąc, była to zasługa Lucindy.

Pozostałymi nazwami okazały się: róża, stokrotka, peonia, hiacynt i trawa. W sumie przyswoił je sobie nieźle, chociaż nigdy nie miał głowy do szczegółów. Zresztą wszystko to było tylko zabawą.

Panna Watson życzliwie przyjęła jego towarzystwo. Co prawda nie wzdychała ani nie trzepotała rzęsami, ale też nie traktowała go już z obojętnością. A dwa razy zdołał nawet sprawić, że się roześmiała.

Ona sama nie rozśmieszyła go ani razu, lecz chyba nawet tego nie próbowała. Mimo to Gregory uśmiechał się niejeden raz. Cieszyło

go, że znów jest w dobrej formie, że nie czuje już przykrego ucisku w piersi utrudniającego mu oddech, gdy próbował patrzeć na tył głowy panny Watson.

Ruszył właśnie na samotny spacer w kierunku stawu, ale na tę myśl wzdrygnął się i przystanął. Przecież z pewnością widział tył jej głowy tego ranka! Czyż się nie nachyliła, żeby powąchać któryś z kwiatów? A może i nie. Nie mógł sobie przypomnieć.

- Dzień dobry, panie Bridgerton.

Odwrócił się, zaskoczony, i ujrzał Lucindę na kamiennej ławce. Zawsze go dziwiło, że ustawiono tę ławkę akurat tutaj, naprzeciw kępy drzew. Może jednak był w tym pewien cel? Czyżby zrobiono tak po to, by móc się odwrócić plecami do pałacu i mnóstwa jego mieszkańców? Francesca, jego siostra, zwykła była mawiać, że po dwóch dniach spędzonych z rodziną Bridgertonów drzewa mogą być dobrym towarzyszem.

Lucinda uśmiechała się lekko. Uderzyło go, że wygląda trochę nieswojo. Jej spojrzenie świadczyło o przygnębieniu. Nie trzymała się też prosto. Czyżby ją coś dotknęło? Czy brat przywiózł jej przykre nowiny?

- Wygląda pani na zasmuconą - powiedział. - Czy mogę się przysiąść?

Zgodziła się, ze słabym uśmiechem, który nawet nie zasługiwał na swoją nazwę. Usiadł obok niej.

- Miała pani sposobność pomówić z bratem?

- Tak. Przekazał mi pewne wiadomości, raczej bez znaczenia. Kłamała, lecz nie, żeby wyjaśniła, o co chodzi. Jeśli nie chciała mu zdradzić szczegółów rozmowy z bratem, wolno jej było tak postąpić. To po prostu nie jego interes. A jednak był ciekaw.

Lucinda patrzyła w dal, zapewne na jakieś drzewo.

- Całkiem tu przyjemnie.

Jak na nią, było to dziwnie nijakie stwierdzenie.

- Owszem - przytaknął. - Staw jest tuż za drzewami. Nieraz tam chodzę, żeby porozmyślać.

- Naprawdę? - Odwróciła się gwałtownie.

- Dlaczego panią zaskoczyło, że rozmyślam?

- Och... Sama nie wiem. Nie wygląda pan na kogoś...

- Kto myśli?

- Ależ nie! - przerwała mu z irytacją. - Miałam na myśli ludzi, którzy potrzebują do tego samotności.

- Proszę mi wybaczyć, pani również nie wygląda na taką osobę.

- Bo nią nie jestem.

- Ma pani za sobą trudną rozmowę z bratem?

Drgnęła zaskoczona, ale nie próbowała udawać, że jest inaczej, co również do niej nie pasowało.

- A pan? Nad czym pan tutaj rozmyśla? Nim zdołał coś powiedzieć, już zgadła.

- Pewnie o Hermionie.

Nie zaprzeczył. Byłoby to bez sensu.

- Pani brat jest w niej zakochany.



- Richard? Niech pan nie plecie głupstw!
- Trudno mi uwierzyć, że pani tego nie widzi.
- Wydaje się panu. Przecież on jest niemalże jej bratem!
- Być może, lecz jego uczucia mają całkiem inną naturę.
- Panie Brid...
- Panno Lucindo, daję słowo, że widziałem więcej zakochanych po uszy głupców niż pani.

Wybuchnęła nerwowym śmiechem.

- Panie Bridgerton - odezwała się, gdy już mogła mówić - przez ostatnie trzy lata nieustannie towarzyszyłam Hermionie. Hermionie Watson! - dodała, jakby nie rozumiał, o kim mowa. - Proszę mi wierzyć, nikt nie widział więcej zakochanych głupców ode mnie.

Przez chwilę Gregory nie wiedział, co odrzec. Trafiła w samo sedno.

- Richard nie jest zakochany w Hermionie! - prychnęła całkiem nie w stylu damy. Prychnęła na niego!

- Pozwolę sobie być innego zdania - odparł, nie umiając zręcznie wycofać się z dyskusji.

- On się nie może w niej kochać - stwierdziła z absolutną pewnością. - Musi chodzić o kogoś innego.

- Naprawdę? - spytał żywo, nie umiając ukryć nadziei.

- Tak. Nieustannie mówi o jakiejś dziewczynie, którą poznał u przyjaciół. To chyba siostra któregoś z nich. Zdaje się, że na imię ma Mary.

Mary. Co za pospolite imię. Wiedział, że Fennsworth nie grzeszy wyobraźnią.

- A zatem - ciągnęła - nie może być zakochany w Hermionie.

- Niech pani wierzy, w co chce - westchnął - ale proszę przyjąć do wiadomości, że brat długo będzie leczył złamane serce.

- Czyżby? - zadrwiła. - Taki pan pewien swego sukcesu?

- W każdym razie jestem pewien, że on go nie odniósł.

- Nie zna go pan!

- O, teraz go pani broni? Przed chwilą twierdziła pani, że brat nie interesuje się panną Watson.

- No bo się nie interesuje! - Przygryzła wargę. - Ale to mój brat.

Gdyby się zaś nią interesował, wspierałabym go, nie sądzi pan?

- No, no, co za lojalność!

- On... on jest hrabią. A pan... nie!

- Widzę w pani znakomity materiał na matronę z londyńskiej socjety.

- Co pan powiedział?... - Lucinda zeszywniała.

- Pragnie pani, żeby przyjaciółka wspięła się o szczebel wyżej na drabinie społecznej? Czy tak samo pomagałaby pani własnej córce?

Zerwała się na nogi, pełna gniewu i zgorszenia.

- Mówi pan okropne rzeczy! Zależy mi na szczęściu Hermiony.

A gdyby mógł jej to zapewnić hrabia, który przypadkiem jest moim bratem...

Och, wspaniale! Próbuje teraz wyswatać Hermionę z Fennsworthem.

- A może to ja mógłbym jej zapewnić szczęście? - odparł i wstał. Mówił prawdę. Dziś rano dwa razy sprawił, że się roześmiała.

- Oczywiście, i pewnie mogłoby tak być, gdyby pan wszystkiego nie spartaczył. Zresztą Richard jest zbyt młody, żeby się żenić. Ma dopiero dwadzieścia dwa lata.

Gregory spojrzał na nią ze zdziwieniem. Najwyraźniej znów w nim ujrziała najlepszego kandydata! Czego ona właściwie chce?

- No, a poza tym - dodała, zakładając ze zniecierpliwieniem targane wiatrem pasmo włosów za ucho - on jej wcale nie kocha. Jestem o tym przeświadczona.

Żadne z nich nie miało już nic do dodania, oboje więc wstali. Gregory skierował się ku pałacowi.

- Może wrócimy?

Zgodziła się. Ruszyli wolnym krokiem przed siebie.

- Nie rozwiązuje to jednak problemu Edmondsa - zauważył. Spojrzała na niego z rozbawieniem.

- Dlaczego to panią bawi?

Zachichotała. No, może nie całkiem, ale parsknęła przez nos w taki sposób, jak ludzie, których coś rozśmieszyło.

- Jak dobrze pan pamięta jego nazwisko!

- A co? Miałbym go nazywać Edwardsem, Ellingtonem albo jeszcze inaczej?

- Straciłby pan wtedy cały mój szacunek.

- Co za okropność! - jęknął, kładąc dłoń na sercu. Spojrzała na niego przez ramię ze złośliwym uśmiechem.

- Spudłował pan. Nie przejął się zbyt.

- Jestem fatalnym strzelcem, ale przynajmniej wiem, jak się strzela.

Zaciekawiło ją to.

- Nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie przyznał mi się, że źle strzela.

- Nie ma rady. Zawsze pozostanę kimś, kogo z bliskiego dystansu pokona pod tym względem nawet siostra.

- Ta, o której pan wspominał?

- Każda.

Zmarszczyła czoło. Powinna istnieć jakaś reguła na to, co należy odpowiedzieć, gdy dżentelmen przyzna, że ma jakąś słabą stronę? Czekala, aż coś odpowiedniego przyjdzie jej do głowy, Bezskutecznie, więc w końcu...

- Hermiona nie potrafi tańczyć.

Gregory przystanął i spojrział na nią z dosyć dziwną miną, potem zaś zrobił jedną jedyną rzecz, którą, jak sądziła, można zrobić w takich okolicznościach, a mianowicie powiedział:

- Przepraszam?

Powtórzyła więc wszystko jeszcze raz, bo przecież nie mogła cofnąć własnych słów.

- Nie umie tańczyć i właśnie dlatego nigdy tego nie robi. Nie potrafi i już.

Czekała potem, by ziemia rozstąpiła się pod jej stopami i pochłonęła ją z miejsca. Gregory patrzył na nią tak, jakby miała nie po kolei w głowie.

- Dlaczego pani o tym mówi?

Lucy odetchnęła z ulgą. Nie powiedział tego gniewnie, raczej z zaciekawieniem. Wcale nie miała zamiaru ubliżyć Hermionie! Ale gdy się przyznał, że kiepsko strzela, pasowało jej to jakoś do stwierdzenia, że Hermiona nie umie tańczyć. Od mężczyzn oczekuje się umiejętności obchodzenia się z bronią palną, od kobiet - tańca, a od najlepszych przyjaciółek - zachowywania pewnych informacji tylko dla siebie.

- Myślałam, że to pana trochę pocieszy - wydusiła z siebie wreszcie. - Mówił pan przecież, że nie umie nawet wystrzelić.

- Och, wystrzelić potrafię, to najłatwiejsze ze wszystkiego. Tylko że nie trafiam!

- Muszę panu pokazać, jak się to robi - Lucy uśmiechnęła się szeroko.

- Do licha! Proszę mi nie wmawiać, że pani potrafi strzelać!

- Całkiem nieźle.

Tylko tego brakowało.

- To wspaniała umiejętność! - stwierdziła z entuzjazmem.

- Z pewnością, ale znam już cztery kobiety, które są w tym lepsze ode mnie. Ostatnią rzeczą, jakiej mi trzeba... Och, niech pani nie mówi, że panna Watson również umie strzelać!

- A wie pan, nie jestem pewna.

- W takim razie została mi jeszcze jakaś nadzieja.

- Czy to takie ważne?

Spojrzał na nią z kamienną twarzą.

- Nadzieja?

- Nie, że... - Nie umiała mu tego należycie wyjaśnić.

Zabrzmiałoby to głupio nawet dla niej.

- Ach, pewnie wydaje się pani ważne, że nie wie pani, czy panna Watson umie strzelać.

Tu ją pokonał.

- Tak - przyznała. - Ale nie miałam sposobności, żeby się o tym przekonać. W szkole panny Moss nie było kursów strzeleckich.

- A kto panią uczył?

- Ojciec. - Dziwna rzecz, pytanie powinno ją zaskoczyć, lecz wcale tak nie było. Zaskoczyła ją za to własna odpowiedź.

- Celowała pani może w tej umiejętności?

- Ledwo, ledwo - przyznała, nadal zdumiona własną dziwną reakcją. Może to dlatego, że rzadko myśli o ojcu? Zmarł tak dawno temu.

- Sądził, że to ważne - ciągnęła - nawet dla dziewcząt. Nasz dom stał tuż nad brzegiem morza w Dover, a tam zawsze roiło się od przemytników. Wielu z nich było zupełnie niegroźnych. Każdy zresztą wiedział, o kogo chodzi, nawet miejscowy sędzia.

- Pewnie lubił francuski koniak.

- Mój ojciec również. - Uśmiechnęła się. - Nie znaleźmy jednak wszystkich przemytników, a niektórzy, jestem tego pewna, mogli być

niebezpieczni. No i... - nachyliła się ku niemu, bo coś takiego można było powiedzieć tylko na ucho. Zniżyła głos. - Myślę, że działało tam również wielu szpiegów.

- W Dover, dziesięć lat temu? Z pewnością! Ale wątpię, czy dziecko, nawet jeśli umiało obchodzić się z bronią, na wiele by się przydało w razie spotkania z nimi.

Lucy się roześmiała.

- Byłam już wówczas dość duża. Zaczęliśmy ćwiczyć, gdy miałam siedem lat. Richard kontynuował tę naukę po śmierci ojca.

- Przypuszczam, że doskonale strzela?

- Niestety, tak - odparła ze smutkiem.

- Nie chciałbym w takim razie wyzwąć go na pojedynek - stwierdził trochę bezceremonialnie.

- Nie radziłabym.

- To nie byłby uczciwy pojedynek - odrzekł, pogodzony.

Najwyraźniej już dawno pogodził się z tym, że czegoś nie umie. -  
Prawdę mówiąc, nie wiem, czy jest w Wielkiej Brytanii jakiś mężczyzna, z którym mógłbym stoczyć uczciwy pojedynek.

- Na pewno pan przesadza.

- Nie - powiedział niemal obojętnie. - Pani brat z pewnością zdołałby przestrzelić mi ramię. - Urwał i zastanawiał się przez chwilę.

- Mam nadzieję, że nie wpakowałyby mi kuli prosto w serce.

- Niech pan nie mówi głupstw.

- Widocznie bardziej panią obchodzi moje dobro, niż chce pani przyznać.

- Obchodzi mnie dobro każdego.
- O, tak - mruknął. - To cała Lucinda Abernathy!
- Powinam się chyba obrazić.
- Naprawdę? Zapewniam, że nie chciałem pani uwłaczać.

Tak długo spoglądała na niego podejrzliwie, że w końcu uniósł dłoń na znak kapitulacji.

- Przysięgam, to miał być komplement.
- Niezbyt szczery.
- Bynajmniej! - zawołał, nie umiejąc ukryć uśmiechu.
- Żartuje pan sobie ze mnie.
- Nie! - odparł z uporem, a potem, rzecz jasna, się roześmiał. -

Przepraszam. Teraz już naprawdę żartuję.

- Powinien pan być uprzejmiejszy.
- No, może. - Uśmiechnął się przebiegle. - Tylko że byłoby to kłamstwo.

Miała ochotę uderzyć go w ramię.

- Och, jest pan okropny!
- Bracia też mnie uważają za zakałą rodziny.
- Rzeczywiście? - Lucy nigdy nie była zakałą rodziny, więc zabrzmiało to dla niej całkiem atrakcyjnie. - Dlaczego?

- Wciąż mi mówią, że powinienem się ustatkować, znaleźć sobie cel w życiu i tak dalej.

- Ożenić się?
- To też.
- Czy dlatego się pan zakochał w Hermionie?



Milczał, więc Lucy uznała brak odpowiedzi za potwierdzenie.  
Ale Gregory w końcu wyjaśnił:

- Nie, tu chodziło o coś całkiem innego.

- Oczywiście - odparła pośpiesznie. Głupio jej było z powodu tego pytania. Przecież mówił poprzedniej nocy, że miłości się nie wybiera. Nie pragnął zdobyć Hermiony, by przypodobać się braciom. Pragnął tego, bo nie mógł inaczej.

I nagle poczuła się jeszcze bardziej osamotniona.

- No, wróciliśmy - stwierdził, wchodząc do salonu. Nawet nie zauważyła, kiedy się tam znaleźli!

- Ach, tak. - Spojrzała najpierw na drzwi, potem na niego. Zdziwiło ją, że czuje żal, iż muszą się już pożegnać.

- Dziękuję panu za towarzystwo.

- Było mi bardzo miło.

Lucy podeszła do drzwi, a potem odwróciła się ku niemu z krótkim „och!”.

- Czy coś się stało?

- Zepsułam panu spacer! Chciał pan pójść nad staw, żeby o czymś pomyśleć. No i nic z tego nie wyszło.

Spojrzał na nią zdziwiony.

Ach, te jego oczy! Chciałaby móc opisać, co w nich ujrzała. Bo nie mogła zrozumieć, dlaczego przechyliła własną głowę dokładnie w ten sam sposób, co on.

- Nie chce pan dłużej żyć sam jeden? - spytała bardzo cicho, niemalże szeptem.

- Tak. - Zaskoczyła go własna odpowiedź. - Tak - powtórzył - przedtem żyłem w ten sposób, ale teraz już nie chcę. Nie wiedział dlaczego, ale właśnie tak było. A ona nie wiedziała, dlaczego to jest takie ważne.

Następną noc miał się odbyć bal maskowy - imponująca zabawa, choć oczywiście w rozsądnej skali. Anthony nigdy by się bowiem nie zgodził na to, by zanadto zakłócono jego wygodne wiejskie życie. Mimo to bal miał być kulminacyjnym punktem całego party. Musieli w nim wziąć udział wszyscy goście wraz z blisko setką innych uczestników. Niektórzy z nich przybyli z Londynu, inni ze swych wiejskich domostw. Wszystkie sypialnie wywietrzono i przygotowano na ich przyjęcie, lecz mimo to sporo osób trzeba było ulokować w sąsiedztwie, a kilku pechowców nawet w pobliskiej oberży.

Początkowo Kate zamierzała urządzić bal kostiumowy. Marzyła, by się przebrać za Meduzę - czemu nikt się jakoś nie dziwił - lecz w końcu zrezygnowała, bo Anthony oznajmił jej, że w tym wypadku sam sobie obmyśli własny kostium. Spojrzał przy tym na nią w taki sposób, że wycofała się od razu ze swego pomysłu.

Powiedziała później Gregory'emu, że mąż nie mógł jej wybaczyć przebrania go za Kupidyna na balu kostiumowym u Billingtonów poprzedniego roku.

- Miał zbyt cherubinkowaty wygląd?

- Moim zdaniem pięknie się prezentował. Dzięki temu dokładnie wiem, jak prześlicznie musiał wyglądać w dzieciństwie!

- Aż do tej chwili - Gregory puścił oko do Kate - nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo Anthony cię kocha.

## *Rozdział 9*

*w którym następuje gwałtowny zwrot akcji.*

- **O**ch, troszeczkę, niewątpliwie - przytaknęła z uśmiechem. - Troszeczkę.

W ten sposób osiągnięto kompromis. Kostiumy zastąpiono maskami, Anthony nie miał nic przeciwko temu, bo pozwalało mu to uchylać się od obowiązków gospodarza - któż by zauważył jego nieobecność? Kate wzięła się zaraz do pracy, projektując maskę ozdobioną wężową fryzurą Meduzy. - Węże sterczały z niej we wszystkich kierunkach. Niestety, maska się nie udała.

Na usilne prośby Kate Gregory wszedł do sali balowej dokładnie o wpół do ósmej, czyli w momencie inauguracji zabawy. Na razie jedynymi gośćmi byli wtedy oni sami, i Anthony, lecz kręciło się tam tyle służby, że sala nie wyglądała na pustą. Anthony dał wyraz swemu zadowoleniu.

- Party jest o wiele bardziej udane, jeśli nie tłoczy się na nim mnóstwo ludzi!

- Dlaczego stałeś się taki nietowarzystki? - spytał Gregory, biorąc kieliszek szampana z tacy.

- Wcale nie - Anthony wzruszył ramionami. - Po prostu wszelka głupota wyprowadza mnie z równowagi.

- Nie najlepiej się starzejesz - uznała jego żona. Jeżeli Anthony obraził się na nią za to, nie dał tego po sobie poznać.

- Po prostu nie chcę mieć do czynienia z głupcami, a to oznacza, że moje obowiązki towarzyskie zmniejszają się o połowę.

- Jakież byłby pożytek z tytułu, gdyby nie można było odmówić pewnym osobom zaproszenia? - mruknął Gregory.

- Właśnie - odparł Anthony. - Właśnie!

- Nie znajdziesz argumentów przeciw temu sądowi? - spytał Gregory bratową.

- Och, mam ich pod dostatkiem. Ja zawsze mam mnóstwo argumentów.

- Istotnie - potwierdził Anthony. - Ale Kate wie, kiedy nie może ze mną wygrać!

Bratowa zwróciła się do Gregory'ego, mimo że jej słowa odnosiły się do męża:

- Wiem, jak sobie wybierać bitwy.

- Nie zwracaj na nią uwagi - mruknął Anthony. - To jej sposób przyznawania się do porażki.

- A on wciąż swoje. - Kate powiedziała to jakby do siebie samej.  
- Chociaż wie, że w końcu wygrana będzie należeć do mnie!

- Kate ma, oczywiście, rację - stwierdził Anthony. - Ale nie wolno się poddawać bez walki.

Gregory mógł się tylko uśmiechnąć. Brat i bratowa - wbrew pozorom - kochali się ogromnie. Lubił obserwować ich słowne potyczki, mimo że im wtedy trochę zazdrościł.

- Jak tam twoje zaloty? - spytała Kate. Anthony nadstawił uszu.

- Zaloty? - powtórzył ze swoją zwykłą, władczą miną. - Kim ona jest?

Gregory spojrział na Kate z wyrzutem. Nie musiał w końcu mówić bratu wszystkiego. Po pierwsze, dlatego że ostatnimi dniami prawie go nie widywał. Po drugie, nie chciał zwierzać się ze swoich spraw sercowych bratu, a już zwłaszcza takiemu, który traktował go raczej jak ojciec. No a przede wszystkim milczał dlatego, że w razie niepowodzenia nie chciał, żeby cała rodzina dowiedziała się, że dostał kosza.

Pragnął, by mu się powiodło. Dlaczego zresztą miałby wątpić w siebie? Nawet wcześniej, gdy panna Watson wciąż traktowała go jak uciążliwego natręta, był pewien sukcesu. Teraz, gdy wreszcie nawiązał z nią bliższą znajomość, nie należało składać broni.

Kate, co było do przewidzenia, nic sobie nie zrobiła z jego irytacji.

- Wprost uwielbiam, jeśli czegoś nie wiesz - powiedziała do męża. - Zwłaszcza kiedy to coś wiem ja!

- Jesteś pewien - spytał Anthony - że chcesz się żenić z którąś z tych panien?

- Nie z którąś z nich, tylko z jedną, dość podobną do twojej żony.

Kate, sądząc po jej minie, nie najlepiej zniosła to porównanie, lecz szybko powetowała sobie rozdrażnienie, wyjaśniając Anthony'emu:

- Powiedział, że zakochał się w... - Machnęła lekko dłonią w powietrzu, jakby odpędzając od siebie jakiś niemądry pomysł. - Och, myślę, że ci jednak tego nie zdradzę!

Wypadło to trochę dwuznacznie. Zapewne mimo wszystko miała zamiar utrzymać męża w nieświadomości. Gregory nie był pewien, co mu sprawiło większą satysfakcję - czy to, że Kate uszanowała jego sekret, czy to, że Anthony został wystrychnięty na dudka.

- Spójrz na salę, a może się domyślisz - rzekła do niego Kate z figlarnym uśmieszkiem. - Będziesz miał przynajmniej w ten sposób jakiś cel dzisiejszej nocy!

- Która to z nich? - spytał znów Anthony.

Gregory wzruszył ramionami. Zawsze brał stronę Kate, gdy zamierzał Anthony'emu popsuć szyki.

- Jestem jak najdalszy od tego, żeby pozbawić cię przyjemności rozmyślania na ten temat.

- Arogancki smarkacz! - burknął Anthony, a Gregory uznał, że bał zaczął się znakomicie.

Sala powoli zapełniała się gośćmi. Po godzinie cała już rozbrzmiewała gwarem i śmiechami. Każdy czuł się w masce nieco śmielej niż zwykle i wkrótce rozmowy zaczęły być bardziej frywolne, dowcipy zaś - zuchwalsze. A śmiechy... trudno byłoby to określić, lecz one też brzmiały nieco inaczej. W powietrzu wisiało coś więcej niż tylko wesołość.

W ludziach narastało podniecenie, jakby w jakiś dziwny sposób czuli, że ta noc należy do odważnych. Że mogą sobie na wiele pozwolić, bo i tak nikt ich nie pozna.

Gregory w sumie lubił noce takie jak ta.

O wpół do dziewiątej był już jednak nieco zniecierpliwiony. Nie miał wprawdzie pewności, lecz panna Watson chyba się jeszcze nie pojawiła na sali. Nawet w masce nie zdołałaby skryć się w tłumie. Jasne włosy zanadto rzucały się w oczy. Nie można było jej nie zauważyć.

Za to Lucinda bez trudu pozostałaby niezauważona. Włosy jej, o skądinąd ładnym odcieniu miodu, nie były niczym wyjątkowym. Zapewne połowa dam z towarzystwa miała podobne.

Rozejrzał się wokoło. Doskonale, sala wypełniona jest ledwie do połowy, może nawet w jednej czwartej. Bez trudu ją spostrzeże. Ale nigdzie nie widział jej jasnej głowy. To go zaniepokoiło. Powinna się już pojawić. Jako gość zaproszony wcześniej na party nie musiała tu gnać w ostatniej chwili błotnistymi drogami. Nie miała problemów z kulejącymi końmi ani nawet z długim sznurem powozów zapychających podjazd przed pałacem. Wątpił, by zeszła do sali tak wcześnie jak on, lecz minęła już przeszło godzina, a Her-miony wciąż nie było.

Panna Lucinda nie pozwoliłaby jej na spóźnienie. Ona z pewnością była punktualna, w dobrym znaczeniu tego słowa. W przeciwieństwie do punktualności pedantycznej i nieznośnej. Nie, to do niej niepodobne. Lucinda przypominała raczej Kate, a

przynajmniej będzie ją przypominać, gdy jej przybędzie lat.

Inteligentna, rozumna, nieco tajemnicza. Dobra dziewczyna.

Nie widział jednak wśród gości także i jej. A przynajmniej nie sądził, by ją widział. Nie był co prawda całkiem pewien, bo dojrzał kilka dam o włosach podobnych do jej, ale żadna z nich nie była Lucindą. Jedna poruszała się całkiem inaczej, wręcz ociężale, druga zaś była innego wzrostu. Niewielka różnica, ledwie parę centymetrów, ale istotna.

Lucinda zapewne znajdowała się tam, gdzie panna Watson, co go w pewien sposób uspokajało. Nic nie mogło zagrozić Hermionie, gdy Lucinda była w pobliżu. Zgłodniał. Postanowił przerwać na jakiś czas poszukiwania i pokrzepić się czymś. Kate, jak zawsze, zapewniła swoim gościom obfity wybór przekąsek na cały wieczór. Poszedł prosto ku kanapkom. Wyglądały całkiem tak samo jak te podane w dniu jego przyjazdu, które bardzo mu smakowały. Dziesięć powinno mu wystarczyć.

- Pan Bridgerton!

Lucinda! Poznałby ten głos wszędzie. Odwrócił się. Tak, to ona! Pogratulował sobie. Miał rację co do tamtych zamaskowanych blondynek. Piłśniowa, szarobłękitna maska Lucindy była tego samego koloru co jej oczy. Wątpił, by panna Watson mogła mieć podobną, zieloną.

- To pan, prawda?

- Jak się pani domyśliła?

- Sama nie wiem. Ot, tak po prostu.



A potem rozchyliła wargi, ukazując błyszczące, białe zęby i powiedziała:

- Jestem Lucy, Lucinda.

- Wiem - mruknął, nadal wpatrzony w jej usta. Co takiego jest w masce, że gdy kryje górę twarzy, czyni usta, podbródek czymś niemal hipnotycznym? Jak mógł nie zauważyć wygiętych lekko ku górze kącików ust? Ani piegów na nosie? Było ich siedem. Dokładnie siedem, wszystkie owalne z wyjątkiem jednego. Z trudem oderwał od niej oczy.

Sięgnęła ku kanapkom.

- Zazwyczaj nie przepadam za ogórkiem, nie odpowiada mi, choć lubię jego chrupkość. A tamte mają na sobie trochę twarożku zamiast masła. Całkiem przyjemna niespodzianka! - Urwała i spojrzała na niego, jakby spodziewała się odpowiedzi,

Uśmiechnął się. Nic nie mógł poradzić na to, że było w niej coś niezwykle zabawnego, kiedy paplała o jedzeniu. Sięgnął po jedną z kanapek.

- Po takiej zachęcie nie mogę odmówić.

- Te z szynką też są dobre, chyba że jej pan nie lubi.

Jakże to do niej podobne, ta chęć uszczęśliwiania wszystkich. Spróbuj tego, spróbuj tamtego. A jeśli czegoś nie lubisz, to może jeszcze innej rzeczy? Jeżeli nadal nic ci nie smakuje, weź moje.

Lucinda, rzecz jasna, nigdy tego nie powiedziała, Gregory jednak jakimś dziwnym sposobem wiedział, że tak właśnie było.

Spojrzała na półmisek.

- Wolałabym, żeby nie mieszano ich ze sobą.  
- O co chodzi? - spytał zdziwiony.  
- No... dobrze. - Położyła szczególny nacisk na słowo „dobrze”, co poprzedziło długie i szczere wyjaśnienia. - Nie sądzi pan, że byłoby dużo rozsądniej każdy rodzaj kanapek podać osobno na mniejszym talerzu? W ten sposób wiedziałby pan od razu, gdzie szukać kolejnych. Albo - ciągnęła z coraz większym ożywieniem, jakby to było rzeczą niesłychanej wagi - niech pan sobie wyobrazi, że tu mogłoby nie być ani jednej kanapki z szynką i żeby ją znaleźć, musiałby pan grzebać w całej stercie innych, co wyglądałoby bardzo nieodpowiednio.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Pani lubi ład we wszystkim, prawda?

- Och, jak najbardziej - odparła z zapalem.

Gregory pomyślał o swoim nieuporządkowanym stylu życia. Rzucił buty byle jak do szafy, wszędzie rozsiewał listy z zaproszeniami, a gdy zeszłego roku zwolnił na tydzień służącego, by ten mógł odwiedzić chorego ojca, lokaj omal nie dostał apopleksji po powrocie, widząc bałagan na biurku pana. Spojrzał na przejętą minę Lucindy i się uśmiechnął. Pewnie już po tygodniu doprowadziłby ją tym do białej gorączki.

- Smakują panu kanapki z ogórkiem? - spytała, gdy napoczął jedną.

- Bardzo intrygujące.

- Co, ogórek?

Gregory dokończył kanapkę.

- Sam nie wiem, czy go lubię.

- Szynka jest lepsza. - Kiwnęła w roztargnieniu głową.

Obydwoje zamilkli, rozglądając się po sali. Muzycy grali walca, suknie dam falowały w jego takt niczym jedwabne dzwony. Nie sposób było zaprzeczyć, ta noc zapraszała do zuchwałej zabawy. Coś się musiało wydarzyć. Gregory był tego pewien. Czyjeś życie ulegnie gwałtownej zmianie. A jeśli szczęście mu dopisze, może będzie chodziło o niego? Z trudem zachowywał spokój. Pragnął coś zrobić, pchnąć życie w ruch, urzeczywistnić marzenia.

- Może zatańczymy?

Nie musiał jej prosić tylko dlatego, że akurat stała tuż przy nim. Ale słowa zaproszenia same mu się nasunęły. Oczy Lucy rozbłysły. Nawet mimo maski mógł spostrzec, że jest zachwycona.

- Chętnie - odparła niemal takim tonem, jakby wzdychała. - Uwielbiam tańczyć! - dodała.

Ujął jej dłoń i wyprowadził partnerkę na parkiet. Walc trwał w najlepsze. Muzyka unosiła ich tak swobodnie, jakby się stali jedną osobą. Gdy tylko objął ją w tali podchwyciła rytm. Wirowali i zataczali kręgi tak szybko, że wkrótce nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Walc był wręcz idealny i zapierał im dech. Muzyka kierowała każdym ich ruchem. Taniec zbyt szybko się jednak skończył. Przez chwilę stali, obejmując się jeszcze, jakby nadal tańczyli.

- Och, to było cudowne! - zaczęła z błyszczącymi oczami Lucinda, lecz Gregory puścił jej rękę i złożył ukłon.

- Jest pani wspaniałą tancerką. Domyślałem się tego.

- Dziękuję. Ja... doprawdy...

Po co to mówił? Wcale nie miał takiego zamiaru.

- Porusza się pani z wielką gracją - zdołał wreszcie wydusić z siebie, odprowadzając ją na bok. - Zwłaszcza gdy pani chodzi - dodał, bo uznał, że Lucy czeka na jakieś dokładniejsze wyjaśnienie.

- Och! - Wyglądała na uszczęśliwioną. Zdał sobie nagle sprawę, że inni goście są tylko rozbawieni, rozzuchwaleni, zadowoleni... A Lucinda była szczęśliwa. Spodobało mu się to.

- Gdzie też może być Hermiona? - Zaczęła się rozglądać dookoła.

- Nie przyszła tu razem z panią?

- Chciała tak zrobić, ale potem zobaczyłyśmy Richarda, a on poprosił ją do tańca. Wcale nie dlatego - dodała z naciskiem - żeby się w niej kochał. Po prostu z uprzejmości, bo jest moją przyjaciółką.

- Mam cztery siostry - przypomniał jej - więc coś o tym wiem. - Przypomniał sobie jednak coś więcej. - Sądziłem, że panna Watson nie umie tańczyć.

- Owszem, ale Richard o tym nie wie. Nikt zresztą nie wie poza mną i panem. - Po czym dodała z niepokojem: - Niech pan o tym nikomu nie mówi, błagam! Hermiona czułaby się upokorzona.

- Będę milczał jak grób.

- Pewnie poszli się czegoś napić. - Lucinda szukała wzrokiem stołu z lemoniadą. - W takich sytuacjach Hermiona mówi zwykle, że jest jej gorąco i chce jej się pić. To jej ulubiona wymówka. Prawie zawsze skutkuje.

- Nigdzie ich nie widzę. - Gregory podążył za jej wzrokiem.

- Nie tylko pan. - Pokręciła głową. - Zresztą nie wiem, po co się właściwie rozglądam. Znikła mi z oczu dawno temu.

- Na dłużej niż trzeba do wypicia lemoniady?

- Skądże. Jeśli trzeba, Hermiona mogłaby sączyć szklanekę lemoniady przez całą noc. Sądzę jednak, że wówczas Richard straciłby cierpliwość.

Zdaniem Gregory'ego brat Lucindy za nic nie chciałby stracić sposobności do przypatrywania się pannie Watson, udającej, że pije lemoniadę. Nie próbował jednak przekonywać o tym Lucy.

- Myślę, że postanowili pójść na spacer - rzuciła dość obojętnie. Gregory poczuł jednak niepokój.

- Gdzieś na zewnątrz?

- Chyba tak. Z pewnością nie ma ich na sali. Hermiona nie zdołałaby zniknąć w tłoku. Te jej włosy, sam pan wie.

- Uważa pani, że to mądry pomysł z ich strony? Lucinda nie zareagowała na niepokój w jego głosie.

- Przecież nie są sami. Po parku spaceruje mnóstwo par, ze dwa tuziny. Wyjrzałam przez francuskie okno - dodała, tonem wyjaśnienia.

Gregory zmusił się do zachowania spokoju, lecz gorączkowo rozmyślał, co robić. Należało jak najprędzej odnaleźć pannę Watson,

nim stanie się coś nieodwracalnego. Nieodwracalnego! O mój ty Boże!

Życie może nagle przybrać inny obrót, w jednej jedynej chwili. Jeśli panna Watson naprawdę oddaliła się stąd razem z bratem Lucindy. .. Jeśli coś się stanie... Poczuję, że narasta w nim gniew, zazdrość i jakieś wyjątkowo niemiłe uczucie. Panna Watson mogła być w niebezpieczeństwie... albo i nie. Jeżeli życzliwie przyjmowała awanse Fennswortha.

Nie, nie, nie! Zdusił w sobie tę myśl. Skoro już kochała się w tym żalonym Edmondsie - obojętne, kim właściwie był - nie zwracałaby uwagi na awanse czynione jej przez Fennswortha. Lecz jeśli brat Lucy wykorzystał sposobność, którą on, Gregory, utracił? Poczuję się tak, jakby otrzymał cios prosto w pierś. Ten nieznośny... ten przeklęty...

- Panie Bridgerton... Zuchwalec. Och, co za zuchwalec!

- Źle się pan czuje?

Spojrzał z wysiłkiem na Lucindę i dopiero po dłuższej chwili zdołał rozróżnić jej rysy. Patrzyła na niego z niepokojem. Usta miała zaciśnięte w cienką linię.

- Nie wygląda pan dobrze...

- Nic mi nie jest! - syknął.

- Ależ...

- Nic, absolutnie! Cofnęła się.

Jak Fennsworth zdołał tego dopiąć? Jakim sposobem wymknął się gdzieś z panną Watson? Ten smarkacz, ledwie po studiach, który

nigdy jeszcze nie był w Londynie? Gregory miał więcej doświadczenia od niego! Powinien był bardziej uważać, a wtedy nigdy by do tego nie doszło.

- Może jej poszukam? - Lucy poruszyła się nerwowo. - Pan pewnie wolałby teraz zostać sam?

- Nie! - warknął, i to dużo głośniejszym głosem, niż przystało dobrze wychowanemu mężczyźnie. - Pójdę z panią. Poszukamy ich razem.

- Czy to rozsądne?

- Dlaczego miałyby być nierozsądne?

- Ja... nie wiem. - Znieruchomiała, patrząc na niego z niepokojem, a wreszcie wyjąkała:

- Przecież sam pan mówił, że Richard i Hermiona postąpili nierozważnie, wychodząc stąd razem.

- Nie zdoła pani przeszukać tego domu sama jedna.

- Pewnie, że nie - odparła takim tonem, jakby sama myśl o tym wydała się jej nonsensem. - Pójdę po lady Bridgerton.

Po Kate? Dobry Boże!

- Proszę tego nie robić! - rzucił pospiesznie i, być może, nieco agresywnie, choć nie było to jego zamiarem. Najwyraźniej poczuła się jednak urażona.

- A dlaczego?

- Jeśli Kate ich znajdzie - mruknął zniecierpliwiony - w jakiejś niedwuznacznej sytuacji, będą się musieli pobrać najdalej za dwa tygodnie. Wiem, co mówię.

- Niech pan nie plecie głupstw. Nie mogli zrobić czegoś podobnego! - rzekła tak ostro, że aż się cofnął. Nawet nie przypuszczał, że Lucinda może się zachować z równą gwałtownością.  
- Hermiona nigdy by nie postąpiła nieodpowiednio! - ciągnęła z furją.  
- Richard też nie! Przecież to mój brat!

- On się w niej kocha - wyjaśnił zwięźle.

- Nie! Nie! - Lucy omal nie eksplodowała. - A jeśli nawet, on by nigdy...

- Co nigdy?

- Nigdy by nie zrobił czegoś takiego mnie!

Nie mógł uwierzyć, że może być równie naiwna.

- On teraz nie myśli o pani, Lucindo. Ani przez moment.

- Niech pan przestanie!

- No cóż, zakochał się - Gregory wzruszył ramionami - co oznacza, że o niczym innym nie jest w stanie myśleć.

- A pan?! - odcięła się.

- Ja też - stwierdził zwięźle i nagle zrozumiał, że mówi prawdę.

A przecież jako dżentelmen z większym doświadczeniem był z pewnością w tej chwili znacznie trzeźwiejszy od Fennswortha.

Lucinda spojrzała na niego z pogardą i zniecierpliwieniem.

- Richard jej nie kocha. Nie wiem, jak to panu wytłumaczyć.

- Jest pani w błędzie. - Gregory obserwował Fennswortha przez dwa dni. Widział, jak patrzy na pannę Watson, jak się zaśmiewa z jej żarcików, podaje napoje chłodzące, zatyka jej za ucho zerwany polny kwiatek. Jeśli to nie miłość, Richard Abernathy byłby chyba



najserdeczniejszym i najbardziej altruistycznym starszym bratem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. Krańcowo troskliwym, czułym i oddanym.

Siostrę, rzecz jasna, się kocha, lecz nie sposób poświęcać każdej chwili jej najlepszej przyjaciółce bez nadziei na jakąś nagrodę. Chyba że chodziłoby o żalostną, nieodwzajemnioną miłość.

- Nie mylę się! - odparła Lucinda z taką miną, jakby zaraz miała zamiar skrzyżować ręce na piersi. - Idę po lady Bridgerton!

Gregory chwycił ją za rękę.

- Zrobi pani fatalne głupstwo. Wyrwała mu się, ale nadaremnie.

- Proszę mnie nie pouczać! - wysyczała.

- Chciałem tylko pani wszystko wyjaśnić.

Otworzyła ze zdumienia usta. Gregory chętnie by się jej teraz dokładnie przyjrzał, gdyby nie wściekłość, która nim targała.

- Nieznośny z pana człowiek!

- Czasami.

- Urodzony kłamca!

- Trafiła pani w sedno. - Gregory, zawołany bilardzista, potrafił docenić celność ciosu. - Wolałbym jednak komplementować pani elokwencję winnych okolicznościach. Proszę nie robić głupstw!

A gdy spojrzała na niego pełnymi gniewu oczami, dodał:

- Nie zamierzam dłużej z panią dyskutować.

- Idę po lady Bridgerton!

- Szuka mnie pani, Lucindo? Co się stało?

Odwrócił się. Kate patrzyła na jego rękę. Gregory wciąż trzymał Lucindę za nadgarstek. Puścił go pospiesznie. I cofnął się o krok.

- Powinnam o czymś wiedzieć? - spytała Kate tak, jakby próbowała wybadać oboje. W jej tonie słychać też było władcze nuty. Bratowa potrafiła być stanowcza, gdy tego naprawdę chciała.

- Pan Bridgerton uważa, że Hermione może być w niebezpieczeństwie! - wybuchnęła Lucinda z miejsca.

- Niebezpieczeństwo? Tutaj? - nastrój Kate zmienił się w jednej chwili.

- Nie - warknął Gregory, chociaż miał szczerą chęć powiedzieć w tej chwili: „Mam ochotę cię zabić!” Do Lucindy, rzecz jasna.

- Nie widziałam jej od dłuższego czasu - przyznała Lucy z niechęcią. - Przyszliśmy tu razem, ale rozstałyśmy się blisko godzinę temu.

Kate rozejrzała się wokoło, a jej wzrok spoczął w końcu na otwartych drzwiach.

- Może jest w parku? Wielu gości tam wyszło.

- Nie ma jej w parku. Już patrzyłam.

Gregory milczał. Cały świat walił się w gruzy na jego oczach, on zaś nie mógł nic na to poradzić.

- Nie ma jej?

- Nie sędzę, żeby coś się stało - oznajmiła Lucinda dość oficjalnym tonem - ale pan Bridgerton bardzo się niepokoi.

- Czyżby? - Kate gwałtownym ruchem zwróciła się ku niemu. - Dlaczego?

- Może porozmawiamy o tym kiedy indziej?!

Kate od razu straciła zainteresowanie Gregorym i spojrzała podejrzliwie na Lucy.

- Cóż go tak niepokoi?

Lucy z trudem przełknęła ślinę, a potem wyszeptała:

- Myśli, że Hermiona mogła tam pójść z moim bratem. Kate zbladła.

- To niedobrze.

- Richard nigdy w życiu nie zachowałby się niewłaściwie!

- Ależ on się w niej kocha!

Gregory milczał. Nie było mu do śmiechu. Kate co prawda oczyściła go z zarzutu, lecz okazało się, że miał rację. Wcale go to nie cieszyło.

Lucy wodziła wzrokiem od niego do Kate i z powrotem, bliska paniki.

- Nie - wyszeptała - nie! Pani się myli!

- Bynajmniej - odparła Kate, bardzo poważnym tonem. Musimy ich znaleźć, i to zaraz.

Pospieszyła ku drzwiom. Gregory bez trudu, dzięki swoim długim nogom, zdołał dotrzymać jej kroku. Lucinda stała przez chwilę bez ruchu, potem zaś rzuciła się w ślad za nimi.

- On by nigdy nie zrobił niczego wbrew woli Hermiony!

Kate przystanąła, patrząc na nią szczerze, ale z pewnym smutkiem, jakby żałowała, że właśnie jej przypadło w udziale zadać Lucy bolesny cios.

- Może nawet nie musiałby odwoływać się do przemocy -  
powiedziała przyciszonym głosem.

Mimo że nie powiedziała wyraźnie, o co chodzi, wszystko i tak  
było jasne.

- On by nie mógł... - zaczęła Lucinda.

Gregory widział, że rozumiała. Jej oczy, zawsze tak zmienne w  
kolorze, stały się szare.

- Musimy ich znaleźć! - wyszeptała.

Kate skinęła głową i wszyscy troje bez słowa opuścili salę  
balową.

## Rozdział 10

*w którym wprawdzie triumfuje miłość, lecz nie dotyczy ona  
dwojga naszych bohaterów.*

**L**ucy biegła korytarzem za Kate i Gregorem, usiłując opanować  
narastający strach. Czowała ucisk w żołądku, z trudem chwytając oddech.  
Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Wiedziała, że musi za  
wszelką cenę odnaleźć Hermionę, ale była przerażona i pełna jak  
najgorszych przeczuć.

Nie rozumiała zresztą, dlaczego. Czy nie chciała, by brat  
poślubił Hermionę? Przecież mówiła Bridgertonowi, że choć to  
małżeństwo nie jest możliwe, byłoby jednak czymś dobrym.  
Hermiona stałaby się wówczas niemalże jej siostrą. Lucy nie mogła  
sobie wyobrazić bardziej pomyślnej sytuacji, a mimo to czuła się

nieswojo i była trochę zła. Miała też poczucie winy. Czy mimo wszystko ma prawo, żeby się złościć?

- Rozdzielmy się - rzucił Gregory, gdy już przejrżeli różne zakątki domu, a odgłosy balu cichły w oddali. Zerwał z twarzy maskę, obydwie kobiety zrobiły to samo, zostawiając swoje na stoliku z lampą, stojącym w niewielkiej niszy.

Kate pokręciła głową.

- Nie możemy. A już na pewno ty nie powinieneś ich szukać sam jeden. Nie umiem sobie wprost wyobrazić, co bym czuła, gdyby panna Watson znalazła się w towarzystwie dwóch nieżonatych mężczyzn.

Nie mówiąc o tym, co Gregory by wtedy zrobił, pomyślała Lucy. Do tej pory uważała, że Bridgerton jest kimś zrównoważonym, lecz teraz pojęła, że gdyby się na nich natknął, mogłoby dojść do czegoś strasznego, zważywszy na siłę jego uczuć względem Hermiony. Honor i pragnienie obrony ukochanej mogłyby ustąpić miejsca gniewowi i zazdrości.

A choć nie umiał strzelać, nie wątpiła, że potrafił się bić.

- Hermiona nie powinna teraz być sama - ciągnęła lady Bridgerton. - Jest ciemno, nikogo nie ma w pobliżu, a wszyscy mężczyźni noszą maski. To zanadto ośmiela!

- Już wszędzie zaglądałyśmy! - jęknęła Lucy. Pałac był rozległy. Mieszkała w nim prawie od tygodnia, a nie widziała nawet połowy pomieszczeń.

- Musimy trzymać się razem - uznała lady Bridgerton. Gregory spojrział na bratową tak, jakby był innego zdania, lecz pohamował się i rzucił tylko:

- Doskonale. Nie traćmy czasu. - Po czym wyprzedził obydwie z łatwością. Szarpnął gwałtownie jakieś drzwi, a potem uchylał kolejno następne, zbyt zniecierpliwiony, by je za sobą zamykać. Lucy i Kate robiły to samo po drugiej stronie korytarza.

- Och! - Lucy odskoczyła w tył po kolejnej próbie.

- Znalazła ich pani?! - spytał Bridgerton. Podbiegli ku niej obydwójce.

- Nie! - Lucy się zaczerwieniła. - To... to ktoś inny.

- Dobry Boże! - jęknęła Kate. - Oby tylko nie chodziło o mężatkę!

Lucy otworzyła usta, lecz dopiero po kilku sekundach zdołała powiedzieć:

- Tego nie wiem. Maski, sama pani rozumie.

- Co? Obydwójce byli w maskach? - spytała Kate. - W takim razie musi chodzić o małżonków, choć może niekoniecznie o męża i żonę!

Lucy chętnie by spytała, co skłoniło lady Bridgerton do takiej konkluzji, ale nie miała odwagi. Prócz tego Bridgerton, który ją wyprzedził, raptownie otworzył drzwi na oścież. Rozległ się kobiecy pisk, a potem gniewny męski głos rzucił kilka słów, których Lucy nie ośmieliłaby się powtórzyć.

- Przepraszam! - mruknął Bridgerton. - Proszę sobie nie przeszkadzać! - I zamknął drzwi ze słowami: - To Morley i żona Winsteadada.

- Och, nigdy bym nie przypuszczała - zdumiała się Kate.

- Co zrobimy? - spytała Lucy, zdjeta grozą. Jacyś ludzie cudzołożyli o parę metrów od niej!

- To już problem Winsteadada - stwierdził zgryźliwie Bridgerton. - Mamy własne zmartwienia.

Lucy zamarła, gdy ponownie ruszył korytarzem. Kate najwyraźniej miała ochotę zajrzeć do środka, lecz w końcu westchnęła tylko i podążyła za Gregorym.

Lucy odwróciła od nich wzrok, próbując sobie wyobrazić, co się działo za drzwiami. Już widok pary leżącej na stole - na stole! - był dla niej szokiem, ale bardziej zaniepokoiło ją coś innego. Coś co wzbudziło w niej jakąś niejasną myśl.

- Lucy, idziesz z nami?! - zawołała lady Bridgerton.

- Tak, tylko... Muszę chwilę odczekać - wyjaśniła.

Lady Bridgerton spojrzała na nią ze współczuciem, nie przestała jednak zaglądać do pokoiów po lewej stronie korytarza.

I cóż takiego Lucy ujrzała? Mężczyznę i kobietę. Na stole. A także dwa obite różową materią krzesła, pasiastą sofę i stolik, na nim zaś wazę z kwiatami...

Kwiaty. Właśnie. Wiedziała, gdzie w tym domu są kwiaty.

Jeśli wszyscy prócz niej mieli rację i Richard istotnie kochał Hermionę, to istniało tylko jedno miejsce, gdzie mógł ją zabrać i próbować zyskać jej wzajemność. Oranżeria.

Rosły tam nie tylko drzewka pomarańczowe, ale też kwiaty. Wspaniałe tropikalne rośliny. Sprowadzenie ich do Anglii musiało kosztować majątek lorda Bridgertona. Wytworne orchidee, rzadkie gatunki róż. A nawet skromne polne kwiatki, pielęgnowane po przesadzeniu z wielką pieczołowitością.

Nie było miejsca, które by w świetle księżyca wyglądało bardziej romantycznie. Brat Lucy nigdzie nie mógł czuć się lepiej. Kochał kwiaty, doskonale znał ich nazwy i o każdym coś wiedział. Jedne kwitły tylko przy blasku księżyca, inne znów spokrewnione były z jakąś azjatycką rośliną... Lucy to wszystko nieco nudziło, lecz rozumiała, że mogło się komuś wydawać romantyczne.

Spojrzała w głąb korytarza. Bridgertonowie zatrzymali się, rozmawiając najwyraźniej o czymś ważnym. Czy nie lepiej byłoby, gdyby właśnie ona znalazła zbiegłą parę, a nie któreś z tamtych dwojga? Mogłaby wtedy ostrzec oboje i zapobiec w ten sposób katastrofie. Gdyby Hermiona rzeczywiście chciała wyjść za jej brata, uczyniłaby to z własnego wyboru, a nie dlatego, że ich przyłapano. Poza tym wiedziała, jak szybko dostać się do oranżerii.

Ostrożnie wycofała się ku sali balowej. Bridgertonowie najwyraźniej tego nie zauważyli.

Powzięła decyzję.



Szybko dotarła do rogu korytarza, a potem prześlizgnęła się dalej niepostrzeżenie. Uniosła suknię i puściła się pędem, najszybciej, jak jej na to pozwalał ciężki aksamit sukni. Nie wiedziała, jak prędko Bridgertonowie odkryją jej nieobecność ani czy się domyśla, gdzie pobiegła. Nie wątpiła jednak, że w końcu ją znajdą. Musiała więc odnaleźć Hermionę i Richarda pierwsza. Gdy do nich dotrze, trzeba pospiesznie wypchnąć Hermionę za drzwi i twierdzić, że zastała Richarda samego.

Nie miała wiele czasu, ale wiedziała, że może jej się to udać. Przeszła przez główny hol, możliwie wolnym krokiem, udając, że się przechadza. Było tam pełno służby i zapóźnionych gości, a nie chciała wzbudzać ich podejrzeń.

Później weszła chyłkiem w zachodni korytarz i za rogiem znów zaczęła biec. Czowała, że pokrywa się potem, ale nie zwolniła. Oranżeria znajdowała się niedaleko i Lucy wkrótce stanęła przed jej podwójnymi drzwiami. Już zamierzała je otworzyć, gdy nagle poczuła strach tak wielki, że musiała się oprzeć o ścianę.

Nie, nie odważy się nacisnąć klamki! Nie chciała ich zobaczyć. Nie chciała wiedzieć, co tam robią i dlaczego. Za nic! Gorąco pragnęła, by wszystko znów było takie samo, jak trzy dni temu.

A przecież chodziło tylko o trzy dni. Trzy dni temu Hermiona kochała się jeszcze w Edmondsie, co nie było zbyt ważne, bo nic by z tego nie wynikło. A Lucy była sobą - szczęśliwą, pewną siebie i praktycznie zaręczoną panną Abernathy.

Dlaczego wszystko musiało się zmienić? Życie Lucy biegło, z czym się bez zastrzeżeń godziła, z góry ustalonym torem. Wszystko tam miało swoje miejsce, panował w nim doskonały ład, niczym nie musiała się martwić. Nie dbała o miłość, a brat nie uwodził w sekrecie jej najlepszej przyjaciółki. Wkrótce wyszłaby za mąż i byłaby szczęśliwa. Chciała, żeby to wróciło.

Ścisnęła klamkę, ręka odmówiła jej jednak posłuszeństwa. Wciąż się bała, na wpół przytomna, a nogi zaczynały się pod nią uginać. Och, Boże! Gotowa jeszcze upaść, niemal u samego celu osunąć się na ziemię! A wtedy...

- Lucy!

Bridgerton podbiegł do niej w chwili, gdy zrozumiała, że nie potrafi otworzyć tych drzwi. Ze może jedynie stać przed nimi bezradnie jak ostatnia kretynka, z ręką na tej przeklętej klamce...

- Lucy, na Boga, o czym ty myślisz?

Chwycił ją za ramiona, ona zaś zapragnęła oprzeć się mocno o niego i zapomnieć o wszystkim.

- Przepraszam...-wyszeptała.

Nie wiedziała, za co właściwie miałyby przeproszać, ale tak czy inaczej zrobiła to.

- To nie jest miejsce dla samotnej kobiety - zaczął, a jego głos zabrzmiał nagle jakoś inaczej, głucho. - Mężczyźni sporo wypili, a że noszą maski...

Zamilkł, a potem dodał:

- Zanadto sobie pozwalają.

Kiwnęła głową i wreszcie odważyła się spojrzeć w twarz, którą - jak się jej wydawało - dobrze znała. Od lekko kędzierzawych włosów aż do małej blizny koło lewego ucha.

Z trudem przełknęła ślinę. Odetchnęła głęboko. Nie tak swobodnie, jak pragnęła, ale jednak. Powoli, względnie normalnie.

- Przepraszam - powtórzyła, bo nie miała pojęcia, co innego mogłaby powiedzieć.

- Do licha - mruknął - czy pani zasłabła? Czy ktoś... Rozejrzał się nerwowo dookoła.

- Kto to zrobił? Kto panią...

- Nikt. Ja... pragnęłam ich znaleźć, bo myślałam, że... nie chciałam, żeby pan... a potem przyszłam tu i...

- Czy oni są tam w środku? - Spojrzenie Gregory'ego powędrowało ku drzwiom.

- Nie wiem - przyznała - ale chyba tak.

Strach wreszcie ustąpił i nagle wszystko wydało się jej bardzo niemądre. Czowała się okropnie. Oto stoi przed drzwiami i nie potrafi nic zrobić! Zupełnie nic!

- Nie mogę ich otworzyć - wyszeptała, bo musiała coś powiedzieć. Chciała mu wyjaśnić, co się zdarzyło, choć sama tego nie rozumiała.

- Gregory! - Lady Bridgerton niemal wpadła na nich, zasapana. - Panno Lucindo! Czy pani dobrze się czuje?

Kate była tak przejęta, że Lucy zaczęła się zastanawiać nad swoim wyglądem. Wiedziała, że zapewne jest blada, ale co kazało lady Bridgerton spoglądać na nią z takim współczuciem?

- Już wszystko dobrze - zapewniła ją, stwierdzając z ulgą, że Kate nie patrzy na nią tak, jak przedtem Gregory - po prostu trochę się zmęczyłam. Chyba biegłam za szybko.

- Kiedy spostrzeżliśmy, że pani nie ma... - Lady Bridgerton próbowała się wprawdzie zdobyć na surową minę, lecz współczucie przeważyło.

Lucy o mało się nie rozplakała. Nikt jeszcze w ten sposób na nią nie patrzył, nawet Hermiona. Lady Bridgerton miała co najmniej dziesięć lat więcej od niej, może nawet piętnaście - ale to spojrzenie...

Całkiem jakby była jej matką.

Trwało to tylko parę sekund. Może jednak lady Bridgerton udawała? W każdym razie spieszenie podeszła bliżej i objęła ją ramieniem, odciągając od Gregory'ego, któremu ręce opadły bezwładnie wzdłuż boków.

- Na pewno dobrze się pani czuje?

- Teraz... tak.

Kate spojrzała na Gregory'go. Skinął głową.

Jeden jedyny raz. Lucy nie rozumiała, co to miało znaczyć.

- Myślę, że mogą być w oranżerii - powiedziała, nie mając pewności, czy w jej głosie brzmi rezygnacja, czy żal.

- Doskonale - Kate się wyprostowała i podeszła do drzwi. - Czy nikt nie ma nic przeciwko temu?

Lucy nie przeczyła. Gregory milczał. Kate nabrała tchu i otworzyła drzwi. Lucy i Gregory podeszli, chcąc zajrzeć do środka, lecz w oranżerii było ciemno i tylko księżyc świecił przez wielkie okna.

- Niech to diabli!

Lucy drgnęła gwałtownie. Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby kobieta klęła. Przez chwilę wszyscy troje stali w milczeniu, a potem lady Bridgerton postąpiła krok dalej i zawołała:

- Lordzie Fennsworth, proszę się odezwać! Czy pan tam jest?

Lucy chciała zawołać Hermionę, lecz Gregory zakrył jej usta dłonią.

- Nie! - szepnął z ustami tuż przy jej uchu. - Jeśli jest tam jeszcze ktoś inny, nie powinniśmy dawać mu do zrozumienia, że szukamy akurat ich obojga.

Lucy poczuła się rozpaczliwie naiwna. Zdawało się jej, że wie sporo o świecie, ale z każdym dniem rozumiała go coraz mniej.

Bridgerton pospiesznie wszedł do oranżerii i stanął z rękami wspartymi na biodrach, przyglądając się badawczo wnętrzu.

- Lordzie Fennsworth! - zawołała ponownie lady Bridgerton. Tym razem usłyszeli cichy szmer, jakby ktoś pragnął zataić swoją obecność. Lucy zwróciła się w tamtą stronę, lecz nikogo nie zobaczyła.

Przygryzła wargę. Może to jakieś zwierzę? W Aubrey Hall było kilka kotów. Spały w małej budce koło kuchni. Któryś z nich mógł się tu przypadkowo zabłąkać. Tak, to na pewno kot! Richard zaraz by się pojawił, słysząc wołanie.

Spojrzała na lady Bridgerton, czekając, co zrobi. Wicehrabina szepnęła coś do szwagra, wskazując na miejsce, skąd dobiegł ich szmer. Gregory kiwnął głową, a potem z zadziwiającą szybkością ruszył w głąb.

Lucy oniemiała, gdy wydał nagle jakiś dziwny, gardłowy dźwięk, a potem rzucił się w przód z okrzykiem: „Mam cię!” Och, tylko nie to! Lucy zakryła usta ręką, gdy Bridgerton przydusił kogoś do ziemi i złapał go za szyję.

Lady Bridgerton podbiegła ku nim, a Lucy za nią. Jeżeli to był Richard, musiała dopaść brata, nim Bridgerton go zabije.

- Puszczaj... mnie... zaraz!

- Richardzie! - krzyknęła przeraźliwie. Poznała jego głos. Nie mogła się mylić!

Postać na ziemi przekreśliła się na bok, tak że Lucy mogła zobaczyć jej twarz.

- Lucy! - stęknął brat.

- Och, Richardzie! - w tych trzech sylabach zawarł się cały bezmiar jej rozczarowania.

- Gdzie ona jest?! - zaskowyczał Gregory.

- Kto?

Lucy poczuła, że robi się jej słabo. Richard oszukiwał! Znała go za dobrze, by nie wiedzieć, że kłamie.

- Panna Watson!

-Nie wiem, o co... - Richard wydał okropny, chrapliwy dźwięk.

- Gregory! - Lady Bridgerton chwyciła szwagra za ramię. -  
Dość!

Rozluźnił chwyt, ale tylko trochę.

- Może jej tu nie ma? - jęknęła Lucy. Wiedziała, że mówi nieprawdę, lecz nie wiadomo, dlaczego uznała, że to najlepszy sposób uratowania sytuacji.

- Gregory - odezwała się lady Bridgerton - pozwól mu wstać. Lucy zwróciła ku niej głowę i wtedy zobaczyła, że z tyłu mignęło coś różowego, ledwie widocznego spoza roślin. Hermiona tej nocy ubrana była na różowo. Dokładnie w ten sam odcień. Może to tylko kwiat? Przecież tu musi być mnóstwo różowych kwiatów! Szybko spojrzała na Richarda.

Zbyt szybko. Bridgerton zauważył, gdzie zerknęła przedtem.

- Co pani zobaczyła?

- Nic.

Nie uwierzył jej. Zostawił Richarda i zaczął się powoli skradać w tamtym kierunku. Richard przekręcił się na bok i chwycił go za kostkę. Gregory upadł z głośnym jękiem. Po chwili złapał Richarda za koszulę i zaczął z całej siły walić jego głową o ziemię.

- Przestańcie! - Lucy z krzykiem rzuciła się ku nim. Dobry Boże, gotowi się pozabijać! Raz górę brał Bridgerton, raz Richard... potem znów Bridgerton. Nie umiałyby jednak rozstrzygnąć, kto zwyciężył, chociaż przez cały czas tłukli się zawzięcie pięściami. Rozpaczliwie pragnęła ich rozdzielić, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Żaden z nich nie zwróciłby teraz uwagi na coś tak błahego jak inna ludzka istota.

Może powinna ich okiełznać lady Bridgerton? W końcu to jej dom. Odpowiadała za swoich gości. Miała większą możliwość narzucenia im posłuchu niż Lucy.

- Lady Brid...

Słowa zamarły jej w gardle. Lady Bridgerton nie było tam, gdzie znajdowała się jeszcze przed chwilą. Lucy zaczęła ją rozpaczliwie nawoływać.

Wtedy lady Bridgerton nagle się pojawiła, torując sobie drogę pośród roślin. Trzymała Hermionę z całej siły za nadgarstek. Przyjaciółka miała rozczochrane włosy, zmiętoszoną, zabrudzoną suknię i taką minę, jakby zamierzała się zaraz rozplakać.

- Hermiono! - wyszeptała Lucy. - Co się tu stało? Co ci zrobił Richard?

Ale Hermiona milczała i stała przed nią bez słowa niczym skarcony szczeniak. Próbowwała bez powodzenia wyciągnąć ku Lucy rękę, jakby nie czując, że lady Bridgerton nadal mocno ściska ją za nadgarstek.

- Hermiono...

Lady Bridgerton puściła dziewczynę i Hermiona osunęła się ku Lucy bezwładnie, jakby nie mogąc ustać o własnych siłach.

- Och, jak mi przykro! - zawołała, odzyskując głos. - Jak mi przykro!

Lucy stała oszołomiona, obejmując ją. Przyjaciółka wczepiła się w nią kurczowo jak dziecko, lecz ręce Lucindy były, dziwna rzecz, tak zdrewniałe, jakby należały do kogoś innego. Spojrzała spoza ramienia



Hermiony w dół. Mężczyźni przestali się wreszcie bić, ale Lucy było to dziwnie obojętne. Cofnęła się, żeby zajrzeć Hermionie w twarz.

- Coś ty zrobiła?

- Och, Lucy... - odparła Hermiona - tak mnie poniosło!

Godzinę później Hermiona i Richard byli już narzeczonymi.

Lucy, wskutek usilnych nalegań Kate, powróciła na bal, chociaż nie potrafiła o niczym przytomnie myśleć.

Gregory pił na umór. Uznał, że noc ma swoje zalety. Ostatecznie nie zastał Fennswortha i panny Watson in flagranti. Obojętne, co tam właściwie robili - a Gregory bardzo się starał, żeby sobie tego nie wyobrażać - przestali, gdy Kate głośno zawołała Richarda.

Wszystko razem zakrawało na farsę. Najpierw Hermiona przeprosiła za swój postępek, potem Lucy zrobiła to samo, a na końcu Kate - co wypadło dość osobliwie, gdyż zakończyła swoją przemowę słowami:

- Od tej chwili jesteście zaręczeni i musicie się pobrać tak szybko, jak to możliwe.

Fennsworth, ten wstrętny żółtodziób, był wprost rozanielony. W dodatku miał czelność posłać mu głupawy, triumfalny uśmiech. Gregory trafił go chyba w słabiznę, chociaż nie za mocno i raczej przez przypadek, zważywszy na to, że obydwaj znajdowali się wtedy na czworakach, ale dobre i to. W każdym razie Fennsworth wydał wtedy z siebie charkot i zasłabł. Gregory przetoczył się na bok, gdy tylko chwyt przeciwnika zelżał, a potem zgrabnie się podniósł.

- Bardzo mi przykro - zwrócił się do kobiet. - Nie rozumiem, co go napadło.

Później panna Watson przeprosiła Gregory'ego i Fennswortha - nie wiadomo po co, skoro akurat ten ostatni skorzystał na wszystkim najbardziej.

- Nie potrzebuję przeprosin - odparł sucho Gregory.

- Ależ ja... - Hermiona wyglądała na zmartwioną, co Gregory'emu było teraz raczej obojętne.

- Tak miło się nam gawędziło przy śniadaniu - wyznała. - Pragnę, żeby pan o tym wiedział.

Po co to mówiła? Czyżby sądziła, że poczuje się z tego powodu lepiej? Nie odpowiedział, tylko kiwnął głową i odszedł. Niech sobie myślą, co chcą. Nie zamierzał zawadzać narzeczonym, nie miał też wobec nich zobowiązań. Obojętne mu było, kiedy i jak zawiadomi się o wszystkim ich rodziny.

Poszedł szukać brandy. A potem rozsiadł się w gabinecie brata, pił jego trunek i głowił się, co to, u diabła, wszystko znaczy. Wiedział tylko, że utracił na zawsze pannę Watson. Chyba żeby miał ją porwać.

Nie zrobi tego. Zapewne wydzierająby się jak głupia wniebogłosy przez całą drogę, nie licząc błahostki, że - mógł się założyć - oddała się wcześniej Fennsworthowi. Gdyby ją teraz porwał, straciłby szacunek towarzystwa. Poza tym po cóż porwać dobrze urodzoną i ułożoną pannicę zaręczoną z jakimś hrabią.

Zastanawiał się tylko, w jaki sposób Fennsworth zdołał sprawić, że za nim poszła. A także co właściwie miała na myśli, mówiąc, że ją poniosło.

Ciekaw był również, czy go zaproszą na ślub. Chyba tak. Lucy pewnie będzie nalegać. W przeciwnym razie czułaby się urażona. Wszędzie te dobre maniery!

I co teraz? Tyle lat bezcelowego czekania, aż wszystko się samo ułoży. A kiedy uznał, że to naprawdę może się stać, kiedy spotkał pannę Watson i był gotów do podboju... Jakże obiecująco wszystko wyglądało na początku!

Choć z drugiej strony, nadal tak jest. Nie przypuszczał, by szybko znalazł żonę. Zresztą nie musiał tego robić od razu, a przedtem żyło mu się przecież całkiem miło. Wielu mogłoby mu takiego życia zazdrościć.

Oczywiście z wyjątkiem Fennswortha. Ten podły typ pewnie obmyśla teraz ze szczegółami własne wesele. A niech go diabli!

Wysączył trunek do dna i nalał sobie kolejną porcję brandy.

A więc to tak? Spotkał kobietę, która sprawiła, że dech mu zaparło. I co? I po kilku dniach jego wybranka wychodzi za innego? Kto by przypuszczał? Czy ma czekać, aż znów tył czyjejś głowy przyprawi go o gwałtowne bicie serca?

Pociągnął kolejny łyk brandy. Miał wszystkiego dosyć. Odchylił się do tyłu i wsparł nogi na biurku brata. Anthony byłby, rzecz jasna, wściekły, ale Gregory'ego to nie obchodziło. Czy bratu zdarzyło się zaskoczyć kobietę, z którą miał się zamiar żenić, w ramionach

innego? I - co jeszcze istotniejsze - czy jakiś młody hrabia zrobił sobie choć raz z jego twarzy worek treningowy?

Stanowczo nie.

Gregory ostrożnie dotknął lewego policzka. A potem prawego oka. Nie będzie się jutro dobrze prezentował. No, ale Fennsworth też nie będzie wyglądał najlepiej, pomyślał z satysfakcją.

Proszę, proszę, coś go jednak cieszy! Kto by pomyślał?

Westchnął głęboko, zastanawiając się, na ile jest jeszcze trzeźwy. Wstał, żeby to sprawdzić. Może się utrzymać na nogach? Tak. A iść? Również. Ale czy prosto? No, prawie. W każdym razie będzie w stanie stąd wyjść. Nie ma sensu tracić tak dobrej okazji.

Odnalazł drogę do drzwi i już kładł dłoń na klamce, gdy nagle wpadł w jakieś dziwne odrętwienie. Chyba była temu winna brandy. Bo cóż innego?

## **Rozdział 11**

***w którym nasz bohater robi coś, co nigdy przedtem nie wpadłoby mu do głowy.***

**J**ak na ironię Lucy musiała wrócić do siebie sama.

Najpierw Bridgerton wszczął panikę na wieść o zniknięciu Hermiony. Potem stanowczo upomniano ją za to, że chciała umknąć z czegoś, co okazało się zgoła przerażającym balem. No i zmuszono pewną parę do ogłoszenia pospiesznych zaręczyn. Trudno się było dziwić, że nikt nie zauważył tego, że Lucy wycofała się z zabawy.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego lady Bridgerton tak nalegała na to, by powróciła do sali balowej i zaprowadziła ją tam niemalże siłą. Potem powierzyła ją opiece jednej z niezamężnych ciotek i posłała po matkę Hermiony, która - jak łatwo się było domyślić - nie miała pojęcia o czekającej ją niespodziance.

Lucy stała później na skraju sali niczym ostatnia kretyńka, patrząc bezmyślnie na resztę gości i dziwiąc się, jak mogą nie wiedzieć, co zaszło tej nocy. Wydawało się niepojęte, że losy aż trzech osób mogą się wskutek tego potoczyć zupełnie inaczej, a wszyscy zachowują się jak gdyby nigdy nic.

Nie, raczej czterech osób, bo należało tu wliczyć również i Bridgertona. Przecież jeszcze tego ranka miał całkiem inne plany na przyszłość.

A tymczasem wszystko wyglądało normalnie. Ludzie tańczyli, śmiali się i jedli kanapki, nadal w irytujący sposób pomieszane ze sobą na tym samym półmisku.

Zdumiewało ją to. Czyż nikt nie widzi, jak wiele się zmieniło? Nikt do niej nie podejrze, mówiąc kpiarskim tonem: „Pani jakoś inaczej wygląda. Ach, rozumiem! To dlatego, że brat uwiódł pani najlepszą przyjaciółkę!”

Oczywiście nikt tego nie zrobił. A gdy Lucy przypadkiem zobaczyła własne odbicie w lustrze, zdumiało ją, że wcale się nie zmieniła. Może wyglądała na trochę znużoną, może nieco bledszą, lecz wciąż pozostawała sobą - starą, zącą Lucy.

Włosy nadal miała niezbyt jasne, oczy nie za bardzo niebieskie, wargi mało atrakcyjnie wykrojone, a nosowi brakowało wyrazu i widniało na nim tych samych co zawsze siedem piegów, łącznie z jednym koło powieki, którego nie dostrzegał nikt poza nią, a który wyglądał, nie wiadomo dlaczego, całkiem jak Irlandia.

Westchnęła. Nigdy nie była w Irlandii i pewnie nigdy się tam nie wybierze. Dziwne, że się tym teraz martwi, przecież wcale nie chciała tam pojechać. Gdyby zaś chciała, musiałaby prosić o to Haselby'ego, co niewiele by się różniło od proszenia stryja Roberta o pozwolenie na to czy tamto.

Pokiwała głową. Dość tego! Ma za sobą koszmarną noc, jest w dziwnym nastroju i czuje się rozpaczliwie nieswojo na balu maskowym. Najwyraźniej powinna już udać się do łóżka. Po półgodzinnym udawaniu, że się świetnie bawi, stało się dla niej całkiem jasne, że niezamężna ciotka - która miała się nią zająć - wcale nie rozumie, dlaczego obarczono ją tym obowiązkiem. Lucy domyśliła się tego bez trudu, gdy próbowała nawiązać z nią rozmowę, i usłyszała spod maski skrzekliwy głos:

- Niech no ci się przyjrzę, kochaneczko... Czy ja cię może znam?

Uznała wówczas, że powinna skorzystać ze sposobności, i odparła:

- Przepraszam, pomyliłam panią z kimś!

Po czym wyszła z sali. Sama. Doprawdy, to nawet było zabawne. No, prawie zabawne.

Dosyć długo krążyła jednak tej nocy po pałacu, by się upewnić, że goście, rozproszeni po zachodniej i południowej stronie sali, nie zapuszczą się w głąb północnego skrzydła, gdzie znajdowały się prywatne apartamenty gospodarzy. Właściwie nie powinna była iść tamtędy, ale po tym, co przeszła, było jej wszystko jedno.

Gdy weszła do długiego holu wiodącego na północ, natknęła się na zamknięte drzwi. Nigdy ich tam wcześniej nie widziała. Zapewne

Bridgertonowie trzymali je zwykle otwarte na oścież. Sądziła, że są zaryglowane, bo inaczej po cóż by je zamykano?

Klamka ustąpiła z łatwością. Lucy zamknęła drzwi za sobą, czując ogromną ulgę. Nie byłaby w stanie wrócić na bal. Pragnęła tylko wsunąć się do łóżka, skulić pod kołdrą, zamknąć oczy i spać, spać, spać...

Co za cudowna perspektywa! Najlepiej byłoby, gdyby Hermiona jeszcze nie wróciła. Może matka zatrzyma ją na całą noc u siebie? To byłoby jeszcze lepsze. O tak, samotność odpowiadała jej teraz najbardziej.

Wszędzie panowała cisza i ciemność. Po chwili oczy Lucy przywykły do mroku. Nie zapalono tu lamp ani świec, lecz niektóre drzwi stały otworem i blade światło księżyca kładło się na dywanie. Szła powoli, ale zdecydowanym krokiem, miarowo, jakby stapała po linii rozciągniętej pośrodku korytarza.

Raz, dwa...

Nie było w tym nic dziwnego. Lucy często liczyła kroki. A już zawsze na schodach. W szkole dziwiło ją, że inni tego nie robią.

Trzy, cztery...

Dywan wyglądał w świetle księżyca na jednobarwny, wiedziała jednak, że duże romby wzoru są czerwone, a małe - złote. Czy potrafi stąpać wyłącznie po złotych?

Pięć, sześć.

A może tylko po czerwonych? Byłoby to łatwiejsze. Chociaż tej nocy nie miała chęci na podobne zabawy. Siedem, osiem, dzie...

Bach! Wpadła na coś, nie - co gorsza - na kogoś! Patrzyła pod nogi na czerwone romby i nie zauważyła, że... ale czy tamta osoba też jej nie spostrzegła?

Mocne dłonie chwyciły ją za ramiona.

- Panno Lucindo...

- Pan Bridgerton?

Jego głos zabrzmiał w ciemności cicho i łagodnie.

- Co za nadzwyczajny traf.

Wyswobodziła się z uścisku, choć uratował ją od upadku, i cofnęła o krok. Wydał się jej nadspodziewanie wysoki i barczysty.

- Co pan tu robi?

- Ä pani?

- Szłam się położyć. Sądziłam, że tędy najłatwiej dojdę do mojego pokoju - wyjaśniła - zważywszy na to, że jestem sama.

Przechylił głowę na bok, zmarszczył czoło, a w końcu mruknął:

- Czy to właściwe słowo?



Nie wiadomo, dlaczego się uśmiechnęła - w duchu, bo jej wargi ani nie drgnęły, lecz liczył się dla niej właśnie ten wewnętrzny uśmiech.

- Chyba nie - zgodziła się - tylko że jakoś się tym nie martwię. Uśmiechnął się nieznacznie, a potem wskazał ruchem głowy na pokój, z którego zapewne wyszedł.

- Byłem w gabinecie brata. Rozmyślałem nad tym wszystkim.

- Rozmyślał pan?

- Nad tym, co zaszło dzisiejszej nocy.

- Aha. - Rozejrzała się wokoło, na wypadek, gdyby ktoś znalazł się w pobliżu. A może raczej chciała się upewnić, że nikogo nie ma?

- Nie powinnam być tu z panem sam na sam. Kiwnął głową z powagą.

- Nie mam zamiaru niszczyć pani praktycznie ustalonego narzeczeństwa.

Lucy nawet o nim nie pomyślała.

- Po tym, co spotkało Hermionę... - zaczęła, lecz nagle uznała, że byłoby to niedelikatne. - Myślałam, że będzie pan ostrożniejszy.

- Mogłoby się tak zdawać.

Poczuła ucisk w gardle. Wołała nie spoglądać mu w twarz. Wzruszył ramionami, a mina, jaką przybrał, wyrażała nonszalancję.

Przygryzła wargę. Nie, niemożliwe. Zdecydowanie źle odczytała jego spojrzenie. Przecież był zakochany! Sam jej o tym mówił. Co ją to zresztą obchodzi? Nie ma z tym nic wspólnego.

Tylko że chodziło o jej brata i jej najlepszą przyjaciółkę. Gdyby sprawa dotyczyła wyłącznie Hermiony albo tylko Richarda, mogłaby uznać, że nie powinna się tym przejmować. Ale nie wtedy, gdy obydwoje byli w to zamieszani.

Natomiast Bridgerton się dla niej nie liczył. Cokolwiek się z nim działo, to nie jej problem.

Spojrzała na niego. Miał rozluźniony halsztuk. Mogła dostrzec zadrapanie w miejscu, na które wcale nie powinna patrzeć.

Nie. To nie jej problem.

- W takim razie... w porządku. - Próbowała to powiedzieć spokojnym tonem, ale przeszkodził jej kaszel i okropny skurcz krtani. Zdołała jedynie wykrztusić:

- Muszę już iść.

- Dobrze się pani czuje? - spytał niespokojnie.

- Doskonale - zdołała jakoś wyjąkać i zdała sobie sprawę, że znów wpatruje się w jego szyję, a właściwie nawet w pierś, co było jeszcze bardziej niestosowne. Usiłowała spojrzeć gdzie indziej, a potem znów się rozkaszała. Pragnęła koniecznie coś powiedzieć, żeby tylko nie patrzeć tam, gdzie nie powinna.

- Już pani lepiej? Skinęła głową.

- Cieszę się.

Co go mogło cieszyć? Co chciał przez to powiedzieć?

- Nie cierpię, kiedy mnie się coś takiego zdarza.

A więc wie, jak ona się teraz czuje. To ładnie z jego strony, że tak powiedział, ale Lucy chyba za chwilę zwariuje.

- Powinnam już iść.

- Owszem.

Nie ruszyła się jednak z miejsca.

Patrzył na nią bardzo dziwnie. Oczy miał przymrużone, ale nie tak, jak podczas gniewu. Raczej jakby gorączkowo się nad czymś zastanawiał. Ach, mówił przecież, że rozmyślał tam, w gabinecie brata. Tylko że nie o niej...

- Panie Bridgerton... - zaczęła z wahaniem, nie wiedząc, o co właściwie miałaby go zapytać. Gregory odpowiedział pytaniem:

- Czy pani pije, Lucindo?

- Czy piję? Co miałabym pić?

- Brandy. Wiem, gdzie mój brat trzyma dobrą brandy.

- Och, Boże. Nie, oczywiście, że nie piję.

- Szkoda.

- Naprawdę, nie piję - dodała, bo uznała, że musi to jakoś wyjaśnić. I rzeczywiście, nigdy nie piła mocnych trunków. Powinien był o tym wiedzieć.

- Nie rozumiem, dlaczego panią o to zapytałem. - Wzruszył ramionami.

- Powinnam już pójść - powtórzyła. I ani drgnęła. On także. Jak też może smakować brandy? Czy kiedykolwiek się tego dowie?

- Dobrze się pani bawiła?

- Na balu?

- Przecież kazano pani wracać do sali.

- Owszem, kazano. Dość stanowczo.

- Kate niemal tam panią zaciągnęła.

Lucy, ku własnemu zdumieniu, zachichotała.

- Prawie że. Było mi trochę głupio, bo nie miałam już maski.

- Wygląda pani całkiem jak grzyb.

- Jak co?

Wskazał na jej suknię.

- Jak niebieski grzyb.

- Czy pan się czasem nie upił? Uśmiechnął się, trochę niemądrze.

- Powiedziałbym, że odrobinę. Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Tylko tyle?

- No cóż, może wypilem za dużo.

Lucy nie wiedziała o pijanych mężczyznach zbyt wiele, mimo to starczyło jej tej wiedzy, by zadać pytanie:

- Zawsze tak z panem bywa?

- Nie. - Uniósł brwi, a potem spojrzał na nią z wyższością. -

Zwykle wiem, jak bardzo jestem wstawiony.

Nie miała pojęcia, co na to odpowiedzieć.

- Tylko że, widzi pani, dzisiejszej nocy jakoś mi się trudno w tym zorientować.

Powiedział to tak, jakby był tym zaskoczony.

- Och. - Ona też dzisiejszego wieczoru czuła się mocno niewyraźnie.

Uśmiechnął się.

Ścisnęło ją dziwnie w żołądku. Chciała odwzajemnić uśmiech, powinna była tak zrobić. Cały czas stała w miejscu.

Bridgerton przekrzywił głowę. Zdawał się robić dokładnie to, o czym mówił wcześniej - rozmyślał.

- Sądzę - zaczął powoli - że zważywszy na wypadki dzisiejszej nocy...

Czekała na dalszy ciąg. Dlaczego ludzie zawsze zawieszają głos, kiedy chcą powiedzieć coś istotnego?

- Panie Bridgerton... - ponagliła go, bo zaczął wpatrywać się w ścianę.

- Powinienem chyba czuć się trochę bardziej przygnębiony.

- A nie jest pan? Jakże to możliwe?

- Nie tak bardzo, jakby należało, zważywszy na to, że dech mi zaparło, gdy po raz pierwszy ujrzałem pannę Watson.

Uśmiechnęła się kwaśno.

Głowa Bridgertona powróciła do normalnej pozycji. Spojrzał na nią tak, jakby nagle powziął jakąś decyzję.

- Wszystko przez tę brandy.

- Rozumiem. - Oczywiście niczego nie rozumiała, lecz cóż innego mogła powiedzieć? - Tylko że... wyglądał pan na przygnębionego.

- Byłem wściekły - wyjaśnił.

- A teraz już nie?

- Och, nadal jestem zły - uznał po chwili.

Lucy pomyślała, że powinna go przeprosić. Wiedziała, że to idiotyczne, bo przecież nic nie zdarzyło się z jej winy. Zaczęła w niej kiełkować potrzeba przeproszenia za wszystko. Trudno! Zawsze chciała, żeby wszyscy naokoło byli szczęśliwi, bo w ten sposób świat prezentował się dużo klarowniej i porządniej.

- Przepraszam, że nie uwierzyłam w to, co mówił pan o moim bracie. Ja... naprawdę o niczym nie wiedziałam.

Spojrzał na nią całkiem życzliwie - nie rozumiała zresztą dlaczego, bo w końcu jeszcze przed chwilą zachowywał się lekceważąco i nonszalancko. Teraz wyglądał całkiem inaczej.

- Wiem. Nie musi pani przeproszać.

- Czułam się tak samo zaskoczona, jak pan, kiedy ich znaleźliśmy.

- Mnie to nie zaskoczyło - wyjaśnił łagodnie. Chyba po to, żeby nie czuła się tak strasznie głupio z tego powodu, że nie dostrzegła czegoś oczywistego.

- Pan rozumiał, co się święci, w przeciwieństwie do mnie. - Doprawdy, okazała się istną kretynką. Jak mogła niczego nie dostrzec? Przecież chodziło o Hermionę i jej własnego brata? Właśnie ona powinna była zauważyć rodzący się romans.

Po dłuższej, pełnej napięcia ciszy odparł:

- Jakoś się z tego wygrzebię.

- Na pewno! - przytaknęła gorliwie. Sama też poczuła się pewniej, bo próba naprawienia wszystkiego jest czymś miłym i

normalnym. Chciała natychmiast zyskać pewność, że wszyscy są już szczęśliwi i spokojni. Jak ona teraz.

Ale wtedy spytał:

- Czy pani tego chce? Milczała.

- Czuć się dobrze - uściślił. - Tego by pani pragnęła? - I wzruszył ramionami.

- Oczywiście - odparła trochę za szybko, sądząc, że już skończył, lecz on ciągnął dalej:

- Jest pani pewna? Bo wygląda pani trochę...

Przełknęła nerwowo ślinę, czekając z niepokojem na koniec zdania.

- Wygląda pani jak ktoś zupełnie rozstrojony.

- Byłam po prostu zaskoczona! - odpowiedziała, zadowolona, że łatwo znalazła odpowiedź. - No i mocno zakłopotana. - Czuła jednak, że nie powiedziała tego w sposób całkiem naturalny, jakby nie wiedziała, kogo tak naprawdę pragnie przekonać, siebie czy Gregory'ego.

Nie odpowiedział nic.

Znów przełknęła ślinę. Czuła się coraz bardziej nieswojo, a tymczasem należało coś mówić, wyjaśnić mu wszystko. Dodała więc:

- Sama dobrze nie wiem, co się tam stało. Bridgerton nadal się nie odzywał.

- Poczułam się tam... trochę jak... - Jej ręka powędrowała ku piersi, w której czuła nieznośną drętwosć. Spojrzała na niego,

niemalże błagając go wzrokiem, żeby się odezwał, żeby zmienił temat i zakończył tę rozmowę.

Ale tego nie zrobił i jedynym wyjaśnieniem okazała się cisza. Gdyby o coś spytał, gdyby rzekł choć jedno słowo, nie powiedziała by nic, milczenia jednak znieść nie mogła. Musiała czymś wypełnić tę ciszę.

- Nie mogłam się ruszyć - zaczęła powoli, słowo po słowie, jakby chciała w ten sposób potwierdzić to, co się stało. - Byłam przy samych drzwiach, a nie potrafiłam ich otworzyć.

Popatrzyła na niego, spodziewając się jakiejś odpowiedzi. On zaś, rzecz jasna, nie dał żadnej.

- Sama nie wiem, co się wtedy ze mną stało - ciągnęła, coraz szybciej oddychając - w końcu chodziło o mojego brata i Hermionę. Przykro mi z pańskiego powodu, ale... Jakoś się wszystko w końcu uporządkowało, a przynajmniej powinno. No i Hermiona zostanie moją siostrą. Zawsze chciałam mieć siostrę.

- Czasem siostry bywają zabawne - powiedział ze słabym uśmiechem. Od razu poczuła się znacznie lepiej i znów zaczęła mówić, tym razem bez wahania, płynnie.

- Trudno wprost uwierzyć, że tak po prostu poszli razem do oranżerii! Przecież mogli mi powiedzieć, co do siebie czują! Nie powinnam dowiadywać się o tym w taki sposób. To nie w porządku! - Chwyciła go za ramię i zajrzała w oczy. - Nie w porządku!

Kiwnął głową, choć ledwo dostrzegalnie. Podbródek ani usta nie drgnęły mu, kiedy powtórzył za nią:



- Nie w porządku.

- Wszystko się zmieniło - szepnęła, nie chciała dłużej myśleć ani o tym, ani o przyszłości. - Wszystko się zmieniło - powiedziała jeszcze raz. - A ja nic nie mogę na to poradzić.

Twarz Bridgertona znalazła się nagle bliżej niej.

- Nie - zaprzeczył z mocą.

- Za wiele tego dla mnie! - ciągnęła, nie przestając na niego patrzeć. Nie mogła oderwać oczu od jego twarzy i raz jeszcze wyszeptała „za wiele”, kiedy nic już ich nie dzieliło, a jego usta dotknęły jej warg.

To był pocałunek.

Ktoś ją całował. Ją, Lucy. Znalazła się w samym centrum wszechświata. Właśnie ją spotykało teraz to coś, co - dziwna rzecz - wydawało się jej wręcz niesłychane i tak bardzo ją przeobraziło. Zwykły pocałunek, lekkie muśnięcie warg, prawie że łaskotliwe. Poczowała, że robi się jej gorąco, potem targnął nią dreszcz, a ciało zaczęło nagle żyć własnym życiem, mimo że było zupełnie znieruchomiałe, jakby musiało się bronić przed najłżejszym dotknięciem. Bo wtedy całe to doznanie by się rozwiało,

A Lucy nie chciała, żeby znikło. Pragnęła utrwalić w pamięci tę chwilę. Pragnęła wszystkiego, czego mogła doznać, co mogła odczuć.

Objął ją, a ona poddała się temu uściskowi. Westchnęła tylko z ustami tuż przy jego ustach. Czowała się tak, jakby ją coś unosiło w górę.

Pocałował ją mocniej, a ona otworzyła się na ten pocałunek.

Jego ręce przygarniały ją coraz mocniej i mocniej, a jej własne oplotły

się wokół niego, sięgając ku miejscu, gdzie włosy stykały się z kołnierzem.

Nie miała zamiaru go dotykać, nawet o tym nie myślała, ale jej dłonie po prostu wiedziały, co mają robić, jak go do siebie przyciągać. Plecy wygięły się jej w łuk, czuła coraz większe gorąco, a pocałunek trwał i trwał. Czuła go wewnątrz całej siebie, aż po końce palców. Był wszędzie, docierał do głębi.

- Lucy - wyszeptał, a jego wargi przesunęły się po jej policzku do ucha. - O Boże, Lucy!

- Nie miała odwagi się odezwać, żeby nie przerywać tej chwili. Nie wiedziała zresztą, jak miałyby się do niego zwrócić.

Nie była w stanie powiedzieć „Gregory”, a „panie Bridgerton” już tu nie pasowało. Stał się dla niej kimś więcej.

Mówiła przedtem prawdę. Wszystko się zmieniło. Była kimś zupełnie innym. Czuła, że...

Oprzytomniała.

Pochylił się nad nią, chwytając wargami płatek jej ucha. Wydała z siebie słaby jęk, jakby zaśpiew. Chciała osunąć się z nim na dywan, poczuć na sobie ciężar jego ciała, robić coś, działać. Zdobyć się na odwagę.

Wsunęła palce w jego włosy. Mruknął z cicha i już sam dźwięk jego głosu sprawił, że serce zaczęło jej bić szybciej. Robił coś niesłychanego z jej szyją - wargami, językiem, zębami. Wszystko to sprawiało, że narastał w niej jakiś żar.

Jego wargi ześlizgnęły się wzdłuż jej szyi, a ręce nieustannie ją obejmowały i przygarniały niecierpliwym ruchem. Czy tak samo było z Hermioną? Czy nie spodziewając się niczego, poszła z Richardem na spacer, a potem...

Teraz już rozumiała, jak to jest pragnąć czegoś złego i przyzwalać, żeby się to stało, nawet gdyby miał wybuchnąć skandal.

A potem powiedziała wreszcie do niego: „Gregory”. Całkiem jakby tym jednym jedynym słowem chciała zmienić cały świat, wszystko naokoło. Uznała, że jeśli wypowie to imię, on będzie należeć do niej. A ona zaś zapomni o wszystkim innym.

O Haselbym także.

Dobry Boże, przecież była zaręczona! Podpisano już wszystko, co trzeba! Tymczasem ona...:

- Nie! - Wsparła dłonie o jego pierś. - Nie, nie mogę! Pozwolił, żeby go odepchnęła. Odwróciła głowę. Bała się patrzeć na niego. Wiedziała, że gdy tak zrobi, nie zdoła mu się oprzeć.

- Lucy - powiedział i poczuła, że równie trudno jej znieść dźwięk jego głosu, jak zdobyć się na to, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Nie mogę! - Pokręciła głową. - To byłoby coś złego.

- Lucy. - Tym razem poczuła jego palce na policzku. Delikatnie skierował jej głowę ku sobie.

- Niech mi będzie wolno odprowadzić panią na górę.

- Nie! - odparła zbyt głośno i urwała, zakłopotana. - Nie mogę ryzykować - wyjaśniła i, zdobywając się w końcu na odwagę, zerknęła mu w oczy.

Zrobiła błąd. Jakże on na nią patrzył! Nie tylko nie odrywał od niej wzroku, lecz było w jego spojrzeniu coś więcej - łagodność, ciepło, ciekawość. Jakby... jakby nie był całkiem pewien, co właściwie widzi. Jakby patrzył na nią po raz pierwszy.

Właśnie tego nie mogła znieść, nie wiedząc zresztą dlaczego. Może dlatego, że w ogóle na nią patrzył? Może dlatego, że miał tak szczególny, właściwy tylko jemu wyraz twarzy? A może z obydwu powodów?

Nie miało to zapewne znaczenia, lecz przejmowało ją lękiem.

- Nie będę się narzucał, ale odpowiadam za pani bezpieczeństwo.

Cóż się stało z tym nieco wstawionym, sympatycznym młodzieńcem, z którym rozmawiała chwilę wcześniej? Na jego miejscu stał wzór cnót i obowiązkowości.

- Lucy - odezwał się. W tym jednym słowie było to nie tylko pytanie, ale też napomnienie. Chciał się zachować przyzwoicie. Powinna przyjąć to do wiadomości.

- Mój pokój jest niedaleko stąd - zaczęła, siląc się, by mówić przytomnie. - Nie muszę tam wracać w pańskiej asyście. Wystarczy, że wejdem na górę tymi schodami.

A potem skieruje się w dół do holu i skręci za róg. Nie musiał jednak tego wiedzieć.

- W takim razie wejdę razem z panią na górę.

Wiedziała już, że nie da się przekonać. Powiedział to spokojnie, ale takim tonem, jakiego jeszcze u niego nie słyszała.

- I zostanę tam, dopóki nie znajdzie się pani w swoim pokoju.

- To zbędne.

Puścił jej słowa mimo uszu.

- Proszę zastukać trzy razy, kiedy już pani tam będzie. -Ja nie...

- Jeśli nie usłyszę stukania, wejdę na górę, żeby się osobiście przekonać o pani bezpieczeństwie.

Skrzyżował ręce na piersi. Zastanowiła się wtedy, czy postępowałby tak samo władczo, gdyby urodził się jako pierworodny. Uznała, że byłby dobrym wicehrabią, choć nie wiedziała, czy lubiłaby go wtedy tak bardzo. Lord Bridgerton przerażał ją trochę, chociaż z pewnością musiał być w głębi duszy łagodnym człowiekiem, kochającym żonę i dzieci.

- Lucy...

Zacisnęła zęby, nie chcąc się przyznać do kłamstwa.

- Doskonale - odparła poirytowana - ale skoro chce pan usłyszeć moje stukanie, należałoby jednak wejść na górę.

Przeszedł z nią całe siedemnaście stopni.

- Zobaczymy się jutro - rzucił.

Lucy nie odpowiedziała. Czowała, że byłoby to niemądre.

- Zobaczę się z panią jutro - powtórzył.

Zgodziła się, bo uznała, że powinna tak zrobić. I nie dała znać po sobie, że ma szczyry zamiar go unikać.

Pragnęła go zobaczyć, mimo że nie powinna mieć takich pragnień i wiedziała o tym. Nic wszakże nie mogła na to poradzić.

- Chyba będziemy musieli wyjechać. Stryj wezwał mnie do powrotu, no a Richard...

Wyjaśnienia nie zmieniły ani na jotę stanowczego wyrazu jego twarzy. Patrzył na nią tak przenikliwie, że aż się wzdrygnęła.

- Zobaczę się z panią jutro - powtórzył po raz trzeci.

Znowu skinęła głową, a potem odeszła stamtąd najprędzej, jak tylko mogła to zrobić, nie biegnąc. Gdy skręciła za róg, ujrzała wreszcie drzwi swego pokoju. Zatrzymała się jednak tuż za rogiem, tam, gdzie nie mógł jej już zobaczyć. I zapukała. Trzykrotnie.

Po prostu dlatego, że powinna była zapukać.

## *Rozdział 12*

*w którym nie dochodzi do żadnego rozstrzygnięcia.*

**G**regory zszedł następnego dnia na śniadanie i zastał już w jadalni Kate, zgnębioną i wyczerpaną.

- Tak mi przykro - powiedziała, przysiadając się do niego.

Za co ona przeprasza? Gregory był szczerze zdumiony. Przecież ostatnich kilka dni okazało się wprost nadzwyczajnych.

- Wiem, że miałeś zamiar...

- Nieważne - przerwał jej, spoglądając na talerz z jedzeniem, który zostawiła na brzegu stołu dwa krzesła dalej.

- Ależ...

- Kate - powiedział, ledwie rozpoznając własny głos. Brzmiał dojrzałej, bardziej stanowczo.

Zamilkła, jakby słowa uwięzły jej w gardle.

- Nieważne - powtórzył i zabrał się do jajek. Nie chciał o tym mówić, nie miał też ochoty słuchać wyjaśnień. Stało się, jak się stało. Nic na to nie mógł poradzić.

Nie zważał, co robi Kate. Wolał skoncentrować się na jedzeniu. Zapewne rozglądała się wokoło, chcąc zyskać pewność, że nikt nie słucha, o czym rozmawiają. Od czasu do czasu słyszał, jak wierci się na krześle, zmieniając odruchowo pozycję, nim zacznie mówić.

Zabrał się z kolei do bekonu.

Wtedy zaś - dobrze wiedział, że bratowa nie zdoła zamilknąć na długo - znów zaczęła:

- Czy ty... Spojrzał na nią ostro.

- Przestań.

Przez chwilę jej twarz była bez wyrazu, potem zaś kąciki ust opadły jej w dół, chociaż niecałkowicie.

- Ile miałaś lat, gdy cię poznałam?

- O czym ty mówisz? Nie mam pojęcia - mruknął zniecierpliwiony, usiłując sobie przypomnieć ślub brata. Anthony dostał wtedy istne morze kwiatów i kichał potem przez kilka tygodni.

- Trzydzieści albo dwadzieścia... Przyjrzała mu się, zaintrygowana.

- Chyba trudno być o tyle młodszym od pozostałych braci.

Odłożył widelec.

- Anthony, Benedict i Colin - ciągnęła - są sobie bliscy wiekiem. Zupełnie jak kaczkę, myślałam wtedy, chociaż nie byłam na tyle niemądra, żeby to mówić głośno. O ile jest od ciebie starszy Colin?

- O dziesięć lat.

- Tylko? - Kate wyglądała na zaskoczoną, czego nie potrafił uznać za komplement.

- Od Anthony'ego jest młodszy o sześć lat - powiedziała, podpierając dłonią brodę, jakby w głębokim zamyśleniu. - W istocie nawet trochę więcej. Sądzę jednak, że to już nie taka wielka różnica.

Czekał na dalszy ciąg.

- Nieważne - dodała szybko. - W końcu każdy znajdzie jakieś miejsce w życiu. A teraz...

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Jak można w ten sposób zmieniać temat? Nie rozumiał, o czym mówiła.

- Przypuszczam, że mogę ci już powiedzieć o wszystkim. Kiedy odszedłeś - pokiwała głową z westchnieniem podobnym raczej do jęku - lady Watson okazała się co nieco wytrącona z równowagi tym, że nie upilnowaliśmy jej córki. No, ale w końcu czyja to była wina? Potem się żaliła, że panna Watson nie zadebiutuje już w sezonie, więc ona sama nie będzie miała sposobności do kupna nowych strojów.

Urwała, czekając, aż Gregory się odezwie, lecz on uniósł tylko nieznacznie brwi na znak, że nie ma nic do dodania.

Kate pozwoliła mu na chwilę wytchnienia, po czym ciągnęła:

- Lady Watson przybyła tutaj pospiesznie, kiedy jej powiedziano, że Fennsworth jest hrabią, chociaż młodym.



Znów urwała i się skrzywiła.

- Istotnie, chyba jest młody, prawda?

- Trochę młodszy ode mnie - odparł, mimo że dzień wcześniej uważał go za zupełnego smarkacza.

Kate wydawała się podzielać jego pogląd.

- Nie - powiedziała z wolna - jest tu jakaś różnica. On nie... Och, sama już nie wiem. Skądinąd...

Dlaczego to kobieta po raz kolejny zmienia temat właśnie wtedy, gdy zaczęła mówić o czymś, co naprawdę chciał usłyszeć?

- Zaręczyny się odbyły - ciągnęła coraz szybciej. - Myślę, że obie strony są z tego zadowolone.

Gregory uznał, że nie liczy się jako strona, czuł jednak z tej przyczyny co najwyżej rozdrażnienie. Nie cierpiał porażek. W każdej dziedzinie. Może tylko w strzelaniu. Z tym dawno zdołał się pogodzić.

Czyżby jednak gdzieś w głębi ducha brał pod uwagę możliwość, że nie uda mu się zdobyć Hermiony? Owszem, wiedział, że nie pójdzie łatwo, ale uznał wygraną za pewnik. Przecież odniósł pewien sukces. Sprawił, że się roześmiała. To nie byle co.

- Wyjeżdżają nazajutrz - kontynuowała Kate. Osobno, rzecz jasna. Lady Watson i jej córka muszą się zająć przygotowaniem do ślubu. A lord Fennsworth zabiera siostrę ze sobą. W końcu po nią przyjechał.

Lucy. Musi zobaczyć się z Lucy.

Próbował o niej nie myśleć. Bez skutku. Przez cały czas miał jednak świadomość jej istnienia, nawet gdy złościł się z powodu utraty panny Watson.

Lucy. Nie mógł już o niej myśleć jako o pannie Abernathy albo nawet Lucindzie. Stałaby się dla niego Lucy nawet i wtedy, gdyby jej nie pocałował. To imię pasowało do niej idealnie.

No właśnie! Pocałował ją! I było to czymś wspaniałym, choć przede wszystkim nieoczekiwanym. Wszystko go podczas tego pocałunku zaskoczyło, nawet sam fakt, że to zrobił. Nie spodziewał się, że pocałuje Lucy.

Wyciągnęła ku niemu wtedy ręce. A jej oczy... Co w nich takiego było? Patrzyła na niego, jakby szukając w nim czegoś.

Wcale nie chciał tego zrobić, po prostu jakoś się tak stało i tyle. Coś go ku niej pchnęło, przestrzeń pomiędzy nimi kurczyła się coraz bardziej... Aż wreszcie Lucy znalazła się w jego ramionach. On zaś pragnął stopić się z nią w jedno. I więcej się od niej nie odrywać.

Pragnął ją pocałować jeszcze raz, zanim opuści ich to gwałtowne pragnienie. Chciał...

W porządku. Chciał zrobić to i tamto, ale też był co nieco wstawiony, nie za bardzo, lecz dostatecznie, by wątpić w prawdziwość własnych reakcji. Był także zły i wytracony z równowagi. Nie z powodu Lucy, rzecz jasna, dobrze jednak wiedział, że osłabła wówczas jego zdolność osądu.

Mimo wszystko wciąż chciał ją zobaczyć. Była dobrze ułożoną młodą damą, a takiej się nie całuje i nie zostawia potem bez słowa.

Musiał ją przeprosić, chociaż nie był pewien, czy Lucy tego naprawdę chce. Ale powinien postąpić, jak należy.

Spojrzał na Kate.

- Kiedy wyjeżdżają?

- Lady Watson i Hermiona? Chyba dziś po południu.

O mało nie krzyknął, że ma na myśli pannę Lucinę, pohamował się jednak w porę i spytał:

- A Fennsworth?

- Sądzę, że wcześniej. Lucinda zjadła już śniadanie. - Kate zastanawiała się przez chwilę. - Fennsworth, jak mi się zdaje, mówił, że chciałby zdążyć do domu na kolację. Mogą tam dotrzeć w ciągu jednego dnia. Nie mieszkają zbyt daleko.

- Gdzieś koło Dover - mruknął z roztargnieniem.

- Chyba masz rację - uznała, lecz trochę ją zaskoczył.

Gregory spodziewał się, że zostanie Lucy w jadalni - nie umiałaby zrezygnować ze śniadania. Ale jeśli je już zjadła, czas wyjazdu zbliżał się nieodwołalnie.

A on koniecznie chciał z nią pomówić.

Wstał gwałtownie od stołu, tak że uderzył udem o blat. Kate spojrzała na niego z niepokojem.

- Nie skończysz?

- Nie jestem głodny.

W jej wzroku dostrzegł niedowierzanie. W końcu знаła go ponad dziesięć lat.

- Naprawdę? Zignorował to.

- Życzę ci miłego dnia.

- Gregory...

Odwrócił się. Coś w jej głosie, choć nie chciał się przyznać przed samym sobą, zmusiło go do tego.

Oczy Kate pełne były współczucia i zrozumienia.

- Chyba nie idziesz szukać panny Watson?

- Nie - odpowiedział i niemal poczuł rozbawienie, bo była to ostatnia rzecz, o jakiej by teraz pomyślał.

Lucy wpatrywała się w spakowane bagaże ze znużeniem, smutkiem, zakłopotaniem i Bóg jeden wie, czym jeszcze. Czowała się jak wyżęta. Niejeden raz obserwowała służące, które z całej siły wykręcały ręczniki kąpielowe, żeby pozbawić je resztek wody.

A więc doszło do tego, że przypomina ręcznik kąpielowy!

- Lucy...

Hermiona weszła bezszelestnie do pokoju. Lucinda już spała, gdy przyjaciółka wróciła nocą, z kolei Hermiona spała, kiedy Lucy wstała i zeszła na śniadanie. Gdy wróciła z jadalni, Hermiona gdzieś znikła. Lucy była jej za to szczerze wdzięczna.

- Byłam u matki - wyjaśniła przyjaciółka. - Wyjeżdżamy dzisiaj po południu.

Lucy wiedziała o tym. Lady Bridgerton powiadomiła ją przy śniadaniu, jakie plany mają inni. Kiedy wróciła, wszystkie jej rzeczy były spakowane i czekały, by zanieśiono je do powozu.

A więc tak się to skończyło.

- Chciałam z tobą pomówić. - Hermiona przysiadła na skraju łóżka, w należytej odległości od niej. - Muszę się wytłumaczyć.

Lucy nadal wpatrywała się uparcie w bagaże.

- Co tu jest do tłumaczenia? Cieszę się bardzo, że wychodzisz za Richarda. - Udało jej się uśmiechnąć. - Zostaniesz moją siostrą.

- Jakoś cię to nie cieszy.

- Czuję się taka zmęczona.

Hermiona milczała przez chwilę, a potem, kiedy stało się oczywiste, że Lucy się nie odezwie, zaczęła:

- Chciałabym się upewnić, że wiesz o jednym. Nie będę mieć żadnych sekretów przed tobą. Nie mogłabym ich mieć. Wierzysz mi?

Lucy kiwnęła głową na znak, że wie, nawet jeśli czuła się opuszczona, a może nawet w pewnym sensie zdradzona poprzedniej nocy.

Hermiona z trudem przełknęła ślinę, a potem nabrała tchu. Wtedy Lucy zrozumiała, że przyjaciółka przygotowywała sobie tę przemowę przez kilka godzin, żeby dokładnie wyrazić, co czuje. I choć ona zrobiłaby dokładnie tak samo, poczuła, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu zbiera się jej na płacz.

Hermiona stale wynajdywała jakieś nowe słowa i frazy w trakcie swojej perory.

- Ja się naprawdę zakochałam. Nie, nie - powiedziała bardziej do siebie niż do Lucy. - Myślałam, że kocham Edmonsa, ale przekonałam się, że wcale tak nie jest. Bo potem był przecież Bridgerton, a później... Richard.

Lucy spojrzała na nią ostro.

- Co masz na myśli, mówiąc „potem był Bridgerton”?

- Ja... doprawdy... sama nie wiem. - Hermione oblała się rumieńcem. - Kiedy jadłam z nim śniadanie, poczułam się tak, jakbym ocknęła się z długiego, dziwnego snu. Mówiłam ci o tym, pamiętasz? Och, nie słyszałam już muzyki ani niczego podobnego i nawet nie czułam, że... Nie wiem, jak mam ci to wyjaśnić, ale choć tym razem nic na mnie nagle nie spadło, jak to było z Edmondsem, to... Bridgerton zdołał mnie zainteresować. Może nawet coś bym do niego poczuła, gdybym tylko spróbowała. No i wtedy doszłam do wniosku, że nie rozumiem, jak mogę się kochać w Edmondsie, skoro Bridgerton zdołał we mnie obudzić zainteresowanie!

Lucy zgadzała się z tym. Gregory Bridgerton zdołał wzbudzić zainteresowanie również i w niej. O tym wiedziała. Chciałaby wiedzieć, co robić, żeby się temu uczuciu nie poddać.

Hermiona nie zauważyła jej rozterek. Może Lucy zdołała je skutecznie ukryć. W każdym razie przyjaciółka ciągnęła wyjaśnienia.

- No, a potem z Richardem... Sama nie wiem, jak do tego doszło, ale spacerowaliśmy, rozmawialiśmy i wszystko było takie miłe! Nie, więcej niż miłe - dodała pośpiesznie - „miłe” brzmi płasko i niewłaściwie. Ja czułam, że... jest mi dobrze. Całkiem jakbym znalazła się u siebie w domu.

Hermiona uśmiechnęła się bezradnie, jakby nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Lucy cieszyła się razem z nią, i to szczerze. Mimo to wciąż ją dziwiło, jak można być szczęśliwą i smutną

jednocześnie. Nigdy się jeszcze tak nie czuła. Ale nawet jeśli przedtem nie wierzyła, że coś takiego jest możliwe, to teraz musiała. A to znacznie pogarszało całą sprawę.

- Przepraszam, jeśli zeszłej nocy nie wyglądało to tak, jakbym cieszyła się z twojego szczęścia - powiedziała cicho. - Wcale tak nie jest. Cieszę się z tego powodu ogromnie, ale to był dla mnie wstrząs. Za wiele zmian nastąpiło w bardzo krótkim czasie.

- Ależ to są zmiany na lepsze, Lucy! - zawołała Hermiona. - Na lepsze!

Lucy z chęcią podzieliłaby jej optymizm, ale czuła się zanadto znużona. Nie mogła tego jednak powiedzieć Hermionie. Nie teraz, kiedy przyjaciółka wręcz promieniała z radości.

Uśmiechnęła się tylko i odparła:

- Będzie ci się dobrze żyło z Richardem. Naprawdę tak myślała. Hermiona chwyciła ją za rękę i serdecznie je uścisnęła.

- Ach, Lucy, wiem o tym. Znam go przecież od dawna, a w dodatku to twój brat. Zawsze czułam się przy nim bezpieczna! Jak to dobrze! Nie muszę się martwić, co sobie o mnie myśli, bo pewnie wszystko już wie od ciebie, i dobre, i złe, mimo że jego zdaniem jestem we wszystkim świetna...

- Nie ma pojęcia, że nie umiesz tańczyć - przyznała Lucy.

- Och! - Hermiona wzruszyła ramionami. - W takim razie powiem mu sama. Może mnie nauczy? Czy jest dobrym tancerzem?

Lucy pokręciła głową.

- Naprawdę? No, widzisz! - Hermiona uśmiechnęła się na wpół z nadzieją, na wpół z rozbawieniem. - A więc idealnie do siebie pasujemy! Wszystko stało się nagle takie oczywiste! Jak łatwo mi się z nim rozmawia, a zeszłej nocy... I ja się śmiałam, i on też. Wszystko było po prostu... cudowne. Nie potrafię ci jasno wytłumaczyć!

Ale nie musiała tego robić. Lucy z przygnębieniem stwierdziła, że doskonale wie, co przyjaciółka ma na myśli.

- Potem poszliśmy do oranżerii i księżyc tak pięknie świecił przez okna. Wszystko tonęło w jego blasku i wtedy... spojrzałam na niego. - Oczy Hermiony zamglily się nagle i Lucy zrozumiała, że przyjaciółka rozpamiętuje wspomnienia.

- Spojrzałam na niego - ciągnęła Hermiona - a on na mnie. Po prostu nie mogłam oderwać od niego wzroku. A potem się pocałowaliśmy. Ja... Nawet nie byłam tego świadoma. To się samo stało i była to najnaturalniejsza, najwspanialsza rzecz na świecie.

Lucy przytaknęła jej ze smutną miną.

- Zdałam sobie wtedy sprawę, że wcześniej niczego nie rozumiałam. Sądziłam, że kocham Edmonda, ale nie wiedziałam, czym jest miłość. Był taki przystojny, onieśmielał mnie i pociągał jednocześnie. Ale nigdy nie pragnęłam się z nim całować! Kiedy na niego patrzyłam, wcale nie czułam takiej chęci. Nie dlatego, żebym w ogóle nie chciała, tylko... tylko...

- Tylko co?! - Lucy miała ochotę wrzasnąć to na cały głos, ale zabrakło jej energii.



- Tylko że on nie był dla mnie parą - dokończyła półgłosem Hermiona, jakby się dziwiąc, że nie pojmowała tego do tej pory.

Lucy poczuła nagle dziwny, bolesny skurcz mięśni. Miała ochotę zacisnąć dłonie w pięści. Co właściwie miała na myśli Hermiona i dlaczego to powiedziała? Lucy tyle razy słyszała od niej, że miłość jest niekontrolowanym zauroczeniem i spada na człowieka niczym burza.

Teraz zaś okazywało się, że to coś innego - spokojnego, miłego i kojącego.

- A co z muzyką? - zadała niespodziewanie pytanie. - I z jego tyłem głowy? I z twoim przeświadczeniem, że to właśnie jest miłość? Hermiona bezradnie wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem. Radziłabym ci w to zbyt nie wierzyć.

Lucy przymknęła oczy w desperacji. Nie potrzebowała ostrzeżeń Hermiony. Nigdy by nie zaufała podobnym odczuciom. Nie była osobą, która uczy się na pamięć wierszy miłosnych. Nigdy taka nie będzie. Ale temu drugiemu rodzajowi miłości, który niósł ze sobą pogodę ducha, spokój i ukojenie, zawierzyłaby natychmiast.

Przecież tak się właśnie poczuła przy Bridgertonie.

Zresztą słyszała też i muzykę! Krew nagle odpłynęła jej z twarzy. O tak, słyszała ją podczas pocałunku. Prawdziwą symfonię, pełną crescenda, perkusji, a nawet podskórnego rytmu, pozornie niezauważalnego, który bierze górę nad rytmem czyjegoś serca.

Owszem, to było niezwykle uniesienie. Czowała wtedy wszystko,

o czym Hermiona wspominała w związku z Edmondsem, a także wszystko to, czego doznała z Richardem. I miało to związek z jedną i tą samą osobą.

Zakochała się w Gregorym Bridgertonie. To było zupełnie oczywiste i... okrutne.

- Lucy... - powiedziała Hermiona z wahaniem, a potem powtórzyła jej imię jeszcze raz.

- Kiedy ślub? - spytała nagle Lucy, bo jedyne, co mogła teraz zrobić, to zmienić temat. Po raz pierwszy od początku tej rozmowy spojrzała Hermionie w oczy. - Masz już jakieś plany? Czy wesele odbędzie się w Fenchley?

Szczegóły. One ją uratują. Zawsze tak było. Hermiona się zmieszała, potem zamyśliła, a wreszcie odparła zatroskanym tonem:

- Jeszcze nie wiem... Myślę jednak, że lepiej byłoby je urządzić w Abbey. O wiele więcej tam miejsca. Czy ty się dobrze czujesz?

- Oczywiście - odparła pośpiesznie Lucy, starając się, by jej głos zabrzmiał normalnie i przekonująco. Nie powiedziałaś mi nadal, kiedy się pobierzecie.

- W najbliższym czasie. Podobno zeszłej nocy koło oranżerii przechadzali się jacyś ludzie. Nie wiem, co usłyszano albo co mówiono, ale rozeszły się plotki, a to oznacza, że musimy się spieszyć. - Hermiona uśmiechnęła się promiennie. - Nie dbam o nie. Myślę zresztą, że Richard również.

Lucy ciekawa była, któremu z nich dwojga bardziej pilno do ołtarza. Miała nadzieję, że Hermionie.

Rozległo się pukanie do drzwi, weszła służąca, a z nią dwóch lokajów, żeby zabrać bagaże Lucy.

- Richard chce wyjechać jak najwcześniej - wyjaśniła Lucy, choć nie widziała brata od wydarzeń ostatniej nocy. Hermiona wiedziała zapewne o tych zamiarach więcej od niej.

- Pomyśl tylko, Lucy - powiedziała przyjaciółka, zmierzając ku drzwiom - obydwie zostaniemy hrabinami! Ja będę hrabiną Fennsworth, ty - Davenport! Świetnie się spisałyśmy!

Lucy wiedziała, że Hermiona chce ją podnieść na duchu, zdobyła się więc z wysiłkiem na uśmiech.

- Rzeczywiście. Hermiona uściskała ją mocno.

- Och, tak! Przyszłość zapowiada się wspaniale.

Lucy objęła ją. Tylko w ten sposób mogła ukryć twarz przed służbą. Tym razem nie stać jej było nawet na wymuszony uśmiech.

Gregory odnalazł ją w ostatniej chwili. Stała już przed frontowym podjazdem, zaskakująco osamotniona, choć służba krzątała się naokoło. Dostrzegł jej profil i lekko uniesiony ku górze podbródek, kiedy doglądała załadunku bagaży do powozu.

Wyglądała na całkiem spokojną. Trzymała się dzielnie.

- Panno Lucindo... - zaczął. Zamarła bez ruchu, nim się odwróciła.

- Dobrze, że udało mi się jeszcze panią spotkać - powiedział, choć nie czuł się wcale pewnie. Najwyraźniej jego widok wcale jej nie ucieszył. Nie spodziewał się tego.

- Panie Bridgerton. - Kąciki jej ust uniosły się ku górze, jakby siliła się na uśmiech.

Mógł jej powiedzieć wiele różnych rzeczy, lecz wybrał najmniej istotną i najbardziej oczywistą spośród nich.

- Opuszcza nas pani?

- Tak - odparła po krótkiej pauzie. - Richard nalegał na szybki wyjazd.

Gregory rozejrzył się wokoło.

- Czy pani brat gdzieś tu jest?

- Jeszcze nie wyszedł. Myślę, że się żegna z Hermioną.

- Ach, tak. - Odkaszlnął. - Rozumiem. Obydwoje milczeli.

- Chciałem panią przeprosić.

Nie uśmiechnęła się. Nie był pewien, co wyraża jej twarz, ale nie był to uśmiech.

- Oczywiście...

Oczywiście? Co tu było oczywiste?

- Przyjmuję przeprosiny. - Obejrzała się przez ramię. - Proszę więcej o tym nie myśleć.

Niewątpliwie musiała coś takiego powiedzieć, ale Gregory'emu to nie wystarczyło. Pocałował ją przecież, było to wprost niesłychane. Jeśli nie chciał o tym pamiętać, wolno mu tak zrobić, do licha!

- Czy mogę się z panią zobaczyć w Londynie?

Wreszcie spojrzała na niego! Czegoś w nim szukała i - jak uznał - nie znalazła. Wyglądała na smutną i zmęczoną. Była taka niepodobna do siebie.

- Sądzę, że tak, ale to już nie będzie to samo. Jestem w końcu zaręczona.

- Praktycznie - przypomniał jej z uśmiechem.

- Nie. - Pokręciła głową z rezygnacją. - Wcale nie. Właśnie dlatego Richard przyjechał zabrać mnie do domu. Stryj Robert dopełnił ostatnich formalności. Pewnie wkrótce ukażą się zapowiedzi.

Zdumiał się i poczuł niesłychany zamęt w głowie.

- Życzę pani wszystkiego najlepszego - powiedział. Bo co innego w końcu mógł zrobić?

Skinęła głową, a potem zwróciła ją ku rozległemu, zielonemu trawnikowi przed domem.

- Chyba pójdę przespacerować się po ogrodzie. Mam przed sobą długą drogę.

- Nie wątpię. - Skłonił się uprzejmie. Nie życzyła sobie jego towarzystwa. Nie mogła mu tego jaśniej dać do zrozumienia, nawet gdyby wyraziła to słowami.

- Miło mi było pana poznać - powiedziała i spojrzała na niego. Po raz pierwszy od początku rozmowy dostrzegł, jak bardzo ją to wszystko uraziło. Zrozumiał, że to pożegnanie.

- Przepraszam pana. - Zatrzymała się, patrząc gdzieś w bok, na kamienną ścianę. - Za to, że nie wszystko potoczyło się tak, jak by pan pragnął.

A ja nie będę jej przeproszał, pomyślał, i zrozumiał, że to prawda. Nagle w ułamku sekundy ujrzał swoje małżeńskie życie u boku Hermiony. Pojął, że byłoby... nudne. Dobry Boże, dlaczego

dopiero teraz to widzi? Ani trochę nie pasowali do siebie i szczerze mówiąc, ledwie zdołał uniknąć fatalnej pomyłki.

Nie wiedział, czy następnym razem dokona rozumniejszego wyboru w sprawach sercowych, wszystko jednak wydawało mu się lepsze od nudnego małżeństwa. Winien był za to wdzięczność Lucindzie, chociaż nie bardzo wiedział, dlaczego. Nie była przecież przeciwna jego planom mariażu z panną Watson, odwrotnie, wciąż go do tego zachęcała. W jaki sposób zdołała sprawić, że oprzytomniał?

Lucy znów ruszyła ku trawnikowi.

- Stanowczo powinnam pójść na ten spacer.

Pożegnał się więc i patrzył w ślad za nią, gdy odchodziła ku drzewom, z włosami ściągniętymi w gładki kok, które połyskiwały w słońcu barwą miodu.

Przez jakiś czas czekał, nie dlatego, by się spodziewał jej powrotu lub nawet miał na niego nadzieję.

Po prostu na wszelki wypadek.

Bo przecież mogła zawrócić, powiedzieć coś... A on mógłby jej wtedy odpowiedzieć, a ona...

Ale nie zawróciła. Oddalała się coraz bardziej i nawet nie spojrzała za siebie. Spędził więc kilka ostatnich chwil, wpatrując się w jej sylwetkę, a w głowie miał tylko jedną myśl: „Coś tu jest nie w porządku”.

Nie mógł się jednak domyślić co.

## Rozdział 13

*w którym nasza bohaterka widzi, jak może wyglądać jej przyszłe życie.*

*Miesiąc później*

Jedzenie było wyśmienite, zastawa wspaniała, wystrój jadalni imponujący, mimo to Lucy czuła się okropnie.

Lord Haselby i jego ojciec, hrabia Davenport, przybyli do Fennsworth House w Londynie na proszony obiad. Pomysł wyszedł od Lucy, o czym teraz myślała z bolesną ironią. Ślub miał się odbyć już za tydzień, a ona nie widziała jeszcze dotąd przyszłego męża.

Przyjechała do Londynu wraz ze stryjem dwa tygodnie wcześniej. Przez cały ten czas przyszły pan młody nie dawał znaku życia. W końcu spytała stryja, czy nie zechciałby zaaranżować takiego spotkania. Prośba raczej go zirytowała, chociaż nie dlatego, by uważał ją za głupią. Rozdrażnienie wzbudziła - Lucy była tego pewna - wyłącznie jej własna skromna osoba. Musiała się w tej sprawie do niego zwrócić, on zaś z kolei zmuszony był podnieść na nią swój wzrok.

Stryj Robert nie lubił bowiem, by mu przerywano. Najwyraźniej uznał jednak za rzecz rozsądną, by narzeczeni mogli ze sobą zamienić kilka słów, nim się spotkają przy ołtarzu. Stwierdził więc zwięźle, że się tym zajmie.

Uradowana swoim skromnym sukcesem Lucy spytała też, czy mogłaby wziąć udział w którymś z wielu przyjęć, jakie wydawano niemalże obok. Londyński sezon już się rozpoczął i Lucy każdego wieczoru stała w oknie, patrząc na eleganckie powozy. Pewnego razu przyjęcie urządzano na St. James Square, prawie naprzeciwko Fennsworth House. Cały sznur karet sunął wzdłuż placu i musiała zdmuchnąć świecę w swoim pokoju, by jej sylwetka nie rysowała się na tle okna, kiedy wyglądała przez nie na zewnątrz. Wielu gości, znecierpliwionych perspektywą długiego czekania w tłoku, wysiadało po jej stronie placu, a że pogoda była piękna, przebywali resztę drogi pieszo.

Wmawiała sobie, że chce się przyglądać strojom, lecz w głębi duszy знаła prawdę. Czekwała na Bridgertona.

Nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby go rzeczywiście ujrzała. Pewnie schowałaby się za firankę, żeby jej nie mógł dostrzec. Musiał wiedzieć, gdzie stoi jej dom, i pewnie z czystej ciekawości rzuciłby okiem na jego fasadę, nawet jeśli obecność Lucy w Londynie nie była szeroko znanym faktem.

Nie przyszedł jednak na to przyjęcie albo - jeżeli brał w nim udział - powóz zawiózł go prosto pod frontowe drzwi.

A może wcale nie było go w stolicy? Lucy nie miała sposobności, żeby się tego dowiedzieć. Tkwiała w domu wraz ze stryjem i starą, głuchawą ciotką Harriet, która służyła jej za przyzwoitkę. Wychodziła jedynie do krawcowej na przymiarki i na spacer po parku. W domu korzystała z zupełnej swobody, bo stryj się



do niej nie odzywał, a ciotka jej nie słyszała. Nie znała jednak najświeższych plotek. Ani o Bridgertonie, ani żadnych innych.

Gdy zaś udało się jej przypadkiem spotkać kogoś znajomego, nie mogła przecież o niego pytać. Ludzie doszliby wtedy do wniosku, że się nim interesuje, co oczywiście było prawdą, ale przecież nikt nie mógł o tym wiedzieć.

Za tydzień miała poślubić kogoś innego. A gdyby się nawet tak nie stało, Gregory Bridgerton nie dał jej przecież do zrozumienia, że chciałby zająć miejsce Haselby'ego.

Owszem, pocałował ją. Lecz jeśli nawet sądził, że jeden jedyny pocałunek można by uznać za propozycję małżeńską, to się z tym nie zdradził. Obojętne mu było, czy wyjdzie za Haselby'ego - i wtedy, gdy ją całował, i następnego dnia, kiedy spotkali się na podjeździe.

Może nawet myślał, że ten pocałunek nie spowoduje żadnych zobowiązań? Raczej nie robi się takich rzeczy, jeśli ktoś nie jest gotów stanąć z dziewczyną przed ołtarzem. No, chyba że ta jest zaręczona z kim innym.

Kiedy mu powiedziała o planach wuja, nie zaskoczyło go to specjalnie. Nawet nie wyglądał na przygnębionego. Nie było żadnych wymówek, żadnych prób wycofania się. Na jego twarzy, choć wpatrywała się w nią uważnie, nic się nie malowało.

I twarz, i oczy nie miały żadnego wyrazu. Może poczuł się nieco zaskoczony, lecz nie był to smutek ani żal. W każdym razie nic nie wskazywało na to, że jej narzeczeństwo cokolwiek dla niego znaczy.

Nie uważała go za nikczemnika i była całkiem pewna, że ożeniłby się z nią, gdyby się to okazało konieczne. Nikt ich jednak wtedy nie widział, a zatem wszystko wyglądało tak, jakby się nigdy nie zdarzyło i nie pociągnęło za sobą żadnych złych następstw dla obojga.

Czy jednak nie powinien się czuć choć trochę przygnębiony? Pocałował ją, a jej ziemia omal nie usunęła się spod stóp. Z pewnością był tego świadom. I powinien pragnąć czegoś więcej -jeśli nie poślubienia jej, to przynajmniej takiej możliwości.

Tymczasem powiedział tylko: „Życzę pani wszystkiego najlepszego”, i zabrzmiało to jak słowa rozstania. Stała i patrzyła, jak ładują jej bagaże do powozu, i serce jej wprost pękało. Kiedy zaś odeszła stamtąd, czuła taki ucisk w piersi, że niemal nie mogła oddychać. Szła tak szybko, jak tylko mogła to robić, nie biegnąc, aż wreszcie za rogiem domu opadła bezwładnie na ławkę i ukryła twarz w dłoniach.

Modliła się wtedy, żeby nikt jej w tym stanie nie zobaczył. Pragnęła wrócić i po raz ostatni spojrzeć na niego ukradkiem. Zapamiętać jego typową pozę: ręce założone za plecy, nogi lekko rozstawione. Lucy wiedziała, że podobnie czyni całe mnóstwo mężczyzn, ale u niego wyglądało to jakoś inaczej. Nawet gdyby stał odwrócony do niej plecami, zawsze by go poznała.

Chodził też trochę inaczej niż inni, swobodniej i lżejszym krokiem, zupełnie jak młody chłopiec. Ramiona, a może i biodra także

miały w sobie coś wyjątkowego, czego nikt inny by zapewne nie dostrzegł, lecz Lucy zawsze zwracała uwagę na szczegóły.

A jednak nie odwróciła się wtedy. To by tylko wszystko pogorszyło. Może nie patrzył w ślad za nią, ale gdyby tak właśnie było... I gdyby zobaczył, że ona się odwraca...

Byłoby to straszne, chociaż nie miała pojęcia dlaczego. Nie chciała, żeby zobaczył jej twarz. Zdołała zachować spokój podczas rozmowy, lecz gdyby się odwróciła, wszystkie starania na nic by się zdały. Wargi by się jej rozchyliły i nabrałyby tak głęboko tchu, jakby była całkiem pusta w środku.

Istotnie, byłoby to straszne. Lucy nie chciała, żeby ją taką zobaczył.

Poza tym wcale się nią nie interesował. Przeprosił ją tylko za swój pocałunek. Wiedziała, że musiał tak zrobić, bo tego żądało dobre wychowanie. Czuła się jednak urażona. Pragnęła, żeby choć w części ten dyskomfort dotknął i jego. Wprawdzie nic by zapewne z tego nie wynikło, ale poczułaby się lepiej.

A może gorzej?

W sumie wszystko okazało się nieważne. Co komu po uczuciach, skoro nie można dzięki nim czuć się szczęśliwym? Musi być praktyczna i będzie. To jedyny sposób, aby przetrwała w świecie, który dla niej kręci się o wiele za szybko.

Wciąż jednak - nawet już w Londynie - pragnęła go zobaczyć. Zachcianka niemądra, szaleńcza i z pewnością niewskazana, ale nie potrafiła z niej zrezygnować. Nie musiałyby nawet z nim rozmawiać -

nie powinna była zresztą tego robić - ale ukradkowe spojrzenie nikomu przecież nie może zaszkodzić.

Kiedy poprosiła stryja, by jej pozwolił pójść na jakieś przyjęcie, odmówił, uważając, że nie należy tracić czasu i pieniędzy na sezon, skoro Lucy i tak wkrótce wyjdzie za mąż.

Co więcej, oznajmił jej, że lord Davenport życzy sobie, aby weszła do towarzystwa już jako lady Haselby, a nie Lucinda Abernathy. Lucy nie rozumiała, dlaczego to ma być takie ważne, zwłaszcza że niewielu członków socjety w ogóle ją znało. Stryj Robert dał jej jednak do zrozumienia - we właściwy mu, jedyny w swoim rodzaju sposób, czyli bez słów - że uważa rozmowę za zakończoną i chciałby ponownie poświęcić uwagę papierom na biurku.

Przez chwilę stała bez ruchu. Gdyby zwróciła się do niego „stryju Robercie”, może by na nią spojrział, a może nie. Gdyby miał jej ponownie poświęcić swoją uwagę, zapewne straciłby cierpliwość, a ona znowu czułaby się uciążliwym balastem. No i nie doczekałaby się też pewnie żadnej odpowiedzi.

Kiwnęła więc tylko głową, po czym wyszła. Kiwnięcie głową mogła sobie zresztą darować. Stryj Robert nigdy na nią nie patrzył, gdy już dał jej do zrozumienia, że powinna odejść.

A teraz, chociaż siedziała na obiedzie, o który sama prosiła, wolałaby się wcale nie odzywać. Haselby okazał się całkiem miły, ale jego ojciec...

Lucy modliła się w duchu, żeby nie musiała mieszkać w rezydencji Davenporta. Och, gdybyż Haselby miał własny dom! W Walii. Albo może we Francji.

Lord Davenport - gdy już przestał narzekać na pogodę, na Izbę Gmin oraz operę (którą uważał za nudną, pełną źle wychowanych durniów i w dodatku, na miły Bóg, nawet nieśpiewaną po angielsku!) - przyjrzał się jej krytycznie.

Musiała zebrać wszystkie siły, żeby się nie cofnąć, gdy raczył zdradzić zainteresowanie jej osobą. Z wyłupiastymi oczami i grubymi, mięsistymi wargami wyglądał niczym wielka ryba. Wcale by jej nie zdziwiło, gdyby pod koszulą miał łuski i skrzela.

Potem zaś - aż się wzdrygnęła na samo wspomnienie - podszedł do niej tak blisko, że owionął ją jego nieświeży oddech. Stała sztywno wyprostowana, co wpajano jej od urodzenia, a on zażądał, żeby pokazała mu zęby! To było doprawdy upokarzające.

Davenport obejrzał ją dokładnie, niby klacz rozplodową, posuwając się nawet do obmacania jej bioder, żeby sprawdzić, czy się nadaje na matkę! Lucy spojrzała rozpaczliwie na stryja, szukając u niego pomocy, lecz ten siedział z kamienną twarzą i wcale na nią nie patrzył.

Kiedy zaś zasiedli do stołu... wielkie nieba! Davenport poddał ją czemuś, co zakrawało na przesłuchanie. Zadawał jej rozmaite pytania o zdrowie, w tym także dotyczące tych części ciała, o których - czego była zupełnie pewna - nie należało wspominać w mieszanym towarzystwie. Kiedy zaś uznała, że to wreszcie koniec, spytał:

- A jak tam z tabliczką mnożenia?

- Z czym? - spytała zdumiona.

- No, jak z mnożeniem?- powtórzył zniecierpliwiony. - Przez sześć i siedem.

Na chwilę zaniemówiła. Czy on chciał, żeby przy nim rachowała?

- Ależ... oczywiście - wyjąkała. Znów spojrzała na stryja, który siedział przy stole z kamienną twarzą.

- Jazda! - Wargi Davenporta zacisnęły się w cienką linię, policzki obwisły. - Proszę mnożyć przez siedem!

- Ja... och... - Krańcowo przerażona usiłowała spojrzeć z kolei ku ciotce Harriet, lecz ona, od samego początku obiadu nawet się nie odzywała, jakby nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest i co robi.

- Ojczy - wtrącił Haselby - z pewnością...

- Przyszłość naszego rodu zależy od niej! Chcę się przekonać, jak ją wykształcono! Mamy prawo wiedzieć, że nie kupujemy kota w worku.

Lucy w oszołomieniu przenosiła wzrok z ojca na syna, nie wiedząc, do którego ma się zwracać.

- Nie potrzebujesz kobiety, która za wiele myśli - mówił Davenport - ale powinna radzić sobie z czymś tak podstawowym jak mnożenie! Weź pod uwagę potomstwo!

Lucy spojrzała na Haselby'ego, a on na nią - tak jakby chciał ją przeprosić. Zamknęła oczy, żeby poczuć się pewniej. A gdy je

otworzyła, Davenport patrzył prosto na nią. Zrozumiała, że hrabia zaraz powie coś, czego by zapewne nie zniosła.

- Siedem, czternaście, dwadzieścia jeden - wyrzuciła z siebie, żeby mu w tym przeszkodzić - dwadzieścia osiem, trzydzieści pięć, czterdzieści dwa...

Co by też zrobił, gdyby się pomyliła? Czy odmówiłby zgody na małżeństwo?

- Czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt sześć...

Kusiło ją, żeby świadomie tak zrobić.

- Sześćdziesiąt trzy, siedemdziesiąt, siedemdziesiąt siedem...

Spojrzała na stryja, który jadł i wcale na nią nie patrzył.

- Osiemdziesiąt dwa - podkreśliła słowo „dwa” - osiemdziesiąt dziewięć...

- Wystarczy - oznajmił gromko Davenport tuż po „osiemdziesiąt dwa”.

Ciężar, który czuła w piersiach, ustąpił. Zbuntowała się, zapewne po raz pierwszy w życiu - a nikt tego nawet nie spostrzegł! Co jeszcze mogła zrobić?

- W porządku - powiedział Haselby z życzliwym uśmiechem.

Lucy z trudem zdołała się również uśmiechnąć. Haselby doprawdy nie był zły. Gdyby nie Gregory, uważałaby, że całkiem nieźle trafiła. Może miał trochę przerzedzone włosy i był nieco za szczupły, lecz nie widziała powodu do narzekań. Robił też wrażenie całkiem miłego. Przed obiadem zdołali zamienić ze sobą kilka słów, gdy Davenport i stryj rozmawiali o polityce. Wydał się jej czarujący.

Odważył się nawet po cichu zażartować z ojca i tak przy tym przewrócił oczami, że zmusił ją do śmiechu.

Doprawdy nie miała się na co skarżyć.

No i nie skarżyła się wcale. Nie było na co. Po prostu chciałyby czegoś innego.

- Sprawowała się pani dobrze u panny Moss? - spytał Davenport niezbyt życzliwym tonem.

- Oczywiście - odparła zaskoczona. A już miała nadzieję, że rozmowa przestała jej dotyczyć!

- Doskonała szkoła - stwierdził Davenport, żując zawzięcie kęs pieczonej jagnięciny. - Dobrze tam wiedzą, co dziewczyna powinna umieć, a czego nie! Córka Winslowów do niej chodziła. Córka Fordhamów także.

- Tak - wyszeptała Lucy, bo czuła, że Davenport oczekuje odpowiedzi. - Obydwie są bardzo miłe - skłamała. Sybilla Winslow, wstrętna, mała okrutnica, boleśnie szczypała młodsze uczennice w ramiona, co uważała za świetny żart.

Po raz pierwszy tego wieczoru Davenport wydawał się zadowolony z jej słów.

- Zna je pani dobrze?

- Ee... dosyć dobrze - odparła z rezerwą. - Joanna jest ode mnie trochę starsza, ale to nieduża szkoła i właściwie wszystkie dziewczęta się znają.

- To nieźle - mruknął z uznaniem Davenport. Jego obwisły podbródek się zakołysał.



Lucy usiłowała na niego nie patrzeć.

- Będzie pani musiała poznać pewnych ludzi - ciągnął -  
pielegnować różne znajomości...

Lucy przytaknęła posłusznie, układając w duchu listę miejsc,  
gdzie chciałyby pojechać. Paryż, Wenecja, Grecja... czy tam się  
czasem nie biją? Nieważne. Wybrałyby Grecję.

- Z nazwiskiem wiąże się wymóg zachowania na właściwym  
poziomie...

Czy na Wschodzie jest bardzo gorąco? Zawsze podziwiała  
chińskie wazy.

- ..nie można tolerować żadnych odstępstw od... Jakże się  
nazywa ta okropna dzielnica Londynu? St. Giles? Wolałyby już raczej  
być tam...

- ...obowiązki. Obowiązki!

Davenport przypieczętował to słowo rąbnięciem pięścią w stół.  
Srebrna zastawa zabrzęczała gwałtownie, a Lucy aż podskoczyła na  
krześle. Nawet ciotka Harriet uniosła głowę znad talerza.

Lucy, nagle wyrwana ze swoich rozmyślań, zobaczyła, że  
wszyscy na nią patrzą, powiedziała więc pośpiesznie:

- Ach, tak...

Davenport ciągnął dalej,, niemal z groźbą w głosie.

- Pewnego dnia zostanie pani hrabiną. Oznacza to obowiązki.  
Mnóstwo obowiązków!

Lucy zacisnęła usta. O Boże, kiedyż ten obiad się skończy? Davenport nachylił się ku niej. Mimo że stół był szeroki i zastawiony jedzeniem, cofnęła się odruchowo.

- Nie wolno ich pani lekceważyć! - ciągnął coraz głośniejszym głosem. - Zrozumiano?!

Co by się stało, gdyby nagle złapała się za głowę z krzykiem: „O Boże w niebiosach, niech się wreszcie skończą te tortury!”? Owszem, to by go może zmusiło do milczenia, tylko że uznałby ją wtedy za niespełna rozumu i...

- Ależ oczywiście, milordzie - usłyszała własną odpowiedź. Zachowała się jak nędzny tchórz.

Davenport okręcił się ciężko na krześle.

- Miło mi to słyszeć - rzekł, wycierając wargi serwetką. - Musiałem się upewnić, że u panny Moss nadal uczą poważania i szacunku. Nie żałuję, że panią tam posłałem.

Lucy zamarła z widelcem uniesionym ku ustom.

- Nie wiedziałam, że znalazłam się tam dzięki panu.

- Musiałem przecież coś zrobić - burknął, patrząc na nią, jakby była osobą słabą na umyśle. - Nie miała pani matki, która by panią przygotowała do życia. Hrabina powinna wiedzieć o niektórych rzeczach i posiadać pewne umiejętności.

- Naturalnie - potwierdziła potulnie, uznając, że pokaz absolutnego posłuszeństwa i uległości będzie najkrótszą drogą do położenia kresu męczarniom. -I... I dziękuję panu.

- Za co? - spytał Haselby.

Lucy spojrzała na narzeczonego, który wydawał się szczerze zaciekawiony.

- Za posłanie mnie do szkoły panny Moss - wyjaśniła, pilnując, by zwracać się wprost do niego. Może gdy nie będzie patrzeć na Davenporta, zdoła zapomnieć o jego obecności?

- Dobrze pani było w tej szkole?

- Bardzo dobrze - odparła zaskoczona. Jak miło jest odpowiadać na uprzejme pytanie! - Wręcz wspaniale. Byłam tam całkiem szczęśliwa.

Haselby już otwierał usta, żeby jej odpowiedzieć, lecz ku zgrozie Lucy ojciec go uprzedził.

- Szczęście się nie liczy! - huknął.

Lucy nie mogła oderwać oczu od rozchylonych warg Haselby'ego. Doprawdy, można się tego przestraszyć, pomyślała z zaskakującym spokojem.

Haselby zamknął usta i zwrócił się do ojca z cierpkim uśmiechem.

- A co się liczy? - spytał. Lucinę zdumiał całkowity brak niezadowolenia w jego głosie.

- To, czego się można nauczyć w szkole! - Davenport znowu rąbnął pięścią w stół we wręcz oburzający sposób. - I kogo się tam poznaje!

- Przecież nauczono mnie tabliczki mnożenia - przypomniała uprzejmie Lucy, ale nikt jej nie słuchał.

- Ona ma być hrabiną! - wrzasnął Davenport. - Hrabiną!

- Dopiero po twojej śmierci! - Haselby zmierzył ojca spojrzeniem.

Lucy oniemiała.

- Ależ tak - ciągnął Haselby, wyjmując z ust niewielką ość. - Tylko że dla ciebie niewiele to chyba znaczy...

Lucy wytrzeszczyła oczy.

Hrabia poczerwieniał. Był to przeraźliwy kolor - ciemna, głęboka purpura - a na lewej skroni nabrzmiała mu potężna żyła. Spojrzał na syna z wściekłością i chociaż nie miało to żadnego sensu, Lucy mogłaby przysiąc, że w tej chwili Davenport go nienawidzi.

Haselby zaś powiedział:

- Ładną dziś mamy pogodę. - I uśmiechnął się. Uśmiechnął! Lucy wpatrywała się w niego na wpół przytomna. Przecież padało już od kilku dni, a poza tym, czyż on nie widzi, że ojciec jest o włos od ataku apopleksji? Niemal słyszała, jak hrabia zgrzyta zębami.

Gdy cały pokój wręcz pulsował wściekłością, naraz wtrącił się stryj Robert.

- Cieszę mnie, że zdecydowaliście się wziąć ślub w Londynie - powiedział gładko, lecz stanowczo, jakby chciał dać do zrozumienia: „Koniec z tym!” - Wszystkim wiadomo - ciągnął, kiedy biesiadnicy zdołali się uspokoić - że Fennsworth ożenił się ledwie dwa tygodnie temu w Abeby. A choć zapewne jest to nawiązanie do tradycji, jak się zdaje, siedmiu ostatnich hrabiów brało ślub w tej rodzinnej rezydencji, nie przybyło tam zbyt wielu gości.

Lucy podejrzewała, że miało to równie wiele wspólnego z pospieszonym zawarciem ślubu, co z miejscem, gdzie go udzielono. Nie była to jednak odpowiednia chwila na poruszanie takiego tematu. Ona sama uznała uroczystość za wprost cudowną właśnie z powodu jej skromności. Richard i Hermiona wprost promieniali szczęściem, a goście mieli dla nich wiele życzliwości. Doprawdy była zachwycona.

Tylko że gdy następnego dnia nowożeńcy wyruszyli w podróż poślubną, nigdy nie czuła się bardziej osamotniona niż przy pożegnaniu, wymachując ku nim chusteczką.

Usiłowała się pocieszyć myślą, że wkrótce wróca. Przed jej własnym ślubem. Hermiona będzie druhną, a Richard poprowadzi ją do ołtarza.

Tymczasem całym jej towarzystwem była teraz ciotka Harriet. No i lord Davenport. I Haselby, który albo był dowcipnisiem, albo brakowało mu piątej klepki.

Zachciało jej się śmiać. Zdołała to stłumić, ale i tak wyrwało jej się nieeleganckie parsknięcie.

- A cóż to takiego?! - warknął Davenport.

- Och, nic - odparła prędko i odkaszlnęła najgłośniej, jak mogła.

- Chyba ość z ryby!

Cała ta scena wydałaby się bardzo zabawna, gdyby czytała o niej w książce, musiałyby to jednak być farsa, a nie romans. Wciąż prześladowała ją też myśl, że farsa może przerodzić się w tragedię.

Rozejrzała się wokół stołu i popatrzyła na trzech mężczyzn, którzy decydowali o jej życiu. Musiała robić dobrą minę do złej gry.

Nie było wyjścia. Po cóż się jednak miała zamartwiać? Wprawdzie niełatwo jej przychodziło zdobyć się na optymizm, ale mogło być gorzej.

Tylko że gdy ujrzała w wyobraźni twarz Gregory'ego Bridgertona, wiedziała, że mogło być lepiej.

## Rozdział 14

*w którym nasz bohater i nasza bohaterka spotykają się ponownie, a londyńskie gołębie są w siódmym niebie.*

Gregory zobaczył ją w Hyde Parku pierwszego dnia po swoim powrocie do Londynu. „No, oczywiście!” - pomyślał.

Wydało mu się całkiem naturalne, że spotyka Lucy Abernathy podczas pierwszego spaceru po stolicy. Nie wiedział, dlaczego właściwie miałyby się tak stać. Nie było żadnego logicznego powodu, by ich drogi miały się skrzyżować. Wciąż jednak o niej myślał, odkąd się rozstali w Kent. Chociaż sądził, że Lucy nie wyjechała jeszcze z Fennsworth, nie zdziwił się wcale, że właśnie ją zobaczył jako pierwszą znajomą twarz po powrocie z miesięcznego pobytu na wsi.

Przyjechał poprzedniego dnia, przeraźliwie zmęczony długą podróżą po błotnistych drogach, i od razu poszedł spać. Kiedy się zbudził - trochę wcześniej niż zwykle — nadal padało, lecz słońce zaczynało już wyglądać zza chmur.

Ubrał się pospiesznie. Lubił czyste powietrze po solidnym, gwałtownym deszczu. Nawet w Londynie. Nie, zwłaszcza w

Londynie. Tylko wtedy miasto miało tak świeżą woń, prawie jak listowie drzew.

Gregory wynajmował niewielkie, skromnie, umeblowane mieszkanie w czystym, małym domku na Marylebone. Lubił je. Czuł się tam u siebie. Brat i matka wiele razy zachęcali go, żeby zamieszkał z nimi. Przyjaciele uważali, że robi niemądrze, odmawiając, gdyż obydwie rezydencje były okazałe, wygodne i lepiej ogrzewane niż jego siedziba. On jednak wolał niezależność. Nie znosił wtrącania się w jego sprawy. Wiedział, że matka czuwa nad nim i nad jego życiem towarzyskim, nawet jeśli udaje, że tak nie jest. Lubiła też robić na ten temat uwagi. Violet Bridgerton potrafiła rozprawiać na temat młodych dam, karnetów balowych oraz innych podobnych tematów z szybkością i łatwością, które mogły przyprowadzić dorosłego mężczyznę o zawrót głowy.

I często tak właśnie bywało.

Zazwyczaj chodziło o tę lub tamtą pannę, z którą należało zatańczyć - i to dwukrotnie - na najbliższym przyjęciu. No i oczywiście nie wolno mu było zapomnieć o jeszcze jednej młodej damie, tej pod ścianą. Czyż on nie widzi, że stoi zupełnie sama? Ciotka tej panny, o czym powinien wiedzieć, jest jej bliską przyjaciółką.

Matka Gregory'ego miała mnóstwo bliskich przyjaciółek.

Violet Bridgerton udało się zaaranżować siedem szczęśliwych małżeństw dla siedmiorga z ośmiorga swoich dzieci. Teraz tylko na

nim mogła wyładować napiętność do swatania. Gregory oczywiście uwielbiał matkę i był zachwycony troską o jego dobre samopoczucie i szczęście, lecz niekiedy doprowadzała go do rozpacz.

Anthony zaś, co okazywało się jeszcze gorsze, nawet nie musiał niczego mówić. Już sama jego obecność wystarczała, by Gregory czuł, że nie przynosi chwały rodzinie. Trudno mu się żyło pod czujnym okiem potężnego lorda Bridgertona, któremu nigdy nie zdarzyło się popełnić błędu.

Własne życie wydawało się wówczas Gregory'emu wręcz skandalicznie bezproduktywne.

Na szczęście można było z łatwością rozwiązać ten problem. Wystarczyło się wynieść z domu. Owszem, koszt utrzymania mieszkanca, mimo że małego, pochłaniał sporą część jego dochodów, ale uważał, że jest ono warte każdego włożonego weń pensa.

Nawet to, że może wyjść z domu, a nikt się temu nie dziwi, nie pyta dlaczego ani dokąd idzie (w przypadku jego matki pytanie brzmiałoby raczej „do kogo”), było czymś wspaniałym. Poczł się pewniej. Dziwne, jak dzięki zwykłemu spacerowi można odnieść wrażenie, że jest się panem własnego losu. Gregory tak się właśnie czuł.

A potem natknął się na Lucy Abernathy w Hyde Parku, chociaż wszystko wskazywało na to, że powinna jeszcze przebywać w Kent.

Siedziała na ławce i drobila chleb, rzucając go stadku ptaków. Przypomniał mu się tamten dzień, kiedy ją spotkał na tyłach Aubrey Hali. Wtedy również siedziała na ławce, ale była niezwykle przybita.



Przypomniał sobie, że brat oznajmił jej wówczas o bliskim ślubie. Dlaczego mu wtedy tego nie powiedziała? Szczerze by tego pragnął.

Gdyby wiedział, jaką nowinę przywiózł jej brat, nigdy by jej nie pocałował. To było niezgodne z jego kodeksem przyzwoitości. Dżentelmen nie uwodzi podstępnie cudzej żony lub prawie żony. Tego się po prostu nie robi. Znając prawdę, nie dotknąłby jej tamtej nocy.

Wzdrygnął się. Dlaczego wracał w myślach do tej sceny niezliczoną ilość razy? Dlaczego dopiero teraz zrozumiał, że nie miał pojęcia o tym, że przyszłość Lucy jest już zaplanowana, gdy ją od siebie odepchnął? A gdyby wiedział? Czy wtedy pozostawiłby ją własnemu losowi? Powinien był trzymać się od niej z daleka, tymczasem skierował ją ku jej przeznaczeniu, pozwalając, żeby odeszła. A wystarczyłby jeden krok. Położyłby kres czemuś, nim jeszcze mogłoby się zacząć.

Zamiast tego uśmiechnął się tylko i spytał, co ona tam robi. Potem zaś - o Boże, cóż on sobie wtedy myślał! - spytał ją, czy nie napiłaby się brandy!

Przypomniał sobie teraz wszystko bardzo dokładnie, z najdrobniejszymi szczegółami. Sposób, w jaki na niego spojrziała, jej rękę na swoim ramieniu. Uczepiła się go kurczowo i przez chwilę zdawało mu się niemal, że pragnie, by stał się jej oparciem. Opoką.

Nigdy nie był dla nikogo opoką.

Ale chodziło też o coś innego. Nie pocałował jej z tego powodu, że... Do diabła, sam nie wiedział dlaczego! To po prostu była odpowiednia chwila - wszystko wokoło tchnęło spokojem, a bajeczna, magiczna, hipnotyzująca cisza zdawała się wręcz zapierać dech w piersiach.

Dom roił się od gości, ale korytarz należał tylko do nich. Lucy szukała wzrokiem jego oczu, a potem w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób znalazła się tuż przy nim. Nie cofnął się wtedy, nie odwrócił, choć jej twarz znalazła się tuż koło jego twarzy. Po chwili wiedział tylko, że ją całuje.

Od tego momentu nie mógł już ani mówić, ani rozumnie myśleć. Widział barwy, słyszał dźwięki, czuł, że mu gorąco. Całkiem jakby jego mózg zupełnie podporządkował się ciału.

Zastanawiał się, czy mógłby wówczas położyć temu wszystkiemu kres. Gdyby nie powiedziała „nie”, gdyby nie wsparła się dłońmi o jego pierś i nie zażądała, by przestał...

Czy zrobiliby to z własnej woli?

Wyprostował się i unióś podbródek. Oczywiście, że tak. W końcu to tylko Lucinda, dziewczyna pod wieloma względami nadzwyczajna, lecz nie z tych, dla których mężczyźni tracą głowy. A pocałunek był tylko chwilowym szaleństwem, zrodzonym przez pełną zadziwiających wydarzeń noc.

Nawet w tej chwili, na ławce w Hyde Parku, wśród stadka gołębi, nadal pozostawała zasną, kochaną Lucy. Jeszcze go nie spostrzegła, a on obserwował ją z niemal zmysłową satysfakcją.

Towarzyszyła jej tylko służąca, która - siedząc dwie ławki dalej - kręciła młynka palcami.

Lucy poruszała wargami. Uśmiechnął się. Mówiła coś do ptaków! Być może dawała im jakieś wskazówki, wyjaśniała, kiedy dostaną następną porcję okruchów. A może pouczała je, żeby jadły z zamkniętymi dziobkami? Nie potrafił powstrzymać się od śmiechu.

Odwróciła się i go ujrzała. Dobrze było ją znów zobaczyć. Dziwna reakcja, zważywszy na to, jak wyglądało ich pożegnanie.

- Nie wiedziałem, że jest pani w Londynie - odezwał się, podchodząc bliżej. Przez chwilę odniósł wrażenie, że Lucy nie wie, jak się zachować, lecz potem się uśmiechnęła, choć może z większym wahaniem, niż się spodziewał. I podała mu kawałek chleba.

- To dla gołębi czy dla mnie?

Uśmiech Lucy stał się bardziej bezpośredni.

- Co pan woli. Muszę jednak uprzedzić, że pieczywo jest nieco czerstwe.

- Próbowała go pani?

I znów wszystko było tak, jakby między nimi nic nie zaszło. Jakby nigdy się nie całowali, ani nie prowadzili przygnębiającej rozmowy następnego ranka. Powrócili do dawnej przyjaźni.

Zacisnęła mocno wargi, jakby miała zamiar go zbesztać. Powitał to z rozbawieniem, bo przekomarzanie się z nią było doskonałą rozrywką.

- Chleb jest moim drugim śniadaniem - powiedziała z całą powagą.

Usiadł na drugim końcu ławki i zaczął drobić kromkę, a potem rzucił całą garść okruchów na ziemię jednym szybkim ruchem i oparł się wygodnie, patrząc, jak gołębie stroszą pióra i skwapliwie dziobią chleb. Lucy, co zauważył, rzucała swoje okruchy metodycznie, jedne po drugich, dokładnie w odstępach trzech sekund.

- Wszystkie ode mnie odbiegły - poskarżyła się.

Gregory się uśmiechnął, gdy ostatni z gołębi dołączył do jego stadka.

- Zawsze mi się szczęści. Spojrzała na niego zezem.

- Jest pan nieznośny.

- To jedna z moich najlepszych cech.

- Kto tak uważa?

- Moja matka, która mnie chyba bardzo kocha. Wybuchnęła śmiechem. Udało mu się.

- Moja siostra już chyba trochę mniej.

- Ta, której lubi pan dokuczać?

- Nie robię tego dla przyjemności - pouczył ją - tylko z konieczności.

- Dla kogo jest to konieczne?

- Dla całej Wielkiej Brytanii. Proszę mi wierzyć. Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Nie może być aż tak okropna!

- Może i nie. Matka także ją kocha, co mnie bardzo dziwi.

Znów się roześmiała, a jej śmiech zabrzmiał dziwnie sympatycznie. Niełatwo to było zresztą określić. Jakby... Jakby płynął prosto z serca, ciepły i szczery. Potem spoważniała.

- Lubi pan przewrotne żarty, ale poszłabym o zakład, że w razie czego dałby pan sobie za nią rękę uciąć.

Udał, że się nad tym zastanawia.

- O ile by się pani założyła?

- A fe! Wykręca się pan od odpowiedzi!

- Oczywiście, miała pani rację z tą ręką - przyznał ze spokojem.

- Przecież to moja ukochana siostrzyczka. Mam prawo dokuczać jej, podobnie jak czuwać nad nią.

- Czy jest zamężna?

- Owszem, niejaki St. Clair mają teraz pod swoją opieką, Bogu dzięki. - Uśmiechnął się kpiarsko. - Przepraszam za wzywianie bożego imienia nadaremno.

Lucy nie obraziła się i zaskoczyła go, mówiąc:

- Nie ma za co przepraszać. Czasami bywa to aż nazbyt uzasadnione.

- Czuję, że te słowa dyktuje pani doświadczenie.

- Wczorajszego wieczoru tak właśnie było.

- Naprawdę? - Poczul żywe zainteresowanie. - A co się stało?

- Nic takiego.

- Nie wierzę. Nie posunęłaby się pani wówczas do bluźnierstwa.

- Czy już mówiłam, że jest pan nieznośny?

- Dzisiaj owszem, poprzednio zaś też, i to niejeden raz. Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Liczył pan może, ile razy?

Zamilkł. Było to osobliwe pytanie, chociaż miał dziwną pewność, że gdyby dość długo nad nim rozmyślał, znalazłby odpowiedź.

Lubił rozmawiać z Lucy Abernathy. A gdy coś mu powiedziała, pamiętał jej słowa długo. Szczególna rzecz!

- Czy istnieje słowo „znośny”?

- Ależ oczywiście.

- Jeszcze nikt mnie tak nie nazwał.

- Dziwi to pana? Uśmiechnął się z uznaniem.

- Jest pani złośliwa, Lucindo.

Zmarszczyła brwi, co nadało jej twarzy wręcz diaboliczny wyraz.

- To jeden z moich najpilniej strzeżonych sekretów - przyznała.

Zaczął się śmiać.

- A ja jestem okropnie ciekawski! - zawołał i aż się zatrząsł od śmiechu.

Spojrzała na niego wyrozumiale. Jakaż była serdeczna, spokojna, zrównowazona! Jakże się z nią dobrze czuł. Tu, na tej ławce. Miło było siedzieć na niej z Lucy.

- Ma pani jeszcze trochę chleba? Podała mu trzy kromki.

- Przyniosłam cały bochenek. Zaczął rozkruszać swoją porcję.

- Chce pani utuczyć całe to stadko?

- Mam słabość do gołębi w cieście - odcięła się.

Gregory gotów byłby przysiąc, że ptaki zwracają łebki ku niej, choć może tak mu się tylko zdawało.

- Często pani tu przychodzi?

Nie odpowiedziała od razu, jakby musiała się najpierw namyślić, co było dziwne, skoro zadał jej tak proste pytanie.

- Lubię karmić ptaki - odparła wreszcie - to mnie odpręża.

Sypnął gołębiom kolejną garść okruchów.

- Naprawdę?

Z irytacją rzuciła im następny kawałek precyzyjnym, godnym wręcz wojskowego ruchem nadgarstka. Z następnymi zrobiła tak samo. Zacisnęła wargi.

- Jeśli tylko pan nie robi tu zamętu.

- Ja? - spytał z miną niewiniątka. - Przecież to pani każe gołębiom zawzięcie walczyć o te żałosne resztki czerstwego chleba.

- Powinien pan wiedzieć, że to bardzo porządny bochenek, dobrze wypieczony i smaczny!

- O żywności z pewnością wie pani więcej ode mnie.

- Większość kobiet nie uznałaby tego za komplement - odparła sucho.

- Ach, ale pani różni się od nich. No i - dodał - widywałem już panią przy śniadaniu.

Rozchyliła usta z oburzeniem, lecz nim zdołała nabrać tchu, uprzedził reprimendę.

- Nawiasem mówiąc, to był komplement.

Lucy westchnęła. Istotnie, okazał się nieznośny, ale była mu za to wdzięczna. Kiedy spostrzegła, że stoi za nią i przygląda się, jak karmi ptaki, poczuła skurcz żołądka, zawrót głowy i zupełnie się pogubiła. Nie wiedziała, co ma powiedzieć czy zrobić.

Potem podszedł bliżej i okazał się... po prostu sobą, od razu poczuła się dobrze, co - zważywszy na okoliczności - było zdumiewające.

A później się uśmiechnął znanym jej dobrze, łagodnym uśmiechem i zaczął z nią żartować na temat gołębi. Nim się spostrzegła, odwzajemniła mu uśmiech i od razu poprawił się jej nastrój. Od całych tygodni nie czuła się tak dobrze.

Po cóż właściwie miałyby się zamartwiać niestosownością uczucia, które budzi w niej Gregory? Czy nie lepiej się cieszyć, że może tu siedzieć razem z nim i wreszcie nie jest zaleknioną, głupią gęsią?

Nawet błaha satysfakcja może czasem polepszyć nastrój.

- Przez cały ten czas bawił pan w Londynie? - spytała.

Postanowiła porozmawiać z nim miło po przyjacielsku.

Zaskoczyło go to pytanie.

- Nie, wróciłem dopiero wczoraj wieczorem.

- A, rozumiem... - Urwała, zastanawiając się nad tą nowiną.

Dziwne, nawet nie brała pod uwagę, że go mogło po prostu nie być w mieście. To by wyjaśniało, dlaczego go przedtem nie widywała, kiedy szła do parku albo do krawcowej.

- Pozostał pan w Aubrey Hall?



- Nie, wyjechałem stamtąd wkrótce po pani, żeby odwiedzić brata. Mieszka z żoną i dziećmi w Wiltshire, szczęśliwie i z dala od cywilizacji.

- Wiltshire nie leży przecież na peryferiach.

- Najczęściej nie ma tam nawet „Timesa”. - Wzruszył ramionami. - Mówią zresztą, że ich nie interesuje.

- Dziwne. - Lucy nie znała nikogo, kto by nie czytał tej gazety, nawet w najodleglejszych hrabstwach.

- Zdołałem tam jednak wypocząć. Nie przejmowałem się tym, co inni robią.

- Czy zwykle jest pan plotkarzem? Spojrzał na nią z ukosa.

- Mężczyźni nie plotkują, tylko ze sobą rozmawiają.

- Ach, tak. To wiele wyjaśnia. Zaśmiał się.

- A czy pani od dawna jest w Londynie? Sądziłem, że również przebywa pani na wsi.

- Od dwóch tygodni. Przyjechaliśmy do Londynu tuż po ślubie Hermiony.

- Czy pani brat i panna Watson też tutaj są? Rozgniewała ją skwapliwość, z jaką zadał to pytanie.

- Teraz już nie panna Watson, tylko lady Fennsworth. Wyjechali w podróż poślubną. Przybyłam tu ze stryjem.

- Na sezon?

- Na mój ślub. Rozmowa nagle się urwała.

Lucy sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej kolejną kromkę chleba.

- Odbędzie się za tydzień.

- Tak szybko?! - Spojrzał na nią ze zdumieniem.
- Stryj powiada, że nie ma sensu dłużej go odwlekać.
- Rozumiem.

Chyba rzeczywiście rozumiał. Może tej dziewczynie, żyjącej bezpiecznie na prowincji, nie wpojono pewnych prawideł etykiety. Może istotnie nie trzeba było odwlekać tego, co nieuchronnie musiało nadejść. Może było to częścią filozofii życiowej, która kazała jej we wszystkim dopatrywać się dobrych stron.

- No, cóż - mruknął. Lucy zrozumiała, że Gregory nie wie, co powiedzieć, ale spodobała się jej ta całkiem dla niego nietypowa replika. Było to trochę jak z Hermioną i jej brakiem zdolności do tańca. Jeśli bywały sytuacje, w których nawet Gregory'emu Bridgertonowi mogło zabraknąć słów, tym lepiej dla całej ludzkości!

Wreszcie jakoś z siebie wydusił:

- Moje gratulacje.
- Dziękuję. - Nie wiedziała, czy wysłano mu zaproszenie. Stryj Robert i hrabia Davenport stanowczo życzyli sobie, by na ślub przyszło jak najwięcej gości. Miał to być, ich zdaniem, jej wielki debiut. Chcieli, żeby wszyscy wiedzieli, że wychodzi za Haselby'ego.
- Ceremonia odbędzie się w kościele Świętego Jerzego.
- Tu, w Londynie? - zdziwił się. - Sądziłem, że będzie pani chciała wyjść za mąż w Fennsworth Abbey.

Dziwne, że nie czuła żadnego żalu, rozmawiając z nim o własnym ślubie. Całkiem jakby była wyprana z wszelkich uczuć.

- Życzył sobie tego mój stryj - wyjaśniła, sięgając po kolejną kromkę.

- Czy stryj jest głową domu? - spytał zaskoczony. - Przecież hrabią został pani brat! Czyżby jeszcze nie był pełnoletni?

Lucy rozsypała całą porcję chleba na ziemi, a potem patrzyła z niezdrowym wręcz zainteresowaniem, jak gołębie o nią walczą.

- Owszem, osiągnął pełnoletność w zeszłym roku. Ale woli pozostawić stryjowi zarządzanie sprawami rodziny, by móc kontynuować studia w Cambridge. Spodziewam się jednak, że wkrótce zajmie jego miejsce, skoro - i uśmiechnęła się, jakby chcąc go przeprosić - już się ożenił.

- Proszę się nie martwić. Przeszło mi.

- Naprawdę?

Wzruszył lekko ramionami.

- Prawdę mówiąc, uważam, że miałem szczęście.

Znów wyciągnęła kromkę, lecz jej palce znieruchomiały, nim ją zaczęła drobić.

- Jak to możliwe?

- Mówi pani szczerze? - spytał zdumiony.

Poczuła, że się czerwieni, a policzki nieznośnie ją pieką.

- Przepraszam, zachowałam się nietaktownie, ale pan przecież tak bardzo...

- Proszę nic więcej nie mówić - uciał, co sprawiło, że poczuła się jeszcze gorzej. Po co zrobiła tak wyraźną aluzję do Hermiony? Na jego miejscu wołałaby tego nie słyszeć.

- Przepraszam - powiedziała po raz drugi. Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Dlaczego pani wciąż za coś przeprasza?

- Ja... Sama nie wiem. - Zacisnęła zęby tak mocno, że aż ją zabolęło. Zrobiło się jej przykro. Czemu jej to wypominał?

- Robię tak - odparła stanowczo - żeby... no po prostu, żeby coś powiedzieć. Czy to nie jest wystarczająco dobry powód?

Pokiwał głową, co jej wcale nie pocieszyło.

- Taka już jestem. Zawsze staram się wszystko łagodzić - ciągnęła. Przy tych słowach rzuciła gołębiom resztę chleba.

Obydwoje patrzyli na tumult wśród ptaków.

- Nieźle pomyślane - mruknął.

- Zawsze staram się wszystko robić najlepiej, jak potrafię.

- Cecha godna pochwały.

Lucy poczuła jednak, że narasta w niej gniew. Nie chciała, żeby ją chwalono za to, że wie, jak łagodzić nieistotne konflikty. Zupełnie jakby komuś przyznano po wyścigu nagrodę za najładniejsze buty! Nieistotną i nieważną.

- A czy pan też zawsze postępuje najlepiej, jak można? - spytała ostrym tonem. - Czy dlatego pan mówi, że już mu przeszło? Czy nie zakochał się pan nieprzytomnie... - Urwała, przerażona własnymi słowami. Patrzył na nią tak, jakby postradała zmysły. Może się zresztą nie mylił?

- Niemało pan o tym mówił - mruknęła, sądząc, że będzie to koniec ich rozmowy. Powinna już wracać. Siedziała na tej ławce

blisko kwadrans, nim tutaj przyszedł. Było wilgotno, wietrzno, służąca nie ubrała się zbyt ciepło, a ona miała mnóstwo do roboty w domu. Albo mogła sobie przynajmniej poczytać jakąś książkę.

- Przykro mi, że panią uraziłem...

Nie mogła się zmusić, żeby na niego spojrzeć.

- Ale w niczym nie skłamałem. Naprawdę nie myślę teraz o panie... przepraszam, lady Fennsworth, zbyt często. W każdym razie, odkąd zrozumiałem, że nie bylibyśmy dobraną parą.

Spojrzała na niego i zdała sobie sprawę, że pragnie mu uwierzyć. Za wszelką cenę. Jeśli bowiem potrafił zapomnieć o Hermionie, ona potrafi też zapomnieć o nim.

- Nie wiem, jak to pani wytłumaczyć — ciągnął, kręcąc głową, jakby był równie przejęty jak ona. - Gdyby pani się kiedyś nieprzytomnie zakochała w sposób całkiem niewytłumaczalny...

Zdrętwiała. Nie powinien tego mówić.

- Byłoby to po prostu niewiarygodne.

Dobry Boże. Przecież niemal tak samo mówiła Hermiona! Próbowała sobie przypomnieć, co jej na to wtedy odrzekła. Musiała coś odpowiedzieć, bo w przeciwnym razie Gregory się odwróci i dostrzeże jej zdenerwowanie. I zacznie ją wypytywać o powód, a ona znów nie będzie umiała znaleźć odpowiedzi i...

- Mnie się coś takiego nie zdarzy - zachnęła się.

Gdy się odwrócił, uniosła podbródek, starając się za wszelką cenę nie rozsypać chleba. Byłoby jej dużo łatwiej, gdyby wcale nie patrzyła na niego i udawała, że jest zajęta czym innym.

- Sądzi pani, że nie potrafi się zakochać?

- Być może - powiedziała, siląc się na pogodny ton - ale nie w taki sposób.

-Jaki?

Rozgniewało ją, że została zmuszona do wyjaśnień.

- Desperacki. Taki, jakiego pan i Hermiona się teraz wypieracie. To do mnie niepodobne, nie sądzi pan?

Przygryzła wargę i w końcu pozwoliła sobie na niego spojrzeć. Co pocnie, jeśli zarzuci jej kłamstwo? Jeśli zrozumie, że właśnie się zakochała, i to akurat w nim? Skreśliłaby się co prawda ze wstydu, lecz czy nie byłoby lepiej wiedzieć, że on wie? - Wszystko to nie ma nic do rzeczy - ciągnęła, nie mogąc znieść milczenia. - Wychodzę za lorda Haselby'ego i będę mu zawsze wierna. Ja...

Gregory gwałtownie odwrócił się ku niej.

- Haselby? Pani wychodzi za Haselby'ego?

- Tak. - Cóż go skłoniło do takiej reakcji? - Myślałam, że pan o tym wie.

- Nie, nie wiedziałem. - Patrzył na nią zaszokowany i zaskoczony. -Jak mogłem tego nie wiedzieć!

- To żaden sekret.

- Nie - odparł jakby z wysiłkiem. - Oczywiście, że nie. Wcale nie miałem tego na myśli.

- Czy... ma pan mu coś do zarzucenia? - spytała, ostrożnie dobierając słowa.

- Skądże, przecież znam go od lat. Byliśmy w tym samym college'u, a potem studiowaliśmy razem na uniwersytecie.

- Czy to pański rówieśnik? - spytała, nim do niej dotarło, że to bardzo dziwne, iż nie wie nawet, ile lat ma jej narzeczony. Nie знаła też jednak wieku Gregory'ego.

- Tak- potwierdził. - On jest... miłym człowiekiem. - Odkaszlnął.  
- Bardzo... łagodnym. Będzie panią dobrze traktował.

- Łagodnym? - powtórzyła. Co za dziwny dobór słowa.

Spojrzeni sobie w oczy i Lucy dopiero wtedy zrozumiała, że unikał jej wzroku, odkąd wymieniła nazwisko Haselby'ego. Nic już nie mówił, tylko wpatrywał się w nią intensywnie.

- O co chodzi? - wyszeptała.

- Nieważne - odparł, ale jakimś nieswoim głosem. - Ja... - a potem przerwał na chwilę i ponownie zaczął mówić dopiero, gdy odchrząknął:

- Moja siostra wydaje jutro przyjęcie. Czy zechciałyby pani zjawić się na nim?

- Przyszłabym z przyjemnością - odparła skwapliwie, mimo że, jak wiedziała, nie powinna była tego robić. Od dawna jednak nie była na żadnym balu, a nie będzie już mogła spotykać się z Gregorym po ślubie. Co prawda nie powinna też była pragnąć czegoś nieosiągalnego, lecz nic nie mogła na to poradzić. Jeśli nie zobaczy się z nim teraz, to kiedy? - Niestety, nie mogę - dodała tonem pełnym rozczarowania.

- Dlaczego?

- Stryj mi nie pozwoli. - Westchnęła. - Ani lord Davenport, ojciec Haselby'ego.

- Wiem, o kogo chodzi.

- Oczywiście. Przepra... - Urwała. Przecież nie ma za co przeproszać! - Nie życzą sobie tego.

- Z jakiego powodu?

- Nie chcę, żebym weszła do towarzystwa jako Lucinda Abernathy, skoro za tydzień mam zostać lady Haselby.

- To śmieszne.

- Wiem, ale oni tak uważają. No i zapewne nie życzą sobie też wydatków.

- Przyjdzie pani jutro na przyjęcie mojej siostry - stwierdził stanowczo. - Już ja to załatwię.

- Pan? - spytała z powątpiewaniem.

- Niezupełnie ja, raczej moja matka. Proszę mi wierzyć, nie istnieją dla niej rzeczy niemożliwe. Czy ma pani przyzwoitkę?

- Tak, ciotkę Harriet. Jest wprawdzie trochę chorowita, ale na pewno mogłaby wziąć udział w przyjęciu, gdyby tylko stryj na to pozwolił.

- Pozwoli - zapewnił ją konfidencko. - Przyjęcie wydaje moja najstarsza siostra, Daphne, czyli księżna Hastings. Stryj nie może przecież odmówić księżnej.

- Chyba nie - odparła po namyśle. Nie mogła sobie przypomnieć nikogo, kto by coś takiego zrobił.



- Załatwione - uznał. - Po południu Daphne przyśle zaproszenie.
  - Pomógł jej wstać z ławki.
- Dotyk jego ręki był czymś błogim i przerażającym jednocześnie.
- Dziękuję - szepnęła, ujmując oburącz koszyk, i skinęła na służącą, która zaraz do niej podeszła.
  - A więc do jutra - oznajmił, składając Lucy formalny ukłon.
  - Do jutra - powtórzyła. Czy to się powiedzie? Jeszcze nigdy stryj nie zmienił zdania, lecz może... W każdym razie miała taką nadzieję.

## Rozdział 15

*w którym nasz bohater dowiaduje się, że nie jest i chyba nigdy nie będzie tak mądry jak jego matka.*

Godzinę później Gregory zjawił się na Bruton Street 5, w londyńskiej siedzibie matki, która uparła się, żeby opuścić Bridgerton House po ślubie Anthony'ego. Niegdyś był to również jego dom, póki parę lat temu nie wynajął własnego mieszkania. Matka od czasu zamążpójścia jego najmłodszej siostry mieszkała sama. Gregory starał się ją odwiedzać przynajmniej dwa razy w tygodniu, gdy tylko był w Londynie. Zawsze go zdumiewało, jak cichy stał się teraz ten budynek.

- Mój kochany! - zawołała, wbiegając do salonu z szerokim uśmiechem. - Nie przypuszczałam, że cię dzisiaj zobaczę! Jak ci się jechało? Opowiedz mi zaraz wszystko o Benedyku, Sophie i

dzieciach. Doprawdy, to okropne, że tak rzadko widuję swoje wnuczeta!

Gregory uśmiechnął się pobłaźliwie. Matka odwiedziła Wiltshire ledwie miesiąc wcześniej, a że robiła to kilka razy do roku, bywało że miała świeższe informacje niż on. Mimo to skrupulatnie przekazał jej wszystkie nowiny o czworgu dzieciach brata, zwłaszcza o jej imienniczce, małej Violet. Kiedy już go wypytała o wszystko, zaczął:

- Mamo, chciałbym cię prosić o pewną przysługę.

Violet zawsze miała wspaniałą posturę, lecz teraz wyprostowała się chyba jeszcze bardziej niż zwykle.

- Naprawdę? Czego ci trzeba?

Powiedział jej o Lucy, najzwyczajniej, jak mógł, żeby nie doszła do całkiem niestosownego wniosku, że się nią interesuje. Matka w każdej niezamężnej kobiecie widziałyby kandydatkę na synową. Nawet w takiej, która miała za tydzień wyjść za mąż.

- Oczywiście, że ci pomogę. To nie będzie nic trudnego.

- Stryj trzyma ją niemal pod kluczem - przypomniał jej Gregory. Machnęła tylko ręką.

- Dziecinnie prosta sprawa, mój drogi. Zostaw wszystko mnie. Szybko sobie z tym poradzę.

Gregory postanowił nie drażnić dłużej tematu. Jeśli matka powiedziała, że wie, jak to załatwić, należało jej zaufać. Dalsze wywody doprowadziłyby ją jedynie do wniosku, że syn ma w tym jakiś ukryty cel. Tymczasem on po prostu lubił Lucy. Uważał ją za

przyjaciółkę i chciał, żeby się trochę rozerwała. Cel sam w sobie godny pochwały.

- Powiem Daphne, żeby wysłała zaproszenie z jakąś osobistą uwagą - rozmyślała głośno matka. - A może powinnam się zwrócić bezpośrednio do tego stryja? Nakłamię mu, że poznałam jego siostrzenicę w parku.

- Nakłამiesz? Ty?

Matka uśmiechnęła się przewrotnie.

- Nieważne, czy mi uwierzy, czy nie. To jedna z korzyści podeszłego wieku. Nikt się nie ośmieli przeciwstawić takiej starej ropusze jak ja!

Gregory nie dał się nabrać. Violet Bridgerton była wprawdzie matką ośmiorga dorosłych dzieci, lecz ze swą mlecznobiałą, gładką karnacją i pogodnym uśmiechem nie wyglądała ani trochę staro. Często się dziwił, dlaczego nie wyszła za mąż po raz drugi. Wielu wdowców chętnie by ją zaprosiło na kolację czy tańce. Gregory podejrzewał też, że każdy z nich z otwartymi ramionami powitałby ją u swojego boku, gdyby tylko zdradzała taką chęć.

Nie okazywała jej jednak i musiał przyznać, że był z tego powodu zadowolony, co skądinąd zakrawało na egoizm. Mimo matczynego wścibstwa było coś bardzo krzepiącego w jej oddaniu dzieciom i wnukom.

Ojciec zmarł przeszło dwadzieścia lat temu i Gregory wcale go nie pamiętał. Matka jednak mówiła o nim często. Głos się jej wtedy zmieniał, oczy łagodniały, a kąciki ust unosiły się ku górze -

wprawdzie tylko trochę, lecz na tyle, by wiedział, z jaką czułością wspomina męża.

Rozumiał wtedy, dlaczego obstawała przy tym, by jej dzieci zawierały małżeństwa z miłości. I zamierzał się zastosować do jej życzenia. Jak na ironię zrobił z siebie głupca, ulegając niemądrym zauroczeniu panną Watson.

Weszła służąca, niosąc tacę z herbatą, i postawiła ją na niskim stoliku między nimi.

- Kucharka upiekła twoje ulubione ciasteczka. - Z tymi słowami matka podała mu herbatę przyrządzoną dokładnie tak, jak lubił, bez cukru i tylko z odrobiną mleka.

- Spodziewałaś się mnie?

- Nie dzisiejszego popołudnia. - Violet upiła łyk ze swojej filiżanki. - Wiedziałam jednak, że nie będziesz zbyt zwlekał z wizytą. W końcu musisz czasami coś jadać.

Gregory uśmiechnął się kwaśno. Matka mówiła prawdę. Podobnie jak wielu innych młodych dżentelmenów nie miał w mieszkaniu miejsca na kuchnię. Żywił się na przyjęciach, w klubie, no i oczywiście u matki oraz rodzeństwa.

- Dziękuję - mruknął, sięgając po herbatniki.

Violet przez chwilę wpatrywała się w tacę, z głową nieznacznie przechyloną na bok. Wzięła dwa ciastka.

- Czuję się wzruszona - spojrzała przy tych słowach na niego - że prosisz mnie o pomoc w sprawie panny Lucindy.

- A do kogo miałbym się z tym udać? - spytał zdumiony.

Ostrożnie nadgryzła herbatnika.

- Do mnie, rzecz jasna, ale ty tak rzadko się zwracasz z jakąkolwiek prośbą do rodziny.

Gregory najpierw siedział w milczeniu, a potem popatrzył na nią. Matka utkwiała oczy - błękitne i niezwykle przenikliwe - w jego twarzy. Co chciała mu dać do zrozumienia? Nikt chyba nie kochał własnej rodziny bardziej niż on.

- Ależ... - Urwał.

Matka tylko się uśmiechnęła. Czy twoim zdaniem jest inaczej ?

- Niewątpliwie.

- Och, nie bierz sobie tego do serca. - Matka obesza stół naokoło, żeby poklepać go po ramieniu. Wcale nie chciałam przez to powiedzieć, że nas nie kochasz. Po prostu wolisz działać na własną rękę.

- W jakich sprawach?

- Och, na przykład, jeśli chodzi o znalezienie sobie żony...

- Czy próbujesz mi wmówić, że Anthony, Benedict i Colin chętnie przyjmowali twoje pośrednictwo, kiedy chcieli się ożenić?

- Ależ skąd. Żaden mężczyzna by tego nie zrobił. Tylko że...

Machnęła ręką, jakby chciała w ten sposób unieważnić własne słowa.

- Przepraszam. Wybrałam zły przykład.

Uśmiechnęła się lekko i spojrzała w okno. Najwyraźniej postanowiła zmienić temat. Ku swemu własnemu zaskoczeniu zrozumiał, że wcale tego nie chciał.

- Cóż jest złego w tym, że woli się pewne rzeczy robić na własną rękę?

Matka najwyraźniej żałowała, że poruszyła tak kłopotliwą materię.

- Nic, nic. Jestem dumna, że wychowałam tak samodzielnych synów. W końcu aż trzech spośród nich poradzi sobie sami...

- Urwała i dodała po namyśle: - Oczywiście nie bez pewnej pomocy Anthony'ego. Bardzo bym się rozczarowała, gdyby nad wami nie czuwał.

- Anthony jest wyjątkowo szczodry.

- Prawda? - spytała z uśmiechem. - Czy chodzi o pieniądze, czy też o poświęcany innym czas. - Przyjrzała mu się ze smutkiem. - Twój ojciec był właśnie taki. Co za szkoda, że go nie znałeś.

- Anthony opiekował się mną właśnie jak ojciec. - Gregory powiedział to nie tylko dlatego, by ją ucieszyć; po prostu mówił prawdę.

Matka zagryzła wargi. Przez chwilę sądził, że się rozpłacze, więc podał jej własną chusteczkę.

- Nie, nie trzeba - odparła, lecz mimo to wzięła ją i osuszyła oczy. - Wszystko w porządku. Tyle tylko... - uśmiechnęła się przez łzy - że kiedy sam będziesz miał dzieci, zrozumiesz, jak miło mi było coś takiego usłyszeć.

Odłożyła chusteczkę i sięgnęła po herbatę. Piła ją wprawdzie z roztargnieniem, lecz i z wyraźną satysfakcją.

Rozbawiło go to. Violet wyjątkowo lubiła herbatę, nawet jak na Brytyjkę. Mówiła, że pomaga jej zebrać myśli. Kiedy indziej byłby zadowolony z tego, że matka świetnie się czuje w jego towarzystwie, ale teraz wiedział, że to właśnie on jest tematem tych rozmyślań. Być może po trzeciej filiżance matka zacznie snuć jakieś niepokojące plany ożenienia go z córką pierwszego lepszego przyjaciela przyjętego na porannej wizycie.

Tym razem najwyraźniej nie myślała jednak o mariażu. Odstawiła filiżankę i kiedy już sądził, że jest gotowa zmienić temat, powiedziała:

- Tylko że on nie jest twoim ojcem.

Gregory zamarł z filiżanką uniesioną w pół drogi do ust.

- Nie rozumiem.

- Anthony nie jest twoim ojcem. Co ona chciała przez to powiedzieć?

- Jest bratem, jak Benedict i Colin. A kiedy byłeś mały, bardzo pragnąłeś, żeby oni ci poświęcali jak najwięcej uwagi.

Gregory milczał.

- Oczywiście, bracia wcale nie zamierzali tobą kierować. Nie można ich za to obwiniać.

- Nie, skądże.

- Nie bierz sobie tego do serca - odparła z miną świadczącą o poczuciu winy i zarazem o zniecierpliwieniu. - Byli wspaniałymi braćmi, na ogół bardzo cierpliwymi.

- Na ogół?

- Przez pewien czas - poprawiła się. - W końcu byłeś o tyle od nich młodszy! Po prostu nie mogli z tobą znaleźć wspólnego języka. A kiedy podrosłeś...

Zawiesiła głos i westchnęła.

- O co chodzi? - spytał, nachylając się ku niej.

- Och, nic.

- Mamo...

- No, dobrze - odparta, a Gregory od razu się domyślił, że od początku dobrze wiedziała, co chce powiedzieć. Wzdychała i zwlekała wyłącznie dla lepszego efektu.

- Pewnie myślałeś, że musisz im dowieść własnej wartości.

- Naprawdę taki byłem?

Matka rozchyliła wargi, ale mimo to milczała.

- Nie - uznała w końcu. - Dlaczego tak myślisz? Co za głupie pytanie. Dlatego, że...

- Niełatwo to wyrazić słowami - mruknął.

- Czyżby? - znowu upiła łyk herbaty. - Prawdę mówiąc, spodziewałam się po tobie innej reakcji.

- Ściśle rzecz biorąc, jakiej? - Gregory poczuł, że zaciska zęby.

- Ściśle? - Przyjrzała mu się na tyle rozbawiona, że go tym zirytowała. - Nie wiem, czy umiem być ściśła, ale oczekiwałam, że temu zaprzeczysz.

- Temu, że staraliście się mną kierować?

- Bracia szanują twoją niezależność.

- Nie powiedziałem, że tego nie robią.



- Liczą się z tym, że wolisz polegać na sobie. Gregory uważał, że niezupełnie.

- Prośba o pomoc nie jest oznaką słabości.

- Nigdy tak nie myślałem. Czy nie przyszedłem tu właśnie po radę?

- W sprawie, z którą może się uporać jedynie kobieta! Nie miałeś innego wyjścia. Musiałeś zwrócić się do mnie.

Mówiła prawdę.

- Przywykłeś do tego, że pewne rzeczy robi się za ciebie.

- Mamo...

- Hiacynta jest taka sama - dodała szybko. - Pewnie dlatego, że jesteście najmłodszy z rodzeństwa. Oczywiście nie chcę twierdzić, że jesteś leniwy, rozpieszczony czy też małoduszny.

- W takim razie, co chciałaś mi dać do zrozumienia?

Uśmiechnęła się nieco przewrotnie.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Uspokoił się trochę.

- Tak - odparł i kiwnął głową na znak, że przyjmuje reguły gry.

- Po prostu myślę, że nigdy nie musiałeś się mocno o coś starać i całkiem ci z tym dobrze. Los zdaje się ci sprzyjać.

- Dlaczego cię to martwi?

- Och, Gregory! - Westchnęła. - Nie martwi mnie wcale, z całego serca życzę ci powodzenia. Przecież wiesz.

Nie miał pojęcia, jak odpowiedzieć, więc milczał. Uniósł tylko z lekka brwi.

- Może niezbyt jasno się wyraziłam? Próbowałam ci tylko wyjaśnić, że nigdy nie musiałeś twardo o coś walczyć. Nie jestem pewna, czy chodzi tu o twoje możliwości, czy raczej, jak do tej pory, żaden cel nie był tego wart.

Nadal nie odpowiadał, wpatrując się z irytacją w zawity wzór kobierca na ścianie. A potem spytał.

- Co to ma wspólnego z moimi braćmi?

- Myślisz o pragnieniu udowodnienia im własnej wartości?

Przytaknął bez słowa.

Matka zacisnęła wargi i po chwili namysłu stwierdziła:

- Sama nie wiem. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

- Nie jestem wszechwiedząca - podjęła, on zaś pomyślał, że nigdy się jeszcze tak nie wyraziła.

- Przypuszczam - zaczęła powoli, z namysłem - że... jakoś się to dziwnie ze sobą łączy. Może zresztą wcale nie ma w tym nic dziwnego, skoro ktoś ma tak wiele starszego rodzeństwa.

Gregory czekał, aż matka przemyśli to, co chciała powiedzieć. Choć w pokoju było cicho i spokojnie, czuł się tak, jakby przytłaczało go jakieś niewidzialne brzemie. Nie wiedział, co dokładnie Violet teraz powie, choć w jakiś niewytłumaczalny sposób był tego świadom. Wiedział, że będzie to coś istotnego. Może istotniejszego niż wszystko, co dotąd słyszał.

- Nie chcesz prosić o pomoc, bo pragniesz, żeby bracia widzieli w tobie dorosłego mężczyznę. A jednak żyło ci się do tej pory łatwo i właśnie z tego powodu czasami myślę, że nie umiesz walczyć

o swoje.

Zdumiało go to tak, że aż otworzył usta.

- Nie żebyś się przed tym wzbraniał - dodała zaraz. - Po prostu nie podejmujesz wyzwania. A jeśli coś wymaga większego wysiłku i nie możesz tego osiągnąć, uznajesz, że... nie warto sobie tym zawracać głowy.

Gregory oderwał wreszcie wzrok od wzoru na tkaninie.

- Wiem dobrze, co to znaczy walczyć - odparł spokojnie, zaglądając matce w oczy. - Pragnąć czegoś rozpaczliwie i wiedzieć, że się tego nie zdobędzie.

- Naprawdę? W takim razie się cieszę. - Sięgała już po filiżankę, lecz najwyraźniej zmieniła zamiar.

- A czy zdobyłeś to coś?

- Nie.

- W takim razie przykro mi.

- A mnie już nie - odparł chłodno.

- Och. No, cóż. - Podniosła się z fotela. - W takim razie i mnie też. Myślę jednak, że ci to posłużyło.

Gregory z początku miał ochotę się obrazić, lecz ku własnemu zaskoczeniu powiedział:

- Może masz rację.

Jeszcze bardziej go zdziwiło, kiedy uznał, że naprawdę tak uważa.

- Cieszę się, że patrzysz na to w ten sposób. Większość mężczyzn tego nie potrafi. - Matka spojrzała na zegar i niemalże

krzyknęła: -O Boże! Obiecałam Porcji Featherington, że pojawię się u niej po południu!

Gregory również wstał.

- Nie martw się o pannę Lucindę - zawołała. - Zajmę się wszystkim! No i skończ swoją herbatę! Martwi mnie, że żadna kobieta o ciebie nie dba. Jeszcze rok, dwa takiego życia, a zostanie z ciebie sama skóra i kości.

Odprowadził ją do drzwi.

- Jeśli chciałaś zachęcić mnie do małżeństwa, nie był to najsubtelniejszy z chwytów.

- Tak sądzisz? - uśmiechnęła się figlarnie. - Przyznam, że przestałam się bawić w subtelności, bo większość mężczyzn, moim zdaniem, nie rozumie niczego, jeżeli się im tego jasno nie wyłoży.

- Twoi synowie także?

- Zwłaszcza moi synowie!

- Chyba się o to prosiłem.

- Całkiem jakbyś mi przysłał pisemne zaproszenie. Zamierzał zejść z nią do holu, lecz zbyła go energicznym gestem.

- Nie, nie trzeba! Dokończ herbatę! Poprosiłam kucharkę o kanapki, kiedy zapowiedziano twoją wizytę, lada chwila je przyniosą. Zmarnują się, jeśli ich nie zjesz.

Zaburczało mu w brzuchu, skłonił się więc.

- Jesteś wspaniałą matką. Wiesz o tym?

- Dlatego, że ci daję jeść?

- Również dlatego, ale też i z kilku innych przyczyn. Wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek.

- Czyż nie jesteś moim beniaminkiem?

Uśmiechnął się. Zawsze, odkąd pamiętał, troszczyła się o niego jak najserdeczniej.

- Pozostanę nim tak długo, jak sama zechcesz.

## *Rozdział 16*

*w którym nasz bohater załochuje się po raz drugi.*

Jeśli chodzi o machinacje towarzyskie Violet Bridgerton była osobą tak utalentowaną, jak twierdziła. Gdy Gregory następnego wieczoru przybył do Hastings House, jego siostra Daphne, księżna Hastings, powiadomiła go, że panna Lucinda Abernathy będzie obecna na balu.

Sprawiło mu to naprawdę olbrzymią satysfakcję. Lucy wyglądała na tak rozczarowaną, gdy się zaliła, że nie będzie mogła tutaj przyjść.

Czyż nie należała się jej choć jedna noc zabawy przed poślubieniem Haselby'ego?

Gregory wciąż nie mógł uwierzyć, że dojdzie do tego mariażu. Jak mógł nie wiedzieć, że Lucy ma wyjść akurat za niego? Nie mógł już temu zapobiec. Nie mógł też zresztą sobie na to pozwolić. Lecz dobry Boże, czy nie należałoby powiedzieć Lucy o wszystkim?

Haselby był człowiekiem niezwykle miłym i, co mu Gregory musiał przyznać, nieprzeciętnie inteligentnym. Nie biłby jej ani nią

nie poniewierał, tylko że... Nie nadawał się na jej męża. Już sama myśl o tym go mroziła. Małżeństwo Lucy nie mogło się udać, bo Haselby nie miał wcale skłonności do kobiet, a w każdym razie nie interesowały go one tak, jak powinny interesować mężczyznę!

Pewnie byłby dla niej dobry i zapewniłby jej dostatek, co nie wszystkie kobiety spotyka w małżeństwie, niezależnie od preferencji, jakie mają ich mężowie.

Wydawało mu się jednak czymś niegodnym, by właśnie Lucy miało przypaść w udziale podobne życie. Zaslugiwała na dużo więcej. Na dom pełen dzieci. No i psów. A może jeszcze jednego lub dwa koty. Wyglądała na osobę, która chętnie otoczyłaby się całą menażerią. A także kwiatami. W domu Lucy powinno być istne zatrzęsienie kwiatów, tego był pewien. Pełno różowych peonii, herbacianych róż i tych niebieskich kwiatków na długich łodygach, które tak lubiła. Jak też one się nazywają?

Po chwili przypomniał sobie. Ostróżki.

Lucy co prawda twierdziła, że to jej brat najbardziej z całej rodziny kocha kwiaty, lecz Gregory nie mógł jej sobie wyobrazić w domu pozbawionym barwnych roślin.

Domostwo to powinno być wypełnione śmiechem, gwarem i cudownym bałaganem - mimo jej wysiłków, by utrzymać je w porządku. Łatwo ją sobie wyobrażał, jak się krząta, usiłując wszystko należycie posprzątać.

O mało nie roześmiał się głośno na samą myśl o tym. Nawet cała armia służących nie dałaby sobie rady z pucowaniem, odkurzaniem i

zamiataniem tego domu. Po dzieciach nigdy nie można się spodziewać, że zachowają ład.

Lucy lubiła prowadzić dom, bo ją to uszczęśliwiało. Należy się jej gospodarstwo. Dzieci także. Wiele dzieci. Może nawet ośmioro.

Rozejrzał się po sali, która z wolna zaczęła się zapełniać. Nigdzie nie widział Lucy, a goście nie byli jeszcze tak liczni, by mógł ją przeoczyć. Ujrzał natomiast swoją matkę. Podeszła prosto do niego.

- Gregory! - powiedziała, wyciągając ku niemu obydwie ręce. - Wyglądasz dzisiaj wyjątkowo przystojnie!

Uniósł jej dłoń do ust.

- Co za uczciwość i bezstronność ze strony matki.

- Nonsens! Po prostu wszystkie moje dzieci są niezwykle rozumne i urodziwe. W przeciwnym razie ciągle by mnie krytykowano, nie sądzisz?

- Nikt by się nie ośmielił.

- Hm... pewnie masz rację - odparła z pozornie obojętną miną. - Ale jestem uparta i będę obstawać przy swoim.

- Jak sobie życzysz - oznajmił uroczyście.

- Czy panna Lucinda już się zjawiała?

- Jeszcze nie.

- Dziwne, że dotąd jej nie spotkałam. Skoro od dwóch tygodni jest w Londynie... Zresztą nieważne. Jestem pewna, że ogromnie mi się spodoba, jeśli tylko zechcesz jej dziś wieczór dotrzymać towarzystwa.

Gregory spojrział na nią podejrzliwie. Znał ten ton, idealny melanz nonszalancji i precyzji. Posługiwała się nim wprost po mistrzowsku, gdy chciała się czegoś dowiedzieć. Dyskretnie poprawiła fryzurę i powiedziała, nie patrząc nawet na niego:

- Mówiłeś, że przedstawiono ci ją podczas wizyty u Anthony'ego?

Nie zamierzał udawać, że nie wie, o co jej chodzi.

- Lucy Abernathy jest zaręczona - podkreślił, a potem dodał. - Wychodzi za mąż w przyszłym tygodniu.

- Tak, tak, wiem. Za syna hrabiego Davenporta. Zdaje się, że o tym małżeństwie dawno już postanowiono.

Gregory przytaknął, nie mógł sobie jednak wyobrazić, by matka znała prawdę o Haselbym. Owszem, zawsze krążyło o nim mnóstwo różnych plotek, lecz nikt nie ośmieliłby się ich powtórzyć w obecności dam.

- Dostałam zaproszenie na ten ślub.

- Coś podobnego!

- To ma być wspaniała ceremonia. Gregory zacisnął zęby.

- A panna Abernathy zostanie hrabiną.

- Tak. W podobnych wypadkach śluby nie bywają skromne.

- Zgadza się.

- Uwielbiam śluby! - westchnęła.

- Naprawdę?

- O, tak! - Znowu westchnęła, jeszcze bardziej przejmująco. -

Jakie to wszystko romantyczne - dodała. Panna młoda, pan młody...



- Na ogół nie obywa się wtedy bez nich. Matka spojrzała na niego z irytacją.

- Jakże mogłam wychować tak nieromantycznego syna! Gregory wolał sobie darować odpowiedź.

- Zamierzam pójść na ten ślub! Prawie nigdy nie odrzucam takich zaproszeń.

- Kto się żeni? - rozległ się jakiś głos z tyłu za nimi. Gregory się odwrócił. Hiacynta, jego siostra, cała w błękicie, znowu wsadzała nos w nie swoje sprawy.

- Lord Haselby i panna Lucinda Abernathy - odparła Violet.

- Ach, tak. - Hiacynta zmarszczyła brwi. - Dostałam zaproszenie. W kościele Świętego Jerzego, prawda?

- Właśnie - przytaknęła Violet. - A potem odbędzie się przyjęcie weselne w Fennsworth House.

Hiacynta rozglądała się po sali. Robiła tak często, nawet jeśli nie chodziło jej o żadną konkretną osobę.

- Ciekawe, że jeszcze jej nie spotkałam. To chyba siostra hrabiego Fennswortha, prawda? - Wzruszyła ramionami. - Dziwne, że nie znam żadnego z nich.

- Panna Lucinda pewnie zbyt często nie bywa na mieście - wyjaśnił Gregory. - A przynajmniej nie składa formalnych wizyt.

- W takim razie dziś zadebiutuje w towarzystwie - uznała Violet.  
- Wszyscy będą zaciekawieni.

Hiacynta spojrzała na brata badawczo.

- Gdzie ją właściwie poznałeś?

Nim zdołał otworzyć usta, siostra się nastroszyła.

- Nie próbuj mi wmawiać, że jej nie znasz, bo już się dowiedziałam wszystkiego od Daphne.

- Więc dlaczego pytasz? Zrobiła nadąsaną minę.

- Bo mi nie powiedziała, jak się poznaliście!

- Powinnaś sobie należycie przyswoić wyrażenie „jakoś tak” - stwierdził Gregory i zwrócił się do matki.

- Bogate słownictwo i bystrość nigdy nie były jej atutami. Violet wzniosła oczy do nieba.

- Codziennie się dziwię, że obydwójce zdołaliście dożyć wieku dorosłego.

- Czy dlatego, że pragnęlibyśmy się pozabijać? - zadrwiła córka.

- Już raczej dlatego, że to ja miałam chęć was zamordować!

- Cóż - mruknęła Hiacynta, jak gdyby nigdy nic. - Daphne mówi, że bardzo ci zależało, żeby ta Abernathy otrzymała zaproszenie. A mama nawet dopisała na nim, że wielce się cieszy, iż ją zobaczy. Dobrze wiem, że to jawne kłamstwo, bo nikt z nas jej przecież...

- Milcz! - przerwał jej.

- Ani myślę! W jaki sposób ją poznałeś? Jak dobrze ją znasz? No i dlaczego tak ci zależało na wysłaniu zaproszenia dziewczynie, która w przyszłym tygodniu wyjdzie za mąż?!

A potem stała się rzecz niewiarygodna. Hiacynta zamilkła.

- Mnie to również intryguje - mruknęła Violet. Gregory, wodząc wzrokiem od siostry do matki, uznał, że nie o takim zachowaniu

myślał, mówiąc Lucy, że rodzina krzepi. Obydwie urządziły teraz istny pokaz dokuczliwości, wścibstwa i wielu innych szkaradnych cech, które trudno by mu było nawet nazwać. Na szczęście, bo żadna z tych nazw nie brzmiałaby zbyt uprzejmie. Mimo to wyjaśnił cierpliwie:

- Przedstawiono mi pannę Lucindę w Kent. Na ostatnim party u Kate i Anthony'ego. Poprosiłem zaś Daphne o zaproszenie jej na ten bal, bo jest bardzo miłą młodą damą, a wczoraj spotkałem ją przypadkowo w parku. Stryj nie życzył sobie, żeby debiutowała podczas sezonu, uznałem więc, że postąpię uprzejmie, zapewniając jej choć jeden miły wieczór.

W milczeniu czekał na odpowiedź. Otrzymał ją, chociaż, rzecz jasna, niewyrażoną w słowach - zawsze mniej wymownych niż sceptyczne spojrzenia.

- Och, na miłość boską! - Omal nie wybuchnął. - Ona jest zaręczona! Wkrótce wyjdzie za mąż, rozumiecie?

Nie przejęły się tym specjalnie.

- Czy wyglądam na kogoś, kto pragnie zniszczyć czyjeś małżeństwo? - spytał zgryźliwie.

Hiacynta kilka razy zamrugła, jak robiła zawsze, gdy zdarzyło jej się myśleć o cudzych sprawach. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu wymamrotała tylko: „Nie sądzę”, i znów rozejrzała się po sali.

- Chciałabym ją poznać.

- Niewątpliwie - odparł i szczerze pożałował, co robił przynajmniej raz w miesiącu, że nie może jej udusić.

- Kate pisała, że ma wiele uroku - wtrąciła się Violet. Zrobiło mu się słabo. Co też jeszcze Kate mogła napisać matce?!

Wystarczy, że o fiasku jego zalotów wiedział Anthony (z tym oczywiście Gregory musiał się liczyć). Jeśli dowie się o tym także matka, jego życie zamieni się w piekło. Pewien był, że wówczas Violet zabije go swoim współczuciem.

- Kate pisuje do mnie co dwa tygodnie. - Violet nieznacznie wzruszyła ramionami. - I niczego przede mną nie ukrywa.

- Czy Anthony wie o wszystkim? - wyjąkał.

- Nie mam pojęcia. - Matka spojrzała na niego z wyższością. - Ale doprawdy to nie jego sprawa.

Gregory o mało nie powiedział na głos: „Dobry Boże!”

- Słyszałam, że brata panny Abernathy zaskoczono w kompromitujących okolicznościach z córką hrabiego Watsona.

- Naprawdę?! - Hiacynta, która już zaczęła po raz kolejny rozglądać się badawczo wśród licznych gości, nagle przestała im się przypatrywać.

- Zastanawiało mnie, dlaczego ten ślub trzeba było zawierać z takim pośpiechem. - Violet pokiwała głową.

- Właśnie dlatego - mruknął zgryźliwie Gregory.

Siostra chrząknęła w sposób, który nikomu nie mógł się podobać.

- A więc stąd całe to zamieszanie - zwróciła się do córki Violet.

- Wszystko załatwiono bardzo dyskretnie. - Gregory był coraz bardziej poirytowany.

- Ale i tak huczało od plotek, jak zawsze - docięła mu Hiacynta.  
- Daruj sobie kolejne! - ostrzegła ją matka.  
- Ani nie pisnę - obiecała Hiacynta, całkiem jakby nigdy w życiu nie palnęła czegoś nieodpowiedniego.

- Och, dosyć tego! - parsknął Gregory.

- Przecież zawsze potrafię dochować sekretu - zaprotestowała siostra - przynajmniej dopóki pozostaje sekretem!

- Usiłujesz mi wmówić, że jesteś wzorem dyskrecji? Hiacynta spojrzała na niego krzywo. Gregory uniósł brwi.

- Przestańcie wreszcie! - wtrąciła się Violet. - Od małego wiecznie skaczecie sobie do oczu!

Gregory zacisnął zęby i zaczął rozglądać się po sali. Nie lubił, żeby mu przypominano czasy, kiedy chodził w krótkich spodenkach.

- Mamo, nie bądź nieznośna! - Hiacynta nie przejęła się bynajmniej upomnieniem. - Gregory dobrze wie, że się z nim drażnię, bo go lubię. - I posłała mu promienny uśmiech.

Westchnął. Sam robił to samo, choć nieraz z trudem mógł wytrzymać z siostrą. Byli jednak najmłodszymi z rodzeństwa, a tym samym tworzyli w jakiś sposób zgraną parę.

- Nawiasem mówiąc, on odwzajemnia moje uczucia - tłumaczyła Hiacynta matce. - Ale, jak to mężczyzna, woli o tym nie mówić.

- W sumie to prawda - przytaknęła Violet.

- A żeby wszystko wyjaśnić do końca - Hiacynta zwróciła się tym razem do brata - nigdy nie targałam cię za włosy.

Dała sygnał do odwrotu albo w głowie się jej pomieszało!

Doprawdy, tego już było dla niego za wiele.

- Hiacynta, przecież cię uwielbiam, wiesz o tym. Ciebie, mamó, również. Ale teraz wołałbym stąd pójść.

- Poczekaj! - zawołała matka, gdy już się odwracał, gotów odejść. Powinien był wiedzieć, że mu to nie przyjdzie łatwo.

- Będiesz mi towarzyszył? - spytała matka.

- Z jakiej okazji?

- Na ślubie panny Abernathy, rzecz jasna. Zaszło mu nagle w ustach.

- Panny Lucindy?

Matka przyglądała mu się najniewinniej w świecie.

- Nie chciałabym zjawić się tam pozbawiona asysty.

- W takim razie weź ze sobą Hiacyntę.

- Ona także chce tam pójść, ale razem z Garethem.

Gareth St. Clair był mężem Hiacynty od blisko czterech lat.

Gregory polubił go serdecznie i blisko się z nim zaprzyjaźnił, wiedział więc dobrze, że Gareth wolałby raczej dać uciąć sobie rękę, niż brać udział w długiej, wielogodzinnej uroczystości.

Hiacynta, jak jasno dała do zrozumienia, zawsze interesowała się jednak plotkami, co oznaczało, że z pewnością nie opuści równie ważnego ślubu. Podczas przyjęcia weselnego ktoś mógł wypić za wiele, kto inny zbyt mocno obejmować kogoś w tańcu. Nigdy by sobie nie darowała, gdyby dowiedziała się o tym jako ostatnia.

- Gregory... no, a ty? - spytała matka.

- Nie pójdę tam.

- Ależ...

- Nie dostałem zaproszenia.

- Pewnie to przeoczenie, które można będzie naprawić, zwłaszcza po wszystkich twoich staraniach.

- Życzę panie Lucindzie szczęścia, ale nie mam ochoty przyglądać się jej ślubowi. Nie lubię sentymentalnych uroczystości.

Żadna z nich się nie odezwała. Zły znak! Spojrzał na siostrę, która zrobiła wielkie oczy.

- Przecież ty lubisz śluby.

Gregory uznał, że chrząknięcie będzie najlepszą z odpowiedzi.

- Ależ tak, przecież je lubisz. Nie możesz...

- Hiacynta, jesteś moją siostrą, to co innego.

- Owszem, ale dobrze sobie przypominam, że byłeś też na ślubie Felicity Aibansdale...

Gregory odwrócił się do niej plecami, żeby się nie zabawiała dłużej jego kosztem.

- Mamo, dziękuję za zaproszenie, ale naprawdę nie chcę być na ślubie panny Lucindy.

Violet już miała mu odpowiedzieć, ale się rozmyśliła.

- Trudno.

Gregory natychmiast zaczął coś podejrzewać. Ciekawe, co nią kierowało? Nie miał jednak zamiaru zastanawiać się nad tym teraz i rezygnować z opuszczenia sali. Podjął decyzję.

- Adieu, kłaniam się paniom.

- Gdzie idziesz? - zapytała siostra. - No i dlaczego mówisz po francusku?

- Wykapana mama! - prychnął, a potem zwrócił się do Violet:

- Hiacynta coraz bardziej cię przypomina!

- Owszem - zgodziła się matka. - Wiem.

- Co to ma znaczyć?! - spytała natychmiast córka.

- Och, na litość boską, Hiacynto...

Gregory skorzystał ze sposobności i wycofał się pospiesznie, gdy skupiły uwagę na sobie.

Pojawiało się coraz więcej gości. Lucy mogła wprawdzie nadejść podczas jego rozmowy z matką i siostrą, ale w takim razie stałaby jeszcze gdzieś z boku. Ruszył więc ku miejscu, gdzie gospodarze witali nowo przybyłych. Nie obyło się bez pewnych przeszkód, bo po jego miesięcznej nieobecności w Londynie każdy miał mu coś do powiedzenia.

- Życzę panu powodzenia - mruknął w odpowiedzi lordowi Trevelstanowi, kiedy ten próbował wciągnąć go w rozmowę na temat zakupu konia, na którego nie było go stać. - Z pewnością uda się panu...

W tej właśnie chwili odebrało mu mowę. Dobry Boże, tylko nie to! Nie po raz drugi!

- Bridgerton...

Tuż przy drzwiach dostrzegł trzech mężczyzn, podstarzałą damę, dwie matrony i... ją. To była ona! Coś go do niej przyciągało z niewiarygodną mocą. Musiał tam pójść.



- Bridgerton, czy coś...

- Przepraszam pana - zdołał jedynie wydusić z siebie i niemalże odepchnął Trevelstana.

Tak, to była ona, mimo że wyglądała całkiem inaczej niż panna Watson. Właściwie wcale jej nie przypominała. A choć widział ją tylko od tyłu, doznał tego samego, wspaniałego i oszałamiającego zarazem wrażenia. Poczł zawrót głowy i jasno zrozumiał, że to właśnie ta. Jedna jedyna. Na całe życie.

Tylko że raz już coś takiego mu się przytrafiło, a Hermiona Watson bynajmniej się tą jedną jedyną nie okazała. O Boże, czy można się szaleńczo zakochać aż dwa razy z rzędu? Czy nie mówił Lucy, w jaki sposób go ogarnęło tamto przemożne uczucie? Czy mu nie uwierzyła? A jednak... To się powtórzyło. Znowu. Całkiem tak samo jak z Hermioną. Nie, gorzej! Bo teraz pragnął ruszyć gwałtownie przez całą salę, żeby tylko ją ujrzeć. Oby się odwróciła! Musi się przekonać, czy to naprawdę ta.

Nie! - mówił sobie, usiłując się uspokoić. Przecież to szaleństwo! Powinien stąd zaraz odejść! Natychmiast!

A jednak nie mógł, mimo że nakazywał to sobie rozpaczliwie. Modlił się wręcz, żeby się odwróciła.

Zrobiła to. Mój Boże! To była Lucy.

Czy rzeczywiście? Niemożliwe! Znał ją! Widział dziesiątki razy, pocałował nawet, ale nigdy nie czuł się tak jak teraz. Owszem, raz jeden. Przy Hermionie. Tylko że wtedy był kompletnie zauroczony, czuł podniecenie, pragnął podboju. Za to z Lucy...

Wszystko do niego wróciło. Wyjaśnienia, jak należałoby układać kanapki. Nieco rozdrażniona mina, z którą mu klarowała, iż zaleca się do panny Watson w niewłaściwy sposób. Chwile spędzone z nią na ławce w Hyde Parku, kiedy czuł się tak dobrze, rzucając okruchy gołębiom. No i pocałunek. Och, ten pocałunek! Wciąż wracał do niego w marzeniach. Zrobił krok naprzód. Tylko jeden, tak by mógł jej się lepiej przyjrzeć z profilu, choć znał go doskonale. To przechylenie głowy, sposób, w jaki poruszała wargami, gdy mówiła. Jak mógł jej natychmiast nie rozpoznać, nawet z tyłu? Przecież wszystko to pamiętał. Nie chciał się tylko do tego przyznać przed sobą.

A teraz widział ją. I Lucy widziała jego. Poznał to po jej oczach, które rozszerzyły się i rozbłysły, po ruchu ust, kiedy się uśmiechnęła do niego. Ten jeden uśmiech mu wystarczył.

Podszedł ku niej, ledwie zdając sobie z tego sprawę, jakby stracił kontrolę nad własnym ciałem. Po prostu szedł i szedł z narastającą wewnątrz niego świadomością, że musi ją zdobyć.

- Lucy - powiedział, kiedy znalazł się tuż przy niej. Nie dbał o to, że widzi ją wśród zupełnie obcych ludzi, może nawet jej przyjaciół. Ani że nie powinien zwracać się do niej poufale, po imieniu. Po prostu nie był w stanie postąpić inaczej.

- Panie Bridgerton - odezwała się, ale jej oczy mówiły „Gregory”.

I wtedy już wiedział, że ją kocha.

Co za przedziwne i najwspanialsze w świecie uczucie! Cały promieniał, jakby w tej chwili otworzył się nagle przed nim jakiś nowy świat. Zrozumiał wszystko, co zrozumieć należało, a co widniało w jej oczach.

- Panno Lucindo - rzekł, nachylając się nad jej dłonią. - Czy mogę panią prosić do tańca?

## Rozdział 17

*w którym siostra naszego bohatera pociąga za wszystkie sznurki.*

**C**zuł się jak w niebie.

Nieważne, że nie było tu aniołów, świętego Piotra ani gry na harfach. Tańczył w objęciach ukochanej, i to właśnie było niebiańskim szczęściem. Jeśli zaś owa ukochana miała za niecały tydzień poślubić kogoś innego, należało się tym szczęściem cieszyć ze wszystkich sił.

Lucy uśmiechała się podczas tańca. Ładne rzeczy. Co ludzie powiedzą, jeżeli go teraz obejmie rękami i już nigdy nie wypuści? Większość uzna zapewne, że zwariowała. Nieliczni - że się zakochała. A ci najbystrzejsi przypiszą jej jedno i drugie.

- O czym pani teraz myśli?

Obracała się to w przód, to w tył i czuła, że wypełnia ją odwaga.

- Koniecznie chce pan wiedzieć?

Obszedł ją wokoło, jak nakazywała figura taneczna, i powrócił na swoje miejsce.

- Koniecznie - odparł z uśmiechem.

Lecz ona tylko pokręciła głową. Chciała udawać kogoś innego, trochę mniej spętaną konwencjami osobę, dużo bardziej impulsywną. Nie miała ochoty dłużej być starą, ząną Lucy. Nie tego wieczoru. Miała po dziurki w nosie planowania wszystkiego z góry, potulności, przewidywania konsekwencji każdego kroku.

Jeśli zrobię to, zdarzy się tamto, a jeśli tamto, nastąpi to i owo. A jeśli stanie się coś innego, to wyniknie z tego coś zupełnie nowego, co będzie oznaczało, że... Już dostawała bólu głowy, czuła się jak sparaliżowana i niezdolna do pokierowania własnym życiem.

Tej nocy miało być inaczej! Dzięki księżnej Hastings albo może owdowiałej lady Bridgerton - Lucy nie miała pewności - bawiła się, we wspaniałej sukni z zielonego jedwabiu, na najcudowniejszym balu, jaki mogła sobie wymarzyć. W dodatku tańczyła z mężczyzną, którego - tego akurat była pewna - będzie kochać do końca życia.

- Wygląda pani dziś zupełnie inaczej.

- I czuję się inaczej.

Ujęła jego rękę, gdy oboje przechodzili obok siebie podczas jednej z figur. Ścisnął mocno jej dłoń, chociaż powinien jej ledwie dotknąć. Spojrzała na niego i spostrzegła, że uważnie się jej przygląda, patrząc na nią ciepło i intensywnie. Tak samo jak... O Boże. Jak niegdyś na Hermionę.

Poczuła mrowienie w całym ciele, nawet w tych miejscach, o których nie ośmielała się myśleć. Znowu przeszli obok siebie w tańcu,

lecz tym razem Gregory się ku niej nachylił, bardziej może niż należało, i powiedział:

- Ja też.

Odchyliła gwałtownie głowę w tył, ale on już wykonał obrót, tak że stał teraz tyłem do niej. Na czym polegała ta różnica? Co miał na myśli?

Okrażyła innego tancerza po swojej lewej stronie i zbliżyła się do Gregory'ego.

- Jest pani zadowolona z balu? - szepnął.

Skinęła tylko głową, bo była zbyt daleko od niego, by mu odpowiedzieć półgłosem. Kiedy jednak znów znaleźli się obok siebie, usłyszała:

- Bo ja tak.

Powrócili na swoje poprzednie miejsca i stanęli bez ruchu. Inne pary ustawiały się właśnie rzędem. Lucy spojrzała na Gregory'ego. W oczy, które nieustannie się w nią wpatrywały.

Nawet w migotliwym świetle świec mogła dostrzec ich blask. Spoglądały na nią zaborczo i chłodno. Przeszedł ją dreszcz i ledwie utrzymała się na nogach.

Muzyka przestała grać i Lucy zrozumiała, że pewne rzeczy ma po prostu we krwi - skłoniła się z uśmiechem przed kobietą stojącą tuż koło niej, robiąc to w taki sposób, jakby całe jej życie nie uległo najmniejszej zmianie podczas tego tańca.

Gregory ujął ją za rękę i odprowadził na bok, gdzie przyzwoitki pilnie obserwowały podopieczne spoza szklanek z lemoniadą. Nim tam dotarli, nachylił się i szepnął jej do ucha:

- Muszę z panią pomówić. Na osobności.

Poczuła, że zwolnił kroku - zapewne po to, żeby mogli sobie powiedzieć coś więcej, nim Lucy powróci do ciotki Harriet.

- O co chodzi? Czy coś się stało?

- Nie.

Miała trochę nadziei. Niewiele, jeśli była w błędzie, trudno by jej było się po tym pozbierać. Ale... może on ją kocha? Może chciałby się z nią ożenić? Ślub Lucy miał się wprawdzie odbyć za tydzień, lecz nie dano jeszcze na zapowiedzi.

Może był jeszcze choćby cień szansy.

Spojrzała na niego, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej, ale Gregory tylko pokręcił głową i powiedział jedynie:

- W bibliotece. Trzecie drzwi za gotownią dla dam. Proszę się tam ze mną spotkać za pół godziny.

- Czy pan oszalał?

- Tylko trochę.

- Gregory, ja...

Uciszył ją, patrząc na nią w taki sposób, że zapało jej dech.

- Nie mogę zrobić czegoś podobnego - odparła, również szepem, bo niezależnie od tego, co prawdopodobnie do siebie czuli, miała przecież narzeczonego. A gdyby nawet było inaczej, takie spotkanie mogło się zakończyć skandalem.

- Nie mogę przebywać z panem sam na sam. Przecież pan wie.

- Musi pani.

Chciała zaprotestować, ale nic z tego nie wyszło.

- Lucy - powtórzył - musi pani.

Zgodziła się, robiąc zapewne największy błąd w życiu, ale nie potrafiła powiedzieć: „Nie”.

- Pani Abernathy - Gregory zwrócił się głośno do ciotki Harriet - oddaję pannę Lucindę pod pani opiekę.

Ciotka przytaknęła bez słowa. Lucy podejrzewała, że nie miała najmniejszego pojęcia, co do niej powiedziano, bo zawołała ku podopiecznej donośnie:

- Posiedzę tu sobie!

- Muszę zatańczyć z innymi paniami - wyjaśnił z uśmiechem.

- Oczywiście - przyznała, mimo że nie miała żadnego doświadczenia w planowaniu potajemnych spotkań. - Widzę jedną ze znajomych - skłamała. Potem zaś, ku swojej wielkiej uldze, naprawdę zobaczyła koleżankę ze szkoły, chociaż nie była to wcale bliska przyjaciółka.

Nim jednak zdołała się do niej zbliżyć, usłyszała kobiecy głos wzywający Gregory'ego po imieniu. Nie wiedziała wprawdzie, kto to, ale Gregory przymknął na moment oczy ze zbolaną miną.

- Gregory!

Głos odezwał się teraz gdzieś bliżej, po lewej. Lucy ujrzała dziewczynę, która mogła być jedynie jego siostrą. Zapewne tą najmłodszą.

- Czy to może panna Lucinda? - spytała nowo przybyła. Miała włosy dokładnie tego samego koloru co brat, ciepłe i orzechowe, ale jej oczy były niebieskie, o ostrym, przenikliwym spojrzeniu.

- Panno Lucindo - Gregory mówił jak ktoś, komu przypadł w udziale wyjątkowo niewdzięczny obowiązek - pozwoli pani, że jej przedstawię moją siostrę, lady St. Clair.

- Mam na imię Hiacynta! - powiedziała kobieta z naciskiem. - Nie bawmy się w formalności. Z pewnością zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami. Musi mi pani wszystko o sobie opowiedzieć. No i o party u Anthony'ego i Kate. Ja także chciałam tam pojechać, ale coś mi przeszkodziło. Słyszałam, że doskonale się udało.

Przerażona tą obcesowością, Lucy spojrzała na Gregory'ego.

- To właśnie ta siostra, której lubię dokuczać - bąknął.

- Coś ty powiedział?! Gregory złożył Lucy ukłon.

- Muszę już iść.

A potem Hiacynta Bridgerton St. Clair zrobiła coś bardzo dziwnego. Trzykrotnie powiodła wzrokiem od brata do Lucy i z powrotem. Następnie oznajmiła:

- Potrzebujesz mojej pomocy.

- Hiacynto...

- Dobrze o tym wiesz! - Ucięła. - Planujesz coś, nie udawaj!

Lucy nie rozumiała, jak Hiacynta mogła się tego domyślić z jednego jedyne go ukłonu i słów: „Muszę już iść”. Miała o to spytać, lecz Gregory spojrział na nią ostrzegawczo,



- Wiedziałam, że coś kombinujesz - mruknęła siostra - w przeciwnym razie nie zależałoby ci tak bardzo na tym, by zaproszono pannę Abernathy.

- Ależ to po prostu przysługa - usiłowała go usprawiedliwić Lucy.

- Proszę nie udawać głupiej - Hiacynta poufale klepnęła Lucy po ramieniu. - Nie wstawiłby się za panią, gdyby nie chodziło o więcej niż przyjemność.

- Skądże! - próbowała protestować Lucy. Może Gregory nie był aniołem, ale miał szczere, zacne serce, na pewno nie zgodzi się z nikim, kto twierdzi, że jest inaczej.

Hiacynta spojrzała na nią z aprobatą.

- Pani mi się podoba - wycedziła, jakby właśnie w tejże chwili doszła do takiego wniosku. - Nie ma pani racji, rzecz jasna, ale i tak panią polubiłam. Lubię ją - rzuciła w stronę brata.

- Już raz to powiedziałaś.

- A ty potrzebujesz mojej pomocy.

Brat i siostra wymienili spojrzenia, których Lucy nie rozumiała.

- Będziesz jej potrzebował - rzekła półgłosem Hiacynta - i dzisiejszej nocy, i później.

Gregory najpierw długo mierzył wzrokiem siostrę, a potem powiedział tak cicho, że Lucy musiała mocno wyteńczyć słuch, żeby dotarło do niej znaczenie tych słów:

- Muszę pomówić z panną Lucindą. Na osobności. Hiacynta uśmiechnęła się dyskretnie.

- Mogę się tym zająć.

Nagle Lucy zaczęło się wydawać, że siostra Gregory'ego potrafi wszystko.

- Kiedy? - spytała Hiacynta.

- Najszybciej jak się da.

Hiacynta rozejrzała się po sali, choć Lucy nie potrafiła sobie wyobrazić, w czym jej to mogło pomóc.

- Za godzinę - orzekła z precyzją. - Gregory, idź stąd teraz i zachowuj się, jakby nigdy nic. Tańcz. Pij lemoniadę. Pokaż się siostronom Whitford, których rodzice od dawna mają cię na oku. A pani - ciągnęła, przyglądając się bacznie Lucy - powinna zostać tutaj. Przedstawię panią każdemu, kogo winna pani poznać.

- To znaczy komu?

- Nie wiem. W gruncie rzeczy nieważne. Lucy patrzyła na nią oszołomiona.

- Dokładnie za pięćdziesiąt pięć minut panna Hiacynta rozedrze pani suknię.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Jestem dobra w tych rzeczach.

- Chcesz podrzeć jej suknię? - spytał z powątpiewaniem Gregory. - Tutaj, na sali balowej?

- Nie martw się o szczegóły - zbyła go Hiacynta lekceważąco.

- Idź i rób, co mówiłam. Spotkasz się z nią w garderobie Daphne za godzinę.

- W garderobie księżnej?! - spytała nieswoim głosem Lucy.

- Dla nas to Daphne - wyjaśniła Hiacynta. - No, do dzieła! Lucy się zdumiała. Przecież miała zostać przy niej.

- Myślałam o nim - przypomniała młoda kobieta.

A wtedy Gregory zrobił coś zdumiewającego. Ujął Lucy za dłoń - na środku sali balowej, gdzie każdy mógł to zobaczyć - i ucałował ją.

- Oddaję cię w dobre ręce - rzekł i się wycofał, spoglądając ostrzegawczo na siostrę. - Trudno w to co prawda uwierzyć.

Odszedł, pewnie, by uwodzić jakąś Bogu ducha winną kobietę, która nie miała pojęcia, że jest tylko pionkiem w mistrzowskiej intrydze jego siostry.

Lucy spojrzała na nią nieco wystraszona. Hiacynta uśmiechnęła się do niej promiennie.

- Doskonale mu to wyszło - stwierdziła, chociaż Lucy odniosła wrażenie, że dziewczyna gratuluje raczej samej sobie. - A teraz - ciągnęła - proszę mi wyjaśnić, dlaczego mój brat chce się z panią widzieć bez świadków. Tylko proszę mi nie wmawiać, że pani nie wie, bo i tak nie uwierzę.

Lucy rozpatrzyła w myśli kilka wariantów odpowiedzi i w końcu zdecydowała się na: „Nie mam pojęcia”. W końcu była to najzupełniejsza prawda. Przecież nie mogła zdradzać się ze swoimi nadziejami przed kobietą, którą poznała ledwie kilka minut wcześniej, niezależnie od tego, czyją była siostrą.

Poczuła się dzięki temu jak ktoś, komu udało się zyskać dodatkowy punkt w jakiejś grze.

- Naprawdę? - Hiacynta spojrzała na nią podejrzliwie.

- Naprawdę.

Siostra Gregory'ego nie wyglądała na całkiem przekonaną.

- Muszę w takim razie przyznać, że jest pani sprytna. Lucy postanowiła sobie, że nie będzie od niej gorsza.

- Sądziłam, że nikt nie jest zręczniejszy ode mnie, ale pani jest chyba jeszcze lepsza - powiedziała zuchwale.

Hiacynta wybuchnęła śmiechem.

- Och, widzę, że będziemy ze sobą dobrze żyły. Objęła ją ramieniem. Jak siostra.

Godzinę później Lucy pojęła, że Hiacynta zna każdego i wie wszystko o wszystkich. No i że może jej mnóstwo powiedzieć o swoim bracie. Nim opuściła salę balową, dowiedziała się, jaki jest jego ulubiony kolor (niebieski) i co najbardziej lubi jeść (ser, każdego rodzaju) oraz że w dzieciństwie seplenił.

Zrozumiała również, że nie doceniła sprytu najmłodszej siostry Gregory'ego. Hiacynta nie tylko zdołała podrzeć jej suknię, lecz zrobiła to tak zręcznie, że aż cztery osoby zdołały zauważyć fatalny incydent i stwierdzić konieczność reperacji stroju. W dodatku dotyczyło to tylko obróbka, skutkiem czego nie ucierpiała reputacja Lucy, co było naprawdę imponujące.

- Już tak wcześniej robiłam - zwierzyła się jej Hiacynta, wyprowadzając Lucy z sali. Nie zaskoczyło jej to wyznanie.

- Taki talent jest pożyteczny - dodała siostra Gregory'ego, najwyraźniej całkiem serio. - Tędy!

Lucy poszła w ślad za nią ku tylnym schodom.

- Kobiety, które chcą coś znaczyć w towarzystwie, mają do dyspozycji tylko kilka wybiegów - ciągnęła Hiacynta, uparcie trzymając się tego tematu - więc wolno im się posługiwać każdą bronią. O, już jesteśmy na miejscu. - Pchnęła drzwi i zajrzała do środka. - Jeszcze nie przyszedł, to dobrze. Zyskałam w ten sposób trochę czasu.

- Po co?

- Żeby zszyć suknię. Przyznam, że nie wzięłam tego szczegółu pod uwagę, układając plan. Wiem jednak, gdzie Daphne trzyma igły. O, tutaj! - Uśmiechnęła się triumfalnie. - Jak a lubię, kiedy się okazuje, że miałam rację! To bardzo ułatwia życie, prawda?

Lucy przytaknęła, ale intrygowało ją co innego. Zdobyła się na odwagę.

- Dlaczego mi pani pomaga?

Hiacynta spojrzała na nią jak na ostatnią idiotkę.

- Przecież nie może tam pani wrócić w podartej sukni, skoro przekonaliśmy wszystkich, że idziemy ją zaszyć.

- Nie te nici.

- Och! - Siostra Gregory'ego przypatrywała się uważnie igłom.

- Ta będzie dobra. Jaki kolor mam wziąć?

- Białą. Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Hiacynta nawlekała igłę.

- Bo panią lubię. I mojego brata też.

- Czy wie pani, że mam wkrótce wyjść za mąż?

- Wiem. - Ukłękła przy niej i zaczęła szyć wielkimi, niezdarnymi ściegami.

- Za tydzień. Nawet trochę prędeej.

- Wiem. Dostałam zaproszenie.

- Naprawdę? - Lucy uznała, że powinna była o tym wiedzieć.

- A czy zamierza pani przybyć na uroczystość?

Hiacynta spojrzała ku górze.

- No, a pani?

Aż dotąd myśl, żeby nie wychodzić za Haselby'ego, była tylko nieśmiałym marzeniem, ale teraz, gdy Hiacynta przyglądała się jej uważnie, przybrało ono na sile. Oczywiście, to rzecz nie do pomyślenia, żeby zerwać zaręczyny, ale w końcu... czy rzeczywiście?

- Podpisano już wszystkie dokumenty - szepnęła. Siostra Gregory'ego powróciła do szycia.

- Na pewno?

- Mój stryj go wybrał - Lucy nie wiedziała, kogo właściwie chce przekonać. - Bardzo dawno temu.

- Hm...

Co, u licha, mogło znaczyć to „hm”?

- A on nie... pani brat nie... - Lucy walczyła ze słowami, rozpaczliwie zmieszana tym, że mówi takie rzeczy niemal obcej osobie. Tymczasem Hiacynta milczała. Klęczała przy niej z oczami utkwionymi w igłę i nie odzywała się, co skłaniało do zwierzeń.

- Niczego mi nie przyrzekał. - Głos Lucy niemal zadrżał przy tych słowach. - Ani nie obiecywał.

Hiacynta uniosła wzrok znad sukni. Rozejrzała się po pokoju, jakby chciała powiedzieć: „Patrz, siedzimy tu sobie w sypialni księżnej Hastings i zaszywamy twoją balową toaletę”, lecz mruknęła jedynie:

- Ach, tak?

Lucy, zrozpaczona, zamknęła oczy. Nie była podobna do Hiacynty St. Clair. Wystarczyło spędzić kwadrans w towarzystwie siostry Gregory'ego, by wiedzieć, że odważy się na wszystko i nie cofnie przed niczym. Ze będzie walczyć o swoje szczęście. Podepcze zwyczaje, rzuci wyzwanie wszelkiej krytyce. I zwycięży.

Lucy nie była kimś tego rodzaju. Nie dawała się ponieść namiętnościom, zawsze kierował nią rozsądek. Czy nie mówiła Hermionie, że powinna poślubić mężczyznę, którego zaakceptowałiby rodzice? Czy nie mówiła Gregory'emu, że wcale nie tęskni do porywów uczuć? Zawsze była posłuszna. Kiedy guwernantka kazała jej kolorować obrazki, nigdy nie wychodziła poza nakreślony kontur.

- Nie potrafię tego zmienić - szepnęła.

Siostra Gregory'ego wpatrywała się w nią przez bardzo długą chwilę, ale w końcu wróciła do szycia.

- Niewłaściwie panią oceniłam - mruknęła. Lucy poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

- Co... co pani mówi? - spytała, choć wcale nie chciała usłyszeć odpowiedzi. Hiacynta spojrzała tylko z irytacją i upomniała ją:

- Proszę stać spokojnie!

- Przepraszam - wybąkała Lucy. A w duchu dodała: „Och, jaka ja jestem pozbawiona wyobraźni i konwencjonalna!”

- Ciągłe się pani rusza.

Boże święty! Chyba wszystko robi dziś nie tak, jak należy.

Siostra Gregory'ego dźgnęła ją igłą.

- Znowu się pani ruszyła!

- Nie! - Lucy omal nie wrzasnęła. Hiacynta uśmiechnęła się pod nosem.

- Teraz już lepiej.

- Krwawie? - spytała Lucy, patrząc w dół.

- Jeśli nawet - Hiacynta zerwała się na nogi - to tylko pani wina.

- Bardzo mi przykro.

Lecz niesforna dziewczyna stała już, uśmiechając się z zadowoleniem.

- Gotowe! - oznajmiła. - Z pewnością nie za dobrze, ale ujdzie. Lucy uklękła i przyjrzała się obrąbkowi. Hiacynta nie powinna być tak zadowolona z siebie. Szew wyglądał okropnie.

- Nigdy nie miałam talentu do szycia. - Wzruszyła ramionami. Lucy wstała z klęczek, walcząc z chęcią sprucia natychmiast wszystkiego i zszycia na nowo.

- Szkoda, że wcześniej tego nie wiedziałam. Towarzyszka uśmiechnęła się ironicznie.

- No, no. Nagle zrobiła się pani drażliwa?

A wtedy Lucy zadziwiła siebie samą, mówiąc:

- Powinna się pani wstydić.



- Być może. - Hiacynta nie przejęła się za bardzo krytyką.

Spojrzała ku drzwiom rozbawiona.

- Powinien już tu być.

Serce załomotało Lucy w piersi.

- Nadal zamierza mi pani pomagać? Dziewczyna odwróciła się ku niej.

- Coś mi się zdaje - odparła zimno, mierząc ją wzrokiem - że niewłaściwie się pani ocenia.

Gregory zjawił się dziesięć minut później, niż obiecał. Nic na to nie mógł poradzić - tańcząc z jedną młodą damą, zrozumiał, że będzie również musiał wyświadczyć tę uprzejmość co najmniej kilku następnym.

Z największym trudem mógł się skoncentrować na rozmowach z nimi. Myślał tylko o czekającym go spotkaniu. Mimo to Lucy i Hiacynta dawno już znikły z sali, gdy jemu wreszcie udało się wyslizgnąć za drzwi. Zamierzał wprawdzie znaleźć jakiś sposób, by Lucy została jego żoną, ale nie zamierzał wywoływać w tym celu skandalu.

Trafił bez trudu do sypialni siostry - znał Hastings House jak własną kieszeń - i wszedł tam bez pukania. Dobrze naoliwione drzwi otworzyły się bez szmeru.

- Gregory!

Hiacynta odezwała się pierwsza. Stała tuż przy Lucy, która wyglądała na dotkniętą do żywego. Co też to półdiable jej zrobiło?

- Czy coś się stało?

- Nic takiego.

Spojrzał na siostrę groźnie. Wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Będę w przyległym pokoju.

- Żeby podsłuchiwać pod drzwiami?

- Poczekam w gabinecie Daphne, tuż za ścianą. Nie protestuj, nie mogę ulokować się zbyt daleko. Gdyby ktoś nagle nadszedł, będziesz mnie potrzebował, żeby wszystko wyglądało przyzwoicie.

Gregory musiał przyznać, że miała sporo racji, więc tylko popatrzył w ślad za nią, kiedy zamykała drzwi.

- Czy potraktowała cię nieuprzejmie? Potrafi zachować się nieznośnie, ale z gruntu jest dobrą dziewczyną.

- Chyba wyraziła całkiem słuszną opinię. Spojrzał na nią pytająco.

- Co takiego pragnął mi pan powiedzieć? - ciągnęła, otrząsając się z przygnębienia.

- Lucy... - Zająknął się i urwał, nie wiedząc, od czego zacząć, mimo że wcześniej, gdy tańczyli, ułożył sobie całą przemowę. Chociaż nie, wiedział, tylko nie mógł się zdobyć na odpowiedni ton ani zachować należytej kolejności. Czy miał jej wyznać miłość? Kobiecie, która, zamierzała wkrótce wyjść za innego? Może lepiej byłoby wyjaśnić przedtem, dlaczego nie powinna poślubić Haselby'ego?

Miesiąc wcześniej, kiedy jeszcze romantyczne porywy wydawały mu się czymś właściwym, nie miałby takich wątpliwości. Powiedziałby, że ją kocha, pewien przychylności. Ująłby ją za rękę,

padł przed Lucy na kolana i ucałował jej dłoń. Teraz już tej pewności nie miał. Ufał Lucy, ale nie ufał losowi.

- Nie może pani wyjść za Haselby'ego.

- Co pan mówi? - spytała ze zdumieniem.

- Nie może pani - powtórzył, unikając odpowiedzi na jej pytanie.

- Byłaby to katastrofa. Proszę mi wierzyć. Nie wolno pani tego robić.

- Po co mi pan to mówi?

Bo sam jej pragnie, nieprawdaż?

- Bo... bo... Nie umiał znaleźć właściwych słów. - Bo się z panią zaprzyjaźniłem i zależy mi na pani szczęściu. Haselby nie jest odpowiednim mężczyzną dla pani.

- Ale dlaczego?! - Głos Lucy stał się niski, głuchy, zdumiewająco niepodobny do jej zwykłego tonu.

- Bo on... Dobry Boże! Jak jej to wytłumaczyć? Czy rozumie, o co chodzi?

- On nie powinien... - Zaczęło go dławić w gardle. Nie sposób było tego wyrazić oględnie. - Nie powinien... Niektórzy...

Spojrzał na nią i spostrzegł, że zaczęła jej drgać dolna warga.

- On woli mężczyzn! - Wyrzucił z siebie to zdanie tak prędko, jak tylko mógł. - Od kobiet. Istnieje wielu dżentelmenów takich jak on.

A potem długo czekał. Lucy zamarła bez ruchu, od czasu do czasu mrugała tylko powiekami. Aż wreszcie...

- Dlaczego? Nie zrozumiał jej.

- Dlaczego... on jest taki? - spytał.

- Nie... - ciągnęła z wysiłkiem. - Dlaczego dowiaduję się tego właśnie od pana?

- Już powiedziałem...

- Nie, pan tego nie zrobił z życzliwości. Już raczej z okrucieństwa, żebym poczuła się tak samo jak pan, bo Hermiona wyszła za mojego brata, a nie za pana.

- Nie! - wybuchnął gwałtownie i chwycił ją kurczowo za ramiona. - Nie, Lucy! Nigdy w życiu! Chcę, żeby była pani szczęśliwa. Pragnę...

Pragnął jej i nie wiedział, jak to powiedzieć. Nie mógł tego zrobić teraz, gdy patrzyła na niego, jakby złamał jej serce.

- Mogłabym być z nim szczęśliwa.

- To niemożliwe. Pani nie rozumie, że...

- Właśnie, że rozumiem! Może bym go nie potrafiła kochać, ale mogłabym być szczęśliwa. I spodziewałam się tego, liczyłam na to. A pan... pan... - Wyswobodziła się z jego objęć i odwróciła, żeby nie widział jej twarzy. - Zniszczył pan wszystko.

- W jaki sposób?

Spojrzała na niego tak, że zaparło mu dech.

- Sprawiając, że pana zapragnęłam.

- Lucy... - wyjąkał, bo nie był w stanie powiedzieć nic innego. - Lucy...

- Co ja teraz pocznę?!

- Pocałuj mnie. - Ujął jej twarz w obie dłonie. - Po prostu. Tym razem pocałunek był całkiem inny. Trzymał co prawda w ramionach

tę samą kobietę, lecz sam stał się kimś innym. Kochał ją z całego serca. Najszczerzej i najgłębiej. Żarliwie szeptał jej imię jak litanie:

- Lucy, Lucy, Lucy...

Pragnął jej jak powietrza. Jak wody. Powiódł ustami po jej szyi, aż po koronkowy rąbek gorsetu. Gdy zsunął jej suknię z ramienia, jęknęła, ale go nie powstrzymywała.

- Gregory - wyszeptała, zagłębiając kurczowo palce w jego włosach, kiedy wargi ukochanego powędrowały wzdłuż jej gorsu. - Gregory. Och, mój Gregory!

Jej ciało połyskiwało jasno w świetle świec. Poczucił się nagle silny, zaborczy, władczy. Żaden mężczyzna przed nim nie widział jej jeszcze w takim stanie i, miał nadzieję, nie ujrzy.

- Nie możesz go poślubić, Lucy - wyszeptał z ustami tuż przy jej skórze.

- Przestań-jęknęła.

- Nie możesz. - A potem, pewny, że na to nie pozwoli, wyprostował się i pocałował Lucy po raz ostatni, zmuszając, żeby spojrzała mu w oczy.

- Nie możesz - powiedział jeszcze raz.

- Nie mogę na to...

Chwycił ją za ramiona. Z całej siły. Bardzo mocno.

- Kocham cię. Zaniemówiła.

- Kocham cię! - powtórzył.

Miała nadzieję, podejrzewała, że tak może być, ale nie pozwalała sobie w to uwierzyć. A kiedy już była w stanie mu odpowiedzieć, spytała jedynie:

- Naprawdę?

- Z całego serca. Dopiero teraz zrozumiałem, że tak właśnie jest.

Co za głupiec ze mnie. Byłem ślepy. Byłem...

- Nie - przerwała mu. - Nie urągaj sobie niepotrzebnie. Nikt na mnie nigdy nie zwracał uwagi, gdy Hermiona stała tuż obok.

Objął ją jeszcze mocniej.

- Nie dorównuje ci w niczym.

Poczuła miłe ciepło w całym ciele. Nie pożądanie czy namiętność. Po prostu czyste, niczym niezmaćcone szczęście.

- Niemożliwe... - szepnęła.

- Gotów jestem ważyć się na wszystko, byle tylko udaremnić twoje małżeństwo z Haselbym.

Zbladła.

- Lucy...

Nie. Musi wyjść za wicehrabiego. W gruncie rzeczy to niemal zabawne. Przez trzy lata wbijała w głowę Hermionie, że powinna myśleć trzeźwo i być posłuszna. Śmieszyło ją, że przyjaciółka daje się ponosić uczuciom i słyszy wówczas muzykę. A teraz...

Odetchnęła pełną piersią, głęboko. Zerwie te zaręczyny, od lat uzgodnione z hrabiowskim synem. Na pięć dni przed ślubem. Dobry Boże, co za skandal!

Uniosła podbródek, tak by mogła ujrzeć twarz Gregory'ego.  
Patrzył na nią dokładnie z tą samą miłością, co ona na niego.

- Kocham cię - wyszeptała, bo jeszcze mu tego nie powiedziała.  
-Ja też cię kocham.

Przez chwilę nie mogła myśleć o niczym innym. Nie odrzuci tego, co dostała w darze od losu. Zrobi, co sama uzna za najlepsze. Zapewni sobie szczęście, weźmie własny los w swoje ręce, nie będzie zważać na oczekiwania innych, tylko na swoje pragnienia. Najwyższy czas.

Ścisnęła Gregory'ego mocno za rękę i uśmiechnęła się - radośnie, ufnie, z nadzieją. Ze świadomością, że zdoła spełnić swoje marzenia. Będzie to trudne, a nawet przerażające, ale warte wysiłku.

- Pomówię ze stryjem - oświadczyła stanowczo. - Jutro. Gregory pocałował ją jeszcze raz.

- Czy mam ci towarzyszyć? - spytał. - Żebym mógł upewnić go o moich zamiarach?

Ta nowa, śmiała i odważna Lucy zapytała go:

- A jakie one są?

Zaskoczyło go to pytanie, lecz szybko ujął ją za rękę. Lucy wiedziała, co zaraz zrobi, nim jeszcze to ujrzała na własne oczy. Ukląkł na jedno kolano i spojrział na nią tak, jakby od początku świata nie istniała żadna piękniejsza kobieta. Zasłoniła usta drżącą dłonią.

- Panno Lucindo Abernathy, czy zechce mi pani uczynić zaszczyt zostania moją żoną?

Usiłowała coś powiedzieć albo chociaż kiwnąć głową.

- Wyjdź za mnie, Lucy.

Tym razem zdobyła się na odpowiedź.

- Tak.

A potem powtórzyła:

- Och, tak, tak!

- Będiesz szczęśliwa ze mną - powiedział, podnosząc się z klęczek. - Obiecuję.

- Nie musisz tego robić.

Chciał dodać coś jeszcze, ale urwał. Rozległo się ciche stukanie do drzwi. Hiacynta!

- Chodźmy już. Moja siostra odprowadzi cię do sali balowej. Ja zjawię się tam później.

Lucy poprawiła na sobie pospiesznie suknię.

- Moje włosy! - jęknęła.

- Przecież są cudowne - zapewnił ją. - Wyglądasz nieskazitelnie.

- Jesteś pewien? - spytała, uchylając drzwi. Hiacynta wbiegła do pokoju.

- O Boże, jak wy się grzebiecie! Musimy wracać. W tej chwili.

Przy wyjściu zatrzymała się i przyjrzała uważnie obydwójgu, po czym uniosła pytająco brwi.

Lucy wyprostowała się energicznie.

- Niewłaściwie mnie pani oceniła.

Hiacynta najpierw zrobiła wielkie oczy, a później uśmiechnęła się cierpko.

- To dobrze.



A wtedy Lucy zrozumiała, że właśnie tak jest. Dobrze.

## **Rozdział 18**

*w którym nasza bohaterka dowiaduje się strasznych rzeczy.*

**N**a pewno mogła to zrobić.

Stała i stała bez ruchu przed drzwiami gabinetu stryja, z uniesioną dłonią i zgiętym palcem. Chciała w nie zastukać, lecz nie mogła się na to zdobyć.

Jak długo tu była? Pięć minut? Dziesięć? Czyżby stchórzyła? Niemożliwe. W szkole uchodziła za osobę trzeźwą i rzeczową. Wiedziała, jak się zachowywać. Nie była nieśmiała ani bojaźliwa.

Ale gdy chodziło o stryja...

Westchnęła. Zawsze to samo. Stryj Robert był wiecznie oschły i ponury, jakże niepodobny do jej pogodnego, roześmianego ojca. Kiedy posłano ją do szkoły, poczuła się niby ptak wypuszczony z klatki, ale po powrocie znów stała się osamotniona.

Tym razem zachowa się inaczej. Będzie jej musiał wysłuchać.

Uniosła dłoń. Zastukała. Czekala.

- Proszę wejść!

- Stryju - zaczęła tuż po wejściu. W gabinecie panował mrok, mimo że światło późnego popołudnia wpadało ukosem przez okna.

- O co znów chodzi, Lucindo? - Stryj ledwie na nią spojrział i od razu zagłębił się ponownie w swoich papierach.

- Muszę z tobą pomówić.

Napisał coś na marginesie, spojrzął gniewnie na notatkę i osuszył ją bibułą.

- Mów.

Lucy odkaszlnęła. Dużo łatwiej przyszedłoby jej zacząć rozmowę, gdyby na nią spojrzął. Nie cierpiała mówić do czubka jego głowy. Nienawidziła tego.

- Stryju Robercie - powtórzyła. Mruknął tylko coś i pisał dalej.

- Stryju Robercie...

Dostrzegła, że pisze coraz wolniej, a potem wreszcie przenosi wzrok na nią.

- O co chodzi? - spytał z wyraźną irytacją.

- Musimy pomówić. O lordzie Haselbym.

- Czy coś się stało? - wycedził.

- Nie.

Zawsze odpowiadała w taki właśnie sposób, bo jej to wpojono. Oczywiście, że nic się nie stało. Nie przejmuj się tym, czego chcę, bo to nieważne. Nie martw się z mojego powodu...

- Lucindo! - Głos stryja zabrzmiał ostro, niemal zgrzytliwie.

- Nie - powiedziała, tym razem głośniej, jakby chciała dodać sobie odwagi. - To znaczy... Owszem, stało się coś i właśnie o tym chcę z tobą mówić.

Spojrzął na nią ze znużeniem.

- Stryju Robercie - zaczęła znowu, czując się tak, jakby brnęła przez kolczaste zarośla - czy nie wiedziałeś, że... - Przygryzła wargę, odwracając wzrok od jego twarzy. - Czy byłeś świadomy, że...

- Wyduś to wreszcie z siebie! - warknął.

- Lord Haselby nie lubi kobiet.

Przez chwilę stryj wpatrywał się w nią. A potem zaniósł się śmiechem.

- Stryju... - Jej serce zaczęło bić o wiele szybciej niż zwykle. - Wiedziałaś o tym?

- Oczywiście! - parsknął. - A jak myślisz, dlaczego jego ojcu tak zależało, żeby ożenić go właśnie z tobą? Bo wie, że będziesz siedzieć cicho!

Dlaczego miałaby siedzieć cicho?

- Powinnaś mi być wdzięczna - wychrypiał. - Połowa mężczyzn z towarzystwa to brutale. Obiecałem cię takiemu, który nie zrobi ci krzywdy.

- Ależ...

- Czy zdajesz sobie sprawę, ile kobiet marzyłoby, żeby się znaleźć na twoim miejscu?

- Chodzi mi o co innego...

- O co?

Lucy stała w milczeniu. Nagle zrozumiała, że musi się mu przeciwstawić - czego nigdy dotąd nie zrobiła - właśnie teraz, w tej chwili, bo w przeciwnym razie nigdy się na to nie zdobędzie.

Przełknęła z wysiłkiem ślinę i oświadczyła:

- Nie chcę wyjść za lorda Haselby'ego.

Stryj spiorunował ją wzrokiem. Ale nie zrobiło to na niej wrażenia. Czowała, że rośnie w niej jakaś dziwna, nieznana przedtem

siła. Nie cofnie się. Nie dziś, kiedy w grę wchodzi całe jej przyszłe życie.

Stryj zaciskał coraz mocniej wargi, chociaż poza tym jego twarz była nieruchoma, jak wykuta z kamienia. Wreszcie, gdy Lucy czuła już, że ta cisza weźmie nad nią górę, spytał jadownicę:

- Można wiedzieć, dlaczego?

- Ja... chciałabym mieć dzieci. - Chwyciła się pierwszego lepszego argumentu, jaki przyszedł jej na myśl.

- Och, będziesz je miała - odparł z uśmiechem, od którego krew ścięła się jej w żyłach.

- Stryju Robercie...

- Haselby może nie lubić kobiet, ale chyba potrafi spłodzić potomka. A jeśli nie, w takim razie... - Wzruszył ramionami.

- Co takiego? - Lucy poczuła, że narasta w niej panika. - Co masz na myśli?

- Davenport się tym zajmie.

- Jego ojciec?!

- W końcu jest dziedzicem tytułu i tylko to się liczy.

- Nie... niemożliwe.

Stryj zagłębił się w fotelu i patrzył na nią z groźbą w oczach.

- Wszyscy mamy jakąś powinność życiową, Lucindo. Twoją jest poślubienie człowieka wysoko urodzonego, a także urodzenie mu syna. I zrobisz to. Obojętne, jakim sposobem przyjdzie się posłużyć Davenportowi.

Poczuła ucisk w gardle. Zawsze robiła, co jej kazano. Zawsze godziła się z tym, że wszystko powinno biec ustalonym torem. Marzenia mogą się zmienić, ale ład społeczny nigdy. Trzeba godzić się z tym, co komuś przypadnie w udziale, i robić z tego jak najlepszy użytek. Wciąż jej to powtarzano. Zawsze postępowała według tych zasad. Ale nie tym razem. Spojrzała stryjowi w oczy.

- Nie wyjdę za niego.

- Coś... ty... powiedziała? Znów przełknęła ślinę. -Że...

- Wiem, co! - syknął, rąbnął pięścią w biurko i zerwał się na nogi. -Jak śmiesz mi się sprzeciwiać?! Utrzymywałem cię, żywiłem, dawałem każdą przekłętą rzecz, jakiej potrzebowałaś! Czuwałem nad rodziną przez całe dziesięć lat, z czego nie miałem żadnej korzyści! Absolutnie żadnej!

- Stryju Robercie... - próbowała coś powiedzieć, ledwie jednak słyszała własny głos. Stryj mówił prawdę. Ani ten dom, ani Abbey czy którakolwiek inna posiadłość Fennsworthów nie były jego własnością. Mógł dostać zaledwie to, co Richard zechciałby mu dać, kiedy w pełni umocni swoją pozycję hrabiego.

- Jestem twoim opiekunem - ciągnął głosem przerażająco cichym. - Rozumiesz? Wyjdiesz za Haselby'ego i nie będziemy o tym więcej mówić.

Spojrzała na niego ze zgrozą. Przez całe dziesięć lat nigdy nie widziała, żeby się uniósł. Jeśli mu się coś nie podobało, dawał to do zrozumienia na pośrednictwem lodowatego milczenia.

- To sprawka tego idioty Bridgertona, co? - rzucił gniewnie, waląc pięścią w książki na biurku. Spadły na podłogę z głośnym trzaskiem, tak że aż podskoczyła.

- Odpowiadaj!

Milczała, patrząc ze strachem, jak stryj zbliża się do niej.

- Mów! - huknął.

- Tak - odparła prędko, cofając się o krok. - W jaki sposób...

Skąd się tego dowiedziałeś?

- Myślisz, że jestem ostatnim durniem i nie zorientuję się, dlaczego jego matka i siostra proszą mnie o coś tego samego dnia? - Zaklął półgłosem. - Z pewnością uknuły tę intrygę, żeby mi cię porwać sprzed nosa!

- Przecież pozwoliłeś mi pójść na ten bal.

- Bo jego siostra jest księżną! Nawet Davenport uznał, że musisz tam pójść!

- Przecież...

- Niech to diabli! - Zaklął znowu, co sprawiło, że zamilkła. - Co za głupota! Czy on ci choćby zaproponował małżeństwo? Naprawdę gotowa jesteś zrezygnować z dziedzica hrabiowskiego tytułu dla czwartego syna wicehrabiego?

- Tak.

Stryj musiał dostrzec jej determinację, bo zbladł.

- Coś ty zrobiła najlepszego? Dopuszciasz go do siebie?! Lucy pomyślała o ich pocałunku i poczerwieniała.

- Ty głupia krowo! - syknął. - Masz szczęście, że Haselby nie potrafi odróżnić dziewicy od dziwki!

- Stryju Robercie! - krzyknęła ze zgrozą. - Nie mogła pozwolić, żeby uważał ją za kobietę bez czci. - Ja bym nigdy... Ja nie... Jak możesz tak o mnie myśleć?

- Bo postępujesz niczym ostatnia idiotka! - parsknął. - Od tej chwili nie wyjdiesz za próg aż do dnia ślubu, rozumiano?! Jeśli będę musiał postawić straż przed twoją sypialnią, nie zawaham się przed tym!

- Nie! Jak możesz mnie tak traktować? I po co? Nie potrzebujemy pieniędzy ani koneksji. Dlaczego nie mogę wyjść za mąż z miłości?

Z początku stryj nie zrobił nic. Stał nieruchomo, jakby zmarł w miejscu, i tylko mała żyłka pulsowała mu na skroni. A gdy Lucy sądziła, że może odetchnąć swobodniej, zaklął gwałtownie i przydusił ją do ściany.

- Stryju! - jęknęła, gdy chwycił ją dłonią za szyję, tak że musiała trzymać głowę w dziwnej pozycji, pod nienaturalnie ostrym kątem. Zdołała tylko wykrztusić słabym głosem:

- Proszę... puść...

On jednak tylko wzmocnił chwyt, tak że nadgarstek jego ręki wpił się jej boleśnie w ciało.

- Poślubisz lorda Haselby'ego! - warknął. - Wyjdiesz za niego i powiem ci, dlaczego.

Lucy nie rzekła ani słowa, patrzyła jedynie na niego z dzikim strachem.

- Ty, moja droga Lucindo, jesteś ostatnią ratą długu, jaki musiałem spłacać Davenportowi.

- Co to znaczy?

- Szantaż - mruknął posepnie. Musiałem mu płacić przez całe lata.

- Dlaczego? - spytała. Cóż mogło usprawiedliwiać tak przerażającą rzecz?

Usta stryja wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu.

- Twój ojciec, ósmy hrabia Fennsworth, był zdrajcą.

Zaparło jej dech. To nie mogła być prawda! Może niewierność, może przywłaszczenie sobie tytułu, ale zdrada? O Boże... Nie!

- Pewnie chodzi o jakieś nieporozumienie - próbowała go przekonać. - Mój ojciec... On nie mógł być zdrajcą!

- Zapewniam cię, że nim był, a Davenport wie o tym.

Pomyślała o ojcu. Wciąż jeszcze pamiętała, jak wyglądał - wysoki, przystojny, z pogodnymi niebieskimi oczami. Owszem, zbyt beztrąsko wydawał pieniądze, słyszała już o tym jako mała dziewczynka, ale nie był zdrajcą. Nie mógł nim być. Wrył się jej w pamięć jako dżentelmen, który honor stawiał nade wszystko. Widać to było w sposobie bycia, w zasadach, które jej wpoił...

- To kłamstwo - wydyszała, chociaż gardło ją paliło. - Albo ktoś cię celowo oszukał.



- Są dowody. - Stryj puścił ją nagle i podszedł do karafki z brandy. Nalał sobie kieliszek i wychylił go jednym haustem. - Dostały się w ręce Davenporta.

- W jaki sposób?

- Nie mam pojęcia! Wiem tylko, że je ma! Pokazywał mi. Lucy przycisnęła dłonie do piersi, usiłując jakoś pogodzić się z tą wiadomością.

- Jakie to dowody?

- Listy. Pisane jego ręką.

- Może podrobione?

- Jest na nich jego pieczęć! - wrzasnął i cisnął kieliszkiem o ziemię.

Lucy patrzyła w osłupieniu na resztki brandy, które rozlały się po posadzce, sięgając rogu biurka.

- Myślisz, że uwierzyłbym mu, gdybym tego nie sprawdził? Są tam informacje, i to szczegółowe, których tylko on mógł dostarczyć. Jak sądzisz, czy płaciłbym Davenportowi przez te wszystkie lata, gdyby istniał choć cień nadziei, że to falsyfikaty?

Pokręciła głową. Stryj mógł robić różne zdumiewające rzeczy, ale nie był głupcem.

- Przyszedł do mnie pół roku po śmierci twego ojca. Od tego czasu mu płaciłem.

- Ale po co ja jestem mu potrzebna?

- Bo będziesz idealnie uczciwą, posłuszną żoną. - Stryj zaśmiał się z goryczą. - Kamuflażem Haselby'ego. Davenport musi go

przecież z kimś ożenić. Potrzebuje rodziny, która mu się nie przeciwstawi. - Spojrzał na nią oskarżycielsko. - My tego nie zrobimy, bo nie możemy. I on o tym wie.

Istotnie, nigdy by tego nie zrobiła. Lubiła Haselby'ego. I nie chciałyby utrudniać mu życia. No i pozostawała jeszcze kwestia szantażu. Ale nie chciała też zostać żoną człowieka, który...

- Jeśli nie wyjdiesz za niego - wycedził stryj - będzie się to równało ruinie Abernathych. Rozumiesz? Nie chodzi o jakiś młodzieńczy grzeszek. Twój ojciec dopuścił się zdrady stanu. Sprzedawał tajemnice państwowe Francuzom za pośrednictwem agentów, którzy udawali przemytników.

- Przecież nie potrzeba nam było pieniędzy.

- Jesteś pewna, że je mieliśmy? - mruknął z sarkazmem. - Twego ojca, niech to licho, kusiło niebezpieczeństwo. Pewnie dlatego to robił. Wcale nie żartuję! Zagrożony jest nasz byt, nawet tytuł, bo mój brat lubił ryzyko!

- Ojciec wcale taki nie był! - zaprotestowała, lecz nie miała już pewności. Miała ledwie osiem lat, gdy zabił go w Londynie jakiś rzezimieszek. Powiedziano jej wprawdzie, że zginął, broniąc honoru jakiejś damy, ale jeśli było to kłamstwo? A może stracił życie z powodu swoich szpiegowskich poczynań? Jak dużo w gruncie rzeczy o nim wiedziała?

Stryj wydawał się nie słyszeć jej protestów.

- Jeśli nie wyjdiesz za Haselby'ego - rzekł przyciszonym głosem, wymawiając dokładnie każde słowo - Davenport rozgłosi

wszędzie, kim naprawdę był twój ojciec. Ściągniesz niesławę na cały dom Fennsworthów.

Lucy słabo pokręciła głową. Nie było innego wyjścia? Naprawdę wszystko zależy teraz od niej?

- Myślisz, że tego nie zrobi? - Stryj zaśmiał się pogardliwie. -Kto by na tym najwięcej stracił, może ty? Owszem, cierpiałabyś, lecz zawsze można by cię posłać do jakiejś szkoły, żebyś tam nauczała. Pewnie by ci się to nawet podobało.

Podszedł do niej, nie spuszczać wzroku z jej twarzy.

- Ale pomyśl o swoim bracie. Co się z nim stanie, kiedy wyjdzie na jaw, że jest synem zdrajcy? Król z pewnością pozbawi go tytułu. No i większej części majątku.

- Nie! - jęknęła. Nie mogła w to uwierzyć. Przecież Richard nie zrobił nic złego! Nie można go było winić za błędy ojca.

Opadła na pobliskie krzesło, rozpaczliwie usiłując uporać się z zamętami w myślach. Zdrada! Jak ojciec mógł zrobić coś podobnego? Coś tak przeciwnego duchowi, w którym ją wychowano? Czyż nie kochał Anglii? Czy jej nie mówił, że rodzina Abernathych ma święty obowiązek szanować wszystko, co brytyjskie?

A może mówił tak stryj Robert? Lucy zacisnęła mocno powieki. Ktoś jej o tym mówił, była tego pewna. Pamiętała, że stała wtedy pod portretem pierwszego hrabiego Fennswortha. Zapamiętała całą sytuację i słowa, ale za nic nie mogła sobie przypomnieć osoby, która je wypowiedziała.

Spojrzała na stryja. Zapewne on. Rozmawiał z nią wprawdzie nie za często, lecz kiedy już to robił, rozprawiał zazwyczaj o obowiązku. Wszystko wskazywało na niego.

Jak ojciec mógł zrobić coś takiego? Zdradzając tajemnice wojskowe Napoleonowi, narażał życie tysięcy brytyjskich żołnierzy.

A nawet... Och, Boże! Mógł być odpowiedzialny za ich śmierć. Kto wie, co wyjawiał wrogowi? Ilu mógł zgubić ludzi?!

- Wszystko zależy teraz od ciebie, Lucindo - odezwał się stryj. - To jedyny sposób, żeby z tym skończyć.

Nie zrozumiała, co miał na myśli.

- O czym mówisz, stryju?

- Kiedy wyjdiesz za Haselby'ego, szantaż się skończy. W przeciwnym razie część hańby spadłaby także na Davenporta i na jego syna. - Podszedł do okna, wsparł się ciężko o parapet i wyjrzał na zewnątrz. - Po dziesięciu latach wreszcie będę... wszyscy będziemy wolni.

Lucy milczała. Nie miała nic do powiedzenia. Stryj spojrzał na nią przez ramię, odwrócił się i podszedł bliżej, nie spuszczać z niej oczu.

- Widzę, że wreszcie zdałaś sobie sprawę z powagi sytuacji. Spojrzała na niego ze strachem. Nie dostrzegła na jego twarzy współczucia, życzliwości ani przywiązania, tylko zimną maskę obowiązku. Zrobił, co do niego należało. Ona powinna postąpić tak samo.

Przypomniała sobie, jak wyglądał Gregory, kiedy prosił ją o rękę. Kochał ją. Nie wiedziała, jakim cudem do tego doszło, ale ją kochał. A ona jego.

O Boże! Przecież to niemal śmieszne. Ona, która zawsze drwiła sobie z romantycznej miłości, zakochała się ślepo, beznadziejnie i na tyle mocno, żeby odrzucić wszystko, w co wcześniej - jak uważała - wierzyła. Dla Gregory'ego gotowa była wywołać skandal i zburzyć wszelki ład. Dla Gregory'ego chciała stawić czoło plotkom, obmowie, insynuacjom. Ona, którą złościło, kiedy jej pantofle nie były porządnie ustawione w szafie, gotowa była rzucić syna hrabiego na cztery dni przed ślubem! Jakże to nazwać, jeśli nie miłością?

Ale teraz wszystko przepadło. Nadzieja, marzenia, ryzyko, które chciała podjąć. Nie miała wyboru. Jeśli przeciwstawi się Davenportowi, będzie to oznaczało krach rodziny. Pomyślała o Richardzie i Hermionie, takich szczęśliwych, tak w sobie zakochanych. Czy mogła skazywać ich na życie w hańbie i ubóstwie?

Jeśli wyjdzie za Haselby'ego, nie zyska co prawda tego, czego najbardziej pragnie, ale też nie będzie cierpiała. Haselby był rozsądnym człowiekiem. Był też miły. Gdyby odwołała się do jego uczuć, z pewnością ochroniłby ją przed swoim ojcem. A wtedy mogłaby pędzić wygodne życie. Owszem, pełne rutyny, lecz dużo lepsze niż życie Richarda i Hermiony jeśli prawda wyszłaby na jaw. Poświęcenie, jakiego to od niej wymagało, było niczym wobec tego, co musiałyby wycierpieć rodzina w razie jej odmowy. Przecież

przedtem pragnęła dokładnie tego - wygody i rutyny. Czy nie może zapragnąć tego ponownie?

- Wyjdę za niego - powiedziała, patrząc bezmyślnie w okno. Na dworze siąpił deszcz. Kiedy właściwie zaczęło padać?

- To dobrze.

Bez słowa siadła w fotelu. Czowała, jak cała energia powoli ją opuszcza. Och! Była taka znużona i wyczerpana. Miała ochotę się rozplakać, ale zabrakło jej łez. Nawet gdy wstała i powoli wróciła do pokoju, oczy miała suche.

Następnego dnia, kiedy kamerdyner spytał ją, czy przyjmie pana Bridgertona, a ona odmówiła, też się nie rozplakała. Dopiero dwa dni później, gdy wciąż się wpatrywała w jego kartę wizytową, przesuując ostrożnie palcami po każdej literze imienia i nazwiska, łzy napłynęły jej do oczu i zakręciły się pod powiekami.

Widziała go tylko raz, przez moment. Stał wówczas na ulicy, wpatrzony w fasadę Fennsworth House. On także ją zobaczył. Zesztywniał cały, a ona dostrzegła jego wzburzenie i gniew. Szybko opuściła firankę. On zaś nie ruszył się z miejsca, poruszony, ale niezdolny odejść. Zamarła bez ruchu i znów zdjął ją ten okropny strach, sięgający aż do głębi trzewi.

Postąpiła źle, bardzo źle. Wiedziała jednak, że musi się tak właśnie zachować. Nadal stała przy oknie, patrząc na zasłonę i bojąc się głębiej odetchnąć, póki serce nie zaczęło się jej coraz boleśniej ścisnąć. Stała, póki wreszcie nie nadeszło uspokojenie. Potem udało jej się dojść do łóżka i rzucić się na nie.

A wtedy nareszcie poczuła, że może płakać.

## Rozdział 19

*w którym nasz bohater bierze sprawy, i naszą bohaterkę, w swoje ręce.*

**W** piątek Gregory wpadł w rozpacz.

Trzy razy próbował zobaczyć się z Lucy w Fennsworth House i trzy razy odprawiono go z kwitkiem. Całkiem jakby przyszedł nie w porę. Nie! To właśnie oni nie w porę nie chcieli go przyjąć!

Co to miało znaczyć? Nawet jeśli stryj Lucy odmówił jej prośbie - a z pewnością nie był nią zachwycony, w końcu jego bratanica pragnęła rzucić przyszłego hrabiego - to z pewnością ona sama spróbowałaby się jakoś porozumieć z Gregorym. Przecież go kochała.

Był tego tak pewien, jak jest się pewnym brzmienia swojego głosu, albo tego, że Ziemia jest okrągła, a dwa plus dwa równa się cztery.

Lucy go kochała. Nie kłamała. Nie mogłaby skłamać i nie chciałaby zresztą tego robić. Nie w tym przypadku. A to oznaczało, że coś jest nie w porządku. Nie było innego wyjaśnienia.

Szukał jej w parku, godzinami wyczekując przy ławce, gdzie przedtem siadywała, karmiąc gołębie - ale się nie pokazała.

Obserwował drzwi jej domu, w nadziei, że natknie się na nią, kiedy będzie wychodziła na spacer, lecz nie opuszczała domu.

Gdy po raz trzeci go odprawiono, ujrzał ją wreszcie. Co prawda tylko przez moment, w oknie, bo zaraz opuściła firankę, lecz jemu to

wystarczyło. Nie zdołał dostrzec twarzy Lucy ani jej wyrazu. Ale coś dziwnego było w jej ruchach, w tym niemal desperackim zaciągnięciu zasłony.

Coś tu było nie tak.

Zatrzymano ją w domu wbrew jej woli? Może była pod wpływem jakiegoś narkotyku? Rozważał gorączkowo różne możliwości, jedną straszniejszą od drugiej.

Zapadła już noc. Lucy wyjdzie za Haselby'ego za niecałe dwanaście godzin. Nie krążyły na ten temat najbliższe nawet plotki. Gdyby tylko ktoś szepnął, że ten ślub może nie nastąpić w przewidzianym terminie, Gregory na pewno by o tym usłyszał. Hiacynta także by coś wiedziała. Ona przecież wiedziała wszystko, zazwyczaj wcześniej niż same ofiary plotek.

Stał w mroku na ulicy, przy której wznosił się Fennsworth House, i przyglądał się budynkowi. Czy to jej okno? Tamto, w którym widział ją wczoraj? Nie przenikało stamtąd żadne światło, lecz kotary były zapewne grube i ciężkie. Może się już położyła? Było późno.

Rano pójdzie do ołtarza. O, Boże!

Nie mógł pozwolić, żeby poślubiła Haselby'ego. Za nic. Był absolutnie pewien, że to właśnie oni, Gregory, i Lucinda mają zostać mężem i żoną. To ją chciał widzieć, spoglądającą na niego każdego ranka znad jajek na bekonie, łososia i grzanek.

Parsknął nerwowym śmiechem, którym można się śmiać tylko wtedy, gdy jedyną alternatywą jest płacz. Lucy musiała wyjść za



niego, choćby dlatego, by każdego poranka mogli zajadać się razem pysznościami, przygotowanymi przez kucharkę.

Spojrzał w jej okno, a przynajmniej miał nadzieję, że chodzi właśnie o ten pokój. Nie wiedział, jak długo już tu stoi. Po raz pierwszy w życiu czuł się bezradny. Przynajmniej wpatrywanie się w to przeklęte okno było czymś, co znajdowało się pod jego kontrolą.

Rozmyślał o swoim życiu. W sumie było udane. Miał sporo pieniędzy, kochającą rodzinę, wielu przyjaciół, zdrowie, rozum i - aż do fiaska zalotów, których celem była Hermiona Watson - niezmaconą wiarę we własne siły. Może nie był najbardziej zdyscyplinowanym z ludzi i zapewne powinien przywiązywać więcej wagi do wszystkich tych cnót, których brak Anthony lubił mu wypominać. Wiedział jednak, co jest uczciwe, a co nie. I był absolutnie pewien, że życie upłynie mu szczęśliwie. Po prostu taki już był. Nie nękała go melancholia, nie miewał napadów gniewu i nigdy nie musiał ciężko pracować.

Zamyślony spoglądał w okno. Był coraz bardziej zadowolony z siebie i pewny tego, co chciał zrobić. Przez całe życie nie opuszczało go powodzenie. Nie wierzył - wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć - że nie zdoła osiągnąć upragnionego celu.

Oświadczył się. Został przyjęty. Prawda, że zaręczono ją z Haselbym i wciąż jeszcze pozostawała cudzą narzeczoną. Ale czy nie należało się spodziewać, że prawdziwa miłość zatriumfuje? Przecież podobnie było z jego braćmi i siostrami. Dlaczego jemu miałyby zabraknąć szczęścia?

Przyszła mu na myśl matka i sposób, w jaki na niego patrzyła, kiedy tak zręcznie analizowała jego charakter. Zdał sobie sprawę, że prawie we wszystkim miała rację. Lecz tylko prawie. Owszem, nigdy nie musiał o coś zaciekle walczyć, ale to tylko część prawdy. Nie był w końcu całkiem bierny. Nie zawahałby się stanąć do walki, gdyby miał motyw.

Znów spojrzał w okno.

Teraz miał motyw.

Najpierw chciał czekać, dopóki Lucy nie przekona stryja, by zwolnił ją z wcześniejszych zobowiązań. Czekać na ostatni element układanki i umieścić go na właściwym miejscu z triumfalnym okrzykiem. Czekać na spotkanie z Lucy. Na chwilę, kiedy jasno, jednoznacznie zrozumie, jak powinna postąpić.

Teraz miał już dość czekania. Zapomni o przeznaczeniu, o fatum, i energicznie zacznie działać. Nikt mu nie podsunie ostatniego elementu układanki, musi go sam odszukać. Musi zobaczyć Lucy, i to teraz, skoro najwyraźniej nie może spotkać się z nią w normalny, zgodny z dobrymi obyczajami sposób.

Przeszedł przez ulicę, okrążył narożnik pałacu i wślizgnął się na jego tyły. Okna na piętrze były zamknięte na głucho i ciemne. Powyżej kilka firanek powiewało na wietrze, tamtędy nie mógłby jednak dostać się do środka, nie ryzykując skręcenia karku.

Rozejrzał się wokoło. Po lewej stronie miał ulicę, po prawej - alejkę i zaułek, a naprzeciw niego rysowało się w mroku wejście dla

służby. Przyjrzał mu się z namysłem. Właściwie dlaczego nie?

Podszedł i nacisnął klamkę. Ustąpiła.

O mało się nie roześmiał. Może mu jeszcze uwierzy w fatum i tym podobne banialuki? Doprawdy, trafił mu się nadzwyczajny zbieg okoliczności! Jakiś służący musiał się tędy chyłkiem wykraść, zapewne na schadzkę. A jeśli drzwi nie były zamknięte, to on sam mógł się dostać do pałacu. O tak, gotów był uwierzyć w przeznaczenie.

Zamknął cicho drzwi za sobą i odczekał chwilę, póki jego oczy nie przywykły do ciemności. Po chwili zrozumiał, że znalazł się w obszernym pokoju kredensowym, na lewo od kuchni. Ktoś z niższej służby mógł spać w pobliżu, zdjął zatem buty i, trzymając je w ręce, zapuścił się w głąb domu.

Wspiął się bezszelestnie po tylnych schodach, zmierzając w stronę piętra, gdzie - jak sądził - znajdowała się sypialnia Lucy. Na podeście zatrzymał się przez chwilę, nim wszedł w korytarz.

Nie ma co, odważył się na rzecz zuchwałą. Nie miał pojęcia, co by się mogło stać, gdyby go przyłapano. Czy złamał prawo? Niewątpliwie. Był wprawdzie bratem wicehrabiego, co mogło go uchronić od szubienicy, lecz dom, do którego wtargnął, należał do hrabiego. Nie uniknąłby kary.

Musiał się jednak zobaczyć z Lucy. Miał już dosyć czekania.

Na podeście rozglądał się przez chwilę, a potem skierował tam, gdzie - jak uważał - musiał się znajdować front domu. Natrafił na dwoje drzwi. Próbował wyobrazić sobie w myśli fasadę, a potem

wszedł w te po prawej. Jeśli Lucy istotnie była w swoim pokoju, kiedy ją ujrzał, to wybrał właściwe drzwi. A jeśli nie...

No cóż, nie miał wyboru. Błąkał się po domu hrabiego Fennswortha o bardzo późnej porze. Przekreślił powoli klamkę i odetchnął z ulgą, kiedy nie zaskrzypiała. Uchylił drzwi tylko na tyle, by móc się przez nie przecisnąć, a potem starannie je zamknął i ogarnął spojrzeniem pokój.

Było w nim ciemno. Tylko nieco księżycowego blasku przenikało do środka przez firanki. Oczy Gregory'ego zdołały już jednak przywyknąć do ciemności i zdołał rozróżnić niektóre z mebli - gotowalnię, szafę...

A także łóżko.

Ciężki, masywny sprzęt z baldachimem i zasłonami naokoło. Jeżeli ktoś w nim leżał, to spał spokojnie i nie wydawał z siebie żadnych dźwięków. Tak właśnie powinna spać Lucy. Kamiennym snem. Dziwiło go, że jest tego pewien, ale po prostu nie mogło być inaczej.

Zdał sobie sprawę, że najzwyczajniej w świecie dobrze ją zna, mimo że nie ma pojęcia, który kolor lubi najbardziej, a także jakie jest jej ulubione zwierzę czy potrawa. Nie było jednak istotne, czy Lucy woli róż od błękitu lub purpurę od czerni. Znał jej serce i właśnie jego pragnął.

Ostrożnie rozchylił firanki. Wewnątrz nie było nikogo.

Zaklął pod nosem. Dostrzegł, że pościel jest rozrzucona, a na poduszce widnieje zagłębienie, świeży ślad czyjejś głowy.

Odwrócił się w samą porę, by ujrzeć, że spada na niego zapalona świeca. Skulił się, ale nie zdołał uniknąć uderzenia w skroń. Znów zaklął, tym razem na głos, a wtedy usłyszał, że ktoś mówi:

- Gregory!

- Lucy?

Podeszła powoli do niego.

- Co ty tu robisz?

Wskazał niecierpliwym gestem na łóżko.

- Dlaczego nie śpisz?

- Bo jutro wychodzę za mąż.

- Właśnie dlatego tu przyszedłem.

Zaniemówiła, jakby jego obecność była czymś nieoczekiwanym.

- Chyba jesteś intruzem - powiedziała w końcu, schylając się po świecę.

Pozwolił sobie na słaby uśmiech.

- Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby tak było.

Przez chwilę zdawało mu się, że Lucy odwzajemni jego uśmiech, lecz zamiast tego skrzyżowała ręce na piersi.

- Musisz stąd wyjść!

- Nie zrobię tego, póki z tobą nie porozmawiam. Spojrzała gdzieś ponad jego ramieniem.

- Nie mamy o czym rozmawiać.

- Może powinniśmy zacząć od: „Kocham cię”?

- Nie mów tego - szepnęła. Zbliżył się do niej.

- Kocham cię.

- Gregory, proszę...

Podszedł bliżej i powtórzył:

- Kocham cię.

- Wychodzę jutro za Haselby'ego.

- Nie wyjdiesz za niego. Ujął ją za rękę. Nie cofnęła jej.

- Lucy... - wyszeptał. Przymknęła oczy.

- Wybierz mnie. Pokręciła powoli głową.

- Proszę cię, przestań.

Objął ją mocno i wyjął świecę z jej drżących palców.

- Wybierz mnie, Lucy Abernathy. Bądź moją ukochaną. Moją żoną.

Otworzyła oczy. Zdołał w nie jednak spojrzeć tylko przez moment, nim się przed nim uchyliła.

- Przez ciebie wszystko staje się dużo trudniejsze - szepnęła. Ból w jej głosie był czymś nie do zniesienia.

- Lucy... - Dotknął jej policzka. - Pozwól sobie pomóc. Pokręciła odmownie głową, lecz się uspokoiła. Nie na długo, ledwie na jakąś sekundę, ale to wyczuł.

- Nie możesz za niego wyjść - mruknął, zwracając jej twarz ku sobie. - Nie byłabyś szczęśliwa.

Spojrzała na niego, oczy jej rozbłysły. W mroku wydawały się ciemnoszare i przeraźliwie wprost smutne, ale w ich głębi znajdowało się wszystko, co chciał ujrzeć.

- Wiesz o tym dobrze. Nie byłabyś szczęśliwa.

Nadal milczała, słyszał tylko szmer jej oddechu. Aż wreszcie się odezwała.

- Mogłoby mi to wystarczyć.

- Naprawdę? Wystarczyłoby ci? - Dłoń Gregory'ego osunęła się bezwładnie w dół.

- Nie chciałabyś czegoś więcej? Znów kiwnęła głową, chociaż słabiej.

Zaczęła w nim narastać złość. Czy miałaby z tego powodu odmówić mu ręki? Dlaczego nie zamierzała walczyć? Kochała go zbyt słabo?

- Chodzi ci może o jego tytuł? Tak wiele dla ciebie znaczy godność hrabiny?

Zbyt długo zwlekała z odpowiedzią. Wiedział, że kłamie, kiedy wreszcie powiedziała:

- Tak.

- Nie wierzę ci - odparł z urazą i gniewem. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma w ręce lichtarz. Chciał cisnąć nim o ścianę, zamiast tego postawił go na stoliku, choć przyszło mu to z trudem. Ręce odmawiały mu posłuszeństwa.

Spojrzał na nią. Milczała.

- Lucy - poprosił - powiedz coś. Pozwól sobie pomóc.

Zauważył, że już nie patrzy mu w oczy. Ujął ją za rękę. Zesztywniała, nie cofnęła ich wszakże. Widział, jak gwałtownie falują jej piersi, a potem poczuł, że z nim dzieje się tak samo.

- Kocham cię - rzucił znowu, mając nadzieję, że wreszcie do niej trafi. Że Lucy pojmie, iż pewnym rzeczom nie sposób zaprzeczać.

- Należymy do siebie. Na zawsze.

Przymknęła oczy, ale gdy je ponownie otworzyła, wyglądała na zdruzgotaną.

- Lucy - zaczął, próbując zawrzeć w tym jednym słowie wszystko, co czuł. - Powiedz mi, czy...

- Przestań - odparła drżącym, zdławionym głosem, odwracając od niego wzrok. - Powiedz coś innego, byle nie to!

- Dlaczego?

- Bo to prawda - wyszeptała.

Zaparło mu dech. Jednym szybkim ruchem przygarnął ją do siebie. Nie był to jednak uścisk, splotły się jedynie ich ręce. Wypowiedział znów jej imię, raz, potem drugi, tak cicho, że prawie bezgłośnie, ledwo poruszając wargami.

- Lucy, Lucy.

Stała bez ruchu, bez słowa, oddychając ciężko. Był teraz niemal tuż przy niej, lecz ich ciała wciąż się jeszcze całkowicie nie zetknęły, choć czuli nawzajem swoje ciepło.

- Pozwól, żebym cię pocałował. Tylko jeden raz, a jeśli potem powiesz mi, żebym sobie poszedł, daję ci słowo, że tak zrobię.

Kochała tak bardzo, a nie mogła mieć. Jej serce biło jak oszalałe, oddychała z największym trudem i mogła myśleć tylko o jednym. Że nigdy więcej nie chce przeżyć czegoś podobnego. Nikt jeszcze tak na



nią nie patrzył, jak Gregory w tej chwili. A niedługo miała wyjść za mężczyznę, który nie miał nawet ochoty jej pocałować.

Pragnęła Gregory'ego. Och, Boże, jak bardzo! Tylko że wkrótce będzie za późno. Nawet jeśli i on ją kochał. Z trudem mogła w to uwierzyć, ale mu zaufała...

- Lucy... - wyszeptał i zawarł w jej imieniu jednocześnie pytanie, stwierdzenie, a także prośbę.

Kiwnęła głową. A potem, ponieważ wiedziała, że nie może teraz skłamać ani sobie, ani jemu, poprosiła:

- Pocałuj mnie.

Dzięki temu nie będzie później udawać, że dała się ponieść uczuciom, że nie była zdolna myśleć. Decyzja należała do niej.

Podjęła ją.

Przez chwilę Gregory stał bez ruchu, ale wiedziała, że ją usłyszał. A potem jego usta odnalazły wgłębienie między jej policzkiem i szyją.

- Lucy!

Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Prośba o pocałunek była wszystkim, co zdołała wyjąkać.

- Kocham cię - wyszeptał, wodząc ustami po jej szyi i były to najbardziej przejmujące, ale też najwspanialsze słowa, jakie wymówił kiedykolwiek, Lucy chciało się płakać ze szczęścia, a także ze smutku. Po raz pierwszy w życiu postąpiła tak samolubnie. Nie powinna była tego robić, dobrze o tym wiedziała. Gregory niewątpliwie odebrał jej

zachowanie jako zgodę na wycofanie się z poprzedniego narzeczeństwa. Okłamała go.

Nie mogła jednak nic na to poradzić. Teraz, w tej jednej chwili, mogła zaznać szczęścia i ten moment musiał jej wystarczyć na całe życie. Ujęła mocno w dłonie jego twarz i gwałtownie pocałowała go w usta. Nie wiedziała, jak powinna to zrobić. Pewnie istniały tu jakieś reguły, ale nie dbała o nie. Chciała go pocałować i nie mogła się powstrzymać.

Jedna z jego dłoni sięgnęła ku jej biodrom. Nawet przez tkaninę koszuli nocnej czuła, jaka jest gorąca. Potem dłoń powędrowała jeszcze niżej, aż wreszcie nie było już między nimi żadnej wolnej przestrzeni. Lucy poczuła, że osuwa się w dół, i nagle obydwójce znaleźli się na łóżku. Leżała na plecach, tuż przy nim. Chciała zjednoczyć się z nim i nigdy więcej się od niego nie odrywać.

- Gregory - wyszeptała, odnajdując nagle zdolność mowy, i zanurzyła palce w jego włosach. Milczał. Wiedziała, że czeka, by powiedziała coś jeszcze.

- Kocham cię - rzekła, bo była to prawda, a ona potrzebowała czegoś prawdziwego. Jutro Gregory ją znienawidzi. Jutro miała go zdradzić, ale przynajmniej w tej chwili nie chciała kłamać.

- Pragnę cię - wyznała, gdy popatrzył na nią długo i przenikliwie. Dał jej ostatnią szansę, by mogła się wycofać. Wiedziała o tym. - Pragnę cię - powtórzyła, chociaż nie dało się to wyrazić słowami.

- Lu...

Położyła mu palec na ustach.

- Chcę należeć do ciebie - rzekła, a potem dodała: - Dzisiejszej nocy.

Jęknął coś. Może to było jej imię? A potem zaczął całować ją zapamiętane. Ręce Lucy ześlizgnęły się z jego szyi, wsunęły pod ubranie, desperacko szukając ciepła i ciała. Wymamrotał niewyraźnie jakieś przekleństwo i uniósł się nieco, zrzucając z siebie surdut i halsztuk. Nie oderwał się jednak od niej całkowicie.

Patrzyła potem oniemiała, jak ściąga koszulę, zaciekle i z pośpiechem, rezygnując z wszelkiej kontroli nad sobą. Odrzucił odzienie na bok. Westchnęła głośno na widok jego ciała i napiętych mięśni.

Nie zdawała sobie do tej pory sprawy, że mężczyzna może być piękny, ale inne słowo do niego nie pasowało. Uniosła dłoń i skwapliwie dotknęła tego ciała, które zaczęło tak gwałtownie pulsować, że o mało się przed nim nie cofnęła.

- Nie - powiedział, nakrywając jej dłoń swoją i przykładając ją do serca. Spojrzał jej prosto w oczy. Nie mogła odwrócić wzroku.

A potem przykrył ją gorącym i twardym ciałem. Czowała na sobie jego ręce i wargi. Koszula nocna przestała ją już okrywać. Najpierw uniosła się ku biodrom, a potem ku talii. Dotykał jej. Nie, nie tamtego miejsca, ale gdzieś w jego pobliżu.

- Gregory! - jęknęła, kiedy sięgnął ku jej piersiom. Zapragnęła czegoś, czego nie potrafiła nazwać. Czegoś, co by ją wypełniło,

uzupełniło. Koszula, za którą mocno pociągnął, ześlizgnęła się z niej ostatecznie. Była naga.

Instynktownie uniosła rękę, żeby się osłonić, lecz chwycił ją za nadgarstek, przycisnął do własnej piersi, a później, otaczając ją udami, uniósł się i spojrzał na nią dokładnie tak, jak przedtem na Hermionę. Chociaż nie. W jego wzroku było dużo więcej namiętności.

- Lucy - szepnęła, gładząc lekko jej piersi i potrząsając przy tym głową, jakby sam dobrze nie rozumiał, co się z nim dzieje. - Czekałem na ciebie. Przez całe życie. A wcale o tym nie wiedziałem.

Zrozumiała.

Oddech Gregory'ego przyspieszył.

- Będę ostrożny - zapewnił ją, sięgając ręką ku spodniom. - Obiecuję.

- Nie boję się - szepnęła słabo, usiłując zdobyć się na uśmiech.

- Wyglądasz jak ktoś, kto się lęka.

- Nie! - spojrzała gdzieś poza niego. Położył się obok.

- To może boleć. Mówiono mi, że tak bywa za pierwszym razem.

- Wszystko mi jedno. Powiódł dłonią po jej ramieniu.

- Pamiętaj, że jeśli cię nawet zaboli, to potem będzie już lepiej.

- Czy dużo lepiej? - spytała zduszonym głosem, który jej samej wydał się obcy.

Uśmiechnął się, a jego palce odnalazły jej biodro.

- No... słyszałem, że trochę.

- Trochę? - zapytała ponownie. - Czy... może... o wiele więcej?

- Raczej o wiele więcej - odparł, dotykając lekko jej karku. - W gruncie rzeczy o wiele, wiele więcej! Całe mnóstwo.

Czuła, że lekko rozchyła jej nogi i kładzie się między nimi. Czuła, jak twarde i gorące jest jego ciało. Cała zeszywniała. Musiało to jakoś do niego dotrzeć, bo szepnął jej do ucha:

- Lucy!

A potem zagłębiał się w nią coraz bardziej i bardziej.

Och, dobry Boże! Drgnęła pod nim gwałtownie.

Zaśmiał się cicho. Złapał ją za ramię i unieruchomił ją, ciągnąc dalej tę torturę. Przerywał ją tylko po to, żeby przechylić się na drugi bok.

- Gregory! - jęknęła. Nie mogła mówić ani myśleć. To była najbardziej przerażająca, wspaniała i niesłychana zarazem rzecz, jaką mogła sobie wyobrazić.

- Dotykaj mnie - poprosił schrypniętym głosem. - Wszędzie! Dopiero teraz dotarło do niej, że kurczowo gniecie rękami pościel.

- Przepraszam! - odparła. A potem, zdumiona, zaczęła się śmiać.

- Będę musiał oduczyć cię tego brzydkiego nawyku przepraszania za wszystko - mruknął z nikłym uśmiechem.

- Nie chcesz, żebym cię przeprosiła? - spytała, przesuwając dłońmi po jego plecach.

- Nie za to! - wymruczał.

- A za to? - Tym razem przesunęła stopami po jego łydkach.

Wtedy jego ręce zaczęły wyczyniać z nią jakieś niesłychane wprost rzeczy.

- A może chcesz, żebym to ja cię przeproszał?

- Nie! - Nabrała gwałtownie tchu, bo dotknął jej w takim miejscu, o którym nawet nie śmiała myśleć, a co dopiero go dotykać. Powinna to była uznać za coś najokropniejszego w świecie, a tymczasem wcale się tak nie stało. Nie miała pojęcia, co właściwie czuje.

Nie umiałyby tego opisać, gdyby nawet była samym Szekspirem. Wiedziała tylko, że chce jeszcze więcej.

- Proszę cię... - wyrwało się jej. - Proszę...

Lecz on powtarzał jedynie raz po raz jej imię, jakby nie pamiętał żadnego innego słowa.

Dotknęła go. Delikatnie, z wahaniem.

- Przepraszam! - Jęknęła, cofając zaraz rękę.

- Nie przepaszaj! - wymamrotał głucho. Nie dlatego, żeby się gniewał, ale po prostu ledwie mógł wydusić z siebie jakiegokolwiek słowo. Przyciągnął jej dłoń ku sobie.

- Jakże ja cię pragnę! - szepnął, manewrując jej ręką tak, by go objęła. Niemalże stykali się twarzami, a ich oddechy się złączyły.

- Kocham cię - wyrzucił z siebie, zmieniając pozycję.

- Ja ciebie też - odparła i szeroko otworzyła oczy, jakby zdumiona własnymi słowami.

Gregory nie przejął się tym. Powiedziała to przecież wcześniej i nie mogła cofnąć swoich słów. Należała do niego. A on do niej. Poczul się tak, jakby zawisł nad brzegiem jakiejś przepaści. Jego życie było podzielone na dwie połowy - przed tą nocą i po niej. Nigdy nie

pokocha innej kobiety. Nie mógłby kochać żadnej innej. Nie będzie już żadnej innej.

Przepaść wydała mu się przerażająca, ale skoczył w nią.

Lucy jęknęła, kiedy jednak na nią spojrzął, cały ból gdzieś zniknął. Głowę miała odchyloną do tyłu, a każdemu oddechowi towarzyszył cichy, zdławiony dźwięk.

- Nie chcę ci zrobić krzywdy - szepnął, choć całe jego ciało pragnęło jedynie przeć do przodu. Nigdy jeszcze niczego nie pragnął tak, jak Lucy w tej chwili, ale musiał być jednak ostrożny. Nie mógł pozwolić, żeby przez niego cierpiała.

- Nie robisz jej - wyszeptała. I wtedy nie mógł się już powstrzymać. Przebił ostatnią barierę. Wniknął w głąb jej ciała.

Jeśli nawet poczuła ból, nie dbała o niego. Wydała tylko krótki okrzyk i przycisnęła do piersi jego głowę, poruszając się w rytmie niekontrolowanym przez żadną myśl.

- Lucy, Lucy, Lucy... - szeptał jej imię bez przerwy. To było coś zanadto potężnego, zbyt przemożnego. Zaczerpnął chciwie tchu.

Powinien był poczekać, próbował to zrobić, ale ona przyciągnęła go do siebie i całe jej ciało wygięło się w łuk, a świat po prostu eksplodował.

- Kocham cię! - zawołał i opadł na nią. Myślał, że nie potrafi znaleźć właściwych słów, a jednak udało mu się to. Te dwa krótkie wyrazy będą mu teraz towarzyszyły. Już go nigdy nie opuszczą.

## Rozdział 20

*w którym nasz bohater musi się zmierzyć z bardzo przykrym porankiem.*

Zasnął na chwilę. Później znów się z nią kochał, po czym nie spał już, tylko leżał spokojnie i cicho. Wreszcie kochali się jeszcze raz, jakby wykorzystując ostatnie chwile.

W końcu jednak musiał odejść. Okazało się to najtrudniejszą rzeczą, jaką przyszło mu kiedykolwiek zrobić. A jednak zdołał jej dokonać, w dodatku z radością - bo wiedział, że to wcale nie koniec. Nawet nie pożegnanie.

Zrobiło się jednak niebezpiecznie późno. Nadchodził świt, a choć Gregory miał zamiar poślubić Lucy najszybciej, jak tylko można, nie naraziłby jej nigdy na ryzyko skandalu, w sam dzień ślubu. Żaden z domowników nie mógł zaskoczyć jej z innym mężczyzną.

Trzeba też było się liczyć z tym, że istnieje Haselby. Gregory nie znał go zbyt dobrze, ale zawsze wydawał mu się człowiekiem sympatycznym, który nie zasługiwał na publiczne upokorzenie.

- Lucy - szepnął, trącając jej kark czubkiem nosa - już dnieje. Mruknęła coś niewyraźnie, ale zaraz odwróciła się ku niemu i powiedziała:

- Tak.

Tylko „Tak”, a nie „Jak to nieładnie z twojej strony” albo „Nie powinienesz mnie w ten sposób budzić”. To była cała Lucy. Rzeczowa, ostrożna i czarująco wręcz rozsądna. On zaś kochał ją za te cechy - i



za wszystko inne również. Nie chciała zmieniać świata, tylko uczynić go miłym i dobrym dla tych, których kochała.

Pozwoliła mu spędzić ze sobą noc i zamierzała zerwać zaręczyny w dniu ślubu, co dowodziło, jak bardzo jej na nim zależało. Nie chciała bynajmniej stać się powodem dramatu. Szczerze pragnęła zwykłego, spokojnego życia. A do kroku, na jaki się ważyła, konieczna była odwaga.

Uznał, że go to upokarza.

- Powinnaś stąd odejść razem ze mną, zanim wszyscy wstaną.

Usta jej drgnęły, jakby chciała powiedzieć: „Och, kochany”.

Musiał ją pocałować, zresztą bardzo lekko, bo czas naglił. Ale tym, co Lucy chciała powiedzieć, było:

- Nie mogę. Cofnął się, zdumiony.

- Nie możesz tu pozostać.

Lucy jednak potrząsnęła tylko głową.

- Ja... muszę postąpić, jak należy. Honorowo. - Siadła na łóżku i tak mocno zacisnęła palce na jego brzegu, aż jej zbieleły kostki.

Wydała się zdenerwowana, czemu trudno się było dziwić. Czekало ją dużo trudniejsze zadanie niż jego.

Sięgnął po jej dłoń. Nie wyciągnęła ku niemu ręki. Nie dlatego Zresztą, by się chciała od niego odsunąć. Wydało mu się raczej, że nie reaguje wcale na jego dotyk.

- Nie mogę stąd uciec i pozwolić, by Haselby czekał na darmo w kościele. - Przez moment patrzyła na niego błagalnie, a potem

odwróciła twarz. Nie widział jej wyrazu, lecz mógł się go domyślić. - Z pewnością mnie rozumiesz - dodała cicho.

Istotnie. Była to jedna z rzeczy, które najbardziej mu się w niej podobały. Potrafiła odróżnić dobro od zła, czasem nawet w sposób bezwzględny, ale nigdy nie zniżała się do moralizatorstwa czy protekcjonalności.

- Będę nad tobą czuwał.

Spojrzała na niego pytająco.

- Możesz potrzebować wsparcia.

- Jestem pewna, że sobie sama pora...

- W razie czego daj mi znak ręką. Będę obserwował dom. Jeśli uznasz, że konieczna jest moja pomoc, podejdź do okna i zrób tak.

Pokręcił dłonią, najpierw zwracając ją wnętrzem ku sobie, a potem od siebie.

Zrobiła taką minę, jakby chciała zaprotestować, w końcu jednak skinęła głową.

Gregory wstał, rozsunął ciężkie zasłony łóżka, pozbierał odzienie, bezładnie porozrzucane po podłodze, a potem szybko się ubrał. Lucy pozostała w środku, osłaniając się skromnie prześcieradłem. Wydało mu się to wzruszające i chętnie by się z nią teraz zaczął przekomarzać. Skończyło się wyłącznie na rozbawionym uśmiechu. Była to dla niej niełatwa noc. Należało jej teraz oszczędzić zażenowania.

Wyjrzał przez okno. Jeszcze nie nadeszła jutrzeńka, lecz na niebie zaczynała się już zarysowywać jaśniejsza, liliowa smuga, tak

piękna, że zapragnął, by Lucy też na nią spojrzała. Odwrócił się i ujrzał, że wkłada nocną koszulę. Kiedy przeszła bosą przez pokój, przygarnął ją delikatnie do siebie i wsparł brodę na czubku jej głowy.

- Spójrz tam.

Gwiazdy bladły już na niebie. Zapragnął nagle, by czas stanął w miejscu. Nigdy jeszcze nie doświadczył czegoś tak przejmującego do głębi. Zaczął całować Lucy - w szyję, usta, czoło, nos, a nawet wszystkie siedem piegów.

- Kocham cię - szepnął jeszcze raz.

- Ja ciebie też - odparła dziwnym, zduszonym głosem.

- Na pewno nie chcesz odejść stąd ze mną? - Wiedział wprawdzie, co odpowie, ale i tak zadał to pytanie.

- Muszę się z tym sama uporać.

- Co powie stryj?

- Nie wiem.

Ujął ją za ramiona i pochylił głowę, by spojrzeć jej w oczy.

- Czy może ci wyrządzić krzywdę?

- Nie. Na pewno nie - odparła tak szybko, że jej uwierzył. -Bądź spokojny.

- Na pewno nie będzie cię chciał zmusić do małżeństwa z Haselbym? Nie zamknie cię na klucz? Mógłbym tu przecież zostać, gdybyś uznała, że mnie potrzebujesz.

Skandal byłby wówczas jeszcze większy, lecz gdyby chodziło o jej bezpieczeństwo, zrobiłby wszystko.

- Gregory...

- Czy rozumiesz - przerwał jej - jak ciężko mi zostawiać cię tutaj po tym, co się stało?

Oczy zaszły jej łzami.

- Przysięgam sobie, że będę cię zawsze bronił. - Zdał sobie sprawę, że dopiero dziś naprawdę stał się mężczyzną. Po dwudziestu sześciu latach miłej, przyjemnej egzystencji miał wreszcie jakiś cel w życiu. - Gotów jestem przysiąc to również przed Bogiem, gdy tylko będę mógł. To wręcz bolesne i niegodne, że muszę cię tu zostawić samą.

Zgodziła się z nim w końcu, chociaż z ociąganiem.

- Przrzeknij, że dasz mi znak, gdyby coś stało ci na przeszkodzie, a ja zaraz się zjawię. Mogłabyś znaleźć schronienie u mojej matki lub którejs z sióstr. Żadna się nie ulęknie skandalu. Zrobią dla ciebie wszystko.

- Twoja rodzina musi być wspaniała.

- Teraz to również i twoja rodzina.

Czekał na odpowiedź, ale Lucy milczała. Ucałował jej dłonie.

- Wkrótce wszystko będzie już za nami. Lucy spojrzała na drzwi.

- Służba zaraz wstanie.

Odszedł więc. Wyślizgnął się chyłkiem, z butami w ręce, tą samą drogą, którą przyszedł.

Wciąż jeszcze było ciemno, gdy dotarł do niewielkiego parku niedaleko jej domu. Od ślubu dzieliły ją już tylko godziny, ale miał dość czasu, żeby wrócić do siebie i się przebrać. Wolał jednak nie

ryzykować. Przecież powiedział, że będzie nad nią czuwał. Nie chciał złamać obietnicy.

Dopiero wtedy dotarło do niego, że nie musi i nawet nie powinien czuwać sam. Gdyby trzeba było odwołać się do użycia siły, z pewnością potrzebowaliby pomocy.

Nigdy o nic nie prosił braci. Nigdy nie musiał błagać, by mu pomogli się wyplątać z kłopotów. Był młody, nieraz pił, grał w karty i flirtował z kobietami. Nigdy jednak nie przebrał miary i - aż do dzisiejszej nocy - nigdy też nie wdał się w ryzykowny romans. Może nie był aniołem, ale również nie szukał guza.

W oczach braci wciąż mimo to pozostawał chłopcem i podejrzewał, że nawet teraz, gdy miał już dwadzieścia sześć lat, nadal uważali go za niedorostka. Dlatego starał się unikać sytuacji, w której musiałby się do nich zwracać o pomoc.

Aż do dzisiaj.

Jeden z braci mieszkał ledwie kilkaset metrów dalej. Droga tam i z powrotem zajęłaby jakieś dwadzieścia minut, wliczając w to czas niezbędny do wyciągnięcia Colina z łóżka. Już zamierzał tam pobiec, gdy nagle spostrzegł na ulicy małego kominiarczyka. Chłopiec mógł mieć dwanaście czy trzynaście lat i wyglądał na kogoś, kto chętnie zarobiłby gwineę. Za taką właśnie cenę zgodził się zanieść Colinowi wiadomość.

Gregory patrzył, jak kominiarczyk skręca za róg, po czym powrócił do parku. Z tego miejsca doskonale widać było Fennsworth House. Wdrapał się na jedno z drzew i przylgnął do niskiej, grubej

gałęzi tuż przy pniu, a potem czekał. Kiedyś cała ta historia wyda mu się bardzo zabawna. Może będzie o niej nawet opowiadał wnukom?

Na razie było to, owszem, romantyczne, ale niezbyt podniecające. Zaczął rozcierać dłonie, bo przede wszystkim było mu zimno. Usiłował o tym nie myśleć. Cóż w końcu znaczą posiniałe palce, skoro chodzi o jego szczęście?

Z uśmiechem wpatrywał się w jej okno. Lucy była właśnie tam, za firanką. A on ją kochał. Przyszli mu na myśl przyjaciele. W większości cynicy wypatrujący ze znudzoną miną najnowszych debiutantek, którzy wciąż narzekali, że małżeństwo to tylko kłopot, że wszystkie damy są do siebie podobne i że miłość lepiej pozostawić poetom.

Co za głupcy. Miłość istniała.

Było jej pełno wszędzie. Należało jedynie na nią poczekać, a potem o nią walczyć. I on tak zrobi. Wystarczy, by Lucy dała mu znak, a popędzi jej na ratunek.

Zakochał się, więc nie istniały dla niego żadne, ale to żadne przeszkody.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie w ten sposób zamierzałem spędzić sobotni ranek?

Gregory ograniczył odpowiedź do kiwnięcia głową. Colin dołączył do niego cztery godziny temu, mówiąc jedynie: „A to ciekawe”.

Gregory opowiedział mu o wszystkim, łącznie z tym, co nastąpiło ostatniej nocy. Nie chciał wprawdzie obmawiać Lucy,

trudno jednak żądać od brata wielogodzinnego siedzenia na drzewie bez żadnych wyjaśnień. Zwierzenia sprawiły mu zresztą ulgę. Colin ani mu nie palnął reprimendy, ani go nie potępił. Po prostu go rozumiał.

Kiedy Gregory skończył swoją opowieść, wyjaśniając zwięźle, dlaczego czeka na zewnątrz Fennsworth House, Colin mruknął tylko:

- Pewnie nie wzięłeś ze sobą nic do jedzenia? Gregory uśmiechnął się szeroko. Jak dobrze mieć brata!

- Co za niedopatrzenie z mojej strony - wymamrotał Colin, lecz również się uśmiechnął.

Spojrzeni ku pałacowi, w którym wszczął się wreszcie ruch. Rozsuwano zasłony, zapalano i gaszono świece. Robiło się coraz jaśniej.

- Chyba powinna już wychodzić? - spytał Colin, wpatrzony w drzwi.

Gregory także był zaskoczony nieobecnością Lucy, ale wmawiał sobie, że jest ona dobrym znakiem. Gdyby stryj zamierzał zmusić ją do poślubienia Haselby'ego, musiałyby już jechać do kościoła.

Według jego zegarka - skądinąd niezbyt precyzyjnego czasomierza - ceremonia powinna się zacząć za niecałą godzinę.

Lucy nie dała mu jednak umówionego znaku. Coś się nie zgadzało.

Nagle Colin uniósł głowę.

- A cóż to takiego? - spytał, wskazując coś po prawej. - Jakiś pojazd wyjeżdża ze stajni.

Gregory ze zgrozą ujrzał, że frontowe drzwi Fennsworth House się otwierają, a służba śmiechem i wiwatowaniem wita powóz, który zatrzymał się tuż przed głównym wejściem.

Był to powóz weselny, co jakoś nikogo nie dziwiło.

Poczuł mrowienie w całym ciele i nieznośny ból napiętych mięśni.

Colin chwycił go za ramię.

- Stój!

Gregory miał oczy utkwione w tym przeklętym powozie.

- Ona musi być moja! Schodzę!

- Poczekaj! - upierał się Colin. - Patrz, co się będzie działo.

Może Lucy nie wyjdzie. Może...

Ale właśnie wyszła.

Na przedzie kroczył jej brat, wraz ze swoją młodą żoną. Za nimi z domu wynurzył się starszy mężczyzna - zapewne stryj - i staruszka, którą Gregory pamiętał z balu u Daphne. A potem Lucy. W ślubnej sukni.

- O Boże!

Szła całkiem swobodnie. Nikt jej nie zmuszał. Hermiona szepnęła jej coś na ucho, a Lucy się uśmiechnęła. Uśmiechnęła! Zaparło mu dech. Poczuł w piersi dotkliwy, dojmujący ból, który wkrótce ogarnął jego całe ciało, tak że nie był w stanie się poruszyć. Mógł tylko patrzeć. I myśleć.

- Czy mówiła, że nie zamierza się na to godzić? - szepnął Colin.



Gregory usiłował mu powiedzieć, że tak, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Próbował odtworzyć w myśli ich ostatnią rozmowę, słowo po słowie. Owszem, mówiła, że musi postąpić honorowo. Właściwie. I że go kocha.

Ale nie powiedziała, że nie poślubi Haselby'ego.

- O, Boże!

Brat położył dłoń na jego rękę.

- Bardzo ci współczuję.

Gregory patrzył, jak Lucy wsiada do odkrytego powozu wśród wiwatów służby. Hermiona poprawiała jej fryzurę i welon, a potem się roześmiała, gdy przejrzysta tkanina zaczęła falować na wietrze.

Niemożliwe.

Jak to się mogło stać?

- Nie - wyjąkał, bo było to jedyne słowo, jakie mógł teraz wypowiedzieć. - Nie!

A potem przypomniał sobie o umówionym sygnale. Powinna mu go dać. Nieważne, czy tam w głębi domu wydarzyło się coś, czemu nie mogła zapobiec. Teraz z niego wyszła i każdy mógł ją widzieć. Powinna dać mu ten znak! Musi go dać. Przecież wie, że ją widzi. Że na nią patrzy. Nie mógł oderwać oczu od jej prawej ręki.

Usłyszał, jak Richard pyta, czy nie brakuje nikogo. Nie dosłyszał, co odpowiedziała Lucy, bo jej głos utonął w chórze innych odpowiedzi. Nikt nie kwestionował jej obecności. Była przecież panną młodą.

A on - głupcem, który musiał patrzeć, jak powóz odjeżdża.

- Bardzo ci współczuję - powtórzył półgłosem Colin, gdy pojazd skręcił za róg.

- Ależ to zupełnie bez sensu - wyszeptał Gregory.

Colin zeskoczył z drzewa i wyciągnął ku niemu rękę, chcąc pomóc mu zejść.

- Całkiem bez sensu - powtórzył Gregory, zbyt wzburzony, by cokolwiek robić. Po chwili skorzystał jednak z pomocy brata.

- Nie wolno jej było tak postąpić. Przecież mnie kocha. Colin spojrzał na niego przyjaźnie, ale z litością.

- Nie - powiedział Gregory. - Nie! Nie znasz jej. Ona by nie... Colin zaś, który wiedział jedynie, że Lucinda Abernathy złamała serce jego bratu, spytał:

- A ty ją znasz?

Gregory cofnął się, jakby ktoś go uderzył w pierś.

- Tak. Znam ją.

Colin nie odpowiedział, uniośł jedynie brwi, jakby pytał: „No i co dalej”?

Gregory spojrzał ku narożnikowi domu, za którym dopiero co znikła Lucy. Przez chwilę stał bez ruchu. Potem odwrócił się i spojrzał bratu w twarz.

- Znam ją i wiem, co zrobię.

Colin chciał zadać mu jakieś pytanie, ale Gregory tylko spojrzał ku narożnikowi.

A potem rzucił się biegiem przed siebie.

## Rozdział 21

*w którym nasz bohater rzuca wszystko na jedną szalę.*

**J**esteś gotowa?

Lucy rozglądała się po wspaniałym wnętrzu kościoła Świętego Jerzego, podziwiając barwne witraże, wytworne łuki sklepienia i nieprzebrane mnóstwo kwiatów.

Myślała o Haselbym, który wraz z pastorem czekał na nią przy ołtarzu. O przeszło trzech setkach gości, którzy będą patrzeć, jak wejdzie tam wsparta na ramieniu brata. I o Gregorym. Z pewnością widział ją, kiedy w ślubnym stroju wsiadała do powozu weselnego.

- Lucy, jesteś gotowa? - powtórzyła Hermiona. Ciekawe, co by zrobiła, gdyby Lucy odpowiedziała: „Nie”?

Hermiona miała romantyczne usposobienie. Nie potrafiła trzeźwo myśleć. Zapewne uznałaby, że Lucy nie powinna się godzić na ten ślub. Nieważne, że są w kościele. Nieważne, że wśród gości jest sam premier, że podpisano już wszystkie dokumenty i odczytano zapowiedzi aż w trzech parafiach. Nieważne, że uciekając od ołtarza wywołałaby skandal, pamiętany przez dobre dziesięć lat. Powiedziałyby, że Lucy nie powinna godzić się na małżeństwo z rozsądku, skoro może je zawrzeć z miłości. Powiedziałyby...

- Lucy...

Musiała wrócić do rzeczywistości.

Lucy się odwróciła, zażenowana tym, że Hermiona z jej wyobrażeń wygłosiła tak pełną namiętności przemowę, w rzeczywistości zaś tylko się nieśmiało uśmiechnęła.

- Jesteś gotowa?

A Lucy - właśnie dlatego, że była sobą, czyli Lucy - przytaknęła. Nie mogła zrobić nic innego. Richard dołączył do nich.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że i ty wchodzisz za mąż - powiedział. Wcześniej spojrzał z miłością na żonę.

- Jestem od ciebie młodsza - przypomniała bratu. - A od ciebie o dwa miesiące starsza - zwróciła się do Hermiony.

- Tylko że ona nie jest moją siostrą - rzucił Richard z chłopięcym uśmiechem.

Lucy również się uśmiechnęła. Powinna się była uśmiechać, przychodziło jej to jednak z trudem. Dziś był dzień jej ślubu. Wykapano ją, skropiono pachnidłami i wystrojono w najwspanialszą suknię, jaką kiedykolwiek widziała, lecz w głowie miała zupełną pustkę. Gregory musi teraz o niej myśleć. Świadomie wprowadziła go w błąd, udając, że zamierza odwołać ślub.

Był to z jej strony postępek straszny, okrutny i niegodny. Okazała się tchórzem. Nie potrafiła spojrzeć mu w twarz i wyznać, że nadal zamierza wyjść za Haselby'ego.

O Boże! Jak mogłaby mu to wytłumaczyć? Upierałby się, że istnieje jakaś alternatywa, ale on nigdy nie musiał walczyć z czyjąś wrogością. Nie było innego wyjścia. Musiałaby poświęcić swoją rodzinę.

Nabrała głęboko tchu. Tak, zrobi to. Naprawdę. Może to zrobić. Przymknęła oczy i pochyliła nieco głowę, w której wciąż rozbrzmiewało: „Mogę to zrobić. Mogę... Mogę”.

- Lucy... - odezwała się z niepokojem Hermiona. - Źle się czujesz?

Otworzyła oczy i powiedziała jedną jedyną rzecz, w którą Hermiona mogłaby uwierzyć.

- Rachuję w pamięci.

- Czyś ty zwariowała?

- Być może.

Hermiona przypatrywała się jej podejrzliwie.

- O co ci chodzi? - spytała Lucy.

- Och, o nic. - Przyjaciółka zamrugnęła oczami. - Po prostu to było takie niepodobne do ciebie.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- To, że zgodziłaś się ze mną, kiedy powiedziałam, że zwariowałaś. Coś takiego jest bardzo nie w twoim stylu.

- A co miałam powiedzieć?

- Och, już nic. Normalnie powiedziałabyś coś w tym rodzaju: „Matematyka jest czymś niezwykle ważnym, a ty także powinnaś się ćwiczyć w rachunkach”.

- Czy naprawdę taka jestem?

- Jak najbardziej - odparła Hermiona z głębokim przekonaniem, którego nie sposób było zakwestionować. - Tylko że właśnie za to lubię cię najbardziej.

Lucy zdobyła się na kolejny uśmiech.

Może wszystko będzie dobrze. Może uda jej się zaznać trochę szczęścia. Jeśli tego ranka dwukrotnie potrafiła się zdobyć na uśmiech, nie jest źle. Musi tylko wytrwać. Chciała, żeby już było po wszystkim. Żeby to się wreszcie skończyło. Żeby Gregory stał się dla niej jedynie przeszłością. Żeby mogła przynajmniej udawać, iż zaczyna nowe życie jako żona Haselby'ego.

Hermiona uprosiła Richarda, aby pozwolił jej zostać z Lucy sam na sam, tylko na chwilę. Potem ujęła ją za rękę, szepcząc:

- Lucy, czy jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

Lucy spojrzała na nią zaskoczona. Dlaczego Hermiona zadaje jej takie pytanie? Akurat w tym momencie, kiedy ona sama chciałaby stąd uciec?

Przecież się uśmiechała! Czyż Hermiona nie widzi, że ona, Lucy, się uśmiecha?

- Tak, oczywiście. Jak możesz pytać mnie o coś podobnego? Przyjaciółka nie odpowiedziała, ale w jej wielkich, zielonych oczach, na których widok mężczyźni tracili głowę, można było tę odpowiedź wyczytać.

Lucy musiała się odwrócić. Nie mogła znieść tego, co w nich ujrzała.

A Hermiona wyszeptała tylko:

- Lucy...

I nic więcej.

Chciała ją spytać, co pragnie przez to powiedzieć. Dlaczego wymówiła jej imię tak, jakby zanosilo się na jakąś tragedię? Nie zrobiła tego. Nie potrafiła. Miała tylko nadzieję, że Hermiona okaże się domyślna.

I chyba tak właśnie było, bo dotknęła jej policzka ze słowami:

- Jesteś najsmutniejszą panną młodą, jaką widziałam. Lucy przytknęła oczy.

- Wcale mi nie jest smutno, tylko czuję...

Nie wiedziała, co czuje. Ani co powinna czuć. Nie przygotowano jej do tego. Nie nauczyły jej tego nianki, guwernantka ani szkoła panny Moss. Dlaczego nikt nie rozumie, że to dużo ważniejsze niż robótki ręczne albo kontredans?

- Czuję się tak, jakbym mówiła: „Do widzenia”.

- Komu? - zdumiała się Hermiona.

- Sobie samej.

I tak istotnie było. Zegnała się ze sobą. Z osobą, którą mogła być, lecz nigdy nie będzie.

Poczuła na ramieniu rękę brata.

- Już czas zaczynać. Przytaknęła bez słowa.

- Gdzie twój bukiet? - spytała Hermiona. - Och, tam leży! -

Porwała kwiaty, razem z własnymi, ze stolika i wręczyła je Lucy.

- Powinnaś być szczęśliwa - wyszeptała, całując ją w policzek. - Musisz być. Nie przeżyłabym, gdyby było inaczej!

Wargi Lucy zadrgały.

- Och, moja droga, mówię teraz całkiem jak ty! Widzisz, jaki masz na mnie dobry wpływ? - ciągnęła przyjaciółka.

Ucałowała ją jeszcze raz i wyszła z kaplicy.

- Czas na ciebie - powiedział Richard.

- Tak mi się wydaje.

I tak naprawdę było.

Poszła ku środkowemu przejściu między ławkami, stanęła przed wszystkimi i ukloniła się pastorowi, a potem spojrzała na Haselby'ego i upomniała się w myśli, że mimo... hm... pewnych... swoich skłonności, które zresztą nie były dla niej w pełni jasne, okaże się zapewne całkiem możliwym do przyjęcia mężem.

Musiała w to wierzyć.

Bo gdyby powiedziała: „Nie”...

Nie wolno jej tego zrobić!

Kątem oka dostrzegła, że Hermiona stoi koło niej z pogodnym uśmiechem. Przyjechała razem z Richardem dwa dni wcześniej. Oboje wręcz promienieli, śmiali się, żartowali i mówili o oranżerii, którą mają zamiar wybudować w Fennsworth House. Chcieli mieć oranżerię. No i pokój dziecienny.

Jakże mogła im to wszystko odebrać? Jak mogła ich skazać na życie w hańbie i niedostatku?

Usłyszała, jak Haselby mówi: „Tak”. Nadeszła jej kolej.

- Czy chcesz pojąć tego oto mężczyznę za małżonka i z woli boskiej razem z nim wstąpić w święty stan małżeński? Czy przyrzekasz mu posłuszeństwo, miłość i oddanie tak w zdrowiu, jak i



w chorobie? Czy poświęcisz wszystko inne i dochowasz mu wiary aż do śmierci?

Usiłowała nie myśleć o Gregorym, kiedy mówiła: „Tak”.

Wyraziła zgodę. Czy już po wszystkim? Nie czuła się wcale inaczej niż przedtem. Wciąż była tą samą, zasnę Lucy. Stała tylko przed o wiele większym zgromadzeniem ludzi niż kiedykolwiek, a jej brat zaprowadził ją do ołtarza.

Pastor włożył jej prawą dłoń w rękę Haselby'ego, on zaś wypowiadał słowa ślubowania głośno, stanowczo i wyraźnie.

Rozdzielili się, a potem Lucy ujęła go za rękę.

- Ja, Lucinda Margaret Catherine, pojmuję ciebie, Arthura Fitzwilliamia George'a, za męża.

Lucy powtarzała te słowa za pastorem, gdy drzwi kościoła otworzyły się z trzaskiem. Odwróciła się. Wszyscy zrobili to samo. Gregory.

Dobry Boże!

Wyglądał jak szaleniec, a dyszał tak ciężko, że ledwie mógł mówić. Chwiejnym krokiem ruszył przed siebie. Potem chwycił kurczowo brzeg ławki kościelnej, żeby móc utrzymać się na nogach.

- Nie rób tego! - usłyszała.

Serce w niej zamarło, bukiet wypadł z rąk. Nie mogła się odezwać, stała tylko nieruchomo niczym posąg, podczas gdy on szedł ku niej, najwyraźniej nie zwracając uwagi, że wpatruje się w niego kilkaset osób.

- Nie rób tego! - powtórzył.

Wszyscy milczeli. Dlaczego nikt się nie odzywał? Przecież ktoś powinien podbiec, chwycić go za ramiona, odciągnąć w tył...

Nikt tego jednak nie zrobił. Całkiem jakby patrzyli na przedstawienie w teatrze i za nic nie chcieli przegapić finału.

W końcu się zatrzymał, przed wszystkimi. A potem powiedział:

- Kocham cię.

Usłyszała, jak Hermiona, która stała tuż przy niej, szepcze:

- O mój Boże!

Lucy miała ochotę krzyknąć.

- Kocham cię - powtórzył i znów zaczął iść ku niej, nie spuszczać oczu z jej twarzy.

- Nie rób tego! - oznajmił, kiedy doszedł do końca nawy. - Nie wychodź za niego.

- Gregory - wyjąkała. - Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo cię kocham - odparł, jakby te słowa były jedynym możliwym wyjaśnieniem.

Z gardła wyrwał jej się cichy jęk, poczuła łzy pod powiekami, a całe jej ciało zeszywniało. Zdawało się jej, że wystarczy lekki powiew, byle tchnienie, by padła na ziemię. Och, Boże! A co z lordem Haselbym?!

Spojrzała na pana młodego, który - niespodziewanie pozbawiony głównej roli - stał w milczeniu przez cały ten czas, śledząc niezwykle spektakl z takim samym zainteresowaniem jak reszta gości. Błagała go wzrokiem, żeby zapanował nad tym chaosem, lecz on tylko ledwie

dostrzegalnie pokręci! głową. Dostrzegła jednak ten ruch i wiedziała, co oznacza. „To zależy od ciebie”.

Gregory z pałającym wzrokiem przykląkł na jedno kolano. Siła się, żeby mu powiedzieć: „Przestań”, lecz nie mogła poruszyć wargami ani wydać z siebie żadnego dźwięku.

- Wyjdź za mnie - powiedział Gregory, a ona odczuła brzmienie tego głosu wręcz fizycznie. Ogarnął całe jej ciało, objął ją, przylgnął do niej.

Dobry Boże, jak bardzo tego chciała! Bardziej niż czegokolwiek pragnęła teraz ukleknąć przy nim, ująć jego twarz w dłonie, pocałować go i wykrzyknąć głośno całą swoją miłość do niego. Tu, przed wszystkimi.

Pragnęła tego wczoraj i przedwczoraj, ale nic się przecież od tamtej pory nie zmieniło.

Ojciec nadal pozostawał zdrajcą.

Rodziny nie przestano by szantażować.

Los brata i Hermiony był w jej rękach.

Spojrzała na Gregory'ego z bólem. Serce się jej krajało na myśl o tym, co musi zrobić.

- Wyjdź za mnie - wyszeptał.

A wtedy ona powiedziała:

-Nie.

## - Nie. *Rozdział 22*

### *W którym rozpętuje się pandemonium*

**A** potem nastąpiło istne piekło.

Lord Davenport skoczył ku Gregory'emu. To samo zrobili stryj Lucy i Colin, który dogonił go dopiero na stopniach kościoła, daremnie ścigając brata przez całą dzielnicę Mayfair.

Richard usiłował ochronić i ją, i Hermionę przed ogólnym zamieszaniem, lecz Haselby, który dotąd przyglądał się wszystkiemu niczym zaintrygowany widz, spokojnie ujął narzeczoną za rękę ze słowami:

- Ja się nią zajmę.

Lucy otworzyła z przerażenia usta, gdy Davenport runął na Gregory'ego, przygniatając go całym ciężarem potężnego cielska.

- Mam go! - wrzasnął triumfalnie, ale zaraz oberwał po głowie, gdy rozsierzona Hiacynta St. Clair z trzaskiem wymierzyła mu cios torebką.

Lucy zamknęła oczy.

- To chyba nie jest ślub twoich marzeń? - mruknął jej do ucha Haselby.

Pokręciła głową, zbyt odrętwiała, by się zdobyć na cokolwiek innego. Powinna przyjść z pomocą Gregory'emu, czuła się jednak wyzuta z wszelkiej energii i zbyt tchórzliwa, by znaleźć się z nim twarzą w twarz.

Co będzie, jeżeli ją odepchnie?

Co będzie, jeżeli nie zdoła go powstrzymać?

- Mam nadzieję, że uda mu się wydostać spod mojego ojca - ciągnął Haselby tonem tak doskonale zrównoważonym, jakby obserwował co najwyżej niezbyt interesujące wyścigi konne. - Waży dobrze ponad sto dwadzieścia kilo, chociaż nie chce przyznać się, że aż tyle.

Lucy z trudem mogła pojąć, że ktoś z równym spokojem może reagować na dziki tumult, w jaki przeobraziło się kościelne zgromadzenie. Nawet premier zmuszony był opędzać się przed zażywną damą w wytwornym kapeluszu ozdobionym sztucznymi owocami, która tłukła każdego, kto nawinął się jej pod rękę.

- Ona chyba niczego nie widzi - uznał Haselby, idąc za spojrzeniem Lucy. - Cała kiść winogron zwisa jej z runda.

Wielkie nieba, kimże właściwie był ten mężczyzna, którego dopiero w połowie poślubiła? Owszem, coś sobie wzajemnie przyrzekli, tylko że nie ogłoszono ich jeszcze mężem i żoną. Spokój Haselby'ego, isticie stoicki, biorąc pod uwagę sytuację, był wręcz zdumiewający.

- Dlaczego pan nic nie mówił? - spytała.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Wtedy, kiedy Bridgerton wyznawał ci miłość?

Nie, kiedy pastor tak rozwlekłe plótł coś o sakramencie małżeństwa, miała ochotę się odciąć. Zamiast tego tylko mechanicznie potaknęła.

Haselby przechylił głowę na bok.

- Chyba chciałem się przekonać, co zamierzasz zrobić.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Cóż on by począł, gdyby powiedziała: „Tak”?

- Nawiasem mówiąc - ciągnął - jestem człowiekiem honorowym i będę dla ciebie dobrym mężem. Możesz być o to spokojna.

Lucy odebrało mowę. Davenporta zdołano jakoś ściągnąć z Gregory'ego, a kilku innych mężczyzn - których zresztą nawet nie znała - starało się wywlec go z kościoła. Mimo to Bridgerton nadal walczył, by zbliżyć się do niej.

- Och, proszę cię - szepnęła, mimo że nie mógł jej teraz słyszeć. Proszę, nie rób tego!

Gregory wszakże nie rezygnował. Mimo że walczyło z nim aż dwóch mężczyzn, zdołał dopaść stopni ołtarza. Uniósł głowę i patrzył na nią rozognionymi oczami, tak pełnymi bólu, że niemal zamarła na ten widok.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał.

Lucy zaczęła drżeć. Czy miała go okłamać? Tu, w kościele, gdzie doznał takiego upokorzenia z jej przyczyny?

- Dlaczego? - powtórzył.

- Bo musiałam!

Dojrzała w jego wzroku coś innego niż rozczarowanie, lecz nie umiała powiedzieć, co to właściwie było.

Gregory już otwierał usta, żeby się odezwać, żeby zadać jej jakieś pytanie, lecz właśnie wtedy do zmagających się z nim

mężczyzn dołączył trzeci i wszyscy razem zdołali go w końcu wywlec z kościoła.

Lucy ledwie potrafiła utrzymać się na nogach.

- Jak mogłaś?!

Hiacynta St. Clair zdołała jakimś trafem przedostać się do niej i patrzyła na nią tak, jakby Lucy była uosobieniem zła.

- Nie zrozumiesz tego.

Siostra Gregory'ego ciągnęła jednak z furją:

- Jesteś nędznicą bez charakteru! - syknęła. - Nie zasługujesz na niego!

Lucy pokręciła bezradnie głową. W gruncie rzeczy skłonna była się z nią zgodzić.

- Mam nadzieję, że...

- Hiacynto!

Jeszcze jedna kobieta wkroczyła na scenę, matka Gregory'ego. Lucy pamiętała, że została jej przedstawiona na balu w Hastings House.

- Dostyc tego! - rzekła stanowczo. Lucy była bliska łez.

- Proszę nam łaskawie wybaczyć. - I lady Bridgerton odciągnęła córkę na bok.

Lucy patrzyła w ślad za nimi z dziwnym uczuciem, że wszystko, co się dzieje, dotyczy kogoś innego, nie jej. Że to tylko jakiś straszny sen albo scena z niesamowitej powieści. Może całe jej życie to jedynie twór czyjejś imaginacji i zniknie, gdy tylko zdoła przymknąć oczy?

- Może już z tym skończymy?

To był Haselby. Ojciec, który stał przy nim, miał najwyraźniej takie samo zdanie, ale dał temu wyraz w dużo mniej uprzejmych słowach.

Zgodziła się.

- W porządku - mruknął Davenport - rozsądna dziewczyna!

Zacęła się zastanawiać, co właściwie może oznaczać komplement ze strony hrabiego. Chyba nic dobrego. Pozwoliła jednak, żeby zaprowadził ją ponownie przed ołtarz i tam, wobec połowy gości (druga połowa wolała asystować widowisku rozgrywającemu się na zewnątrz), poślubiła w końcu Haselby'ego.

- Co ty sobie właściwie myślałeś?

Gregory dopiero po chwili zrozumiał, że matka zwraca się z tym pytaniem do Colina, a nie do niego. Siedzieli w jej powozie, do którego ich wepchnięto, gdy tylko opuścili kościół. Nie wiedział, dokąd jadą, lecz zapewne jak najdalej od kościoła Świętego Jerzego.

- Staralem się go powstrzymać! - zaprotestował Colin. Nigdy im się jeszcze nie zdarzyło widzieć tak rozgniewanej matki.

- Najwyraźniej nie starałeś się należycie!

- Wiesz, jak szybko on potrafi biec?

- Bardzo szybko - potwierdziła Hiacynta, nie patrząc na nich.

Siedziała po przeciwnej stronie i na ukos od niego, wyglądając przez okno przymrużonymi oczami.

Gregory milczał.

- Och, Gregory! - Violet westchnęła. - Mój ty biedaku!

- Będziesz teraz musiał zniknąć z Londynu - mruknęła siostra.



- Owszem, i ja tak myślę - uznała matka. - Nie ma innej rady.

Gregory nadal milczał. Co Lucy miała na myśli, mówiąc: „Bo musiałam”? Co to mogło znaczyć?

- Nigdy jej nie będę przyjmować u siebie! - prychnęła gniewnie Hiacynta.

- W końcu zostanie kiedyś hrabiną - przypomniał jej Colin.

- Może sobie być nawet zakichaną królową...

- Hiacynto, przestań! - zachnęła się matka.

- Ani myślę! - warknęła. - Nikt nie ma prawa tak traktować mojego brata. Nikt!

Violet i Colin popatrzyli na nią jednocześnie - Colin z rozbawieniem, Violet z niepokojem.

- Zniszczę ją! - ciągnęła Hiacynta.

- Nie - odezwał się wreszcie Gregory. - Nie zrobisz tego. Reszta rodziny zamilkła. Gregory podejrzewał, że aż do tej pory nie zdawali sobie sprawy z jego milczenia.

- Zostawisz ją w spokoju -dodał. Siostra zgrzytnęła zębami.

- A jeśli przypadkiem się z nią zetkniesz, będziesz dla niej jak najuprzejmiejsza. Rozumiesz mnie? - ciągnął Gregory twardo i bezwzględnie.

Nie odpowiedziała.

Rodzina patrzyła na nich zdumiona. Nigdy jeszcze nie wdzieli, żeby się uniósł. A potem Hiacynta, która nigdy nie słyszeła z taktu, odparła:

- W gruncie rzeczy nie. Nie rozumiem!

- Coś ty powiedziała? - spytał lodowato właśnie w chwili, gdy Colin syknął do niej:

- Zamknij się!

- Ze cię nie rozumiem - ciągnęła Hiacynta, dźgnąwszy uprzednio Colina łokciem w żebra. - Jak w ogóle możesz się zdobyć na życzliwość wobec niej? A co byś zrobił, gdyby to mnie coś takiego...

- Ciebie to nigdy nie spotka - uciał. - A poza tym nie znasz jej. Nie wiesz też, dlaczego tak zrobiła.

- A ty wiesz?

Nie wiedział. I to właśnie było najgorsze.

- Nadstaw drugi policzek, Hiacynto - mruknęła matka.

Dziewczyna mimo całego gniewu ugryzła się w język.

- Może byś spędził jakiś czas u Benedicta i Sophie w Wiltshire?

- podsunęła Gregory'emu matka. - Anthony i Kate lada chwila przyjadą do Londynu, nie możesz więc udać się do Aubrey Hali, choć skądinąd sądzę, że nie mieliby nic przeciwko temu, byś tam przebywał pod ich nieobecność.

Gregory patrzył bez słowa w okienko powozu. Nie chciał wyjeżdżać na wieś.

- Mógłbyś wyruszyć w jakąś podróż - podsunął mu Colin. - We Włoszech jest wyjątkowo pięknie o tej porze roku. Poza tym jeszcze tam nigdy nie byłeś.

Gregory zaprzeczył milcząco. Niezbyt uważnie zresztą słuchał brata. Nie wybierał się do Włoch.

Powiedziała: „Bo musiałam”, a nie „Bo tego chciałam”. Ani że zrobiła to z rozsądku. Tylko że musiała. Co to mogło znaczyć? Ktoś ją zastraszył, a może szantażował?

Cóż takiego mogłaby jednak zrobić Lucy, żeby ją szantażowano?

- Z pewnością byłoby jej trudno odmówić zgody na ślub. - Violet z nagłym współczuciem położyła mu rękę na ramieniu. - Nikt nie chciałby robić sobie wroga z lorda Davenporta. A już na pewno nie w kościele, wobec wszystkich... No cóż - westchnęła z rezygnacją - wymagałoby to wyjątkowej odwagi, a także siły wewnętrznej. - Urwała i pokiwała głową. - Jak również zdolności przewidywania.

- Co takiego? - zdziwił się Colin.

- Przewidywania, co będzie później - uściśliła Violet. - Chodziłoby przecież o potężny skandal.

- To już jest potężny skandal - wymamrotał Gregory.

- Owszem, ale byłby jeszcze większy, gdyby nie wyszła za Haselby'ego. Co nie znaczy, że jestem temu rada. Wiesz przecież, że z całego serca pragnę twojego szczęścia. Lecz jej postępowanie zyska aprobatę. Będzie się ją uważać za rozsądną dziewczynę.

Gregory uśmiechnął się słabo, samym kątem ust.

- A mnie za oszalałego z miłości głupca. Nikt z bliskich nie zaprzeczył.

- Muszę przyznać, że jakoś całkiem dzielnie to znosisz - odezwała się po chwili matka. Miała rację.

- Myślałam, że... - Urwała. - Zresztą nieważne. To, co sobie myślę, nie jest istotne. Liczy się rzeczywistość.

- Nie! - Gregory nagle spojrział na nią ze złością. - A co sobie właściwie myślałaś? Jak, twoim zdaniem, powinienem był postąpić?

- Nieważne jak. - Matkę najwyraźniej zaskoczyło nagłe pytanie. - Po prostu wolałabym, żebyś... żebyś okazał teraz więcej gniewu.

Przez chwilę patrzył na nią, a potem ponownie przeniósł wzrok za okno. Przejeżdżali właśnie przez Piccadilly, kierując się w stronę Hyde Parku. Rzeczywiście, dlaczego nie poddał się gniewowi? Dlaczego nie tłukł pięściami w ścianę pojazdu? Odkąd wywleczono go z kościoła i siłą wepchnięto do tej karety, ogarnęła go dziwaczna, nienaturalna apatia.

Zabrzmiały mu ponownie w myślach słowa matki: „Wiesz przecież, że z całego serca pragnę twojego szczęścia”. Lucy go kochała. Był tego pewien. Widział tę miłość w jej oczach, nawet w chwili, gdy mówiła: „Nie”. Był pewien jej uczucia, bo mu o tym powiedziała, a w takich sprawach Lucy nie kłamała. Poznał to po sposobie, w jaki go całowała, po gorącym uścisku.

Kochała go. Cokolwiek zmusiło ją do poślubienia Haselby'ego, musiało ją to przerastać. Coś jej groziło. Potrzebowała jego pomocy.

- Gregory... - odezwała się półgłosem matka. - Co ty robisz najlepszego?

Nawet nie zauważył, że gorączkowo zaciska pięści i wyłamuje sobie palce.

- Zatrzymajcie powóz.

Wszyscy zwrócili ku niemu twarze, nawet Hiacynta, która ostentacyjnie patrzyła cały czas w okno.

- Zatrzymajcie - powtórzył.
- Dlaczego? - spytała podejrzliwie matka,
- Duszno mi - odparł. Nie było to zresztą zupełnie kłamstwo.

Colin zastukał w przednią ściankę.

- Przejdę się z tobą.
- Nie. Chcę być sam.
- Gregory... - zaniepokoiła się matka. Chyba nie zamierzasz...
- Po raz drugi szturmować kościoła? - dokończył za nią i uśmiechnął się krzywo. - Chyba mam już dosyć na dzisiaj, nie uważacie?

- Do tej pory zdążyli już zawrzeć małżeństwo - mruknęła siostra. Gregory stłumił w sobie chęć spiorunowania jej wzrokiem.

Nigdy nie traciła sposobności, żeby mu dociąć.

- Jasne, że tak.
- Wolałabym jednak, żeby ktoś ci towarzyszył. - Niebieskie oczy

Violet nadal pełne były troski.

- Pozwól, niech sobie idzie - powiedział cicho Colin. Gregory się zdumiał. Nie spodziewał się wsparcia z jego strony.

- W końcu jest mężczyzną - dodał Colin. - Może sam o sobie decydować.

Nawet Hiacynta nie próbowała się sprzeciwić. Powóz stanął, a stangret pojawił się koło drzwiczek i otworzył je na znak dany przez Colina.

- Wolałabym mimo wszystko, żebyś został - odezwała się Violet.  
Gregory ucałował ją w policzek.

- Muszę się trochę przewietrzyć. Nic więcej.

Gdy wysiadł, Colin zawołał, zanim zamknięto drzwi:

- Nie zrób czegoś głupiego!

- Tylko wtedy, jeśli będzie to konieczne - obiecał mu Gregory i ruszył przed siebie. Na południe, z dala od kościoła Świętego Jerzego.  
Gdy tylko skręcił w najbliższą ulicę, zaczął biec.

## Rozdział 23

*w którym nasz bohater po raz drugi rzuca wszystko na jedną szalę.*

**P**rzez całe dziesięć lat, odkąd został jej prawnym opiekunem, stryj nie wydał żadnego przyjęcia. Nie był kimś, komu uśmiechałyby się zbędne wydatki. Zresztą on sam także się nie uśmiechał. Lucy wydało się więc niemal podejrzane, że urządził w Fennsworth House imponującą fetę z okazji jej ślubu.

Z pewnością zrobił tak, bo życzył sobie tego lord Davenport. Stryj ograniczyłby się zapewne do podania herbaty z ciastem i uznałby, że to całkiem wystarczy.

Wesele musiało być jednak huczne w najprawdziwszym sensie tego słowa. Tuż po ceremonii kościelnej Lucy szybko znalazła się z powrotem w swoim dotychczasowym domu i miała tylko tyle czasu, by obmyć zimną wodą twarz, nim ją wezwano do witania gości piętro niżej.

Ze zdziwieniem przekonała się, przyjmując życzenia, że cała socjeta zachowuje się jak gdyby nigdy nic. Och, nazajutrz w dobrym towarzystwie nie będzie się mówiło o niczym innym, a Lucy stanie się głównym tematem rozmów na długie miesiące i z pewnością przez następny rok każdy, kto tylko o niej wspomni, zaraz doda:

- No wiecie, ta od ślubu.

Po czym niewątpliwie rozlegnie się czyjeś:

- Och, och! To właśnie ona?

Teraz jednak słyszała wyłącznie, „Cóż za miła okazja” albo „Jest pani przepiękną panną młodą”. No i, oczywiście, dyskretne „Jakaż to była piękna ceremonia, lady Haselby!”

Lady Haselby, powtórzyła w myśli. Była od dziś lady Haselby. A chciałyby nosić nazwisko Bridgerton. W końcu nie wyszłyby przecież za człowieka z gminu! Lady Bridgerton brzmiało dobrze. No, może nie tak efektownie jak „lady Haselby”, a już na pewno nie jak „hrabina Davenport”, ale...

Z trudem przełknęła ślinę, usiłując zachować na twarzy grzecznościowy uśmiech, na który zdobyła się pięć minut wcześniej. Wolałyby zostać lady Lucindą Bridgerton - szczęśliwą, pogodną osobą, która wie, jak udane życie, ma psa, może nawet dwa psy, kilkoro dzieci i miły, przytulny dom, gdzie w dobrym humorze pije herbatę z przyjaciółmi.

To się jednak nigdy nie stanie. Wyszła za lorda Haselby'ego, została jego żoną i tak naprawdę ani rusz nie potrafiła sobie wyobrazić

swojego przyszłego życia. Nie rozumiała, co to właściwie znaczy być lady Haselby.

Przyjęcie było gwarne. Lucy obowiązkowo zatańczyła na początku z małżonkiem, który - co z ulgą stwierdziła - okazał się całkiem doświadczonym tancerzem. Potem tańczyła z bratem, niemalże przyplacając to bólem głowy, a następnie ze stryjem, bo tego od niej oczekiwano.

- Postąpiłaś, jak należy - mruknął. Milczała. Była całkiem innego zdania.

- Jestem z ciebie dumny.

O mało nie parsknęła śmiechem.

- Przedtem nigdy nie byłeś...

- A teraz jestem.

Nie umknęło jej uwagi, że nie ma w tym żadnej sprzeczności.

Stryj odprowadził ją po tańcu na bok, później zaś... O, Boże! Musiała zatańczyć z hrabią Davenportem. Co zresztą zrobiła bez szemrania, bo wiedziała, że to jej obowiązek. Tego dnia wyjątkowo dobrze wiedziała, co należy do jej obowiązków.

Przynajmniej nie musiała silić się na konwersację, bo Davenport, w humorze wręcz szampańskim, mówił za dwoje. Był nią po prostu zachwycony. Jak to dobrze, że wejdzie do jego rodziny! I tak dalej, bez końca. Lucy zrozumiała, że zdołała sobie raz na zawsze zaskarbić sympatię hrabiego, bo nie tylko poślubiła jego syna o dwuznacznej reputacji, ale w dodatku zrobiła to na oczach całej elity, podczas nieoczekiwanego spektaklu godnego wręcz Drury Lane.



Przechyliła tylko dyskretnie głowę na bok, bo gdy lord Davenport był podniecony, ślina pryskała mu z ust co chwila. Lucy sama już nie wiedziała, co jest gorsze - czy jego pogarda, czy bezbrzeżna wdzięczność.

Na szczęście nie musiała więcej tańczyć ze swoim teściem. Udało się jej tego uniknąć z zaskakującą łatwością jak na pannę młodą. Nie miała ochoty patrzeć na Davenporta, bo go nienawdziła. Nie miała ochoty patrzeć na stryja, bo była niemal pewna, że i jego również nienawdzi. Nie chciała też patrzeć na Haselby'ego, bo wtedy nieuchronnie przychodziła jej na myśl czekająca ją noc poślubna. Nie chciała patrzeć na Hermionę, która od razu zaczęłaby ją o wszystko wypytywać, a wówczas Lucy musiałaby się rozpląkać.

Nie chciała także oglądać brata, bo z pewnością towarzyszyłaby mu Hermiona, co przepelniłoby ją goryczą. To zaś z kolei przepelniłoby ją poczuciem winy. Nie mogła mieć co prawda pretensji do Richarda, że jest nieprzytomnie wręcz szczęśliwy, a ona nie, lecz tak czy inaczej wolała go nie widzieć.

Pozostawali więc goście, których w większości nie znała. Nie było wśród nich nikogo, z kim pragnęłaby się spotkać.

W końcu wycofała się w kąt, a że po kilku godzinach wszyscy mieli co nieco w czubie, nikt nie zauważył, że panna młoda siedzi sama jedna.

Nikt też z pewnością nie zauważył tego, że wymknęła się później do swojej sypialni, żeby nieco odpocząć. Ucieczka z własnego przyjęcia weselnego niewątpliwie jest bardzo niewłaściwym

postępkiem, lecz Lucy o to nie dbała. Ludzie pomyślą zapewne, że poszła do gotowalni - jeśli w ogóle ktoś dostrzeże jej nieobecność. Zresztą w jakiś niewytłumaczalny sposób odosobnienie wydawało się jej tego dnia rzeczą właściwą.

Pobiegła więc na górę kuchennymi schodami, nie chcąc się natknąć na jakiegoś zabląkanego gościa. Z westchnieniem ulgi weszła do pokoju, zamknęła za sobą drzwi, a potem wsparła się o nie plecami. Teraz wreszcie mogę zapłakać, pomyślała.

Pragnęła tego. Naprawdę. Czowała się tak, jakby powstrzymywała w sobie płacz przez całe godziny, czekając na tę jedyną chwilę prywatności. A jednak łzy nie nadchodziły. Była zbyt oszołomiona i znużona tym, co zaszło w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Stała więc tylko i patrzyła na łóżko. Jeszcze niedawno leżała tam w ramionach Gregory'ego, a wydawało się jej, że minęły od tego czasu całe lata. Życie jej dzieliło się odtąd na dwie połowy i nieodwołalnie tkwiła już w tej drugiej.

Przymknęła oczy. Może wspomnienia znikną, gdy nie będzie patrzyła w tamtą stronę? Może gdyby...

- Lucy.

Zdrętwiała. Dobry Boże... Nie!

- Lucy.

Powoli uniosła powieki.

- Gregory? - szepnęła.

Wyglądał okropnie. Miał zmierzwione włosy i był tak brudny, jak tylko można być po szaleńczej jeździe konnej. Pewnie wślizgnął się tu w ten sam sposób, co zeszłej nocy. I czekał na nią.

Próbowała coś powiedzieć. Bez powodzenia.

- Lucy- powtórzył, a jego głos zdawał się przenikać ją na wskroś, wnikać w nią.

- Po co przyszedłeś?

Zbliżył się do niej. Och, jak bardzo pragnęła jego bliskości. Był taki przystojny, taki jej drogi, taki bliski. Znała na pamięć zarys jego policzka i kolor tęczy, brązowych wokół źrenicy, a zielonkawych z brzegu. Znała wykrój warg, uśmiech, sposób, w jaki marszczył brwi. Znała go całego, tak dobrze.

- Nie powinno cię tu być - rzekła tonem równie sztywnym, jak jej poza.

Zbliżył się jeszcze o krok. W jego oczach nie było gniewu. Nie rozumiała tego. Patrzył na nią żarliwie, zaborczo, tak jak nie wolno patrzeć na żadną mężatkę komuś, kto nie jest jej mężem.

- Muszę wiedzieć, dlaczego to zrobiłaś - odezwał się wreszcie. - Nie pozwolę ci stąd odejść, dopóki się nie dowiem, o co tu chodzi.

- Proszę cię, daj spokój.

Nie zmuszaj mnie do żalu, tęsknoty i pragnień. - Przycisnęła kurczowo ręce do piersi. Nie chciała niczego widzieć ani słyszeć. Pragnęła tylko samotności.

- Lucy...

- Przestań - odparła, tym razem ostrzejszym tonem.

On jednak podszedł do niej bliżej. Powoli, ale bez wahania.

- Lucy, wyjaśnij mi tylko prawdziwy powód. Niczego więcej nie chcę. Potem sobie pójdę i przyrzekam, że się nigdy więcej do ciebie nie zbliżę. Ale muszę wiedzieć, dlaczego tak postąpiłaś.

- Nie mogę ci tego wyjawić.

- Nie chcesz - poprawił ją.

- Nie! - krzyknęła, niemal się dławiąc tym słowem. - Nie mogę!

Proszę, idź stąd!

Przez dłuższą chwilę milczał i tylko na nią patrzył. Zaczęła w niej narastać panika. Powinna krzyczeć, wezwać służbę, by go stąd usunięto. Uciec z tego pokoju, nim Gregory zdoła zrujnować wszystkie widoki na jaką taką przyszłość. Ale nic nie zrobiła i nadal stała bez ruchu.

- Ktoś cię szantażuje.

Było to stwierdzenie, a nie pytanie.

Nie odpowiedziała mu, wiedziała jednak, że wyraz twarzy ją zdradza.

- Lucy - powiedział cicho i ostrożnie - przecież mogę ci pomóc. Obojętne, o co tu chodzi, zdołam się z tym uporać.

- Nie, nie zdołasz. I jesteś głupcem, jeżeli tak uwa... - Urwała, bo wściekłość odebrała jej mowę. Skąd czerpał tę pewność, skoro nie wiedział, przez co musiała przejść? Sądził, że ugięła się z jakiegoś błahego powodu, z którym łatwo można sobie poradzić? Nie była słabą, bezbronną kobietką. - Nie wiesz o niczym i nie masz pojęcia, o co chodzi.

- No to mi wszystko powiedz.

Czuła, że robi się jej na przemian zimno i gorąco, a mięśnie ściska skurcz.

- Lucy - powtórzył głosem tak spokojnym, tak zrównoważonym, że poczuła się, jakby przebito ją na wskroś.

- Nikt nie może mi pomóc.

- Nieprawda. Nie ma takiego zagrożenia, któremu nie można by przeciwdziałać.

- W jaki sposób? Twoja rodzina może być wpływowa, ale nie jest w stanie zmienić przeszłości ani nagiąć przyszłości do własnych pragnień.

- Lucy! - Usiłował ją objąć.

- Nie! Nie! - Odepchnęła go, odrzucając jego współczucie. - Nic nie rozumiesz. Nie dasz temu rady. Zawsze sprzyjało ci szczęście, sam nawet nie wiesz, jak bardzo. I nie pojmujesz, że inni mogą być nieszczęśliwi, bo mimo wszystkich wysiłków przegrywają.

Patrzył na nią przez cały czas, a ona wciąż stała z rękami przyciśniętymi do piersi, dziwnie pobladła i aż do bólu osamotniona.

A wtedy spytał:

- Kochasz mnie?

- Nie zadawaj mi takich pytań.

- Kochasz mnie?

Ujrzał, że zaciska zęby i usiłuje się wyprostować. Zbliżył się do niej. Powoli, z respektem.

Cierpiała tak bardzo, że odczuwał jej ból wręcz fizycznie. Po raz pierwszy zwątpił, czy zdoła ją uwolnić od tych męczarni.

- Kochasz mnie? - powtórzył.

- Gregory...

- Kochasz mnie?

- Nie mogę...

Położył jej dłonie na ramionach. Drgnęła, ale nie uchyliła się przed nim. Dotknął delikatnie jej podbródka, a wreszcie zajrzał w oczy.

- Kochasz mnie?

- Tak! - wykrzyknęła z płaczem i osunęła się w jego ramiona. - Ale nie mogę nic powiedzieć. Nie rozumiesz? Nie powinnam!

Na chwilę zamarł w miejscu. Wyznanie Lucy mogłoby przynieść mu ulgę i w pewnym sensie tak właśnie się stało, ale wszystko zaczęło się w nim burzyć. Wierzył w miłość. W jedyną pewną rzecz na tym świecie. Wierzył w jej potęgę, dobro i prawość. Szanował ją za jej siłę i darzył podziwem, bo była wyjątkowa.

Wiedział też, gdy Lucy płakała w jego uścisku, że oddałby wszystko za to uczucie.

- Lucy - szepnął, a w jego głowie zaczęła kiełkować pewna dość szaleńcza myśl, od której nie mógł się uwolnić.

Małżeństwo Lucy wciąż nie zostało skonsumowane. Mieli więc szansę.

- Lucy...

Oderwała się od niego.

- Muszę wracać. Zauważa, że mnie nie ma. Chwycił ją za rękę.

- Nie idź tam!

- Co masz na myśli? - zdumiała się.

- Chodź ze mną. - Poczuli się nagle kimś lekkomyślnym, niebezpiecznym, może nawet nieco zwariowanym. - Jeszcze nie jesteś jego żoną w pełnym tego słowa znaczeniu. Można unieważnić małżeństwo.

- Och, nie!

- A właśnie, że tak!

Pomysł zaczął mu się wydawać coraz bardziej sensowny. Nie mieli wiele czasu. Jutro rano nie będzie już mogła utrzymywać, że jest nietknięta. Jeśli rysował się przed nimi choćby cień szansy, to tylko teraz.

Urowadzenie nie wchodziło w grę. Lucy w żaden sposób nie mogłaby się wydostać z tego domu bez wzbudzenia alarmu. Mógł jednak w pewien sposób zyskać na czasie. Wystarczyłoby mu to, żeby znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

Objął ją mocniej.

- Nie - powiedziała, tym razem głośniej. Dojrzał w jej oczach przerażenie.

- Będę krzyczeć!

- Nikt cię nie usłyszy.

Spojrzała na niego zaszokowana. Zresztą nawet on sam z trudem mógł uwierzyć we własne słowa.

- Grozisz mi?!

- Nie, ja cię ratuję! -I nim zdążył się zastanowić nad swoim postępowaniem, chwycił Lucy w pól, przerzucił ją sobie przez ramię, a potem wybiegł z sypialni.

Chcesz mnie przywiązać do waterklozetu?!

- Przykro mi - odparł, sprawdzając, czy węzły są należycie mocne. - Nie mogłem cię zostawić w sypialni. Zajrzeliby tam w pierwszej kolejności. Ja zrobiłem to samo.

- Ale do waterklozetu?!

- Na drugim piętrze - dodał. - Zanim cię tu znajdą, minie ładne parę godzin.

Lucy zacisnęła zęby, usiłując powściągnąć narastającą w niej wściekłość. Związał jej ręce! Za plecami! Dobry Boże, nie przypuszczała, że może być na kogoś aż tak rozgniewana.

- Tak.

## *Rozdział 24*

*w którym nasz bohater stawia naszą bohaterkę w bardzo głopotliwym położeniu.*

**N**ie była to tylko reakcja emocjonalna. Mrowiło ją w całym ciele, było jej nieznośnie gorąco, a poza tym tłukła ramionami w rurę kanalizacyjną, mimo że - jak wiedziała-w niczym jej to nie mogło pomóc. Zgrzytnęła potem zębami i wydała pełen złości pomruk, gdyż uzyskała tylko tyle, że rura odpowiedziała jej głuchym dudnieniem.

- Daj spokój - powiedział, całując ją w czubek głowy. - Niepotrzebnie się męczysz i denerwujesz, nic nie zyskasz. - Przyjrzał



się uważnie rurze. - Albo ją uszkodzisz, a to niezbyt miła perspektywa.

- Gregory, puść mnie!

Przykucnął przy niej, tak że ich twarze znalazły się na tym samym poziomie.

- Nie mogę. Nie teraz, kiedy wciąż jeszcze istnieje szansa, że możemy być razem.

- To szaleństwo! Musisz mi pozwolić, żebym tam wróciła.

Zrzuńnię sobie reputację!

- Wtedy się z tobą ożenię.

- Jestem już mężatką!

- Niezupełnie. - Gregory uśmiechnął się przebiegle.

- Zawarłam małżeństwo!

- Nie zostało skonsumowane. Można je unieważnić.

- Nie o to chodzi! - zawołała, szamocząc się bezskutecznie.

Gregory się podniósł i podszedł do drzwi.

- Nie rozumiesz, w jakiej byłam sytuacji! Jesteś egoistą, dbasz o własne potrzeby i szczęście bardziej niż o cudze!

Zamarł z ręką na klamce, a kiedy się odwrócił, spojrzał na nią tak, że o mało nie złamał jej serca.

- To ty jesteś szczęśliwa? - spytał cicho, a w jego głosie było tyle uczucia, że chciało się jej płakać.

- Nie - wyszeptała - ale...

- Nigdy jeszcze nie widziałem takiej smutnej panny młodej. Czy nie to samo powiedziała Hermiona? Lucy wiedziała, że to prawda.

Nawet teraz, mimo obolałych ramion, była pewna, że go kocha. Że zawsze go będzie kochać.

Ale też go nienawidziła, bo sprawił, że pragnęła tego, co nie mogło być jej udziałem. Za to, że z miłości do niej ważył się na wszystko, byle tylko ją zdobyć. A najbardziej za to, że przez niego stanie się przyczyną upadku rodziny.

Póki go nie spotkała, jedynymi ludźmi, którzy budzili w niej szczere uczucia, byli Hermiona i Richard. A teraz zostaną zrujnowani, będą zdeklasowani i o wiele bardziej nieszczęśliwi niż ona w małżeństwie z Haselbym.

Gregory sądził, że odnajdą ją za parę godzin, lecz Lucy dobrze wiedziała, że może to zająć więcej czasu. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni ktoś tu zaglądał. Znajdowała się w gotowalni niańki, a w Fennsworth House od wielu lat nie potrzeba było żadnej piastunki do dzieci.

Kiedy spostrzegą jej nieobecność, najpierw zajrzą do sypialni. Potem przeszukają kilka innych pomieszczeń, które wydadzą im się najbardziej prawdopodobne - bibliotekę, bawialnię, a także łazienki, ale nie tę, której nie używano od dawna.

A gdy jej nie znajdą, dojdą do wniosku, że uciekła. Po tym zaś, co zaszło w kościele, nikt nie będzie przypuszczał, że uciekła sama.

Jej reputacja legnie w gruzach, a życie bliskich zawisnie na włosku.

- To nie jest kwestia mojego szczęścia - powiedziała cichym, niemal załamującym się głosem. - Błagam cię, nie rób tego! Tu chodzi o moją rodzinę!

Zawrócił, przysiadł koło niej, a potem rzekł krótko:

- Mów!

Zrobiła tak. Wiedziała, że inaczej Gregory nie zrezygnuje ze swojego zamiaru. Była tego pewna.

Powiedziała mu o wszystkim. O ojcu i pisemnych dowodach jego zdrady. O, szantażu. O tym, że była ostatnią ratą do spłacenia i że tylko to mogło uchronić brata przed utratą tytułu. Gregory był wdzięczny losowi, że przez cały czas patrzyła bezmyślnie gdzieś w przestrzeń i nie dostrzegła, iż jej słowa wstrząsnęły nim do głębi.

Przez wiele godzin głowił się, co też mogło ją zmusić do małżeństwa z Haselbym. Dwukrotnie pędził przez Londyn, najpierw do kościoła, a potem do Fennsworth House. Miał sporo czasu, żeby to przemyśleć, żeby się zastanowić. A jednak prawda przerosła jego oczekiwania.

- Widzisz więc - ciągnęła Lucy - że nie jest to coś tak pospolitego, jak nieślubne dziecko czy niewierność małżeńska. Mój ojciec dopuścił się zdrady.

A potem zaczęła się śmiać, jak robią nieraz ludzie, którzy raczej pragnęliby zapłakać.

- Co za wstrętna sprawa. - Zakończyła głuchym głosem, zrezygnowana. -I w dodatku bez wyjścia.

Spojrzała na niego, spodziewając się odpowiedzi, ale nie odezwał się.

Zdrada. Boże! Nie mógł sobie wyobrazić niczego gorszego. Można znaleźć się poza nawiasem z wielu powodów, ale żaden nie jest tak niewybaczalny. W Anglii nie było nikogo - mężczyzny, kobiety czy dziecka - kto by w jakiś sposób nie ucierpiał z winy Napoleona. Rany wciąż jeszcze zanadto bolały, a zresztą zdrada zawsze pozostaje zdradą. Dżentelmen nie zdradza swojego kraju. Każdy Anglik wiedział o tym doskonale. Gdyby poznano prawdę o ojcu Lucy, oznaczałoby to koniec rodziny Fennsworthów. Brat Lucy znalazłby się w nędzy.

I on, i Hermiona musieliby niemal na pewno emigrować.

A Lucy...

No cóż, Lucy zapewne zdołałaby jakoś przetrwać skutki skandalu, zwłaszcza gdyby zmieniła nazwisko na „Bridgerton”, lecz nigdy nie wybaczyłaby samej sobie. Tego był pewien.

Wreszcie wszystko zrozumiał.

Spojrzał na nią. Twarz miała bladą, ściągniętą, ręce kurczowo zaciśnięte.

- Moja rodzina była dobra i uczciwa - zaczęła drżącym głosem. - Ród Abernathych zawsze stał wiernie przy koronie, od pierwszego hrabiego, któremu nadano ten tytuł w piętnastym wieku. A ojciec okrył nas hańbą. Nie mogę pozwolić, żeby prawda wyszła na jaw. Nie mogę. Dobrze, że nie widzisz teraz własnej twarzy - dodała ze smutkiem. - Nawet ty mnie już nie zechcesz.

- Nie! - wyrzucił z siebie gwałtownie. To nieprawda! To nie może być prawda! - Ujął jej dłonie, przypatrując się z zachwytem kształtowi smukłych palców. Czuł delikatne ciepło jej skóry.

- Przepraszam cię. Wkrótce zdołam się z tego otrząsnąć. Nie wyobrażałem sobie, że tu może chodzić o zdradę.

- Nie mogłeś tego wiedzieć.

- Ale to nie zmieni moich uczuć. - Znów ujął jej twarz w dłonie. Rozpaczliwie pragnął ją pocałować, wiedział jednak, że nie powinien. Nie w tej chwili.

- Twój ojciec zrobił rzecz karygodną... - Zaklął pod nosem. -I będę z tobą szczery... wzbudza ona we mnie wstręt, lecz ty... ty jesteś niewinna. Nie uczyniłaś niczego złego i nie powinnaś płacić za jego grzechy.

- Ani ja, ani mój brat. A jeśli moje małżeństwo z Haselbym nie zostanie skonsumowane, wtedy Richard...

- Nic nie mów. - Gregory położył jej palec na wargach. - Posłuchaj, co ci powiem. Ja cię kocham.

Oczy Lucy zaszły łzami.

- Kocham cię - powtórzył. -I ani na tym, ani na tamtym świecie nie ma niczego, co mogłoby sprawić, żebym przestał.

- Przecież tak samo kochałeś Hermionę.

- Nie! - zaprzeczył i omal się nie roześmiał. Jakże niemądre wydawało mu się teraz jego pierwsze zauroczenie! Tak długo czekałem, żeby się zakochać, że bardziej pragnąłem samej miłości niż

kobiety. Nigdy nie kochałem Hermiony, tylko samo wyobrażenie o niej. Ale dzisiaj wszystko jest inne... głębsze.

Usilnie starał się znaleźć właściwe słowa, lecz najwidoczniej nie istniały takie, którymi mógłby wyrazić swoje obecne uczucie.

- Tu chodzi o mnie - wyjąkał w końcu, przygnębiony swoją niezręcznością. - Bo ja... bez ciebie...

- Gregory - wyszeptała - nie musisz...

- Byłbym niczym! - zakończył raptownie, nie chcąc się dłużej przed nią tłumaczyć.

Uśmiechnęła się - smutnym, ale szczerym uśmiechem - i Gregory poczuł się tak, jakby czekał na niego od lat.

- To nieprawda - powiedziała. - Sam o tym wiesz.

- Może trochę przesadziłem, ale nie bardzo. Przy tobie staję się lepszy, Lucy. Dzięki tobie mogę doznawać pragnień, żywić nadzieję, dążyć do czegoś.

Łzy spływały jej po policzkach. Starł je kciukiem.

- Jesteś najwspanialszą osobą, jaką znam. Najbardziej godną szacunku ludzką istotą, jaką spotkałem. Sprawiasz, że mogę się śmiać, że potrafię myśleć. Ja... - nabrał gwałtownie tchu. - Ja cię kocham. Nie wiem, co jeszcze innego mógłbym tu powiedzieć.

Lucy się odwróciła, tak że jego ręce musiały puścić jej ramiona. Nie mógł już widzieć jej twarzy, lecz słyszał szmer spokojnego, rytmicznego oddechu.

- Ja cię też kocham - odezwała się wreszcie, nadal nie patrząc na niego. - Wiesz o tym. Nie kłamię, bo to by nam odebrało godność.

Gdyby chodziło tylko o mnie, zrobiłabym dla tej miłości wszystko. Zgodziłabym się na nędzę i ruinę. Gotowa byłabym wyjechać do Ameryki, nawet do najdzikszej Afryki, gdybym dzięki temu mogła pozostać z tobą. Nie potrafię jednak być tak samolubna, by pociągnąć za sobą w przepaść dwoje ludzi, którzy od dawna mnie kochają.

- Lucy... - Sam nie wiedział, co teraz powiedzieć, byle tylko jej przerwać. Wiedział, że nie chce usłyszeć tego, co pragnęła mu teraz powiedzieć.

Ale to ona mu przerwała.

- Proszę cię, daj mi skończyć. Nie mogę im tego zrobić, a jeśli mnie rzeczywiście kochasz tak, jak mówisz, to pozwolisz mi zejść na dół, nim hrabia Davenport się dowie, że zniknęłam.

Gregory zacisnął dłonie w pięści, a potem rozprostował je. Wiedział, co powinien zrobić. Uwolnić ją, żeby mogła wrócić na przyjęcie. Sam zaś musi wyslizgnąć się tylnymi drzwiami po solennej obietnicy, że nigdy więcej się do niej nie zbliży. Przyrzekła w końcu miłość, cześć i posłuszeństwo innemu mężczyźnie. Powinna była wyrzec się wszystkich innych, w tym jego.

A jednak nie chciał dać za wygraną.

Nie teraz.

- Wystarczy godzina - powiedział, przykucając ponownie koło niej. - Daj mi tylko godzinę.

Spojrzała na niego ze zwątpieniem i zdziwieniem, ale też z pewną, choć nikłą, nadzieją.

- Jedną godzinę? Co możesz w tak krótkim...

- Jeszcze nie wiem - przyznał - ale obiecuję, że jeśli nie znajdę sposobu uwolnienia cię od tego szantażu w godzinę, to przyjdę i zdejmę z ciebie więzy.

- Żeby wrócić do Haselby'ego? - szepnęła, jakby z pewnym rozczarowaniem.

- Tak - odparł, bo prawdę mówiąc, nic innego nie przyszło mu do głowy w takiej sytuacji. Choć zrezygnował z wszelkiej ostrożności, wiedział, że nie może uprowadzić Lucy. Wprawdzie mógłby się z nią ożenić, gdyby tylko Haselby zgodził się na unieważnienie małżeństwa, lecz nigdy nie byłaby wówczas szczęśliwa.

A on wiedział, że tego nie wybaczyłby sobie do końca życia.

- Godzinna nieobecność nie zrukuje ci reputacji. Możesz powiedzieć, że byłaś zmęczona i chciałaś się zdrzemnąć. Hermiona na pewno pomoże ci coś wymyślić, jeśli ją o to poprosisz.

Zgodziła się.

- Rozwiążesz mnie teraz? Pokręcił głową i wstał.

- Uwierzyłbym ci na słowo, gdyby chodziło tylko o mnie, ale jesteś zbyt uczciwa.

- Gregory!

- Sumienie by ci nie dało spokoju. Dobrze o tym wiesz.

- A gdybym przyrzekła...

- Przykro mi. - Uśmiechnął się. - Ale bym ci nie uwierzył.

Spojrzał na nią po raz ostatni, nim wyszedł, i zdobył się na absurdalny w tych okolicznościach uśmiech. Miał tylko godzinę na



uratowanie rodziny Lucy przed szantażem, i to podczas przyjęcia weselnego! Łatwiej przyszłoby mu ruszyć ziemię z posad.

Gdy się obejrzał, stwierdził, że Lucy całkowicie już przyszła do siebie.

- Nie możesz mnie tu zostawić! Co będzie, jeśli ktoś odkryje twoją obecność i cię złapie? Kto się domyśli, że jestem właśnie tutaj? A jeżeli...

Zanadto rozbawił go jej upór, aby chciał wysłuchać tego do końca. Znowu była w pełni sobą.

- Kiedy będzie po wszystkim, przyniosę ci kanapkę. Oniemiała.

- Kanapkę? Jaką znów kanapkę?!

Naciskał już klamkę, ale jeszcze nie pchnął drzwi.

- Nie chcesz? Przecież zawsze lubiłaś kanapki.

- Zwariowałaś!

Nietrudno mu było uwierzyć, że doszła do tego wniosku.

- Tylko nie krzycz! - ostrzegł ją.

- Przecież wiesz, że nie mogę - wyjąkała.

Mówiła prawdę. Wcale nie chciała, żeby ją znaleziono. Była to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyła. Gdyby mu się nie powiodło, musiałaby się wślizgnąć z powrotem na przyjęcie możliwie jak najdyskretniej.

- Do widzenia, Lucy. Pamiętaj, że cię kocham. Westchnęła.

- Naprawdę myślisz, że uporasz się z tym w godzinę? Kiwnął głową. Nie musiała niczego więcej wiedzieć.

Gdy zamykał za sobą drzwi, przysięgłby, że słyszy jej szept: -  
Powodzenia!

Nim zaczął schodzić po schodach, zatrzymał się, żeby nabrać tchu. Potrzebował czegoś więcej niż powodzenia. Potrzeba mu było cudu. Szanse na wygraną były bliskie zera, lecz on umiał wygrywać. A jeśli istniała w ogóle jakaś sprawiedliwość na tym świecie, szczęście powinno mu sprzyjać.

Bo miłość naprawdę istniała.

Wiedział, że ona istnieje. A gdyby w tym przypadku jej zabrakło, marny byłby jego los.

Pierwszym miejscem, gdzie się zatrzymał, była sypialnia Lucy. Ktoś mógł w końcu dostrzec nieobecność panny młodej i udać się na jej poszukiwanie. Oby tylko był to ktoś, komu naprawdę zależało na szczęściu Lucy.

Ale gdy się tam wślizgnął, zastał wszystko w takim samym stanie, jak poprzednio.

- Niech to licho! - mruknął, wycofując się ku drzwiom. Musiał znaleźć jakiś sposób, by porozmawiać z jej bratem albo nawet z samym Haselbym, nie zwracając niczyjej uwagi. Ujął klamkę, chcąc wyjść, lecz zbyt gwałtownie pchnął drzwi, po czym sam już nie wiedział, czy najpierw usłyszał kobiecy krzyk, czy też zderzył się z jakimś ciepłym i miękkim ciałem.

- To pan!

- To pani! Dzięki Bogu!

Wpadł prosto na Hermionę. Jedyłą osobę, której - o czym wiedział - zależało ponad wszystko na szczęściu Lucy.

- Co pan tu robi?! - syknęła. Najpierw zamknęła jednak za sobą drzwi wiodące na korytarz, co było na pewno dobrym znakiem.

- Musiałem pomówić z Lucy.

- Przecież wyszła za Haselby'ego!

- Ale małżeństwa jeszcze nie skonsumowano.

- O Boże! - Otworzyła usta ze zdumienia. - Chyba pan nie zamierza. ..

- Będę z panią szczery. Sam nie wiem, co zamierzam zrobić, ale muszę znaleźć jakiś sposób, żeby ją uwolnić od tego związku.

Przez kilka sekund wpatrywała się w niego, a potem bez powodu, ni stąd, ni zowąd oznajmiła:

- Ona pana kocha.

- Mówiła pani o tym?

- Nie, ale to przecież oczywiste. A przynajmniej tak mi się wydaje.

Zaczęła krążyć po pokoju, a potem nagle przystanąła.

- Tylko dlaczego w takim razie wyszła za Haselby'ego? Wiem, że honorowe zobowiązania wiele dla niej znaczą, lecz mogła przecież z nich zrezygnować wcześniej.

- Była szantażowana - mruknął posepnie. Oczy Hermiony rozszerzyły się z przerażenia.

- Czym?

- Zaraz pani powiem.

Trzeba przyznać, że nie traciła czasu na protesty, tylko spojrzała na niego bystro.

- W jaki sposób mogę jej pomóc?

Pięć minut później Gregory rozmawiał już z Haselbym i bratem Lucy. Wolałby co prawda nie mieć do czynienia z tym ostatnim. Richard wyglądał, jakby miał ochotę go ukatrupić, a nie robił tego tylko z powodu obecności żony, trzymającej go za rękę.

- Gdzie jest Lucy? - spytał Richard.

- W bezpiecznym miejscu.

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

- Daj spokój - przerwała mu Hermiona - pan Bridgerton nie zamierza robić jej krzywdy, przeciwnie, leży mu na sercu jej dobro.

- Doprawdy?

Chyba nigdy jeszcze Hermiona nie spojrzała na niego z takim przejęciem.

- On ją kocha - oświadczyła stanowczo.

- Czyżby?

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku Haselby'emu, który stał w drzwiach i obserwował całą scenę z zaskakującym rozbawieniem. Nikt z nich trojga nie wiedział, co mają teraz zrobić.

- No cóż, dzisiaj rano udowodnił to jednoznacznie - ciągnął Haselby, po czym usadowił się w fotelu z niewymuszoną gracją. - Chyba się państwo ze mną zgodzicie?

- Że... co? - spytał niepewnie Richard, a Gregory nie mógł go za to winić. Haselby najwyraźniej przyjął wszystko z nieoczekiwanym spokojem.

- Ona mnie kocha - rzekł Gregory, zaciskając za plecami dłoń w pięść. Nie dlatego, by zamierzał odwołać się do przemocy. Po prostu gdyby musiał teraz stać całkiem nieruchomo, wyszedłby chyba z siebie. - Przepraszam, że muszę to powiedzieć, ale...

- Nie, nie, skądże. - Haselby machnął lekko ręką. - Doskonale sobie zdaję sprawę, że Lucy mnie nie kocha, co w gruncie rzeczy całkiem dobrze się składa. Jestem pewien, że wszyscy się z tym zgodzicie.

Gregory nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Richard cały poczerwieniał, a Hermiona wyglądała na zupełnie zbitą z tropu.

- Czy... gotów pan jest z niej zrezygnować? - spytał Gregory. Było za mało czasu, żeby owijać rzecz w bawełnę.

- Naprawdę myśli pan, że rozmawiałbym tu z wami o tym takim tonem, jakim mówi się o pogodzie, gdybym nie był skłonny tego zrobić?

- Naprawdę?

Haselby się uśmiechnął. Nieznacznie.

- Mój ojciec nie będzie tym zachwycony. Zazwyczaj bardzo mnie cieszy sprzeciwianie mu się, ale tym razem musimy być ostrożni.

- Czy Lucy nie powinna być tu razem z nami? - spytała Hermiona.

- Gdzie jest moja siostra? - spytał groźnie Richard.

- Na piętrze - uciał Gregory. Mogło to oznaczać co najmniej trzydzieści pomieszczeń.

- Gdzie i na którym piętrze? - warknął Richard.

Gregory zbył milczeniem jego pytanie. Nie była to odpowiednia chwila, żeby wyjaśniać, że jest przywiązana do waterklozetu.

Spojrzał na Haselby'ego, który nadal siedział w fotelu z jedną nogą niedbale założoną na drugą i oglądał uważnie swoje paznokcie.

Gregory był na granicy wytrzymałości. Jak ten człowiek może siedzieć sobie tak obojętnie? Obydwaj toczą ze sobą najistotniejszą chyba rozmowę w całym ich życiu, a on sprawdza manikiur?

- Jest pan gotów z niej zrezygnować? - powtórzył.

Haselby przestał przyglądać się paznokciom. Wyglądał na zaskoczonego.

- Przecież już powiedziałem.

- Czy ujawni pan wówczas jej tajemnicę?

Zachowanie Haselby'ego zmieniło się nie do poznania.

Zesztywniał i spojrzał na niego ostro.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - odparł, wymawiając starannie każde słowo.

- Ja też nie - dodał Richard.

Gregory z miejsca zwrócił się ku niemu.

- Ona jest szantażowana.

- Nie przeze mnie! - odezwał się cierpko Haselby.

- To dobrze, bo szantaż jest wstrętną rzeczą. Nie miałem zresztą zamiaru sugerować, że to pan...

- Nigdy nie rozumiałem, dlaczego Lucy zgodziła się za mnie wyjść - rzekł cicho Haselby.

- Wszystko z winy jej stryja - wtrąciła się Hermiona, a gdy spojrzeli na nią zaskoczeni, dodała:

- Przecież znacie Lucy. Nie zbuntowałyby się nigdy w życiu. Ona lubi ład.

- W każdym razie - uznał Haselby - zyskała sposobność do wycofania się. Dostyc dramatyczną w charakterze. - Przerwał i zastanawiał się przez chwilę.

- Chodzi o mojego ojca, co? Gregory przytaknął bez słowa.

- Nie dziwię się. Bardzo mu zależało na tym, żebym się ożenił. No, a w takim razie - Haselby splótł palce obu dłoni - co powinniśmy zrobić? Jak sądzę, należałoby ujawnić jego blef.

- Nie możemy - mruknął zgnębiony Gregory.

- Och, niemożliwe, żeby było aż tak źle. Co takiego mogła zrobić panna Lucinda?

- Stanowczo powinna tu z nami być - powtórzyła Hermiona, a gdy wszyscy trzej spojrzeli na nią, dodała: - Jak możecie decydować bez niej o jej losie?

- Proszę nam wszystko wyjaśnić! - zażądał Richard, stając naprzeciw Gregory'ego. On zaś nie miał zamiaru niczego ukrywać.

- To paskudna historia.

- Chcemy ją usłyszeć.

- Chodzi o waszego ojca - zaczął. A potem opowiedział wszystko, czego dowiedział się od Lucy.

- A więc zrobiła to dla nas! - wyszeptała Hermiona, gdy zamilkł. Chwyciła kurczowo męża za rękę. - Żeby nas ocalić. Och, Lucy!

- To nieprawda! - Richard pokręcił głową.

- Są dowody. - Gregory był bezlitosny.

- Jakie?

- Lucy mówiła, że listy.

- A czy je sama widziała? - nastawał Richard. - Może są fałszywe?

Gregory westchnął. Nie mógł winić brata Lucy za jego reakcję. Pewnie postąpiłby tak samo, gdyby chodziło o jego ojca.

- Ona nie ma o tym bladego pojęcia - upierał się Richard. - Była wtedy za mała. A ojciec nigdy by czegoś takiego nie zrobił, to nieprawdopodobne!

- Pan też był wtedy dzieckiem.

- Ale dość dużym, żeby znać własnego ojca - prychnął Richard.

- A on nie był zdrajcą! Ktoś omamił Lucy.

- Może pański ojciec? - Gregory spojrzał na Haselby'ego.

- Nie miałyby na to dość sprytu. Mógłby wprowadzić kogoś szantażować, lecz prawdziwymi dowodami, a nie podrobionymi. Jest inteligentny, lecz nie twórczy.

- Za to mój stryj owszem - przyznał Richard.



- Z pewnością posłużył się jedynym argumentem, który gwarantował, że Lucy nie zerwie narzeczeństwa - stwierdził z goryczą Richard.

- Co by mu jednak przyszło z tego małżeństwa? - spytała Hermiona.

Wszyscy spojrzeli na Haselby'ego.

- Nie mam pojęcia - przyznał.

- Musi mieć jakieś własne sekrety - uznał Gregory.

- Na pewno nie długi - dodał Richard.

- W umowie małżeńskiej nie ma mowy o żadnych pieniądzach

- zauważył Haselby.

Wszyscy ponownie popatrzyli na niego.

- Pozwoliłem wprawdzie, żeby ojciec wybrał mi żonę - wzruszył ramionami - ale nie ożeniłbym się bez przeczytania dokumentu.

- W takim razie chodzi o jakąś tajemnicę - uznał Gregory.

- Zapewne łączy się ona z lordem Davenportem - dodała Hermiona. - Przepraszam pana - zwróciła się do Haselby'ego.

- Proszę się nie martwić. - Machnął ręką lekceważąco.

- Co zrobimy? - spytał Richard.

- Sprowadzimy tu Lucy - odparła od razu Hermiona.

- Nic jej nie grozi - pospieszył z wyjaśnieniem Gregory.

- Nie! - Haselby wstał z fotela. - Musimy pomówić z moim ojcem.

- Chyba nie będzie zbyt przychylnie usposobiony do naszej sprawy - zauważył zgryźliwie Richard.

- Może i tak. Pierwszy przyznam, że trudno z nim wytrzymać dłużej niż przez trzy minuty, ale on nam udzielił odpowiedzi. A poza tym, mimo że wyjątkowo niemiły, jest na ogół nieszkodliwy.

- Na ogół? - powtórzyła jak echo Hermiona. Haselby udał, że się nad tym zastanawia.

- Na ogół.

- Musimy działać - zaczął Gregory. - I to już. Pan i Fennsworth znajdziecie hrabiego Davenport, wypytacie go i wyciągniecie z niego prawdę. Lady Fennsworth i ja wrócimy tutaj z Lucy, a potem lady Fennsworth z nią zostanie.

- Przepraszam za te korowody - zwrócił się do Richarda - ale pańska żona musi tu być, żeby nie ucierpiała reputacja Lucy, gdyby ktoś nas odkrył. Już prawie od godziny nie ma jej na sali balowej. Ktoś mógł to zauważyć.

Richard przytaknął, lecz było jasne, że nie jest zachwycony całą sytuacją. Nie miał jednak wyboru. Od rozmowy z Davenportem zależał jego honor.

- W takim razie wiemy już, co robić - podsumował Gregory. - Spotkam się z wami w...

Urwał. Nie miał pojęcia o rozkładzie tego domu! Znał w nim tylko sypialnię Lucy i gotownię, gdzie ją zostawił.

- W bibliotece na parterze, po prawej - rozstrzygnął Richard. A gdy podchodził do drzwi, odwrócił się i spojrzał na Gregory'ego.

- Proszę tu poczekać, wrócę za chwilę.

Gregory chciał jak najprędzej wyjść, ale mina Richarda kazała mu pozostać na miejscu. Brat Lucy wrócił z dwoma pistoletami i podał mu jeden z nich.

Dobry Boże!

- Może się panu przydać.
- Obym go tylko nie musiał użyć...
- Co takiego?

Gregory powstrzymał się od komentarzy.

- Ruszajmy. - Richard skinął na Haselby'ego i obydwaj wyszli.  
- Chodźmy - powiedział Gregory do Hermiony, kierując się w odwrotną stronę. - I proszę nie osądzać mnie zbyt surowo, kiedy zobaczy pani, gdzie ją prowadzę.

Na schodach Hermiona wybuchnęła śmiechem.

- Że też się nie domyśliłam! Och, jest pan doprawdy bardzo sprytny!

- Nie spodziewałem się, żeby została tam z własnej woli! - zawołał, przeskakując po dwa stopnie naraz. Na podeście dodał: - To był bardzo bezwzględny sposób, ale nie miałem wyjścia. Potrzeba mi było trochę czasu.

- Gdzie my idziemy? - spytała.

- Do gotowalni niańki - wyjaśnił. - Przywiązałem ją do waterklozetu.

- Do... Och, niech to ujrzę na własne oczy!

W gotowalni nie zastali jednak Lucy. I wszystko zdawało się wskazywać, że nie opuściła jej dobrowolnie.

## Rozdział 25

*w którym dowiadujemy się, co zaszło dziesięć minut wcześniej.*

**C**hyba minęła już godzina, Z całą pewnością.

Lucy usiłowała się uspokoić. Dlaczego właściwie nikomu nie przyszło na myśl, żeby tu umieścić zegar? Czy nikt nie potrafi sobie wyobrazić, że ktoś przywiązany do waterklozetu chciałby wiedzieć, która jest godzina?

Doprawdy, to tylko kwestia czasu!

Lucy zabębniła palcami prawej dłoni po posadzce. Raz, dwa, trzy! Lewą ręką nie mogła tego zrobić, bo była przywiązana zbyt mocno, więc tylko zginała i rozprostowywała palce.

- Och, jej! - mruknęła zirytowana. Z pewnością siedzi tu nawet dłużej niż godzinę.

A potem usłyszała kroki. Spojrzała zaniepokojona ku drzwiom. Była jednocześnie wściekła, pełna nadziei, przerażona, rozdrażniona i... O Boże, po co jej aż tyle rozmaitych emocji naraz? Jedna całkiem by wystarczyła. No, może dwie.

Ktoś szarpnął drzwiami. Z miejsca poczuła, że coś jest nie w porządku. Gregory wcale by nimi nie szarpał, on by...

Stryj Robert!

- Ty... ty... - zaczął z wściekłością. -Ja...

- Ty podła dziwko!

Lucy drgnęła. Wiedziała, że stryj nie darzy jej zbyt dużym uczuciem, ale wyzwisko sprawiło jej jednak przykrość.

- Kiedy ja wcale... - Nie miała najmniejszego pojęcia, co mu powiedzieć, a już za żadne skarby nie chciała przeproszać. Koniec z tym! Raz na zawsze!

- Och, doprawdy? - zadrwił, nachylając się nad nią. - Jakie znowu wcale? Dlaczego uciekłaś z własnego wesela?

- Wcale nie uciekłam, tylko zostałam uprowadzona! Nie widzisz, że mnie przywiązał do waterklozetu?

Stryj spojrział na nią tak groźnie, że poczuła strach. Od dawna się go co prawda lękała - jego lodowatego spokoju, zimnego spojrzenia, wzgardy. Nigdy jej jednak do tej pory nie przerażał.

- Gdzie on jest?!

Nawet nie próbowała udawać, że nie rozumie.

- Nie wiem.

- Mów w tej chwili!

- Nie wiem. Myślisz, że związałby mnie, gdyby mi ufał? Stryj się wyprostował i zaklął.

- Do diabła, to bez sensu!

- Co masz na myśli? - spytała niepewnie. Nie wiedziała, co teraz nastąpi, czyją żoną ostatecznie zostanie, ale jednego była pewna. Musi zyskać na czasie. I z niczym się nie zdradzać. Zwłaszcza z czymś ważnym.

- Też coś! - parsknął. Po co miałby cię uprowadzać, a potem zostawiać w Fennsworth House?

- Może się obawiał, żeby ktoś tego nie zobaczył.

- On też nie mógł tu przecież przyjść niespostrzeżony!

- Nie rozumiem.

- A niby jak - spytał, nachylając się tak nisko nad nią, że niemal dotykał jej twarzą - mógłby cię uprowadzić bez twojej zgody?

Lucy odetchnęła. To, co mu powie, nie ma znaczenia i nie zaszkodzi jej.

- Poszłam na chwilę do sypialni, żeby się położyć. On już tam był.

- Skąd wiedział, który to pokój?

- Widocznie się domyślił.

Stryj przez długą chwilę przyglądał się jej w bardzo niemiły sposób.

- Ludzie zaczynają zauważać, że gdzieś zniknęłaś. Milczała.

- Nie ma rady-wymamrotał. Zdumiała się. O czym on mówi?

- To jedyne wyjście. - Pokiwał głową.

- O co ci chodzi? - spytała i dopiero wtedy zrozumiała, że wcale nie mówił do niej, tylko do siebie.

- Stryju Robercie... - wyszeptała.

Zaczął rozcinać jej więzy czymś ostrym. Nożem. Po co wziął ze sobą nóż?

- Wstawaj! - warknął.

- Mam wrócić do sali balowej? Zachichotał szyderczo.

- To by ci się podobało, co? Zaczęła w niej narastać panika.

- Gdzie mnie zabierzesz?

Podniósł ją jednym ostrym szarpnięciem i chwycił jak kleszczami za ramię.

- Do twojego męża.
- Do lorda Haselby'ego?
- A czy masz innego małżonka?
- Przecież on jest na sali, czyż nie?
- Przestań zadawać tyle pytań! Rozejrzała się z przerażeniem

naokoło.

- Gdzie... mam... z tobą pójść?
- Nie dam ci wszystkiego zepsuć! - syknął. - Rozumiesz?
- Nie! - jęknęła. Bo wcale w istocie nie rozumiała. Nie rozumiała

już niczego.

Potrząsnął nią.

- Słuchaj mnie teraz, bo nie będę tego powtarzał po raz drugi!

Skinęła głową.

- Twoje małżeństwo musi zostać skonsumowane - powiedział złowrogim szeptem. - A ja chcę się o tym osobiście przekonać!

- Co takiego?
- Nie spieraj się ze mną!

Kiedy zaparła się nogami, zaczął ją siłą wlec ku drzwiom.

- Nie stawiaj oporu - warknął. - W końcu i tak musiałabyś to zrobić. Jedyna różnica, że teraz przy świadkach!

- Przy świadkach?!
- Może to trochę niedelikatne, ale muszę być tego pewny.

Zaczęła się szamotać, tak że zdołała uwolnić jedno ramię. Szybko

ją co prawda obezwładnił, lecz krótki moment swobody pozwolił jej kopnąć go w goleń.

- Och, do diaska! - mruknął i szarpnął ją mocno. - Przestań!

Kopnęła go powtórnie, przewracając przy tym pusty nocnik.

- W tej chwili przestań! Natychmiast! - Stryj dźgnął ją czymś w żebra.

- Czy to nóż? - wyszeptała, przestając stawiać opór.

- Zapamiętaj sobie - tchnął jej prosto w ucho wstrętnym szeptem - że cię wprawdzie nie zabiję, ale mogę ci przyczynić sporo bólu.

- Jestem twoją bratanicą!

- Nie dbam o nic. O ciebie też.

Spytała powtórnie, całkiem spokojnym tonem.

- A dbałeś o mnie kiedykolwiek?

Przez moment w gotowalni panowała cisza. Lucy nie wiedziała, co to może oznaczać. Nie widziała twarzy stryja, nie mogła więc wyczuć, czy zmienił swoje zamiary, czy nie. Pozostawało jej wpatrywanie się w drzwi. Stryj sięgnął ku klamce.

A potem wycedził:

- Nie.

Była to odpowiedź.

- Wiązały się z tobą tylko obowiązki, które wypełniłem. Chętnie się ich pozbędę. Chodź ze mną i ani słowa!

Zrobiła, co jej kazał. Nóż wpił się jej jeszcze mocniej w żebra. Usłyszała chrobot, kiedy otarł się o gorset sukni. Pozwoliła, żeby pchał ją przed sobą wzdłuż korytarza, a potem na schodach.



Powtarzała sobie, że Gregory gdzieś tu musi być. Jest tutaj i odnajdzie ją. Tylko że Fennsworth House był dużą budowlą, nie masywną wprawdzie, ale obszerną i miał aż za wiele zakamarków, gdzie stryj mógł ją ukryć.

A na parterze bawiły się setki gości.

Haselby z pewnością nie zgodziłby się na podobny plan.

Istniał co najmniej tuzin powodów, by to wszystko się stryjowi nie powiodło. Tuzin, może nawet więcej. Wystarczyłby zresztą jeden jedyny, żeby go udaremnić.

Stryj się zatrzymał i zawiązał jej oczy. Potem zaś, co gorsza, wciągnął ją do jakiegoś pokoju, gdzie ją skrupował.

- Wrócę - mruknął, sadzając ją w kącie ze związanymi rękami i nogami.

Słyszała odgłos jego kroków, gdy odchodził. Z jej ust wydarły się tylko dwa słowa:

- Dlaczego? Zatrzymał się.

- Za co to wszystko, stryju Robercie?

Tu już nie chodziło o honor rodziny. Czyż nie dowiodła, że jej na nim zależało? Czy nie powinien jej zaufać?

- Dlaczego? - spytała po raz trzeci, modląc się w duchu, żeby odezwało się w nim sumienie. Przecież przez całe lata utrzymywał ją i Richarda. Musiał w końcu wiedzieć, co jest dobre, a co złe.

- Wiesz dobrze, dlaczego - powiedział w końcu, lecz Lucy wiedziała, że kłamał. Za długo zwlekał z odpowiedzią.

- No, to idź! - zawołała z goryczą. Po cóż miała go zatrzymywać? Byłoby dużo lepiej, gdyby Gregory zastał ją tutaj samą.

Stryj jednak stanął i się nie ruszał. Nawet mimo przepaski na oczach mogła wyczuć, że jej nie wierzy.

- Na co czekasz?! - krzyknęła.

- Żeby się upewnić.

A potem usłyszała, że podchodzi do niej. Powoli, coraz bliżej. A później...

- Gdzie ona jest?! - spytała Hermiona. Ledwie mogła oddychać.

Gregory wpadł do środka, rozglądając się gorączkowo. Ujrzał porozcinane więzy, przewrócony nocnik.

- Ktoś ją porwał.

- Stryj?

- Albo Davenport. Tylko oni dwaj mieli motyw. Nie zrobią jej krzywdy. Chodzi im tylko o to, żeby małżeństwo było legalne, przypieczętowane i trwałe. Davenport pragnie, by Lucy urodziła dziedzica tytułu.

Hermiona zgodziła się z nim.

- Zna pani ten dom. Gdzie ona może teraz być?

- Nie mam pojęcia. Jeśli to jej stryj...

- Załóżmy, że właśnie on. - Gregory nie był pewien, czy Davenport okazałby się na tyle sprawny fizycznie. A jeśli to, co powiedział Haselby, było prawdą, to Robert Abernathy miał swoje sekrety. Mógł więc mieć coś do stracenia.

- Może ukrył ją w swoim gabinecie - szepnęła Hermiona. - On tam zawsze przesiaduje.

- Gdzie to jest?

- Na parterze. Okna wychodzą na tyły domu.

- Bałby się ryzyka. Za blisko sali balowej.

- A może w swojej sypialni? Jeśli chce unikać pomieszczeń, do których mógłby ktoś zajrzeć przez przypadek, na pewno zabrał ją właśnie tam. Do swoich apartamentów.

Gregory ujął Hermionę za rękę i obydwójce zeszli po schodach, a potem otworzyli drzwi, za którymi schody kuchenne wiodły na drugie piętro.

- Proszę mi wskazać te drzwi, a potem niech pani biegnie po męża.

Widział, że Hermiona zмага się ze sobą, lecz w końcu zrobiła, o co ją prosił.

- A teraz po męża. Szybko.

Popędziła po schodach, a Gregory zbliżył się do drzwi, które mu wskazała. Ostrożnie przyłożył do nich ucho i usłyszał:

- Na co czekasz?

Był to głos Lucy, stłumiony co prawda przez ciężkie, drewniane drzwi, lecz z pewnością znajdowała się w środku.

- Nie wiem - odpowiedział jej męski głos, którego Gregory nie potrafił rozpoznać. Słyszał wprawdzie wcześniej, w kościele, wrzask Davenporta, ale nigdy nie rozmawiał z jej stryjcem i nie wiedział, czy właśnie on więzi Lucy.

Z zapartym tchem przekręcił klamkę, robiąc to lewą ręką, bo w prawej ściskał pistolet. Boże, miej litość nad nimi wszystkimi, jeśli będzie zmuszony go użyć!

Zdołał uchylić nieznacznie drzwi, tylko tyle, żeby mógł zajrzeć tam niezauważony.

Serce w nim zamarło.

Lucy, skrepowana i z zawiązanymi oczami, wciśnięta była w kąt. Stryj stał nad nią i mierzył z broni między jej oczy.

- Coś ty chciała zrobić? - spytał przerażająco cichym głosem.

Lucy milczała, lecz podbródek jej drgał, jakby rozpaczliwie usiłowała utrzymać głowę prosto.

- Dlaczego chciałaś, żebym sobie stąd poszedł?

- Nie wiem.

- Mów natychmiast!

Szturchnął ją boleśnie lufą w żebra, a kiedy ociągała się z odpowiedzią, szarpnął za przepaskę, która zakrywała jej oczy, i zajrzał w twarz.

- Bo nie mogłam znieść tego czekania - wyszeptała słabym głosem. - Bo...

Gregory wszedł bezszelestnie do środka i wymierzył z pistoletu prosto w środek pleców Roberta Abernathy'ego.

- Puść ją!

Stryj Lucy zamarł bez ruchu.

Gregory kurczowo ściskał broń, trzymając palec na cynglu.

- Puść Lucy i odejdź na bok.

- Ani myślę! - Abernathy odwrócił się na tyle, aby Gregory mógł zobaczyć, że przykłada Lucy pistolet do skroni.

Gregory stał jednak nieporuszony, a jego ręka ani drgnęła, choć sam nie wiedział, jakim cudem.

- Rzuć broń! - zażądał Abernathy.

Nie zrobił najmniejszego ruchu. Wodził tylko oczami od Lucy do jej stryja i z powrotem. Czy Abernathy zdecyduje się zrobić jej coś złego? Gregory nadal nie wiedział, dlaczego właściwie temu człowiekowi tak zależało, by wydać Lucy za Haselby'ego, ale było oczywiste, że bardzo tego chciał. W takim razie nie mógł jej zabić.

Zgrzytnął zębami i odwiódł kurek.

- Proszę puścić Lucy - powiedział mocnym, spokojnym głosem.

- Opuść broń! - ryknął Abernathy, rozglądając się desperacko po pokoju. Lucy wydała nieartykułowany dźwięk, gdy dźgnął ją lufą pod żebra.

O Boże! Czy ten człowiek oszalał? Dziko wodził wokoło oczami, a dłoń, w której ścisnął broń, cała się trzęsła. Jeszcze gotów ją postrzelić! Dotarło to do Gregory'ego w jednym, przerażającym ułamku sekundy. Nieważne, co właściwie zrobił Robert Abernathy, ale zachowywał się teraz jak straceniec i nie dbał, kogo pociągnie za sobą w otchłań.

Gregory powoli osunął się na klęczki, nie spuszczać z niego oczu.

- Nie strzelaj! - krzyknęła Lucy. - On mi nic nie może zrobić!

- Och, jak najbardziej mogę - odparł stryj z przerażającym uśmiechem.

Gregory'emu krew niemal ścięła się w żyłach. Dobry Boże, musi działać zdecydowanie, byle obydwójce wyszli z tego cało. Lecz jeśli tylko jedno z nich ma przeżyć, niech to będzie Lucy, a nie on.

I wtedy zrozumiał, że to miłość. Ze to właśnie ona dyktuje mu, co jest słuszne, i podpowiada, co robić, żeby przez resztę życia mogli się rano budzić szczęśliwi obok siebie.

Czuł jednak coś więcej. Miał pewność, że oddałby za Lucy życie. Bez wahania. Bo gdyby opuścił teraz broń, Robert Abernathy natychmiast by go zastrzelił.

Ale Lucy wówczas ocaleje.

Gregory osunął się tak nisko, że niemalże kuczał tuż przy ziemi.

- Proszę nie robić jej krzywdy.

- Nie pozwól mu uciec! - krzyknęła Lucy. On by nie...

- Milcz! - parsknął Abernathy i jeszcze mocniej przycisnął pistolet do jej ciała.

- Ani słowa, Lucy - ostrzegł ją Gregory. Nadal nie miał pojęcia, jak u licha zdoła się wydobyć z tych oparów, lecz wiedział, że przede wszystkim musi dbać o to, żeby Robert Abernathy nie stracił panowania nad sobą.

Lucy rozchyliła wargi. Ich oczy się spotkały. A potem zamknęła usta. Ufała mu. O Boże! Ufała, że zdoła uratować ich oboje, on zaś czuł się jak szalbierz, bo mógł jedynie starać się zyskać na czasie. No i

o to, by żaden pistolet nie wystrzelił, póki nie pojawi się tu ktoś jeszcze.

- Nie chcę panu robić krzywdy, Abernathy.

- No to opuść broń.

Gregory wciąż trzymał jednak pistolet w wyciągniętej ręce, w taki sposób, by wyglądało na to, że zaraz może go odłożyć. Lecz nie robił tego.

Nie spuszczał też oczu z twarzy Roberta Abernathy'ego, gdy pytał:

- Dlaczego tak panu zależało, żeby Lucy wyszła za lorda Haselby'ego?

- Nie powiedziała ci tego?

- Tylko to, co usłyszała od pana. Stryj Lucy zaczął się nagle cały trząść.

- Rozmawiałem z Fennsworthem - odparł spokojnym tonem Gregory. - Był zaskoczony pańskimi oskarżeniami rzuconymi na ojca.

Stryj Lucy nie odpowiedział, Gregory dojrzał jednak, jak konwulsyjnie porusza się jego grdyka.

- W końcu doszedł do wniosku, że musi pan być w błędzie. - Silił się, by mówić ze spokojem, poważnie, bez śladu drwiny. Całkiem jakby był na proszonym obiedzie. Nie chciał go prowokować, tylko wciągnąć w rozmowę.

- Richard o niczym nie wie.

- Rozmawiałem także z lordem Haselbym, który również był zaskoczony. Nie miał pojęcia, że jego ojciec pana szantażował.

Stryj Lucy wlepił w niego oczy.

- Lord Haselby właśnie w tej chwili rozmawia z hrabią Davenportem.

Wszyscy troje zamilkli i zastygli bez ruchu. Gregory, który od dobrych paru minut musiał się kulić w krańcowo niewygodnej pozycji, był u kresu wytrzymałości. Wciąż trzymał kurczowo broń w wyciągniętej ręce, która bolała go wprost niewyobrażalnie.

Spojrzał na pistolet. A potem na Lucy. Pokręciła głową, powoli, ostrożnie. Z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk, lecz bez trudu mógł się domyślić, że chciała powiedzieć: „Odejdź stąd, proszę”.

Chociaż było to zdumiewające, poczuł, że się uśmiecha. On również pokręcił głową i wyszeptał:

- Ani myślę.

- Co ty tam mruyczysz? - spytał Abernathy.

A wtedy Gregory powiedział jedyną rzecz, która mu przyszła na myśl.

- Że kocham pańską bratanicę. Abernathy spojrzał na niego jak na wariata.

- Mam to w nosie. Gregory podjął grę.

- Kocham ją dostatecznie mocno, żeby nie ujawnić pańskich sekretów.

Robert Abernathy zbladł jak ściana. Cała krew odpłynęła mu z twarzy. Nie powiedział ani słowa.

- To był pan, prawda? - spytał cicho Gregory.



- Stryju Robercie! - krzyknęła Lucy, a potem zaczęła się z nim szamotać.

- Zamknij się!

- Okłamałeś mnie? - spytała niemal z rozpaczą.

- Lucy, przestań - zażądał Gregory, ale ona zrozumiała w tej chwili wszystko.

- To nie mój ojciec był szpiegiem, tylko ty! Lord Davenport szantażował cię za twoje własne postęпки!

Abernathy milczał, lecz miał prawdę wypisaną na twarzy.

- Och, stryju Robercie! - Westchnęła rozpaczliwie - Jak mogłeś?!

- Byłem bez grosza - syknął. - Bez grosza! Twój ojciec wszystko roztrwonił!

Twarz Lucy poszarzała.

- Zabiłeś go?

- Nie - odparł stryj, ograniczając się do tego jednego słowa.

- Nie okłamuj mnie teraz, proszę! Nie w tej sprawie!

- Wiem tylko tyle, co mi powiedziała policja - wysapał zduszonym głosem. - Znaleziono go w pobliżu domu gry, z kulą w piersi, obrabowanego ze wszystkiego, co wartościowe.

Lucy patrzyła na niego przez chwilę, a potem z oczami pełnymi łez, opuściła głowę.

Gregory wstał powoli z klęczek.

- Przegrał pan, Abernathy. Haselby wie już o wszystkim.

Fennsworth również. Nie może pan dłużej zmuszać Lucy do ślepego posłuszeństwa.

Stryj Lucy chwycił bratanicę jeszcze mocniej.

- Mogę się nią posłużyć, żeby uciec.

- Oczywiście. Puszczając ją wolno.

Abernathy tylko się zaniósł gorzkim, szyderczym śmiechem.

- Niczego byśmy nie zyskali, wydając pana władzom - zaczął Gregory ostrożnie. - Lepiej byłoby pozwolić panu po cichu zniknąć z kraju.

- To na nic! - zadrwił. - Jeśli ona nie poślubi tego zwyrodniałego fircyka, Davenport rozgłosi wszystko i nasz ród będzie stracony.

- Nie. Bynajmniej. Nie był pan przecież hrabią ani ojcem Lucy i Richarda. Owszem, wybuchłby skandal, nie dałoby się go uniknąć, ale brat Lucy nie straciłby tytułu, a wszystko ucichłoby dość szybko, gdy tylko ludzie doszliby do wniosku, że był pan po prostu obrzydliwym człowiekiem. Tylko tyle.

Stryj Lucy w jednej chwili przystawił jej broń do szyi.

- Uważaj, co mówisz! - warknął wściekle. Gregory zbladł i cofnął się o krok.

A potem wszyscy troje usłyszeli tupot nóg.

- Niech pan odłoży broń - powtórzył jeszcze raz Gregory. - Ma pan na to jedynie chwilę, zanim...

W tym momencie do pokoju wpadli Richard, Haselby, Davenport i Hermiona, nieświadomi tego, co się działo w środku.

Stryj Lucy odskoczył w tył, mierząc z pistoletu we wszystkich.

- Precz stąd! - zawył niczym zapędzone w kąt zwierzę, wodząc lufą po zebranych.

Richard wysunął się do przodu.

- Ty gadzie! - syknął. - Chętnie bym cię posłał do piekła! W tejże chwili huknął strzał.

Gregory patrzył ze zgrozą, jak Lucy osuwa się na ziemię. Z gardła wydarł mu się jakiś głuchy dźwięk. Uniósł broń, wycelował, wypalił. I po raz pierwszy w życiu nie spudłował.

No, prawie.

Stryj Lucy nie był człowiekiem zbyt masywnej budowy, lecz kiedy na nią runął, nie było to przyjemne doznanie. Mogła tylko ciężko dyszeć, krzywiąc się z bólu, bo brakło jej tchu, zupełnie jakby powietrze uciekło bez reszty z jej płuc.

- Lucy!

To był Gregory. Ściągał z niej bezwładnego stryja.

- Gdzie zostałeś raniona?! - pytał, obmacując gorączkowo całe jej ciało. - Och, mój Boże!

- Ależ ja wcale... - Jęknęła walcząc o oddech. - On nie... - Lucy spojrzała na swoją pierś pokrytą krwią. - Och!

- Nie mogę znaleźć rany! - rozpacział Gregory. Uniósł jej podbródek, tak że musiała patrzeć prosto na niego. Ledwie go mogła poznać. Piękne orzechowe oczy były tak pociemniałe, tak obce, jakby stał się kimś zupełnie innym niż dotychczas.

- Lucy, proszę, odezwij się!

- Nic mi nie jest.

- A ta krew?

- Nie moja. Nie jestem ranna.

Powiodła dłonią po jego policzku. Gregory cały się trząsł. - Och, Boże, jak strasznie. Nigdy nie widziała go w takim stanie.

Zrozumiała, że tę niepojętą obcość w jego spojrzeniu spowodowała zgroza.

- Nie jestem ranna - powtórzyła. - Wszystko dobrze... mój kochany. - Sama nie wiedziała, co właściwie mówi, ale za wszelką cenę chciała go pocieszyć.

- A ja myślałem... - Gregory oddychał ciężko i ledwie mógł wydobyć z siebie głos. - Zresztą nie mam pojęcia, co sobie myślałem.

Starła coś wilgotnego, co spadło jej na palec.

- Już po wszystkim i... - Nagle zdała sobie sprawę, że nie są w pokoju sami. - No cóż, to chyba wreszcie koniec - powiedziała z pewnym wahaniem, usiłując dźwignąć się z ziemi. Czyżby stryj nie żył? Wiedziała, że dosięgnął go strzał, ale nie miała pojęcia, czy strzelał Gregory, czy Richard. Obydwaj wypalili z pistoletów.

Rana stryja nie była śmiertelna. Podczołgał się ku ścianie i siedział teraz, wsparty o nią plecami. Ścisnął kurczowo ramię, patrząc bezmyślnie przed siebie. Przegrał.

- Miałeś szczęście, że Gregory nie strzela zbyt dobrze! - powiedziała gniewnie.

Gregory wydał z siebie dziwny odgłos, podobny do parsknięcia.

W przeciwnym kącie Richard i Hermiona obejmowali się mocno, lecz najwyraźniej nic im się nie stało. Lord Davenport przeraźliwie głośno o czymś rozprawiał, ale nic z tego, co mówił, nie docierało do niej. A Haselby - dobry Boże, jej mąż - wspierał się niedbale o framugę, obserwując całą scenę.

Dostrzegł jej spojrzenie i się uśmiechnął. Nieznacznie. No oczywiście, przecież on nigdy nie śmiał się szeroko, nie szczyrzył zębów.

- Przepraszam - powiedziała do niego.

- Nie ma za co.

Gregory wstał wreszcie z klęczek i objął ją opiekuńczo ramieniem. Haselby spojrzał na to ze szczerym rozbawieniem, a może nawet z pewnym zadowoleniem.

- Nadal pragniesz unieważnienia małżeństwa? - spytał.

Przytaknęła milcząco.

- Jutro wszystkie dokumenty będą gotowe.

- Na pewno? - spytała zatroskana. W gruncie rzeczy Haselby okazał się bardzo miły. Nie chciała, żeby jego reputacja miała ucieść z jej powodu.

- Lucy!

- Przepraszam cię - zwróciła się do Gregory'ego. - Nie miałam na myśli... ja tylko...

Haselby machnął dłonią.

- Nie ma powodu do niepokoju. Przecież to w końcu najlepsze, co mogło się stać. Strzelanina, szantaż, zdrada... Nikt nawet nie pomyśli, że małżeństwo unieważniono z mojego powodu.

- Och... Jak to dobrze! - Lucy z radością zerwała się na nogi. Doprawdy, Haselby okazał się bardzo wielkoduszny. Należało mu jakoś okazać życzliwość.

- A czy... czy pan nie chciałby się jednak ożenić? Mogłabym znaleźć panu żonę, kiedy będzie już po wszystkim.

Gregory wznosił oczy do nieba.

- O Boże... Lucy!

- Wydaje mi się - Lucy spojrzała mu prosto w oczy - że trzeba tę sprawę rozstrzygnąć w sposób uczciwy. W końcu lord Haselby sądził, że będzie miał żonę, a nie ma jej. To nie fair.

Gregory na dłuższą chwilę przymknął oczy.

- Dobrze, że tak bardzo cię kocham - odparł wreszcie. - Inaczej musiałbym cię udusić.

- Gregory! - jęknęła zdumiona. A potem dodała - Hermiona!

- Ach, dobraliście się doprawdy jak w korcu maku! - Hermiona ledwo zdołała zakryć dłonią swój uśmiech.

Haselby podszedł do stryja Lucy i podał mu chustkę.

- Niech pan zatamuje krew - mruknął, a potem zwrócił się do Lucy: - Owszem, naprawdę pragnąłbym mieć żonę, z czego pani pewnie zdaje sobie sprawę. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby mieć syna, bo inaczej mój tytuł przejdzie na kuzyna, którego szczerze nie cierpię. Byłoby to naprawdę haniebne. Izba Lordów już raczej

wolałaby się chyba rozwiązać, niż przyjąć go w poczet swoich członków.

Lucy spojrzała na niego bez słowa, tak zaskoczona, że kilkakrotnie zamrugła.

- Dlatego też - Haselby się uśmiechnął - byłbym bardzo wdzięczny, gdyby znalazła mi pani kogoś odpowiedniego.

- Oczywiście.

- Ale nie bez mojej zgody! - burknął Davenport. Gregory spojrzał na niego z niesmakiem.

- Lepiej by się pan zamknął. I to zaraz. Davenport aż się cofnął.

- Czy wiesz, do kogo mówisz, nędzny smarkaczu?!

- Do człowieka, który może się znaleźć w sytuacji nie do pozazdroszczenia,

- Co takiego?

- Musi pan skończyć z szantażem - ostro zareplikował Gregory.

- Przecież on był zdrajcą! - Davenport wskazał na stryja Lucy.

- A pan wołał go nie demaskować - rzucił gniewnie Gregory - co król bez wątpienia uznałby za czyn godny nagany!

Davenport zatoczył się do tyłu, jakby pod wpływem ciosu.

Gregory pomógł wstać Lucy.

- Opuści pan natychmiast kraj - zwrócił się do Abernathy'ego.

Jutro. Bez prawa powrotu.

- Mogę co najwyżej opłacić mu podróż - warknął Richard. - Nic więcej.

- Ja bym nie był taki szczodry - mruknął Gregory.

- Chcę, żeby stąd zniknął - oświadczył stanowczo Richard.

- A jeśli mogę to przyspieszyć, z przyjemnością poniosę te koszty!

- Nie piśnie pan o tym nikomu ani słowa - rzucił Gregory w stronę Davenporta. - Zrozumiano? A panu - tu zwrócił się do Haselby'ego - bardzo dziękuję.

Haselby uklonił się z gracją.

- Ależ to wszystko romantyczne - westchnął. - Bywa się od czasu do czasu w tarapatach, ale nic nie zmieni naszej natury, jak pan sądzi?

Gregory uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie masz pojęcia, jak cię kocham - mruknął, biorąc Lucy za rękę. Nie mógł ścierpieć, gdy stała daleko od niego. Spletli ze sobą palce, po czym Gregory nagle roześmiał się z całego serca. Bo mógł się wreszcie śmiać. Bo ją kochał.

A potem dostrzegł, że kąciki jej warg unoszą się ku górze, bo i ona, mimo wysiłków, nie mogła opanować radości.

Wtedy, przed doprawdy zaskakującym audytorium, porwał ją w ramiona i zaczął z całej siły całować.

Póki w końcu, po bardzo długiej chwili, Haselby nie chrząknął dyskretnie. Hermiona udawała, że patrzy zupełnie gdzie indziej, Richard zaś zaczął:

- Co do wesela...

Gregory puścił wreszcie Lucy, chociaż niezbyt chętnie.

Rozejrzał się wokoło, po czym wrócił do całowania.



Był to dla niego długi, bardzo wyczerpujący dzień. Uznał, że zasługuje na pewną wyrozumiałość. A poza tym Bóg jeden wie, kiedy się wreszcie pobiorą.

Całował ją jednak przede wszystkim dlatego, że tak bardzo ją kochał. Powiedział jej to, a ona odparła:

- Wiem.

## Epilog

*w którym nasi bohaterowie wyrażają się niezwykle wręcz pracowitością, w pewnej dziedzinie, do jakiej, jak już wiemy, mieli wyraźne skłonności.*

**Z**a pierwszym razem Gregory był istnym kłębkim nerwów.

Za drugim było jeszcze gorzej, a wspomnienie tego, co zdarzyło się wcześniej, bynajmniej nie pomagało mu się uspokoić. Wręcz przeciwnie. Teraz, gdy już lepiej rozumiał, o co tu chodzi - Lucy nie oszczędziła mu żadnych szczegółów, niech licho porwie tę jej skrupulatność - byle szmer kazał mu snuć ponure przewidywania.

Jak to dobrze, że mężczyźni nie mogą rodzić dzieci. Gregory był przeświadczony, że wówczas ludzkość wymarłaby wiele pokoleń wcześniej. A już na pewno on sam nie mógłby się przyczynić do nieustannego mnożenia małych Bridgertonów.

Lucy jednak nie przejmowała się niczym, jeśli tylko mogła mu potem wszystko opisać z niezliczonymi szczegółami.

Za trzecim razem Gregory był w trochę lepszej formie. Wprawdzie nadal siedział pod drzwiami, wstrzymując oddech, gdy

tylko dobiegł go zza nich jakiś wyjątkowo przykry jęk, lecz w sumie już się tak strasznie nie bał.

Za czwartym razem wziął ze sobą książkę. Za piątym - tylko gazetę. (Najwyraźniej z każdym dzieckiem wszystko stawało się coraz łatwiejsze, co uznał za bardzo właściwe.)

Za szóstym razem przeżył absolutne zaskoczenie. Wybrał się właśnie z krótką wizytą do przyjaciela, a po powrocie Lucy, nieco zmęczona, ale pogodnie uśmiechnięta, trzymała już niemowlę w ramionach.

Lucy często wypominała mu jednak tę nieobecność, tak że za siódmym razem dołożył starań, by jej nie zawieść. I rzeczywiście tylko raz opuścił posterunek pod drzwiami, żeby coś przegryźć w środku nocy.

Po siódmym dziecku uznał, że dosyć już tego. Siódemka wydała mu się idealną liczbą dzieci i - jak powiedział Lucy - zdążył już zapomnieć, jak ona wygląda, kiedy nie jest w ciąży.

- W takim razie - odparła impertynencko - jest to znakomita okazja, żebyś się dowiedział o kolejnej!

Nie mógł się z nią spierać, więc tylko pocałował ją w czoło i poszedł odwiedzić Hiacyntę, której długo wyjaśniał, iż siedem to idealna liczba posiadanego potomstwa. Jakoś wcale jej to nie rozbawiło.

Jednakże w pół roku po urodzeniu siódmego potomka poirytowana Lucy oznajmiła mu, że spodziewa się kolejnego dziecka.

- Wystarczy! - stwierdził. - Ledwo nam starcza na te, które już mamy!

Nie była to prawda. Lucy dostała wyjątkowo hojny posag, a Gregory odkrył w sobie niezwykły wręcz talent do korzystnego inwestowania pieniędzy.

Ośmioro dzieci to jednak naprawdę dosyć.

Nie zamierzał bynajmniej ograniczać ich małżeńskiej aktywności, lecz mężczyzna powinien być zdolny do pewnych działań, które zresztą należało, prawdę mówiąc, podjąć wcześniej.

Tak więc, ponieważ doszedł do przekonania, że chodzi o ostatnie z jego dzieci, postanowił zobaczyć, jak wszystko wygląda w naturze. I mimo zgorzenia akuszerki pozostał przy boku Lucy przez cały czas, oczywiście u wezłowania łóżka.

- Pańska żona ma spore doświadczenie - uznał lekarz, unosząc prześcieradło. Jestem tu całkiem zbyteczny.

- Doprawdy, za każdym razem staje się to łatwiejsze - wzruszyła ramionami.

Gregory spojrzał na żonę. Wzięła do łóżka swoją robótkę!

No i rzeczywiście, kiedy nadszedł czas, Lucy ledwie stęknęła podczas haftowania, a Gregory, oniemiały, patrzył na kwilącego noworodka, całego pomarszczonego i czerwonego.

- Spodziewałem się czegoś gorszego. Lucy spojrzała na niego z rozdrażnieniem.

- Gdybyś był przy mnie za pierwszym razem, miałbyś za swoje...  
Och, och, och!

- A cóż to takiego? - zdumiał się, spoglądając na nią.

- Nie wiem! - odparła przerażona. - Ale coś tu jest nie w porządku!

- No, no! Całkiem w porządku - przekonywała ją akuszerka - Po prostu jest pani...

- Wiem, co powinnam teraz czuć! - parsknęła Lucy. - A czuję coś całkiem innego!

Lekarz podał dziecko - była nim dziewczynka, co bardzo ucieszyło Gregory'ego - akuszerce i powrócił do Lucy.

- Hm...

- Co znowu za „hm”? - spytała zniecierpliwiona. Lekarz uniósł prześcieradło.

- O rety! - zawołał Gregory, siadając znów przy Lucy - tego się nie spodziewałem zobaczyć!

- O co chodzi? - spytała. - Co masz na... Och! Och, och!

- Dobry Boże! - wykrzyknęła położna. - Bliźnięta!

Gregory poczuł, że robi mu się słabo. Dziewiąte! Dziewięcioro dzieci! Tylko jednego brak do pełnej dziesiątki! Do dwucyfrowej liczby.

- Och, Boże! - wyszeptał.

- Gregory, co ci jest? - spytała Lucy.

- Muszę usiąść. Uśmiechnęła się blado.

- No, przynajmniej twoja matka będzie się cieszyć.

Gregory ledwie mógł zebrać myśli. Co należy robić z tyloma dziećmi? Kochać je, rzecz jasna. Tak przynajmniej przypuszczał.

Spojrzał na żonę. Włosy miała zmierzwiłone, twarz obrzmiała, a podkówki pod oczami nie były już niebieskawe, tylko sinoczerwone.

Uznał, że jest przepiękna.

Miłość istniała. Była czymś cudownym. Dziewięć razy cudowniejszym niż przedtem.

A to było doprawdy coś najwspanialszego.

